

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ

TIME RIDERS

2001 2010 1912 1941 1194 2066

KOD APOKALIPSY

> 00 3 6 6 3 5 3 3 < 4 6 0



ALEX SCARROW

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

Alex Scarrow

Kod apokalipsy

O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Tom 2: Czas drapieżników

Tom 3: Kod apokalipsy

Wkrótce kolejne tomy!

Moim bratanicom i bratankom... (głęboki wdech...)

i lecimy w kolejności wiekowej - Leonie, Jamesowi,

Nathanowi, Abigail, Tomowi, Aaronowi, Naomi,

Joe'owi, Nickowi i Connorowi.

Przyszłym Jeźdźcom w Czasie?

FAKT

Manuskrypt Voynicha to autentyczny dokument napisany w niezidentyfikowanym dotychczas języku średniowiecznym.

FAKT

Pomimo licznych prób kryptologów i zastosowania oprogramowania deszyfrującego, kod manuskryptu nie został jeszcze złamany.

FAKT

Źródła legendy o Robin Hoodzie spowija mgła tajemnicy.

FAKT

Tożsamość osoby piastującej urząd szeryfa Nottingham w czasie powrotu króla Ryszarda z krucjaty jest nieznana.

PROLOG

Chicago rok 2044

- Panie i panowie - zaczął mężczyzna - wszyscy przybyliście tu, aby zobaczyć to na własne oczy. Dosłownie za chwilę wejdę do klatki Faradaya i zniknę.

„Jasne, czyli to faktycznie kolejny świr”. - Anna Lopez pokręciła głową. - „Więcej mi nie trzeba”.

Skrzyżowała porozumiewawcze spojrzenia z dwoma innymi dziennikarzami, którzy siedzieli wraz z nią wśród nielicznej widowni. Rozpoznała kilka twarzy: choćby reportera zajmującego się nauką i środowiskiem w stacji cyfrowej Euro News, czy redaktora kolumny naukowej w e-magazynie technologicznym ze Stamford. W zeszłym tygodniu wszyscy oni otrzymali małe zaproszenia na kremowym papierze z wydrukowanym zdawkowym wyjaśnieniem. Mieli przybyć do miejsca o nazwie Galeria Larkhama, „by na własne oczy zobaczyć technologię, która odmieni egzystencję wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci żyjących na tej niespokojnej planecie”.

Anna Lopez westchnęła. Światu z pewnością przydałaby się garść dobrych wiadomości.

Nazwa Galeria Larkhama wzbudzała pozytywne skojarzenia. Spodziewała się kameralnego, klimatycznego wnętrza, po którym krążą kelnerzy trzymający w dłoniach srebrne tace z kieliszkami wina i słonymi przekąskami. Nic z tego. Trafili do ponurego magazynu, w którym ustawiono trzy rzędy niewygodnych, plastikowych krzesełek szkolnych. Nad głowami zebranych brzęczała lampa jarzeniowa. Skądś dochodziło echo rytmicznie skapującej wody deszczowej.

- Ładunek zostanie uwięziony w klatce, a następnie równomiernie rozłożony wokół mnie. Pozwoli to wygenerować wystarczająco dużą próżnię, aby...

- Co? Zniknąć?! - krzyknął ktoś z tylnego rzędu. - Mój dzieciak zrobi dokładnie to

samo za pomocą zestawu małego magika ze sklepu z zabawkami.

Ktoś parsknął, wypływając kawę z powrotem do styropianowego kubka.

- Nie - odparł mężczyzna ze sceny. Nazwisko człowieka znowu wyleciało Annie z głowy. Otworzyła aplikację notatnika na swoim T-Padzie.

„Waldstein”. - Pomyślała, że nawet to brzmi banalnie.

- Nie! - odburknął, uciszając szmer wesołości. - To żadna sztuczka bankietowa!

- Panie Waldstein? - Anna uniosła rękę.

- Hmm... słucham?

- Twierdzi pan, że zniknie?

- Zostanę przeniesiony na nie dłużej niż minutę. - Waldstein skinął głową.

- Mhm, zostanie pan przeniesiony - przytaknęła potulnie. - A dokąd dokładnie?

Uśmiechnął się szeroko i odsunął z twarzy burzę szpakowatych kędziorów, za szklami okularów zajaśniały rozszerzone jak u dziecka oczy.

- Do innego punktu w czasie - obwieścił teatralnie.

Usłyszała dźwięk odsuwanej krzesła, które zgrzytnęło o betonową posadzkę. Ktoś za jej plecami mruknął „idiota”, po czym dał się słyszeć stukot oddalających się kroków. Pozostali dziennikarze siedzący obok niej zaczęli z zakłopotaniem szurać nogami.

„W czasie?”. - Ten biedny stary głupiec najwyraźniej bajdurzy o podróżowaniu w czasie. Doszła do wniosku, że ewidentnie potrzebuje pomocy; powinien chyba stale przebywać w pokoju z miętowozielonymi ścianami, wyściełanymi miękkimi poduszkami i słuchać kojącej muzyki. Rozległo się skrzypienie kolejnych krzesel. Wyglądało na to, że

mała, żalosna farsa w wykonaniu tego szaleńca dobiegnie końca, zanim się na dobre rozpocznie. Niemal zrobiło się jej go żal.

- Nie odchodźcie! - krzyknął Waldstein. - Proszę! Poczekajcie! - Kroki ucichły. - Już wam to demonstruję!

Anna patrzyła, jak nachyla się nad chybottliwym stołem ogrodowym, który ustawiono na prowizorycznym podeście z drewnianych palet, i zaczyna stukać w klawisze podniszczonego, wysłużonego laptopa. Pod stolikiem stało coś, co przypominało miedziany kociołek; kable wpełzały do niego z jednej strony i wypelzały z drugiej w kierunku wysokiej drucianej klatki. Anna usłyszała cichy szum mocy wzbierającej wewnątrz miedzianego urządzenia, światła w magazynie zaczęły przygasać. W tym momencie zrozumiała, że miniaturowe urządzenie oszołoma pobiera prąd z sieci elektrycznej.

„O mój Boże, on się usmaży. Sfajczy się na naszych oczach!”.

Waldstein dostojnie przeszedł ponad kablami i otworzył drzwiczki drucianej klatki.

- Tylko spójrzcie!

Anna niespokojnie podniosła się z miejsca.

- Panie Waldstein, nie powinien pan...

Mężczyzna wszedł do środka i głośno zamknął za sobą drzwiczki, echo trzaśnięcia rozbrzmiało w całym magazynie. Furkotanie maszyny stawało się coraz głośniejsze.

- Panie i panowie! - Waldstein niemal krzyczał, żeby przebić się przez narastający łoskot. - Za chwilę będziecie świadkami pierwszej w historii podróży w czasie!

- Panie Waldstein! - Anna podeszła o krok. - Niech pan natychmiast przerwie to szaleństwo! Proszę!

Zauważyła, jak reporter jednego z kanałów cyfrowych przeciska się przez rząd

krzesłek i filmuje klatkę swoją palmkamerką. Z obrzydzeniem potrząsnęła głową. Popapraniec chce pewnie wszystko nakręcić - nagrać, jak cudak smaży się niczym chips ziemniaczany.

„Jezu...”. - Waldstein uśmiechał się do niej spokojnie przez pręty w klatce.

- Nie martw się, kochanie, nic mi nie będzie! - przekrzyczał szum mocy, która narastała do poziomu wyładowania elektrycznego.

- Proszę! - krzyknęła Anna, zaskoczona nutą paniki w swoim głosie. - Proszę! Wyjdź stamtąd!

Na twarzy Waldsteina pojawił się niemal uspokajający uśmiech.

- Nic mi nie będzie, kochana. Niedługo znów ich ujrzę. Zobaczę ich, dotknę...

- Ich? Kogo? O czym ty bredzisz?! - krzyczała, ale jej słowa zagłuszał coraz większy jazgot.

Na prętach klatki zaczęły tańczyć iskry.

- Odsuńcie się! - krzyknął ktoś z głębi sali.

Uświadomiła sobie, że w wyniku wyładowania strumień elektryczny może błyskawicznie poszybować w ich kierunku. Instynktownie cofnęła się kilka kroków i wpadła na puste krzesło, boleśnie zdzierając sobie kostkę. Puste były już zresztą wszystkie krzesła - cała publika zerwała się bowiem na równe nogi. Usłyszała, że ktoś dzwoni na policję. Nie przybyli tutaj, by patrzeć, jak jakiś człowiek z własnej woli się smaży - żadne szaleństwo tego nie usprawiedliwia. Ostatnio na świecie i tak jest wystarczająco dużo świrusów.

Z klatki na podłogę wytrysnęły iskry. Lampy jarzeniowe na całej długości sufitu zasyczały, pstryknęły i zgasły, pogrążając pomieszczenie w ciemności, iluminowanej jedynie rozbłyskami elektrycznej egzekucji Waldsteina. Wśród zasłony iskieł wciąż widziała znieruchomiałą sylwetkę mężczyzny. Był spokojny, opanowany... wbrew jej oczekiwaniom

nie wyglądał jak miotająca się w konwulsjach marionetka.

Potem, z delikatnym pstryknięciem - nie hukiem, ale pstryknięciem - i łagodnym podmuchem poruszonego powietrza, wszystko ustało. Iskry, łoskot narastającej mocy, syk i trzask czystej energii elektrycznej - wszystko to ucichło. W nieprzeniknionej ciemności Anna słyszała tylko rwane oddechy zgromadzonych wokół niej osób.

- Niechże ktoś lepiej zadzwoni po karetkę! - usłyszała czyjś głos.

Ktoś włączył latarkę i skierował promień na klatkę.

- Mój Boże! Gdzie on się podział?

Była pusta. Dokładnie jak zapowiadał. Zniknął. Anna poczuła przypływ ulgi. Zorientowała się, że zaczyna się beztrosko śmiać.

- A niech mnie! - Potrząsnęła głową. - Przecież właśnie to nam obiecał.

Ale pozostałym ani nie spadł kamień z serca, ani nie poczuli się rozbawieni spektaklem.

- Nie przyszedłem tutaj oglądać magicznych sztuczek! Mam artykuły do wysłania. Powinienem zajmować się teraz prawdziwą robotą, a nie takim szaleństwem...

Niespodziewanie na prętach zajaśniała wstążka iskier.

- Hola! Wszyscy w tył zwrot! To wciąż działa!

Anna spodziewała się, że teraz rozpocznie się podobne przedstawienie, aby zamaskować „powrót” Waldsteina do klatki. Dym i lustra, tak nazywają to magicy - sztuka rozpraszania uwagi. Zamiast tego za prętami ujrzała jedynie słabą, upiorną poświatę; początkowo miała rozmiar drobnego punkcika, ale jej średnica szybko urosła do ponad metra. Kształt błyszczał i falował jak woda. Dokładnie tak wyobrażała sobie ektoplazmę zostawianą przez duchy - może w tych spirytystycznych nonsensach tkwiło ziarenko prawdy.

- Co to jest? - wykrztusił któryś z gości. Latarka zgasła, eteryczna poświata stała się teraz wyraźniejsza. Anna w ciemności pokręciła głową, jakby pytanie zostało skierowane osobiście do niej.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. Zdawało się jej, że w słabym, wirującym świetle dostrzega niewyraźny kształt ludzkiej postaci. Może nawet kilku. Coś tam było. Ktoś. Jacyś ludzie. Zarys stawał się coraz wyraźniejszy, jakby się przybliżał. Anna miała nieodparte wrażenie, że biała poświata znajduje się gdzie indziej. Może - gdyby drucziana siatka nie zagradzała drogi - mogłaby przez nią przejść, sięgnąć w głąb... i dotknąć tego miejsca. Przypominało to migoczące, drgające wrota do innego...

„Co? Naprawdę? Poważnie?” - złapała się na nieprawdopodobnej myśli.

- Przecież to czyste wariactwo - szepnęła pod nosem.

Wyraźny kształt okazał się człowiekiem. Teraz widziała to jak na dłoni. Wydawało się, że powoli zmierza w jej stronę, zasłaniając wirujące światła „innego wymiaru”. Nagle upiorna poświata rozplynęła się. Zapadła ciemność. W nieprzeniknionym mroku poczuła na twarzy podmuch powietrza, włosy opadły jej na same oczy. Odgarnęła grzywkę. W klatce coś się znajdowało. Usłyszała, że zza siatki dochodzi łopoczący, nieregularny oddech.

- Halo? - wyszeptała. - Waldstein? To ty...? Jesteś tam?

Sapanie nie ustawało.

- Kto ma tę latarkę? - odezwał się głos za jej plecami. - Oświetlcie klatkę.

Usłyszała, jak ktoś mocuje się z czymś i klnąc, gmera w poszukiwaniu jakiegoś miniaturowego przełącznika.

- Waldstein? - wyszeptała Anna. - Wszystko w porządku? - W odpowiedzi na jej pytanie sapanie ucichło, a potem całkowicie ustało.

- Włącz latarkę!

- Próbuję! Nie mogę znaleźć... Gdzie to jest?

Biedak w klatce zaczął coś mamrotać. Anna pochyliła się i zdobyła na odwagę, aby wreszcie położyć ręce na drucianej siatce. Rozgrzewał ją jeszcze ładunek elektryczny, ale nie była gorąca ani, dzięki Bogu, żywa.

- Wszystko w porządku?

- Widziałem to... widziałem.

- Spokojnie. Wyciągniemy cię stąd, a później wezwiemy karetkę.

- Widziałem... widziałem to - wydyszał chrapliwie.

W tym momencie ktoś za jej plecami włączył latarkę, w całym pomieszczeniu zatańczyły cienie.

- Jest w szoku - powiedziała Anna. - Oświetlcie go.

Promień przemknął nad jej ramieniem, ściany magazynu pokrył labirynt podskakujących cieni. Przez druty dostrzegła mężczyznę, którego widziała kilka chwil temu: człowieka, któremu, jak sądziła, potrzebny był lekarz i wygodna izolotka bez klamek, żeby mógł pozbyć się swoich urojeń.

Przynajmniej tyle dobrego, że nie były to ludzkie zwłoki.

„Ale ta twarz... jego twarz”.

Oczy wariata, ukryte pod burzą obłąkańczo zwichrzonych włosów i za szklami okularów, wciąż były okrągłe i szerokie, ale nie wyrażały już dziecięcego zdziwienia i podekscytowania. Już nie.

Odbijała się w nich groza. Czysta groza. Waldstein wyglądał tak, jakby jego umysł odgrodził się od rzeczywistości, aby ochronić się przed szaleństwem. W tym momencie zrozumiała, że dzisiejszego wieczoru nie byli świadkami salonowych popisów magicznych, a gospodarz spotkania nie jest tanim iluzjonistą goniącym za sławą i uwielbieniem publiczności.

„On gdzieś dotarł. On naprawdę gdzieś trafił”. - Nie wiedziała dlaczego, lecz czuła, że przebywał tam dużo dłużej niż minutę.

- Co to było? - spytała łagodnym tonem Anna Lopez. - Co się właśnie wydarzyło?

Jego nieobecne spojrzenie, być może wciąż wpatrzone w ten drugi wymiar, zdawało się stopniowo powracać do rzeczywistości, powoli dołączało do reszty jego ciała we współczesnym Chicago. Przeniósł na nią wzrok i zaczął uświadamiać sobie, że nie jest sam, że po drugiej stronie drucianej siatki też są ludzie.

- Ja... - Otworzył usta, rozchylając wyschnięte i popękane wargi. - Widziałem koniec.

Usłyszał, że ktoś za plecami kobiety wystukuje numer. Dzwoni na pogotowie. Może niektórzy z nich go słyszeli. Psychol z kamerą wciąż go filmował, pewnie był zawiedziony, że nie pokaże swojemu wydawcy nagrania parujących zwłok. Choć może obłąkańcze paplanie tego wariata okaże się jeszcze lepszym materiałem.

- Waldstein? - wymruczała Anna. - Co rozumiesz przez... koniec?

Uświadomiła sobie, że mężczyzna płacze. Po jego policzku spłynęła łza i wsiąkła w szczeciniastą brodę. Nieobecny wzrok wreszcie zniknął. Waldstein wciąż na nią patrzył. Potem niespokojnie rozejrzał się po klatce.

- Mój Boże! To... wszystko trzeba zniszczyć!

- Co? Chodzi ci o wehikuł?

Trzepnął dłonią w drucianą klatkę, która zatrzęsała się i zabrzęczała, a echo

rozbrzmiało w całym magazynie.

- TO! Podróże w czasie! To... wszystkich nas unicestwi!

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork rok 2001

Maddy samotnie obserwowała gromadkę mew dziobiących śmieci wyrzucone na muł, odsłoniętej po odpływie, cieśniny East River. Nad głową dziewczyny rozbrzmiewał rytmiczny łoskot ruchu przetaczającego się przez most Williamsburg. Była godzina szczytu - pracownicy wracali z Manhattanu na Brooklyn po skończonym dniu pracy.

Dziewczyna wrzuciła do wody małą bryłkę asfaltu i patrzyła, jak przestraszone chlupnięciem mewy uciekają w popłochu.

„Mój Boże”. - Jej myśli wciąż krążyły wokół tego samego. - „Mój Boże, Liam to Foster?”.

Właśnie tak powiedział starzec: że on i Liam są tą samą osobą, że kiedyś był Liamem. Wiedziała, że nie kłamał. Dostrzegła podobieństwo rysów twarzy i gestów. Ba, oni nawet mówili w podobny sposób.

„To przez podróże w czasie. Podróże w czasie mnie postarzyły, Maddy” - powiedział.

Liam powoli zamienia się w tego biednego starca... a ona i to musi zachować dla siebie do momentu, w którym chłopak będzie gotów usłyszeć prawdę. Skrywanie takich sekretów czyniło ją bardzo samotną, separowało od dwójki przyjaciół. Czuła, że to złe. Ostatecznie zostali zwerbowani wspólnie: ona, Liam i Sal... troje nastolatków wyrwanych z różnych epok, uratowanych w ostatnich sekundach swojego życia przez tego samego starca.

Powinni pozostać drużyną i nie powinno być między nimi tajemnic. Nie takich.

„Teraz ty jesteś przywódcą drużyny” - powiedział jej Foster. - „Tylko od ciebie zależy, kiedy powiesz o tym Liamowi”.

Patrzyła, jak mewy ostrożnie wracają do dziobania i szarpania plastikowych toreb walających się po rzeczonym szlamie.

„Po prostu świetnie” - mruknęła do siebie. Ale niepokoiło ją i nie pozwalało jej spać po nocach coś jeszcze. Przecież nie chodzi tylko o sprawę „Foster to Liam”, prawda? O nie! Jest coś jeszcze: świstek papieru, który znalazła w punkcie dostawczym... wiadomość przeznaczona wyłącznie dla jej oczu.

Maddy, uważaj na „Pandorę”, ucieka nam czas. Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu.

Wciąż zachodziła w głowę, co ma właściwie o tym wszystkim myśleć. Treść wiadomości nic jej nie mówiła. „Pandora” - co to, do diabła, jest poza dość głupim imieniem kobiecym?

- Dlaczego to muszę być ja? - Na dźwięk jej łagodnego głosu maszerująca obok mewa zatrzymała się i z zainteresowaniem przekrzywiła łeppek.

- Nie do ciebie mówię, stuknięta ptaszyno. - Mewa wróciła do szukania padliny, na wszelki wypadek nie spuszczać jednego paciorkowatego oka z dziewczyny. Maddy wpatrywała się w migające światła Manhattanu, a słońce zaczęło zachodzić za dwiema wysokimi kolumnami World Trade Center.

„Foster nie bez powodu cię zwerbował i nie bez powodu mianował dowódcą. Wie, że jesteś wystarczająco bystra, by rozwiązywać problemy, Maddy” - westchnęła. Naprawdę chciałaby w to wierzyć... wierzyć, że jest stworzona do bycia dobrym przywódcą drużyny, dobrym Jeźdźcem w Czasie. Ale patrząc na dotychczasowy przebieg spraw, cóż... przecież non stop szyje na poczekaniu, a ze wszystkich opresji wychodzi dosłownie w ostatnim momencie.

Fakt, że żyje i nie uśmierciła jeszcze ani Liama, ani Sal to czysty fart. Tylko czystym fartem nie wywróciła jeszcze osi czasu do góry nogami. Czystym fartem nie sprowadziła na świat zagłady.

Nakładanie na barki osiemnastoletniej dziewczyny takiej odpowiedzialności to przegięcie.

- No, kurde! - wysyczała. - Przegięcie jak cholera.

ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork rok 2001

Poniedziałek (pięćdziesiąty siódmy cykl czasowy)

Właśnie na niego patrzę, pływa sobie w próbówce pełnej brejowatej, oślizgłej mazi. To jednocześnie Bob i nie Bob. Wiecie, co mam na myśli. Teraz to chłopiec. Nie ma na sobie najmniejszego włoska i jest zwinięty jak dzieciątko. Po twarzy już widać, że to na bank on, choć niedokończony; tylko grube kościska i czoło kretyna. Skóra nie pokryła jeszcze głowy, widać tylko czerwone i surowe włókna mięśniowe, a także zęby, no i dwie gałki oczne, które bez powiek sprawiają wrażenie gigantycznych kul. Czasem zdaje się, że obracają się i drgają, zupełnie jakby przyglądały się osobie stojącej przed próbówką. Ale ja wiem, że Bob nic nie widzi. Małeńki mózg śpi jeszcze głęboko i śni dziecięce sny.

Ciało obrastają już pierwsze płaty skóry, ale wciąż widać odsłonięte fragmenty anatomii. Przez niezarośnięty kawałek tuż pod lewym ramieniem przezierają zebra i, na moje oko, jakiś organ. Serce? Szarpie się. Jak zwierzę w klatce.

Aż mi się niedobrze robi. Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do łóżka.

A skoro już mowa o puszczeniu pawia: Liam właśnie opróżnia sedes. Kilka dni temu dostaliśmy jedną z tych toalet kempingowych. W naszym biurze terenowym jest tylko jeden mały kibiel, ze skrzypiącymi drewnianymi drzwiami i popękana muszlą bez deski. To totalna pinchudda! Zresztą i tak nie jest podłączona do kanalizacji. Właśnie dlatego potrzebowaliśmy tego kibla kempingowego. Trzeba go opróżniać co kilka dni, żeby nie prześmiardła cała baza - po wyciągnięciu plastikowej beczki, wysuwa się tylna część toalety razem ze wszystkimi bulgoczącymi w środku... czujecie, nie?

Shadd-yah. Następnym razem moja kolej.

Ale idźmy dalej... wkrótce wybieramy się na wycieczkę. Do specjalnego miejsca. Chcecie wiedzieć gdzie?

No to wam powiem.

Jutro wybieramy się do „niedzieli”! Właśnie tak, opuścimy pętlę czasu i wrócimy do niedzieli. Będzie to moja pierwsza podróż w czasie. No, może nie do końca... mój pierwszy raz był wtedy, kiedy Foster chwycił mnie za rękę i przywiózł ze sobą tutaj. Ale wtedy nie rozumiałam, co się dzieje. Poza tym zawsze po zresetowaniu bańki w pewnym sensie cofam się w czasie o czterdzieści osiem godzin.

No, ale teraz to co innego... wejść przecież do portalu, to się dopiero nazywa podróż w czasie. Stanę się prawdziwym podróżnikiem w czasie, przejdę przez lukę w czasoprzestrzeni, przez materię chaosu. Liam mówi, że to dziwne wrażenie, tak jakby wszystko okrywała mlecznobiała, mglista zawiesina, w której czuć podejrzanе poruszenia, choć nie wiadomo, co je powoduje. Ale mówi też, że dzieje się to tak szybko, że zanim się zorientujesz - hop! - i jesteś już po drugiej stronie. Nie ma się więc czym martwić.

Świetnie. Dzięki za uświadomienie mnie o tych odrażających poruszeniach, Liamie.

Jestem trochę zdenerwowana, ale i podekscytowana, bo idziemy na koncert kapeli rockowej EssZed. Maddy mówi, że zniknęli po jedenastym wrześniu. Jakby zapadli się pod ziemię! Właśnie przez to staną się sławni. Idziemy więc na ich ostatni koncert, choć oni sami

jeszcze o tym nie wiedzą. Maddy mówi, że naprawdę mi się spodobają. Puściła kilka nut na komputerze. To mocne bity. Są totalnie odlotowe. Mówi też, że Liam pewnie ich znienawidzi i zacznie jęczeć, że to nie prawdziwa muzyka, a jedynie czysty hałas. To w końcu nie „rymowanki”, do których przywykł.

LOL.

„Edukacja”. „Wycieczka terenowa” - tak to nazywa Maddy. Beki będzie mogła poćwiczyć ludzkie zachowanie. Naprawdę tego potrzebuje. Jest zbyt poważna i zachowuje się jak automat. Bob wyglądał głupio - łatwo można było udawać, że dopiero co urwał się z zakładu psychiatrycznego. Ale Beki jest zbyt „zimna”. Jej spojrzenie czasem mnie przeraża. Ma się wrażenie, że patrzy na ciebie i obmyśla trzy najszybsze sposoby zaciukania cię koniuszkiem kciuka.

Chyba wołałam Boba.

ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork rok 2001

Portal zajaśniał na środku łuku, wyłoniła się idealna kula energii, przez jej wnętrze przeziebrał niewyraźny obraz falującego świata sprzed czterdziestu ośmiu godzin: niedzielny wieczór. Migoczący neon i coś, co wyglądało jak wykrzywiony, drgający kawałek pokrytego graffiti ceglaneanego muru tańczącego za mgiełką gorąca.

- No już, Sal - ponaglała Maddy. - Przełaż szybko.

Sal ze zdenerwowania przełknęła solidną porcję śliny i skinęła głową.

- Dobra, jasne. Jestem gotowa. - Weszła do środka, czując, że podmuch energii stawia

włosy na jej rękach i unosi grzywkę, jak kurtynę w teatrze. - To łaskocze!

Po wejściu do wnętrza kuli poczuła, jak betonowa podłoga pod jej stopami zaczyna uginać się niczym powłoka batutu, na którym podskakiwał już ktoś inny. Nagle posadzka błyskawicznie zmiękła i rozdarła się cicho jak bibułka... a chwilę później, bez ostrzeżenia, całkowicie znikła.

- Jahulla! Spadam! - zaskomlała i zaczęła wymachiwać rękami i nogami, czując, że sunie na łeb na szyję przez gęste powietrze.

- Nie przejmuj się! - Głos Liama zabrzmiał, jakby dochodził z końca długiego, bardzo długiego tunelu; odległe echo szybko zanikało w oddali, by w końcu ucichnąć na dobre.

- Liamie! - krzyknęła, ale jej własny głos ją zawiódł i uwiązał w gardle.

„Naprawdę zostałam sama”.

Stało się dokładnie, jak mówił: unosila się teraz - lub spadała - przez ocean jednolitej bieli, jak płatek śniadaniowy kołyszący się w wielgachnej misce mleka.

„Tylko spokojnie, Sal”.

Wirowała zatopiona w bieli doskonałej. Podniosła rękę, która już w odległości kilkunastu centymetrów od jej twarzy bladła zasnuwana przez mgłę. Poruszyła dłonią, ale poczuła, że gęste jak ciecz powietrze hamuje jej ruchy. Uniosła głowę z nadzieją ujrzienia niewyraźnego kształtu przyjaciół unoszących się tuż nad nią, ale dostrzegła tylko więcej bieli.

„Może naprawdę zostałam sama jak palec”.

Zastanawiała się, czy znalazła się w swoim prywatnym wszechświecie o mlecznej barwie, czy inni szybowali jednak gdzieś wyżej. A może całkiem w pobliżu. Może tuż poza zasięgiem wzroku. Ciekawe, czy ktoś tu kiedyś zablądził na amen i nigdy nie zdołał przedostać się na drugą stronę. Zostać skazanym na wieczne wirowanie i wymachiwanie kończynami? Oblęd murowany. Nic nie widzisz, nie słyszysz, nic ci nie pachnie, nic nie

czujesz. Jezu, od czegoś takiego można kompletnie ześwirować.

Doszła do wniosku, że lepiej o takich rzeczach nie myśleć. Niestety, jej umysł podsuwał już kolejne niewygodne pytania.

„A co jeśli właśnie tym są obrzydliwe stwory przemykające przez tę przestrzeń? Innymi podróżnikami, może nawet innymi Jeźdźcami w Czasie, którzy zgubili drogę i utkwili tu na wieczność?”.

Zbyt łatwo jej wyobraźnia przywołała obraz innej, podobnej do niej, dziewczynki zagubionej na wieki wieków w tym miejscu: oczy pokryte mgiełką szaleństwa, mętne jak ślepie ugotowanej ryby, wydobywający się z ust chichot przywodzący na myśl rechot starej kobiety - kompletnie obłąkany umysł wyprany ze wszystkich składnych myśli.

„To naprawdę nie pomaga, głuptasie. Lepiej skup myśli na czym innym”.

Stwierdziła jednak, że wolałaby tu być sama; ostatnie, co miała ochotę teraz oglądać, to jakiś niewyraźny, drgający kształt. Szybko zamknęła oczy.

Niemal dokładnie w tym samym momencie znowu wyczuła podłogę pod stopami.

- Huh? - Gdy rozwarła powieki, zorientowała się, że stoi na małym parkingu, czerwony neon Budwaisera, który brzęczał jak wściekła mucha zamknięta w butelce, rzucił słabe światło. Odsunęła się na krok od portalu, a chwilę później z nicości po kolei wyłonili się Liam, Maddy i Beki.

- To było straszne! - wysapała pod nosem.

- Pierwszy raz zawsze jest najgorszy. - Liam uśmiechnął się przepraszająco. - Chyba powinienem być cię ostrzec.

Słyszała głęboki, rytmiczny dźwięk tłoczenia dochodzący zza ceglanego muru naprzeciwko niej. Mur ciągnął się w lewo wzdłuż zatoczki zastawionej samochodami, zaparkowanymi w rzędzie tak ciasno jeden przy drugim, że kierowcy musieli chyba skakać po

dachach, aby z nich wyjść. Mur kończył się na wysokości pogrążonej w mroku uliczki, na której dostrzegła zarys niecierpliwie klębiącej się kolejki.

- Nieźle, chyba zaczęli grać - zauważyła Maddy. - No, dalej, brygado, ładujemy się do środka.

ROZDZIAŁ 4

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1193

Z pochmurnego, szarego nieba cicho i delikatnie prószyły płatki śniegu, wirując wokół gościńca niczym kwiaty wiśni. Obie strony leśnego duktu zarastały wysokie i grube iglaki pokryte ciężkimi czapami bieli, pod którymi gałęzie ugiwały się do samej ziemi.

Sir Geoffrey Rainault mocniej naciągnął pelerynę, która wciąż zsuwała mu się z ramion; próbował zachować choć odrobinę ciepła uciekającego podczas jazdy. Obolały od siodła tyłek podskakiwał na Edith - jego ulubienicy - która stawiała kopyto za kopytem z ociężałą zawziętością: bestia przewiozła go przez niezliczone kraje i krainy. Po dziewięciu miesiącach tułaczki przez spalone słońcem pustynie Ziemi Świętej i pokryte wiosennym kwieciami pastwiska niezliczonych księstw i królestw... wreszcie znalazł się w domu, w Anglii, na północ od Londynu, na szlaku wiodącym do odległej, dzikiej Szkocji.

Geoffrey poruszył się w siodle i zerknął przez ramię na pozostałych: towarzyszyło mu trzech rycerzy ze swoimi „giermkami”, a także zbrojni i ojculek, którego zabrali, by odprawiał codzienne modły o pięciu porach dnia. W sumie zostało ich osiemnastu. Gdy wyruszali na wyprawę, ich grupa liczyła ponad sześćdziesięciu mężów, ale choroby, niezagojone rany bitewne i jedna czy dwie potyczki w drodze powrotnej zebrały swoje żniwo. Teraz ci, którzy przeżyli, choć wciąż zdeterminowani wypełnić tę misję, wyglądali na ludzi gotowych położyć się w zimowej zawierusze i zapaść w wieczny sen.

- Panie! Patrzajcie! - krzyknął jeden z giermków, wskazując coś na gościńcu.

Geoffrey ponownie obrócił się w siodle i wlepił zmrużone oczy w rozciągającą się przed nimi świetlistą pokrywę zwartego śniegu. Dostrzegł całkowicie znieruchomiałe zarys otulonego ciemną peleryną i okrytego kapturem człowieka, który stał na samym środku wybruzdzonego gościńca.

Geoffrey, wiedziony instynktem nakazującym ostrożność, niespokojnie ściągnął wodze Edith i uniósł dłoń w rycerskiej rękawicy. Usłyszał, jak ciągnąca za nim kolumna mężczyzn i koni, którym ze zmęczenia kości wyłaziły już na wierzch, chaotycznie wstrzymuje pochód.

- Jedziemy z rozkazu samego króla, usuńcie się z drogi!

Zakapturzona postać nie drgnęła na centymetr. W lesie tężała cisza, słychać było tylko krakanie gromadki kruków zataczających koła wysoko na zimowym nieboskłonie, prychanie wierzchowców i brzęk uprząży poruszonej przez spłoszonego konia jucznego.

- Słyszysz?

Postać chyba nie słyszała. Geoffrey spróbował więc po francusku:

- Nous faisons les affaires de rois! [Jedziemy z rozkazu króla! (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).].

Lekki wietrzyk poruszył peleryną z kapturem, lecz mężczyzna wciąż pozostawał w kompletnym bezruchu.

„Niedobrze”. - Geoffrey zerknął na drzewa po obu stronach gościńca: doskonała lokalizacja na zasadzkę. W podobnym lesie, na kontynencie napadli już ich raz bandyci. Błąd, jaki wówczas popełnił - poważny błąd, który kosztował życie dobrego rycerza i dwóch zbrojnych - polegał na tym, że nie kazał zewrzeć szyków, gdy pojawił się pierwszy zbójca. Podniósł rękę i zwinął ją w pięść, wydając w ten sposób sygnał do zejścia z koni i gotowania się do walki.

W lesie rozbrzmiało metaliczne echo szczękających klamer i pasów, zgrzytanie zbroi i świst wyciąganych z pochew mieczy.

- Złazże z duktu chybcikiem! Albo... każę jednemu z moich zestrzelić cię z drogi - ostrzegł Geoffrey, przyzywając Batesa, jednego z najlepszych kuszników wśród wojów ze świty. Bates stanął obok dowódcy, odciągnął cięciwę i umieścił belt w rowku.

- Strzał ostrzegawczy, panie?

Geoffrey mocno zacisnął wargi. Raz już ostrzegł uparciucha. Ale jeśli kolejna przestroga pozwoli uniknąć rozlewu krwi w ten zimny, bezbożny dzień, to warto podjąć ostatnią próbę.

- Ustąp drogi, bo cię z niej zestrzelimy!

Przez chwilę wydawało się, że odpowiedź będzie taka sama. Żadna. Po chwili mężczyzna zaczął jednak kroczyć w ich stronę, zanurzając się po kostki w śniegu.

- Panie? - Bates odwrócił się do dowódcy.

Zatem głupiec zginie. Może tego właśnie pragnie: umrzeć śmiercią męczennika. Przez kilka ostatnich lat Geoffrey napatrywał się na podobnych ludzi - fanatyków łaknących śmierci w boju w zamian za obietnicę odkupienia wszystkich grzechów.

- Wraż w niego belt!

Bates szybko przyłożył kuszę do ramienia, wymierzył i wystrzelił. Brzdęk cięciwy popłynął między drzewami równoległe do beltu, który w okamgnieniu pokonał dwudziestometrowy dystans. Pocisk z trzaskiem wbił się w powierzchnię pod powłóczystymi ciemnymi szatami. O dziwo, nie zmąciło to zamaszystego kroku mężczyzny.

- Dobry Boże! - szepnął Geoffrey kącikiem ust.

Zakapturzony mężczyzna, oddalony już raptem o kilkanaście metrów, swobodnym ruchem wyciągnął spod peleryny oburęczny miecz.

- Gotować się do bitki! - rzucił przez ramię Geoffrey. - Zbrojni, do wozu!

Dołączyło do niego trzech młodszych rycerzy, niektórzy byli sprawniejsi niż on, ale wszyscy w równym stopniu gotowi bronić tego, co leżało za nimi, ukryte w niepozornej, drewnianej skrzyni na wozie.

Giermkowie - najemni służący, nie prawdziwi wojowie - wycofali się, by złapać wszystkie konie za uzdy i pilnować ekwipunku kolumny. Geoffrey spojrzał na trzech braci, zaprawionych w boju rycerzy, weteranów krucjaty króla Ryszarda. Choć mąż nie zachwiał się nawet od uderzenia bełtem - który wciąż tkwił w jego klatce piersiowej - Geoffrey był pewien, że pojedynek pomiędzy ich czwórką szybko dobiegnie końca.

Zakapturzony nagle zerwał się do chyżego biegu i pokonał ostatnie metry dzielące go od przeciwników, unosząc półtorametrowe, nieporęczne ostrze tak lekko, jakby ważyło tyle raptem, co pióro skryby.

Najmłodszy z rycerzy, William, podobnie jak dowódca, oburącz dźwignął swój miecz wysoko nad głowę i zatrzymał go w gotowości do siepnęcia. Dokładnie jak uczył go Geoffrey. Jeszcze krok i zakapturzony znajdzie się w zasięgu ciosu. William ciął pierwszy, celując prosto we wrażliwe „L” u zbiegu szyi i ramienia. Ostrze zatrzęszczało o jakiś twardy materiał kryjący się pod peleryną - bez wątpienia zbroję. Miecz zawibrował po odbiciu się od napastnika i opadł na śnieg. W odpowiedzi człowiek w kapturze wykonał błyskawiczny sztych, jego broń błysnęła w powietrzu. Młody William był martwy, zanim zdążyły ugiąć się pod nim nogi. Głowa młodzieńca osunęła się na chrupiący, biały śnieg, tuż obok stóp Geoffreya, oczy chłopca wciąż mrugały z zaskoczenia.

Geoffrey zamachnął się i wypuścił nierozważne, półkoliste cięcie, kalkulując, że nawet jeśli nie rozłupie uparciucha na pół, to może przynajmniej wytrąci go z równowagi. Napastnik odbił cięcie z szokującą sprawnością. Miecze zagrały metalicznie. Rycerz wyrzucił z siebie przekleństwo. Zakapturzony bez wątpienia miał pod peleryną kompletną zbroję bitewną, a mimo to poruszał się ze zwinnością nagiego człowieka.

Później zobaczył już tylko rozmazany i szybki, niczym smagnięcie pejczem, refleks. Geoffrey nie zdążył nawet zorientować się, czy cios na pewno sięgnął celu, a już patrzył w półprzytomnie na mocno wyszarpywane z jego mostka ostrze. Zdezorientowany, jak we mgle osunął się na śnieg, wlepiając wzrok w szary nieboskłon; płatki śniegu delikatnie opadały na jego policzki i nos. Umysł wciąż próbował uporać się z tą niedorzeczną konstatacją, że dla niego walka dobiegła już końca. On - rycerz, który przez niemal całe swoje życie walczył z Saracenami i zabił setki mężczyzn - leżał teraz na ziemi powalony jednym pchnięciem, żałośnie stękając z wysiłku i patrząc, jak jego krew plami płachtę dziewiczego śniegu.

Resztką świadomości pozwoliła mu usłyszeć odległe krzyki. Odgłosy strachu i wściekłości, metaliczny zgrzyt i szczękanie metalu o metal: wymiana szermierczych ciosów dochodziła do zatrważająco szybkiego końca. Głosy cichły - giermkowie, może nawet zbrojni, salwowali się ucieczką.

Wreszcie zapadła cisza. Wiedział, że kruki wciąż zataczają kręgi na niebie, usłyszał, jak śnieg skrzypi pod czyimiś stopami. Ktoś z wolna zbliżał się do niego.

Nachylający się nad nim zakapturzony mąż całkowicie zasłonił światło dnia. Geoffreyowi zdawało się, że dostrzega błysk zbroi skrytej w cieniu kaptura.

„Czy to możliwe, żeby mąż w zbroi poruszał się tak szybko?”

Gasnącymi resztkami świadomości zauważył jeszcze, że nachyla się nad nim kolejna osoba.

- Gdzie to jest? - spytał obcy.

Geoffrey wypluł na policzek strużkę krzepnącej krwi.

- Nie... mamy... pieniędzy.

- Nie chcę waszych pieniędzy - odrzekł mężczyzna. - Szukam relikwii. Nieważne,

sami ją znajdziemy.

Geoffrey z wysiłkiem skupił wzrok na twarzy mężczyzny.

- To wy... wiecie... o niej?

Ton mężczyzny złagodniał do niemal przyjacielskiego tonu.

- Tak, należę do bractwa. - Geoffrey poczuł, jak nieznajomy kładzie rękę pod jego krótko przystrzyżoną głowę i podnosi ją ze śniegu. - Mam tu coś, co złagodzi twój ból.

Mężczyzna o szczupłej twarzy, okolonej długimi włosami i brodą, uniósł szklaną butelkę do jego ust. Napitek smakował jak mocny miód.

- Szczerze współczuję - odezwał się obcy. - Ale musimy to zdobyć - westchnął.

- Relikwia... ma być zabrana... do Szkocyi. Trzeba... trzeba nam ją złożyć w bezpiecznym miejscu dla...

- Przyszłych pokoleń - dokończył za niego mężczyzna. - Tak, wiem o tym. Właśnie po to tu przybyliśmy. - Uśmiechnął się. - My jesteśmy przyszłym pokoleniem i przybyliśmy po nią.

Geoffrey czuł, że śmierć nadchodzi szybko, niosąc obietnicę ciepła i spokoju. Jego umysł chciał wszakże dowiedzieć się więcej. Misja kończy się klęską. Zaraz odbiorą mu relikwię, chciał tylko uspokoić sumienie.

- Je... je... steście?

- Templariuszami? Tak.

Wzrok Geoffreya błędził w oddali... rycerz wypatrywał już zastępów aniołów, które wprowadzą go prosto do Królestwa Niebieskiego.

- Przybyliśmy z czasów, w których to wszystko wkrótce się wydarzy, dlatego musimy poznać prawdę. Po to przybyliśmy. Będzie z nami bezpieczna, bracie... masz moje słowo. Zapewnimy jej właściwą ochronę.

Słowa nic już nie znaczyły dla rycerza. Z jego ust krótkimi i szybkimi sapnięciami wydobywało się stęchłe powietrze, wreszcie zarzęził cicho i przestał oddychać.

Mężczyzna delikatnie opuścił głowę rycerza z powrotem na śnieg i przeżegnał go dłonią, przesuwając ją wzdłuż czerwonego krzyża na białej pelerynie zmarłego. Potem podniósł wzrok na zakapturzoną postać, która klęczała w śniegu tuż obok niego, i wskazał głową porzuconą furmankę.

- Musi tam być. Znajdź go.

Zakapturzony bez słowa wstał i ruszył w stronę wozu.

- Przykro mi - ponownie wyszeptał templariusz do martwego rycerza, delikatnie zamykając mu powieki. - My po prostu musimy poznać prawdę.

ROZDZIAŁ 5

Nowy Jork rok 2001

Liam krzywił się, przysłuchując ogólnemu jazgotowi. Było tak głośno, że chłopak czuł, jak coś wibruje mu w uszach - ten łoskot zdrowia mu z pewnością nie przysporzy. Maddy zaciągnęła go na sam koniec parkietu tanecznego w klubie nocnym; ciągnęła go za rękę, aż znaleźli kawałek wolnej przestrzeni tuż przed sceną. Chciał już nawet zostać i wysłuchać do końca wolniejszej, cichszej i niemal miłej dla ucha pieśni, lecz nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znośną melodię zastąpiła kakofonia wrzasków i łomotu, od którego zaczęły piec go małżowiny uszne. No a wtedy, jakżeby inaczej, zaczęło się na dobre: wszyscy

otaczający go młodzieńcy o dziwnym wyglądzie zaczęli bez wyraźnego powodu podskakiwać i brutalnie popychać oraz uderzać jego i siebie nawzajem.

Po kilku minutach miał tego serdecznie dość, zostawił więc Maddy i Sal, które podskakiwały jak dwie wariatki na sprężynach. Przepchnął się przez tłum, szybko rezygnując z uprzejmych „pardon” oraz „proszę mi wybaczyć”, i odnalazł Beki, która stała po drugiej stronie klubu, spokojnie analizując zachowanie publiczności, zupełnie jak naukowiec przyglądający się klatce pełnej świnek laboratoryjnych.

- Nazywają to muzyką, nie inaczej! - krzyknął. - Muzyką! Wyobrażasz to sobie?

- Potwierdzam! - odkrzyknęła. - Analiza widmowa częstotliwości i bitów na minutę wskazuje, że muzyka ta odpowiada innym utworom należącym do gatunku zwanego thrash metalem.

- Thrash metalem? Chyba raczej transem motłochu.

Beki spojrzała na niego niepewnie.

- Zaprzeczam. Powiedziałam thra... - Zawahała się. - Zażartowałeś, prawda, Liamie?

- Tak. - Wzruszył ramionami.

Wybuchła wcześniej ćwiczoną śmiechem: przy łaskocie ostatnich taktów metalowego kawałka jej śmiech zabrzmiał bardziej jak szorstki ryk osła niż słodki chichot panienki. Potrząsnął głową i spojrzał na parkiet, kipiący agresją dywan włosów i spoconych łbów, kolczyków w nosach i wytatuowanych ramion, falujący w rytm wygrywany przez pięciu gibkich młodzieńców brutalnie szarpiących na scenie swoje instrumenty. Wszystko to przywodziło na myśl objazdowy gabinet osobowości.

- Je-zu, a więc tak wygląda „cywilizowany świat”?

- No, weź wyluzuj - Maddy się zaśmiała. - Rozchmurz się, gadasz jak mój dziadek.

- Właśnie, nie był to co prawda mój ukochany bagra-thrash, ale, shadd-yah, naprawdę byli całkiem niezli! - dodała Sal.

- Niezli? - wydyszał Liam, gdy wyszli w chłodną wrześniową noc z lepkiego od zaduchu klubu. - Szlifierki kątowe w liverpoolskich dokach wydają przyjemniejsze dźwięki niż to tam - gderał zrzędlawie. - Przecież ci tak zwani muzycy nie wiedzą nawet, jak grać na swoich instrumentach.

- Tu nie chodzi o ładne granie, Liamie - odparła Maddy. - Liczy się... sama nie wiem... energia, charakter. Chwytasz?

- Charakter? - Wyszli z Pięćdziesiątej Pierwszej na Broadway, zostawiając za sobą tłum kłębiących się emo i metalowców, którzy rozchodzili się za nimi.

- Tak, o charakter. O przekazanie publiczności emocji, wywalenie własnych uczuć.

Beki w zamyśleniu przekrzywiła głowę.

- Czy to znaczy, że muzycy przez cały ten czas czuli irytację w stopniu od umiarkowanego do ekstremalnego?

Liam wybuchnął śmiechem.

- Chodzi o gniew - odrzekła Maddy.

- I właśnie tego potrzebujesz? Gniewu i jazgotu?

- Hmm... - Dziewczyna się skrzywiła. - Cóż, nie do końca o to...

- Tak - powiedziała Sal. - Muzyka w dwudziestym szóstym to gniew i hałas.

Gdy kierowali się wzdłuż Broadwayu w stronę Times Square, pogrążeni w nietypowym dla siebie milczeniu, Maddy spojrzała na zegarek.

- Jesteś pewna, że twój plan wypali? - spytał Liam.

- Nie potrzebujemy portalu powrotnego do biura terenowego. Już prawie północ. Bańka czasowa zresetuje się za kilka minut. Zanim zdążymy zejść na dół i przejść przez most, będziemy już od godziny w poniedziałku.

- I nie spotkamy kopii samych siebie?

- To się nie zdarza - odpowiedziała Maddy. - Nie możemy się bilokować. Jesteśmy tylko my i nie możemy być i tu, i tam, w dwóch miejscach naraz.

- Nie rozumiem tego - odrzekła Sal.

Liam wepchnął ręce do kieszeni.

- W zasadzie to nie chodziło mi o paradoks czasowy... martwię się, bo czeka nas bardzo długi spacer, w rzeczy samej.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Beki posłusznie poszła w ich ślady.

- A ja myślałam, że przywykłeś do chodzenia? - przekornie zauważyła Maddy.

- Niby dlaczego? Bo jestem zwykłym ziemniakożernym Paddym sprzed stu lat?

- Nie miałam nic złego na myśli. Wydaje mi się tylko, że nie mieliście wtedy wielu samochodów, autokarów i podobnych środków transportu.

- Jeezu, nie jesteśmy takimi dzikusami z dżungli, jak to sobie wyobrażasz. Mamy... mieliśmy... w Corcu i tramwaje, i pociągi, w rzeczy samej. Nie przepadałem wtedy za pieszymi przechadzkami i nic się pod tym względem nie zmieniło.

Broadwayowska arteria zaprowadziła ich na o wiele bardziej zatłoczony Times Square. Kina wypluwały ludzi po ostatnich seansach Shreka oraz Potworów i spółki, żółte taksówki stały w rzędzie w zatoczkach pomiędzy pasami ruchu; niedługo wsiądą do nich

ostatni elegancko ubrani widzowie, którzy oglądali dzisiaj spektakl Mamma Mia!.

Sal nagle się zachwiała.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Maddy.

- Zakręciło mi się w głowie.

- Panował tam niezły hałas, to chyba przez to. Mnie samej w uszach jeszcze dzwo...

Sal potrząsnęła czupryną i uniosła głowę.

- To nie to. Czuję, jak ziemia się rusza. - Spojrzała na nich uważnie. - Wy tego nie poczuliście?

Liam i Maddy potrząsnęli głowami. Starsza z dziewczyn rozejrzała się po ruchliwej ulicy. Wszystko wyglądało tak samo.

- Sal? Czy to było...?

- Tak, małe. Tak mi się wydaje. - Hinduska uważnie omiotła wzrokiem budynki, ludzi, taksówki.

- Jeszcze nie... jeszcze nie. Dajcie mi chwilę. - Łatwe to nie było. Przywykła do obserwowania miasta we wtorek o ósmej trzydzieści rano, bo taką też rutynę sobie narzuciła. Ale teraz miała przed sobą o trzydzieści dwie godziny młodszy Times Square, na placu krzątali się inni ludzie, robili co innego. Jej wzrok spoczął na afiszu przed kinem Golden Screen.

- Tam - rzuciła, wskazując coś w oddali i jęła szybko przeciskać się na przeciwległą stronę placu przez zator samochodów i przechodniów. Minutę później dołączyli do niej pozostali, przyglądając się, jak przebiega palcami po porysowanej pleksiglasowej osłonie wystawionego na chodnik koziołka z plakatem filmowym.

- To nowe - stwierdziła. - Tego tu nie powinno być. Nie we wtorkowy poranek. Jestem pewna.

Maddy dokładnie przyjrzała się plakatowi. Przedstawiał młodego mężczyznę, który uciekał po jakimś europejskim mieście ścigany przez helikoptery i czarne terenówki. Mógł to być Paryż, mogła to być Praga, tyle wydedukowała.

- Manuskrypt - przeczytała na głos. - W życiu nie słyszałam o tym filmie.

- „Najbardziej skomplikowany szyfr w historii właśnie został złamany” - Liam głośno przeczytał slogan i popatrzył na listę nazwisk na afiszu. - Kto to jest Leonardo DiCaprio?

Maddy zbyła pytanie machnięciem ręki.

- Jesteś pewna, Sal?

- Poczulałam coś... a tego nie powinno tu być - odparła, dotykając afisza. - Chyba że do wtorku go zdejmą.

- Ale po co mieliby to robić? - Maddy sprawdziła datę. Premiera filmu odbędzie się piętnastego października, za miesiąc z hakiem. - Zawsze trzymają te plakaty aż do tygodnia premiery - stwierdziła, odwracając się do pozostałych. - Nigdy zresztą nie słyszałam o tym tytule. I jestem niemal przekonana, że Leonardo nigdy nie grał w szpiegowskim filmie akcji tego typu. Sprawdzę to po powrocie.

Beki energicznie pokiwała głową, zmierzwiona grzywa czarnych włosów zasłoniła jej twarz.

- Coś tu jest nie tak.

Patrzył, jak odchodzą i przyspieszają kroku, maszerując z determinacją przez Times Square.

„Nie zgub ich. Pod żadnym pozorem ich nie zgub”.

Dostosował krok do ich tempa. Kluczył pomiędzy żółtymi taksówkami, które jechały rwanym tempem, i starał się ignorować przekleństwa miotane pod jego adresem przez schowanych za szybami kierowców.

„Nie zgub ich... nie teraz, nie po tych wszystkich latach”.

Znał tylko dwie dziewczyny: okularnicę z czupryną kręconych włosów i wysoką, atletycznie zbudowaną długowłosą brunetkę. Dwoje pozostałych to chyba ich przyjaciele. Bliscy przyjaciele, wnosząc po języku ciała. No i zatrzymali się przy samym afiszu.

Manuskrypt okaże się pewnie kolejną hollywoodzką papką: tandetnym filmem akcji z eksplozjami, nieprawdopodobnymi strzelaninami w zwolnionym tempie i obowiązkowym czarnym charakterem z brytyjskim akcentem.

Kierowali się w dół Broadwayu. Trzy dziewczyny i chłopiec minęli właśnie hałaśliwą gromadkę wyglądających na turystki kobiet w średnim wieku. Na chwilę stracił ich z oczu i zaczął panikować.

„Nie zgub ich, choćby nie wiem co!”.

Po jakimś czasie znowu dostrzegł wysoką ciemnowłosą dziewczynę, która, z wdziękiem zapaśnika, stawiała długie kroki na wysokich obcasach dodających jej kilka zbędnych centymetrów. Odetchnął z ulgą, gdy pozostała trójka wyłoniła się spomiędzy stadka kobiet. Zdecydował się skrócić dystans, nie chciał utknąć na przejściu dla pieszych i na dobre stracić ich z oczu, ani ryzykować, że skręcą za rogiem i wejdą w jakąś boczną uliczkę, zanim zdoła odzyskać kontakt wzrokowy.

Zbyt długo czekał, żeby ponownie je zobaczyć. Zdecydowanie zbyt długo, by teraz ich zgubić.

ROZDZIAŁ 6

Nowy Jork rok 2001

Stało się dokładnie, jak obiecała Maddy: zastali bazę pod arkadami w takim samym stanie jak przed podróżą, nie była pusta i opuszczona ani nie krzątały się po niej alternatywne wersje ich samych, oskarżające sobowtórów o wywołanie dziwnego paradoksu czasowego.

Gdy wszyscy weszli do środka, zatrzasnęła roletę.

- Pora zaparzyć kawę. Przydałby mi się solidny zastrzyk kofeiny.

- Potwierdzam - odrzekła Beki.

- Sprawdzę, co u Boba - oznajmił Liam. - Zobaczymy, jak się rozwija.

Maddy nieuważnie przytaknęła i podeszła do stanowiska komputerowego.

- A teraz sprawdźmy co i jak - wymruczała, siadając w krzesło i obracając się twarzą do monitorów. Na ekranie wyskoczyło okno dialogowe.

> Witaj, Maddy. Jak się udał występ muzyczny?

- Mówimy na to koncert, Bobie.

> Jak się udał koncert?

- Było cool, nawet bardzo, ale opowiem ci o tym później. Teraz muszę otworzyć zewnętrzne łącze internetowe i odpalić wyszukiwarkę.

> Potwierdzam. Zewnętrzne łącze aktywowane.

Uruchomiła wyszukiwarkę systemową i połączyła się z siecią WWW.

- Przypomnijcie mi, jaki miał tytuł ten film.

- Manuskrypt - odpowiedziała Sal, siadając tuż obok.

- Mówię wam, że nigdy o nim nie słyszałam... - Maddy przygryzła wargę. - A przecież kocham DiCaprio.

Wyszukiwarka wypłula całą stronę wyników, każdy dotyczył filmu: dobre i złe recenzje, w większości złe; dziennikarze portali rozrywkowych i filmowych wciąż publikowali newsy na temat Leonardo. Wybrała stronę, którą regularnie odwiedzała, kiedy jeszcze surfowała po Internecie w swoim rodzinnym domu, w dwa tysiące dziesiątym roku: portal Ain't-it-Cool-News.

„Stara dobra wersja WWW 1.0.”. - Uśmiechnęła się, widząc prymitywną szatę graficzną, jaką miała strona w dwa tysiące pierwszym.

...w reżyserii Dona Rowneya, twórcy łzawych komedii romantycznych, który tym razem musiał zdecydowanie zmienić tempo i stylistykę filmu. „Manuskrypt” otwiera intrygująca i efektowna sekwencja, ale z czasem napięcie pikuje, a film zamienia się w nudne i sztampowe kino akcji. Pierwsze dwadzieścia minut filmu to opowieść o „najbardziej tajemniczym manuskrypcie w historii”. Dopóki nie odrobiłem swojej recenzenckiej pracy domowej, sądziłem, że rękopis to zmyślony artefakt, wokół którego ukuto całą historię. Błądziłem. Okazuje się, że manuskrypt Voynicha to prawdziwy dokument grubości książki, spisany w średniowieczu w nieznanym języku, który do dzisiaj nie został rozszyfrowany. DiCaprio, wciąż pozostający na szczycie po młodzieńczej roli w „Titanicu” Jamesa Camerona, gra tutaj Adama Daviesa, czyli hackera i kryptologa - łamacza szyfrów - któremu udaje się napisać oprogramowanie pozwalające odszyfrować tajemniczy manuskrypt i który niemądrze postanawia pochwalić się swym osiągnięciem przed rodziną, przyjaciółmi i znajomymi hackerami. Niestety, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, niemal od razu do drzwi młodzieńca pukają podejrzone typy - najgorszy rodzaj rządowych cyngli - w obawie, że program deszyfrujący Daviesa może komuś posłużyć do przechwycenia najgłębiej skrywanych i najmroczniejszych sekretów wywiadu. Film opiera się rzekomo na prawdziwej

historii opisanej w brytyjskiej prasie - prawdziwy winowajca, angielski hacker Adam Lewis, został okrzyknięty żądnym sławy samotnikiem, po tym jak w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku brukowiec „The Sun” opublikował poświęcony mu artykuł...

- Interesujące - stwierdziła Maddy, spoglądając na Sal.

- Ciekawe, czy to ten sam Leonardo DiCaprio, który jako starzec kupił spory kawał Antarktydy, jakiś rok temu. - Spojrzała na pozostałych. - Znaczący, licząc od mojego roku, dwa tysiące dwudziestego szóstego. Zamieszkał tam, by chronić pingwiny przed platformami wiertniczymi czy czymś.

- Chyba nas w konia robisz. Poważnie?

- Może chodzi o kogo innego. - Wzruszyła ramionami. - Choć jestem pewna, że nazywał się DiCaprio.

Maddy z niedowierzaniem pokręciła tylko głową i wróciła do pracy. W wyszukiwarce wpisała ciąg haseł: „Adam Lewis” + „1994” + „Manuskrypt Voynicha”. Gdy przeglądała wyniki wyszukiwania, Beki zdążyła oczyścić zagracone biurko i postawić przed nią kubek czarnej kawy.

- Dzięki. - Przebiegła wzrokiem listę wyników i wreszcie kliknęła jeden z linków. Chwilę później ekran ściemniał, po czym wyskoczył banner: czerwone, płonące oko.

- Patrzcie, bingo-bango-bongo - wydeklamowała z triumfem, sięgając po kubek kawy.
- Zobaczmy, co teraz.

Artykuł okazał się słabym tekstem niemal w całości skopiowanym z brukowca i wklejonym na portal Mroczne Oko, błazeńską stroną o teoriach spiskowych.

...Adam Lewis studiuje na wydziale informatyki Uniwersytetu Anglii Wschodniej. Ten fanatyk komputerowy, który wygląda bardziej jak złachmaniały i zarośnięty bojownik o prawa zwierząt niż okularnik z Microsoftu, na łamach prestiżowej gazety „New Scientist”

ogłosił, że bez niczyjej pomocy osiągnął to, co nie powiodło się całemu zastępowi historyków, kryptologów i kilku zaawansowanym technologicznie amerykańskim systemom komputerowym: odszyfrował pojedyncze zdanie z tajemniczej, oprawionej w skórę księgi, znanej wszystkim historykom i amatorom szyfrów pod nazwą manuskryptu Voynicha.

Dziewiętnastoletni Lewis żartobliwie przyznaje, że odszyfrowane zdanie mogłoby równie dobrze znaleźć się w jednej z gier fantasy o lochach i smokach, w które uwielbia grać ze znajomymi maniakami komputerowymi. Zdanie, jakie rzekomo odszyfrował z ustępu, którego nie zdecydował się jeszcze wskazać, brzmi następująco: „Pandora to słowo. Słowo prowadzi do prawdy. Bracie podróżniku, czas tu przybyć i je odnaleźć”.

Maddy wypluła gorącą kawę.

- Maddy! Co się dzieje? - Sal popatrzyła na nią z troską.

Maddy z powrotem usiadła na krześle z okularami w dłoniach i w zamyśleniu przecierała szkła, zezując szeroko otwartymi oczami na monitor.

- Maddy? Co jest? O co chodzi?

Potrząsnęła głową i przygryzła wargę, po czym odwróciła się do Sal. Beki wciąż stała obok, górując nad nimi w swoich wysokich szpilkach z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Sądzę... - zaczęła Maddy. - Mam przeczucie, że cała ta afera z Voynichem to sprawa innej drużyny.

- Innej drużyny? - Sal powoli otworzyły usta. - Masz na myśli grupę podobną do nas? Jeźdźców w Czasie?

Maddy skuliła ramiona.

- Zdaje się, że nie jesteśmy sami, ludziska.

ROZDZIAŁ 7

Nowy Jork rok 2001

- Jesteś pewna, Maddy? Przecież to tylko jedno zdanie, nic więcej. Poza tym nic konkretnego nie znaczy.

Całą trójką rozsiedli się w wysłużonych fotelach wokół stołu kuchennego. Maddy wydrukowała dla wszystkich artykuły, które wcześniej czytała na stronach internetowych. Chociaż wyjaśniła, co ma na myśli (bardzo jasno i wyraźnie, jak sądziła), Liam w dalszym ciągu ni w ząb nic nie chwycił.

- Rzecz w tym, Liamie - spróbowała ponownie - rzecz w tym, że manuskrypt Voynicha może być dokumentem, za pomocą którego chce z nami nawiązać kontakt inna drużyna z przeszłości. Używa rękopisu tak samo, jak ty użyłeś muzealnej księgi gości czy skamieniałości. Jeśli ktoś zdołał rozszyfrować jedno zdanie, to jest w stanie odczytać więcej ustępów albo i cały manuskrypt, a kto wie, jakie poufne dane Agencja w ten sposób przesyła. Jeśli uważali, że szyfru nie można złamać, mogli tam umieścić wszystko.

- A Agencja musi pozostać supertajna - dodała Sal.

- W porządku, chyba już rozumiem... chyba. - Liam ściągnął usta.

Maddy westchnęła, już nawet nie z powodu Liama, który czasem myślał w tempie żółwia; bardziej martwiło ją, że musi ukrywać przed nim i Sal pewne informacje. Podskórnice czuła, że to złe i niesprawiedliwe, a co gorsza, czyniło ją to samotną. Potrafiła na pamięć, słowo za słowem, wyrecytować nabazgraną wiadomość, którą znalazła w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Zaczynało ją to prześladować w snach.

Maddy, uważaj na „Pandorę”, ucieka nam czas. Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu.

Bardziej wyglądało to na ostrzeżenie niż wiadomość. Nie, to było ostrzeżenie. Ale przed czym?

- Cóż, chyba nie musimy wyruszać już teraz? - jęknął Liam. - Już późno, w rzeczy samej, a w mojej głowie wciąż łomocze ten łos kot, który nazywacie muzyką. Jestem zmęczony jak...

- W takim razie pojedziemy rano - przerwała mu Maddy. - Wszystkim nam przyda się odrobina snu. Wciąż czuję się niewyraźnie.

- Dobry plan - zgodził się Liam.

- Tyle, że tym razem pojedzie kto inny, zostajesz na miejscu, Liamie.

Obydwoje z zaskoczeniem spojrzeli na Maddy.

- Co?

„Zamierzasz powiedzieć im o Pandorze, Maddy? Jesteś na to gotowa?”. - Nie, zdecydowała, że jeszcze nie pora. Przynajmniej dopóki nie dowie się czegoś więcej.

- Pojadę ja. Oczywiście dla bezpieczeństwa zabiorę ze sobą Beki. Ty, Liamie, musisz zostać tutaj i zaopiekować się Bobem. Jeśli coś nas zatrzyma, a on zacznie się wykluwać, powinieneś tu być, aby zobaczyć cię jako pierwszego. Pamiętasz, co mówił Foster? W umyśle klona odciska się wspomnienie pierwszej osoby, którą zobaczy. Wiąże z nią swój los. Powinieneś tu zostać do czasu narodzin.

- To prawda - potaknął.

Wiedziała, że za żadne skarby nie będzie chciała przegapić tego momentu.

- Poza tym nie wybieram się do jakiegoś superniebezpiecznego miejsca. To tylko Anglia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. - Odwróciła się do Beki, która

stała cierpliwie tuż za stołem. - Jaka jest dokładna lokalizacja?

- Informacja: Adam Lewis znajduje się na liście studentów drugiego roku Uniwersytetu Wschodniej Anglii w mieście Norwich.

- No proszę, kampus uniwersytecki. Średnio to niebezpieczne. - Uśmiechnęła się. - Może się nawet zabawimy.

- Mogłabym pojechać z wami - odezwała się Sal z nadzieją w głosie.

- Przykro mi, nie tym razem, Sal. Powinnaś zostać na miejscu i wypatrywać znaków. Na razie przyszła jedna mała fala... ale w drodze mogą być kolejne.

- Dlaczego zawsze to ty o wszystkim decydujesz? - fuknęła Sal.

- Przepraszam... - westchnęła Maddy. - Foster mianował mnie dowódcą, Sal, no to dowodzę. Tak to już jest, ale wierz mi: wolałabym, żeby było inaczej. Wolałabym, żeby to mnie ktoś wydawał rozkazy. Wolałabym, żeby wciąż był tu Foster. Ale jest, jak jest.

- To i tak niesprawiedliwe.

- Wszystko to jest niesprawiedliwe! Wcale nie chciałam się tu znaleźć. Nie postanowiłam zginąć w katastrofie samolotowej w wieku osiemnastu lat. Myślisz, że nie miałam żadnych planów? Chciałam spędzić życie inaczej, niż ślęcząc przed szeregiem ekranów komputerowych w tym obrzydliwym śmietnisku. - Już miała coś chlapanąć, cisnęły się jej słowa, których później mogła pożałować. Przecież konieczność dowodzenia w sytuacji, gdy samemu ledwo pojmuje się, jak wszystko funkcjonuje, to katastrofa. A na dokładkę ktoś gdzieś wysyłał jej przestrozę, ale ona była zdecydowania zbyt głupia, by cokolwiek zrozumieć.

Wszystko w tym momencie malowało się w ponurych barwach, nagle opuściły ją wszystkie siły. Popatrzyła na zegarek - minęła druga w nocy.

- Dobra, idę walnąć się na wyrko. Może wszyscy powinniśmy to zrobić. Już późno, a

jutro czeka nas masa roboty.

Podniosła się z fotela i odeszła w stronę alkowy, potem zaciągnęła zasłonę i przebrała się w piżamę.

Liam popatrzył na Sal i wzruszył ramionami, oboje wprowadził w konsternację jej nastrój.

- Może tęskni za domem?

- A my nie tęsknimy? - odparła Sal.

ROZDZIAŁ 8

Nowy Jork rok 2001

W jednej sekundzie Maddy i Beki unosiły się w pleksiglasowym naczyniu, by w następnej zniknąć - wraz z trzystoma litrami rozwodnionego roztworu dezynfekcyjnego. Ścianki dużego plastikowego cylindra wgięły się do środka z głośnym trzaskiem, który rozszedł się echem po całej bazie.

- Jezu! Czy ten słój zawsze tak hałasuje?

Sal skinęła głową.

- Ciśnienie całej wody nagle znika, przez to pleksiglas się wygina.

- Rozumiem. - Liam spojrział na Sal, która cierpliwie siedziała tuż obok z rękami złożonymi na kolanach. - Co się zazwyczaj teraz dzieje?

Uśmiechnęła się ze zrezygnowaniem.

- Dotychczas nie doświadczyliśmy „zwykłej” sytuacji. Albo ukrywaliśmy się przed kanibalami-mutantami, albo otwieraliśmy drzwi agentom specjalnym. - Zaśmiała się nerwowo. - Wygląda na to, że odkąd tu przybyliśmy, co chwila wpadamy z jednej kieszki w drugą. Zauważyłeś?

Liam zgodził się skinieniem głowy.

- No, ale póki niebo nie spadło nam jeszcze na głowy i skoro czekamy na ponowne naładowanie maszynarii, może łaskawie zechce pani, panno Vikram, zjeść ze mną śniadanie w jednej z uroczych szkockich knajpek?

- Szkockich knajpek?

- U jednego z tych McDouglasów?

- W McDonaldzie?

- Właśnie, o niego mi idzie. O knajpy z wielgachnym, fantazyjnym, złotym M na szyldzie.

- Śniadanie to świetny pomysł... ale może gdzie indziej? - skrzywiła się Sal.

ROZDZIAŁ 9

Kampus UWA w Norwich maj 1994 roku

Otworzenie portalu tuż nad uniwersyteckim basenem - po godzinie zamknięcia - wydawało się Maddy niezłym pomysłem, gdy w bazie przygotowywała plan translokacji.

Spadną wprost do wody, ale w pobliżu musi przecież być jakaś przebieralnia, a może nawet suszarka, ręcznik lub coś innego do wytarcia. Ale teraz, gdy kołowała w wodzie spowita ciemnością, nie mając pojęcia, gdzie jest góra a gdzie dół, doszła do wniosku, że ten sposób zrzutu znajdzie się wysoko w jej osobistym rankingu rzeczy, których pod żadnym pozorem ponownie nie należy próbować.

Nagle poczuła, jak Beki łapie ją za rękę i silnie szarpie do góry. Chwilę później jej twarz wypłynęła ponad lustro wody. Kaszlała i charczała, wykrztuszając z płuc wodę, podczas gdy Beki płynęła do brzegu basenu, ciągnąc ją za sobą.

- Rekomendacja: to nie był dobry pomysł.

- No co ty? - wydyszała.

Beki stanowczo pokiwała głową, tytanem sarkazmu to ona nie była.

- Tak, mogłaś utonąć.

Maddy wyszła z zimnej wody i wycieńczona zwała się na bok. Rozejrzała się nieprzytomnie.

Uniwersytecki ośrodek sportowy był już zamknięty, pływalnię spowijał mrok rozjaśniany przez niewyraźną, bursztynową poświatę ulicznych latarni; pasma pomarańczowego światła sączyły się przez szpary w zaciągniętych żaluzjach ciągnących się wzdłuż torów pływackich.

- Dobra... jesteśmy na miejscu. Mamy cztery godziny. Teraz musimy się wysuszyć i przebrać. Potem odzujemy tego Adama Lewisa.

Zdenerwowanie Adama przekroczyło już wszelką miarę. Czas wziąć się w garść.

- Weź się w garść - powtórzył wprost do lustra, w którym odbijała się piegowata twarz podziobana trądzikiem i okolona żałośnie przeredzonym, kasztanowym zarostem. Kasztanowym - nie rudym. Kasztanowym. Właśnie to powtarzał wszystkim wokół. Głowę

porastały niechlujne sploty przetłuszczonych włosów związanych w kucyk. One też były, do jasnej cholery, kasztanowe.

Popatrzył wprost w - ukryte za lenonkami - oczy.

- Wyglądasz tragicznie - stwierdził samokrytycznie.

„Właściwie dlaczego nie? - odpowiedział sobie. - Masz pełne prawo wyglądać tragicznie”.

Naprawdę miał prawo. Bał się. Panicznie. Od ilu to już dni nie wyściubiał nosa z pokoju?... Czterech, pięciu? Opuścił z pół tuzina ćwiczeń i wykładów, a współlokatorzy zaczęli już obgadywać go na korytarzu przed drzwiami. Mieli go za dziwaka, jeszcze zanim... zanim to się wydarzyło.

Na zewnątrz panowała ciemność. Jedenasta. Słyszał muzykę dochodzącą z piętra poniżej. Rozpoznał te rytmy: Chilli Peppers. Kumple z pokoju grali w „Mario” na nintendo; panował spory hałas: syk otwieranych puszek piwa, śmiech, wiele śmiechów... przedmiotem szyderstw była najpewniej jego osoba.

Nie miało to już dla niego większego znaczenia. Jeszcze tydzień temu podobne rzeczy strasznie go dołowały, nie chciał być postrzegany jako samotnik, lokalne dziwadło. Nauczył się jednak odpychać od siebie szyderstwa i robione jego kosztem żarty i, jak każdy zahartowany dziwak, sprawiał wrażenie człowieka, którego umysł zaprzętają sprawy o zdecydowanie większym ciężarze gatunkowym, idee, których te proste piwożłopy i tak nie są w stanie pojąć.

„Pewnego dnia będę latał klasą biznesową... a wy, idioci, skończycie serwując frytki w jakiejś zapyziałej dziurze”.

Zazwyczaj powtarzał podobne argumenty głośno. Chłopaki śmiali się i kręcili głowami, słysząc te lamerskie riposty wypowiedane łamiącym się głosikiem. Ale on uśmiechał się w duchu, bo wiedział, że bez wątpienia tak potoczy się ich życie. Doszedł do wniosku, że właśnie w taki sposób on i jemu podobne kujony rekompensują sobie życie

odsuniętego na boczny tor odludka - budują w sobie niezachwiane poczucie pewności, że kiedyś nadejdzie dzień słodkiej zemsty za wszystkie kpiny, docinki, zniewagi.

Ale to nieistotne, w tej chwili ma przecież zdecydowanie poważniejsze sprawy na głowie.

„Dlaczego ja? Skąd znają moje imię? O, Boże... kim oni są?”

Nagle pulsujące rytmy i pijacki rechot ustały. Po kilku sekundach rozbrzmiał dzwonek do ich segmentu. Oblizął wyschnięte, spękane usta i zdał sobie sprawę, że wstrzymuje niespokojny oddech, aby usłyszeć, kto stoi przy drzwiach, kogo zawiąło o tak późnej porze.

Usłyszał glosowski akcent Lance'a... a kogóż by innego? I głos drugiej osoby: przyciszony, grzeczny, rzeczowy głos kobiety.

Rozluźniony po kilku browarach Lance próbował wyrzucić na wszystkich wrażenie dowcipną nawijką. Jego naturalny, celtycki urok działał bez pudła na wszystkie „świeżynki”, studentki pierwszego roku, marzące o znalezieniu się pod skrzydłami starszego, mądrzejszego studenta. Ale sądząc po przyciszonym tonie głosu gościa, kobieta była zupełnie niezainteresowana.

Zorientował się, że postawa Lance'a nagle ulega zmianie. Najwyraźniej po raz pierwszy w życiu dostał kosza. Odezwał się jak nadąsane dziecko: „Jeśli naprawdę chcecie widzieć się z naszym świrusem... to jest na górze. Drugie drzwi po prawej stronie”.

Adam usłyszał odgłos kroków na gołej podłodze korytarza, a potem na drewnianych schodach wiodących na wyższe piętro.

Serce waliło mu jak młotem, żołądek kręcił się jak sokowirówka.

- O, Boże... to...

„Oni”.

Umysł młodzieńca był rozdarty pomiędzy dwiema opcjami: mógł podejść do okna, pościsnąć żyzję na ziemię i uciec ile sił w nogach, ratując w ten sposób życie, albo zostać na miejscu i stawić im czoła, zobaczyć, czego od niego chcą.

„O Boże, o Boże, o Boże...”.

Maddy stanęła przed drzwiami. Odwróciła się i kontrolnie spojrzęła na Beki, po czym delikatnie zapukała do drzwi.

- Adam Lewis?

Nikt nie odpowiedział, ale usłyszała, że wewnątrz coś się poruszyło, ktoś zaszurał butami.

- Adam? - zawołała półgłosem. - Możemy z tobą pomówić?

Długa pauza. Z piętra niżej dobiegały głosy szepczących studentów, bez wątpienia mówili o niej i o Beki. Prawdopodobnie głównie o Beki. Doskonale wiedziała, że jednostka pomocnicza przyciąga wzrok wrażliwych na bodźce, buzujących testosteronem młodych mężczyzn. Wreszcie usłyszała głośniejsze szuranie dochodzące tuż zza drzwi.

- Kim... kim jesteś? - spytał głos przez dziurkę od klucza.

- Mam na imię Maddy.

- Przy... przybyłaś tu, żeby mnie porwać? - Głos brzmiał żałośnie, wibrował strachem.

- Nie, nigdzie nie zamierzam cię porywać. Chcę tylko porozmawiać.

- Zrobiłem... zrobiłem, co mi kazaliście. Zrobiłem dokładnie... co kazaliście - odpowiedział drżącym głosem.

Maddy nie miała pojęcia, o czym on właściwie gęda, ale doszła do wniosku, że chłopak otworzy drzwi tylko, jeśli usłyszy jakiś niepozostawiający wątpliwości sygnał.

- Adamie... interesuje mnie tylko jedno słowo.

Odpowiedziała jej cisza.

- Przybyłam tu pomówić o „Pandorze”.

Usłyszała głucho trzaśnięcie przekręcanego zamka, drzwi uchyliły się na centymetr. W szparze pomiędzy drzwiami a framugą dostrzegła bladą, obsianą piegami twarz i błyszczące szkła okularów.

- Czy... czy to ty?

„No, dalej, Maddy, zagraj z nim w tę grę”. - Uraczyła go uspokajającym uśmiechem i odpowiedziała:

- Oczywiście, że to ja!

- I... wszystko mi wyjaśnisz? Bo muszę to wiedzieć na pewno... Ja... Ja...

- Postaram się rozwiązać wszystkie twoje wątpliwości, Adamie... jeśli tylko wpuścisz nas do środka.

Szczelina rozszerzyła się o kolejny centymetr, błysk okularów przeniósł się na Beki.

- Kim ona jest?

- To przyjaciółka. Nie stanowi zagrożenia. Zwykła przyjaciółka.

- Wie o tym? O... o... P-Pandorze?

- Tak.

Adam przypatrywał się obu dziewczynom jeszcze przez kilka sekund, wreszcie jego

twarz zniknęła w ciemności za drzwiami, które ze skrzypieniem zużytych zawiasów otwarły się powoli i zapraszająco.

ROZDZIAŁ 10

Norwich rok 1994

Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek dostrzec, czuła tylko stęchliznę. Zgadywała, że po podłodze walają się pogniecione sterty brudnych ubrań i bielizny.

- Możemy zapalić światło? - spytała.

- T-tak... oczywiście. - Po sekundzie rozbłysła lampka nocna.

Nie pomyliła się, pokój był dokładnie tak mały i zabałaganiony, jak to sobie wyobrażała. Ale ściany... na widok ścian zatkało jej dech w piersiach.

Zanim dostała fuchę programistki, zaliczyła kilka semestrów w college'u. Kiedyś miała podobny pokój, którego ściany okleiła plakatami ulubionych filmów science-fiction - jak Obcy: decydujące starcie, Predator, Serenity - gier, kapel i tym podobnych.

- Ale to...to dopiero totalnie zakręcone.

Wszystkie cztery ściany były oklejone arkuszami papieru pokrytego dziwnymi znakami podobnymi do hieroglifów.

- Widzę, że lubisz egipskie klimaty - zagaiła, żeby przerwać ciszę.

- Ach... to... tak. To nie hieroglify. Interesuję się kryptoanalizą - wyjaśnił, odwracając się do dziewczyny. - Powiedziałaś, że jesteś tą osobą. To ty, prawda? Wyjaśnij mi to?

Dostały się już do środka, postanowiła więc, że najlepiej przyznać się i wyjawić, że jeśli już cokolwiek wie, to raczej niewiele.

- Adamie, przybyliśmy tutaj, ponieważ opublikowałeś wiadomość w necie.

- W necie?

Maddy potrząsnęła głową. No przecież, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku mówiło się „sieć internetowa”. W dwa tysiące dziesiątym, gdy ta sama technologia była już w powszechnym użytku, funkcjonowała inna terminologia.

- Na uniwersyteckim forum publicznym umieściłeś informację, że udało ci się odszyfrować pełne zdanie z... - Nagle wyleciała jej z głowy nazwa dokumentu.

- Z manuskryptu Voynicha - odpowiedziała Beki.

- Tak... tak. Odszyfrowałem! - Energicznie pokiwał głową. - Właśnie to mi kazano zrobić. Zrobiłem wszystko, dokładnie jak mi kazano. Zrobiłem co...

- Kazano? Kto kazał?

Adam w kompletnym zdumieniu spoglądał to na Maddy, to na Beki.

- Wy?... To wy nie jesteście w to zamieszane?

- Ja nie. - Maddy zaprzeczyła ruchem głowy. - Dopiero wczoraj wieczorem po raz pierwszy usłyszałam o istnieniu manuskryptu Voynicha.

Adam wciąż sprawiał wrażenie jakby zżerały go nerwy. Nieufnie wpatrywał się w dziewczyny.

- Nigdy o nim nie słyszałaś?

- Nie.

- Czyli nie jesteś tą osobą. - Oblizał wyschnięte usta. - Nie wyjaśnisz mi, dlaczego moje imię znajduje się w...

Maddy uspokajającym gestem uniosła dłoń.

- Wiem o Pandorze, Adamie. To wiem.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Utkwiłeś w tym... tak samo jak my, bez względu na to, co to jest. Ja próbuję się tylko w tym wszystkim połapać. Też muszę wiedzieć, co to wszystko znaczy. Proszę - powiedziała łagodnie - proszę... dlaczego nie chcesz opowiedzieć mi o manuskrypcie Voynicha?

Wzrok chłopaka błędził niespokojnie od Maddy do Beki.

- Proszę. - Rozłożyła ręce rozbrajającym gestem. - Może w takim razie wspólnie spróbujemy się nad tym zastanowić? Co ty na to?

- Okej, jasne. - Wydawało się, że pojawienie się kogoś, z kim może podzielić się ciężką mu wiedzą, przyniosło młodzieńcowi ulgę.

Otrząsnął się z zamyślenia, po czym ruchem głowy wskazał stołek i pufę.

- Usiądziecie?

- Dzięki. - Uśmiechnęła się Maddy. Rozpięła kurtkę z kapturem, położyła ją na łóżku i dyskretnym gestem rozkazała Beki usiąść na pufie. Będzie wyglądała mniej onieśmielająco, niż gdyby miała stać nad nimi niczym pies stróżujący.

- No i? - Maddy wyczekująco spojrzała na Adama.

Chłopak usiadł na skraju łóżka.

- Manuskrypt to największe wyzwanie dla szyfrologów - zaczął. - Na podstawie datowania węglowego stwierdzono, że ten kilkusetstronicowy dokument pochodzi z dwunastego wieku i cały został spisany w nieznanym języku. Voynich... to mieszanina symboli i glifów nieznanymi pismem. - Adam uspokoił się nieco. - Począwszy od siedemnastego wieku, kiedy odnaleziono dokument, różni ludzie próbowali rozszyfrować jego treść. Manuskrypt wędrował z jednej archiwalnej biblioteki do drugiej. Przez około sto lat przechowywano go w papieskiej bibliotece w Rzymie, ale desperacko potrzebujący pieniędzy zakon jezuitów wyprzedał część swoich zbiorów w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. Tę kolekcję niechcianych ksiąg nabył Wilfrid Voynich, handlarz starymi manuskryptami. Antykwarysta znalazł rękopis zagrzebany w starych skrzyniach, głęboko pod stertą papieskich dokumentów. Przechowywał go przez jakiś czas, potem próbował zainteresować nim różnych kolekcjonerów. Szybko uświadomił sobie, że dokument jest wyjątkowy. Niestety, nigdy nie udało mu się go odsprzedać.

- Co się stało z Voynichem?

- Zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, zapisując manuskrypt w testamencie swojej żonie. Kobieta odeszła trzydzieści lat później i przekazała go przyjacielowi, który sprzedał rękopis innemu handlarzowi, niejakiemu Hansowi Krausowi. Podobnie jak Voynich, Kraus pokazał manuskrypt szeregowi kolekcjonerów, licząc na spory zarobek, ale ostatecznie nikt nie złożył oferty. W końcu, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, Kraus ofiarował rękopis uniwersytetowi Yale. - Adam otworzył butelkę pepsi i wziął haust napoju. - Wtedy manuskrypt Voynicha stał się własnością publiczną, od tamtej pory cała rzesza kryptologów, hakerów i lingwistów próbuje odczytać dokument. - Podał Maddy pepsi. Dziewczyna podziękowała skinieniem głowy i grzecznie upiła mały łyceczek.

- To najbardziej niesamowicie zaszyfrowany dokument w historii - kontynuował. - Nikt, dosłownie nikt, nie zdołał odkodować choć jednego sensownego zdania, ba, nawet słowa.

- Dopiero tobie się udało.

- Dopiero mnie udało się rozszyfrować ten hmm... fragment, właśnie.

- Informacja - odezwała się Beki. - Adama Lewis wykazuje objawy stresu behawioralnego. Zataja przed tobą prawdę.

- A wy dwie, co, jesteście jakimiś tajniakami? - Adam podejrzliwie otaksował ją wzrokiem.

Maddy zaśmiała się serdecznie.

- Boże broń! - Uniosła brew. - Beki ma lekką paranoję. Szybko dostrzega takie rzeczy. Ma rację? Ukrywasz coś przede mną, Adamie?

- Ja... - Przełknął ślinę, jego grdyka podskakiwała jak szałwiarz na wodzie. - No dobra... już mówię, ud-udało mi się odszyfrować trochę więcej niż zdania, które opublikowałem.

- Dużo więcej?

Chłopak niepewnie spojrzał na Maddy.

- Skąd mam mieć pewność, że mogę ci ufać?

Maddy niecierpliwie pokręciła głową.

- W żaden sposób nie pomogę ci tego zrozumieć, jeśli nie powiesz nam wszystkiego, co wiesz, Adamie. - Spojrzała na niego, po czym rozejrzała się po pokoju. Najwyraźniej biedak zaszył się tu kilka ładnych dni temu. Pewnie bał się wychodzić na zewnątrz. - Jestem pewna, że chcesz się z kimś podzielić tą wiedzą.

- Ja... tak. - Energicznie pokiwał głową. - Szczerze mówiąc, jestem kompletnie przerażony. To naprawdę obłędne. Ja... tak. Jezu, powiedz mi tylko, że uda ci się coś z tego zrozumieć, powiedz!

- Postaramy się z całych sił, Adamie. Po prostu powiedz nam, co odszyfrowałeś.

Ponownie oblizwał wargi, wziął głęboki oddech i spróbował zapanować nad nerwami.

- W porządku... Tak to leci. - Ponownie siorbnął łyka z dwulitrowej butelki pepsi i wyrecytował: - Opublikuj ostatni fragment tej wiadomości, Adamie Lewis, a obiecuję, że ktoś przybędzie do ciebie, by wszystko ci wyjaśnić. Kiedy kobieta zjawi się przed twoimi drzwiami, powiedz jej te słowa: „Szukaj Cabota w Kirklees w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku”. Nikomu nie wyjawiaj powyższej części wiadomości. Ostatni fragment brzmi, jak następuje: „Pandora to słowo. Słowo prowadzi do prawdy. Bracie podróżniku, czas tu przybyć i je odnaleźć”.

- To wszystko?

Skinął głową.

Maddy odwróciła się do Beki.

- Co ty o tym myślisz?

- Na chwilę obecną nie dysponuję żadnymi danymi.

Adam wstał.

- Naprawdę muszę się wysikać. Zostaniecie w pobliżu?

Maddy przytaknęła, patrząc, jak przechodzi przez zagraconą podłogę i otwiera drzwi do równie zapuszczonej łazienki. Oczekała, aż Adam zatrzaśnie zamek w drzwiach, potem odwróciła się do Beki.

- Mój Boże, Beki, manuskrypt Voynicha to dokument zrzutowy! Na stówę! To wiadomość od innej drużyny, nie sądzisz?

Beki zatrzepotała powiekami - jej umysł przetwarzał dane.

- To możliwe. Istnieje również prawdopodobieństwo, że dokumentem tym w

przyszłości posłuży się nasza drużyna.

- Nie, nijak nie możemy się nim teraz posłużyć, bo... - Maddy potrząsnęła głową. - Słuchaj, skoro już wiem, że jakiś hacker rozpracował kod, na pewno nie pozwoliłabym Liamowi użyć rękopisu do wysłania do nas wiadomości w czasie. Wiemy już przecież, że szyfr został złamany, zhakowany. Po powrocie powiem o tym Liamowi. Bez względu na to, co wydarzy się w przyszłości, nie możemy już go użyć, a to znaczy, że zrobił to ktoś inny.

- Logiczny argument - przytaknęła Beki.

- Teraz musimy wrócić do domu w dwa tysiące pierwszym. Później wyślę komunikat ostrzegawczy do przyszłości, do dwa tysiące pięćdziesiątego szóstego roku. Poinformuję ich, że manuskrypt Voynicha nie jest już bezpieczny, a inne drużyny nie mogą go dłużej używać.

Beki potakująco skinęła głową.

Doszedł do nich odgłos splukiwanej toalety, chwilę później zgrzytnął zamek i do pokoju wrócił Adam. Maddy pospiesznie podniosła kurtkę z łóżka.

- Adamie - powiedziała - musimy już iść. Musimy... złapać pociąg.

Chłopak ze zdziwienia rozdziawił usta.

- Ale, ale... mówiłaś przecież...

- Nie możemy zostać, bardzo mi przykro... - Potrząsnęła głową.

- Ale potrzebuję kogoś do pomocy. Ktoś musi mi wyjaśnić, co to wszystko oznacza.

- Przykro mi. - Maddy potrząsnęła głową i wskazała drzwi. Beki podeszła je otworzyć.

- Proszę, nie odchódźcie! Ja tu kompletnie zwariuję! Kto napisał tę wiadomość? Dlaczego to właśnie mnie udało się ją rozszyfrować? Dlaczego wybrano mnie? - Adam złapał ją za ramię i mocno przytrzymał.

- Nie wiem, Adamie, ale słuchaj, musimy już iść. Wrócę, gdy dowiem się, co to wszystko znaczy, okej? Wrócę, żeby wszystko ci wytłumaczyć! Obiecuję!

- Proszę! Nie! - Ścisnął ją coraz mocniej. Bolało.

Beki to zauważyła, więc szybkim ruchem chwyciła go za palec i brutalnie wykręciła. Krzyknął z bólu i zwolnił uścisk.

- Auuu! Jezu! Złamałaś mi palec!

- Bardzo przepraszam, Adamie. - Maddy skrzywiła się współczująco. - Wrócimy, obiecuję. - Potykając się, wyszła przez otwarte drzwi na korytarz, po czym zeszła po skrzypiących, drewnianych schodach i minęła chłopaka, który wpuszczał je do segmentu.

- Wszystko cacy, dziewczyny? - spytał, gdy pędziły przez hol do wejścia.

- Cacy - niecierpliwie rzuciła Maddy.

Wystawił rękę, blokując drogę Beki. - Na pewno nie chcesz zostać i łyknąć kilku piwek ze mną i chłopakami? - Lance uraczył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, pewniakiem, który nigdy jeszcze go nie zawiódł. - Moglibyśmy się nieźle zabawić, kochanie.

Jednostka utkwiała w chłopaku swoje szare, chłodne oczy - spokojnie oceniając, jakiej siły będzie musiała użyć, aby pozbyć się zawałidrogi - ale Maddy weszła między nich i swobodnie odepchnęła rękę chłopaka.

- Nie radzę, dość drażliwa z niej osóbką.

ROZDZIAŁ 11

Nowy Jork rok 2001

Żołądek Liama jęczał pod ciężarem dwunastu naleśników oblanych błyszczącym syropem klonowym. Chłopak beknął tak głośno, że wystraszył Sal.

- Shadd-yah, jesteś ohydny!

- Przepraszam - wymruczał z poczuciem winy i usiadł przed ekranem komputera. -
Cześć, Bob.

> Witaj, Liamie. Smakowało ci śniadanie?

- Bardzo. Dzięki za troskę, ale niedobrze mi jak psu rzeźnika.

> Informacja: mam dwa powiadomienia. Pierwsze powiadomienie: maszyna translokacyjna jest w pełni naładowana, możemy aktywować portal powrotny. Drugie powiadomienie: cykl wzrostowy jednostki pomocniczej dobiegł końca, można ją wyrzucić z próbówki.

- Dzięki, Bob. Wygląda na to, że już niedługo znowu będziesz spacerował wśród żywych.

> Bardzo mnie to cieszy. Dobrze mi się z tobą współpracowało w przeszłości, Liamie O'Connor.

- A mnie z tobą. Potrzebny tu dodatkowy facet, w rzeczy samej. Powoli robi się z tego miejsca pensjonacik pełen wychuchanych panienek w koronkach.

> Nie rozumiem. Proszę, wyjaśnij co znaczy wyrażenie „panienki w koronkach”.

- Tak się tylko wyraziłem, Bob - odpowiedział, strojąc minę do Sal.

- Nie jestem żadną wychuchaną panienką w koronkach! - fuknęła.

Liam parsknął

- Dobra, Bob, od czego zaczynamy? Sprowadzamy panienki czy wypuszczamy nowego klona z cylindra?

> Rekomendacja: w pierwszej kolejności należy aktywować portal powrotny.

- Masz rację. No, to czas zakasać rękawy i zabierać się do roboty.

ROZDZIAŁ 12

Kampus UWA, Norwich rok 1994

Maddy popatrzyła na zegarek: do otwarcia portalu jeszcze kilka minut. Według współrzędnych powrotnych, punkt odbioru znajdował się na terenie kampusu, tuż obok wejścia służbowego do pływalni akademickiej. Minęła druga w nocy, odgłosy nocnego życia studentów cichły, słychać było tylko sapanie lisa wężącego w rozrzuconych w pobliżu workach ze śmieciami oraz odległe zawodzenie syreny policyjnej.

- Beki?

- Słucham.

- Musimy o czymś pogadać, o czymś, co... - Zmarszczyła brwi, szukając odpowiednich słów. - Chodzi o coś, co ukrywałam przed pozostałą dwójką, bo... cóż, bo musiałam. Muszę się przed kimś wygadać, inaczej oszaleję.

- Chcesz, żeby nasza rozmowa pozostała w tajemnicy?

- Tak, ale wiem, że wszystko, co usłyszysz, jest przetwarzane na dane operacyjne. Wszystko, co zobaczysz i usłyszysz, przybiera postać informacji dostępnych dla pozostałych członków drużyny.

- Potrafię podzielić mój dysk twardy na partycje i założyć folder zabezpieczony hasłem. Dane pozyskane przy otwartej partycji będą na niej przechowywane. Partycję można zamknąć i zablokować tym samym lub innym hasłem.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko, co usłyszysz, zobaczysz... Jeśli podczas naszej rozmowy zostawisz otwartą partycję, to wspomnienie tej konwersacji zostanie na niej zapisane? Pozostanie tajemnicą?

- Zgadza się. Sztuczna inteligencja w normalnym trybie operacyjnym nie będzie знаła tych wspomnień, chyba że zostaną odblokowane za pomocą właściwego hasła.

Maddy zrozumiała. To prawie tak, jakby Beki funkcjonowała jak schizofrenik: osoba z zaburzeniem osobowości, nieświadoma tego, co robi jej drugie ja. Trochę to dziwne. Potrzebowała jednak kogoś, kto pomoże jej dojść ze wszystkim do ładu, kogoś, kto pomoże jej połączyć wszystkie kropki. Działo się coś niepokojącego, ktoś chciał, żeby się o czymś dowiedziała... tylko ona.

- Zrób tak, Beki, proszę: załóż osobną partycję.

- Potwierdzam.

Beki zamruwała błyskawicznie, zimny, beznamiętny wzrok na chwilę odpłynął w nieznane rejony.

- Informacja: partycja na dysku została utworzona. Podaj kod dostępu.

- Jaki? Może być cokolwiek? Jakiegokolwiek słowo?

- Rekomendacja: trzy następujące po sobie słowa, które podczas typowej rozmowy nie pojawiają się w takiej sekwencji. To powinno zagwarantować odpowiednio silne

zabezpieczenie.

- Coś jak... banan - obcy - huśtawka?

- Potwierdzam. Czy to twoja sekwencja zabezpieczająca?

- Nie, czekaj. Zaraz mi to wyleci z głowy. Daj pomyśleć. - W zamyśleniu głaskała podbródek, dźwięk syreny policyjnej osłabł, a noc stała się cicha i spokojna.

- Okej, to się nada: iPad, jaskiniowiec, śniadanie.

- Czy to twoja sekwencja zabezpieczająca?

- Tak.

Beki ponownie zamrugła oczami.

- Zabezpieczenie aktywne. Partycja otwarta. - Odwróciła się powoli, żeby spojrzeć na dziewczynę. - Możesz mówić.

- Okej. - Maddy wypuściła powietrze. - Okej... zaraz powiem ci, co ukrywałam przed Liamem i Sal. Gdy wyruszyliśmy po nowe zarodki klonów - jeszcze przed tym całym bałaganem z dinozaurami, zanim zostałaś wyhodowana, Beki - i wylądowaliśmy w punkcie zrzutu w San Francisco, w tysiąc dziewięćset szóstym roku, znaleźliśmy skrzynkę depozytową z kasetą zamrożonych embrionów. Ale leżała tam również ta kartka... zapisana bazgrołami przez kogoś, kto bardzo się spieszył, by ją zostawić. Wiadomość zaadresowano do mnie osobiście, była przeznaczona tylko dla moich oczu. Liam jej nie widział. Tylko ja o niej wiem.

Beki ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Chcesz mi wyjawić treść wiadomości?

- Obiecujesz mi, że pozostanie w tajemnicy?

- Będzie chroniona hasłem - potwierdziła jednostka. - Gdy skończysz omawiać ze mną tę sprawę i wypowiesz sekwencję zabezpieczającą, sztuczna inteligencja będzie wiedziała tylko tyle, że przez czas rozmowy organy zmysłu nie zarejestrowały żadnych danych.

- Dobra, super. Na kartce widniały takie słowa: Maddy, uważaj na „Pandorę”, ucieka nam czas. Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu.

Beki skinęła głową i spojrzała na dziewczynę.

- Czy dlatego nie wzięłaś Liama na tę misję?

- Zgadza się. No i... oczywiście dlatego, że gdy zobaczyłam zdanie rozszyfrowane i opublikowane przez Adama, zauważyłam słowo Pandora. - Przygryzła wargę. - Mój Boże, Beki... nie mogę przestać myśleć o tym, że ktoś próbuje się ze mną skontaktować za pomocą tego Voynicha.

- Manuskrypt Voynicha ma około dziewięciuset lat.

- Wiem! Wiem! Właśnie to jest takie przerażające! Ktoś sprzed niemal tysiąca lat chce nawiązać ze mną kontakt. Dlaczego?

- Nie mam odpowiednich danych, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

- Jak dokładnie brzmiała ta dziwna informacja, o której powiedział mi Adam?

- „Szukaj Cabota w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym”.

- Czym jest Cabot? Albo kim?

- Na chwilę obecną nie dysponuję danymi na ten temat.

- Musimy tam pojechać, Beki. Oczywiście jeśli „tysiąc sto dziewięćdziesiąty czwarty” to rok! Powinniśmy udać się do tych czasów i dowiedzieć, co naprawdę znaczy „Pandora”, do

czego się odnosi. I dlaczego właśnie ja - ja, nie nikt inny - muszę się tego dowiedzieć.

- Wydaje się, że to logiczne posunięcie. - Beki nagle uniosła dłoń. - Wykrywam cząstki tachionowe.

Maddy popatrzyła na zegarek. Nie miały już czasu, żeby wszystko dokładnie omówić; za moment pojawi się portal.

- Beki, porozmawiamy jeszcze o tym?

- Potwierdzam. Powinnaś teraz zamknąć partycję przy użyciu sekwencji zabezpieczającej. Gdy będziesz chciała wznowić rozmowę, powtórz sekwencję, aby otworzyć ten wydzielony na dysku obszar.

- Okej. Oto i ona: iPad, jaskiniowiec, śniadanie.

Beki kilkakrotnie szybko mrugnęła oczami, po czym z ciekawością przekrzywiła głowę.

- Właśnie odnotowałam, że przez dwie minuty i trzydzieści dwie sekundy nie odebrałam żadnych bodźców. - Odwróciła się do Maddy. - Czy wystąpiła jakaś awaria?

Powietrze przed nimi zaczęło pulsować, plastikowe worki i gazety poderwały się do pościgu w ciemności. W środku okręgu falowały błyszczące sylwetki ich przyjaciół: Liam trzymał rękę nad głową machającej do nich Sal i doprawiał jej rogi.

- Nie, Beki. Świetnie się spisywałaś. Doskonale. Idziemy do domu?

ROZDZIAŁ 13

Norwich rok 1994

Ręka Adama pulsowała. Wysoka dziewczyna nie złamała mu jednak palca, ale zadziwiająco mocny uścisk poważnie nadwerżył ścięgna dłoni. Choć palec nie był złamany, to rwał jak diabli. Bolał na tyle, że w normalnych okolicznościach Adam poszedłby do kliniki uniwersyteckiej, żeby włożyli mu go w szynę lub obłożyli lodem i dali konkretną dawkę leków przeciwbólowych, ale myślami błędził jeszcze gdzie indziej, dlatego na razie udawało mu się ignorować pieczenie.

„To niemożliwe” - podszeptował mu mózg. - „To zwyczajnie niemożliwe”.

„Teraz musimy wrócić do domu w dwa tysiące pierwszym”. - Tak powiedziała dziewczyna w okularach, gdy stał w łazience i, wstrzymując oddech, podsłuchiwał rozmowę nieznajomych. „Później wyślę komunikat ostrzegawczy do przyszłości, do dwa tysiące pięćdziesiątego szóstego roku”.

Niemal zaśmiał się, gdy to usłyszał. Gdyby się nie powstrzymał, z jego ust wydobyłby się piskliwy, smutny śmiech osoby, która właśnie postradała zmysły. Bo to - wszystko, co one wygadywały - zdawało się czystym szaleństwem. Bo... bo dwa tysiące pierwszy rok będzie dopiero za siedem lat. Dwa tysiące pierwszy rok to przyszłość.

„Kontrola lotów do Adama”. - Jego własny umysł udzielał mu ostrej reprimendy. - „Czy właśnie usiłujesz sobie wmówić, że odwiedziły cię podróżniczki w czasie? To sobie wmawiasz? Naprawdę aż tak oszalałeś?”.

Pokiwał głową i zaśmiał się do siebie.

- Właśnie... o to chodzi. Może mi kompletnie odbiło. - Już niemal sam przed sobą przyznał, że coś z nim jest nie tak. - Dwoje gości, piekący palec, może wszystko to są objawy urojenia paranoidalnego. Przecież już niemal od tygodnia siedzi zamknięty w tym pokoju, żyjąc jak pustelnik. Niedługo zacznie widzieć białe myszki.

Doszedł do wniosku, że te rozważne, ciche podszepty wewnętrzne to prawdopodobnie głos rozsądku, znak, że pora złożyć wizytę psychologowi uniwersyteckiemu. Być może, jeśli

będzie miał szczęście, lekarz wyjaśni mu w racjonalny sposób, jakim cudem w niemal tysiącletnim rękopisie odnalazł zaszyfrowaną i napisaną współczesną angielszczyzną wiadomość; jak to możliwe, że wyobraził sobie odwiedzin dwóch podróżniczek z przyszłości.

Zaśmiał się z tego szaleństwa.

Był już niemal gotów przyznać, że kompletnie zszedł zmysły i potrzebuje pomocy, kiedy nagle dostrzegł na łóżku skrawek papieru, dokładnie w miejscu, gdzie dziewczyna - „Maddy: tak miała na imię, tak twój wymyślony gość się przedstawił” - położyła kurtkę. Od niechcenia sięgnął po świstek, łudząc się, że umysł znowu płata mu figle, a kartka zniknie niczym urojenie, zanim zdąży jej dotknąć.

Ale nie zniknęła.

- Err... Adam do kontroli lotów... To... to... - wymamrotał, przekręcając w rękę kawałek kolorowego papieru. - To prawdziwe? Nie jest to chyba kolejny wytwór mojej wyobraźni?

Kontrola lotów tym razem zamilkła na dobre.

Uważnie przyjrzał się trzymanemu w rękach zwiłkowi papieru. To odcinek kontrolny biletu. Biletu wstępu do jakiegoś klubu lub baru. Adres to Zachodnia 51, Nowy Jork. Wzdłuż dolnej krawędzi przybito niewyraźną pieczętkę z nadrukowaną datą i godziną wejścia: 20:21, 09.09.2001.

Nagle poczuł zawroty głowy: był jednocześnie skołowany i rozstrojony, podekscytowany i przerażony. Ponownie spojrzął na niewyraźnie nadrukowaną datę i godzinę: dziewiąty września dwa tysiące pierwszego roku. To za siedem lat, dziewczyna, która właśnie wyszła z jego pokoju, wybierze się wtedy do tego nowojorskiego klubu.

Tego już było za wiele. Stracił równowagę i padł twarzą prosto w materac. Usłyszał stukot butów na schodach, sekundę później ktoś mocno walnął pięścią w drzwi.

- Halo, Adam! Kim były te dziewczuchy? - Głos Lance'a brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka; zdał mu się zupełnie nieistotny.

- Jak sobie chcesz... siedź tam sam, ty mały popaprańcu, ale powiedz swoim stukniętym przyjaciółkom, żeby następnym razem nie ładowały się tutaj tak późno.

Adam już tego nie słyszał, jego umysł zaprzętało układanie precyzyjnego planu na następne siedem lat życia.

ROZDZIAŁ 14

Nowy Jork rok 2001

- Dobra, odsuńcie się. Wszyscy!

Sal uklękała i dotknęła kciukiem ikony na małym, błyszczącym ekranie dotykowym przyczepionym do próbówki hodowlanej. Silnik cicho furkotał na dnie pleksiglasowego cylindra, który powoli przechylił się do tyłu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Po chwili dno próbówki otworzyło się, a na podłogę zaplecza chlusnęła struga cuchnącej mazi.

Błyszczące, gładkie jak u niemowlaka ciało Boba wysunęło się z próbówki i grzmotnęło o podłogę, jak świeżo złowiony marlin błękitny rzucony na pokład kutra rybackiego.

- To chłopiec! - obwieścił Liam.

- Tym razem się udało - dodała Maddy.

Nowonarodzony klon wierzgał na podłodze, szeroko otwarte, szare oczy świdrowały publiczność. Uklęknęli wokół niego, gaworząc niczym dumni rodzice.

- Liam - powiedział chłopak, wskazując na siebie. - Nazywam się Liam.

Klon otworzył usta i wyrzygał rzekę różowej mazi prosto na swoją muskularną klatkę piersiową.

- Toż to nasz Bob - oznajmiła Sal.

- Zaprzeczam. - Beki przycupnęła, by lepiej przyjrzeć się lepkiemu, nagiemu ciału zwiniętemu na podłodze. - Sztuczna inteligencja o identyfikatorze „Bob” nie została jeszcze wgrana.”

- Ma rację - potwierdziła Maddy. - To jeszcze nie nasz stary kumpel, tylko zwykła organiczna jednostka bojowa.

- Og gub ber smuh - posłusznie zbulgotał klon.

- Taki sam z niego idiota jak ostatnim razem - dodała. - No dalej, trzeba go umyć i ubrać, potem rozpoczniemy wczytywanie oprogramowania.

Liam ujął klona pod pęczniące ramię, Beki złapała za drugie i oboje pomogli mu podnieść się na nogi.

- Witaj z powrotem, Bob. - Liam mrugnął do oszołomionego giganta.

Pół godziny później, splukany wodą, niecuchnący już jak kupa zepsutego mięsa, wysuszony i ubrany w niedopasowany zestaw wiszących na nim ciuchów, Bob siedział nieruchomo na łóżku Liama. Powieki klona mrugały w zawrotnym tempie, terabajty danych wpływały do pustego kawałka silikonu wbudowanego w jego czaszkę. Beki nadzorowała proces przegrywania oprogramowania, podczas gdy Maddy omawiała coś z dwójką przyjaciół przy stole kuchennym.

- Sami widzicie... musimy się tam przynajmniej wybrać i rozejrzeć. Upewnić się, że przez manuskrypt Voynicha nasze tajemnice nie ujrzą światła dziennego. - Wzruszyła

ramionami. - Nie pozostaniemy długo szczególnie tajną organizacją, jeśli jedna z drużyn zdradza w tym dokumencie wszystkie sekrety Agencji. Racja?

- Jasne. - Liam skinął głową.

- Czy to oznacza, że Liam może spotkać podobnego do siebie agenta? - spytała Sal.

- Całkiem możliwe, że zdoła nawiązać kontakt. - Maddy wzruszyła ramionami i odwróciła się do chłopaka. - A jeśli to zrobisz, musisz ich przede wszystkim poinformować, że nie mogą dłużej używać manuskryptu Voynicha, bo został rozszyfrowany. Rozumiemy się?

- Pewnie.

- W takim razie wysyłamy cię do... - Maddy spojrzała na leżący na stole notatnik - tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku. Adam Lewis powiedział nam, że w toku badań ustalono, iż właśnie z tego okresu pochodzi dokument. - Podniosła wzrok znad notatek. - Nie jestem pewna, czy metoda datowania węglem może być tak precyzyjna... ale właśnie do tego roku was wyślemy, do miejsca o nazwie Kirklees. To w Anglii.

- Super, raz już odwiedziłem Anglię. Z wujkiem i tatą.

- Sprawdziłam tę lokalizację. Klasztor w Kirklees zyskał sławę, ponieważ właśnie tam zginął i został pochowany Robin Hood. Rzekomo.

- Robin Hood? - Brwi Liama gwałtownie podskoczyły.

Maddy zaśmiała się, widząc jego reakcję.

- Nie rób sobie wielkich nadziei, Liamie. Z tego, co zdążyłam wyczytać, według wszelkiego prawdopodobieństwa opowieść o Robin Hoodzie to zwykła legenda: zmyślona historia, posklejana z kilku różnych źródeł. Począwszy od starych saksońskich mitów, po siedemnastowieczne opowiadania rozbójników.

- Ach, szkoda. - Twarz chłopaka spochmurniała. - A łudziłem się, że dołączę do jego wesołej gromadki.

- No niestety, a teraz słuchaj uważnie. Wybierasz się do bardzo niebezpiecznej epoki. Królem Anglii jest Ryszard, ale właśnie przebywa na krucjacie. W ojczyźnie panują niepokoje, grasują bandyci, szerzy się anarchia. Dlatego też dla bezpieczeństwa wysłałam z tobą obie jednostki pomocnicze.

- No, to teraz jestem spokojny. Jadę z moją własną małą armią - odparł Liam z uśmiechem.

- I pamiętaj, to tylko krótka wyprawa zwiadowcza. Jeśli zdołasz, odkryj, czym lub kim jest Cabot i porozmawiaj z nim, jeśli to człowiek. Spróbuj dowiedzieć się, kto pisze manuskrypt Voynicha, a jeżeli okaże się, że to ludzie z drużyny podobnej do naszej, nawiąż z nimi kontakt i poinformuj ich, że szyfr został złamany, jasne?

- Tak jest.

- Jest jeszcze jeden cel, Liamie: jeżeli zlokalizujesz manuskrypt lub natkniesz się na jego autora... naucz się, o ile zdołasz, jak odszyfrować rękopis, abyśmy mogli sprawdzić, co jeszcze się w nim znajduje. - Uważniej spojrziała na przyjaciół. - Nie wiem jak was, ale mnie męczy już, że wciąż błądzimy po omacku i nie wiemy prawie nic na temat Agencji. Chcę dowiedzieć się więcej, a skoro nadarza się szansa zdobycia kolejnych informacji...

- Tak - poparła ją Sal. - Ja też chce wiedzieć.

Wszyscy troje się zamyślili.

- Nie wiem, do czego nas to doprowadzi. - Maddy przerwała ciszę. - Historia uległa zmianie tylko nieznacznie. Do kin wszedł film, który wczoraj jeszcze nie istniał, ale być może tylko taką zmianę przyniesie fala czasu i nic nie będziemy musieli naprawiać. Foster powiedział kiedyś, że rzeczywistość toleruje niewielkie przesunięcia. Może Adam fuksem odszyfrował kilka zdań i nikt inny nigdy nie odczyta kolejnych fragmentów manuskryptu. Sądzę jednak, że powinniśmy to przynajmniej zbadać. Zgoda?

Liam przytaknął.

- To w końcu czasy rycerzy. Nie mam nic przeciwko takim widokom.

- Cool. Sal, gdy Bob będzie gotowy, wybierzcie się z Liamem i obiema jednostkami do sklepu. Znajdźcie ubrania, które nie zwrócą niczyjej uwagi. Bóg jeden wie, co oni wtedy na siebie zakładali - powiedziała, wzruszając ramionami. - Worki na ziemniaki i sandały, z tego, co się orientuję.

- Okej, a co z tobą?

- Muszę skompilować pakiet danych dla Boba i Beki, żeby nadażali za ówczesną historią. - Spojrzała na zegarek. - Jest kilka minut po dziesiątej. Proponuję zrzut do przeszłości dopiero po zrzuceniu lunchu do żołądka. - Szturchnęła Liama. - Chyba nie pogardzisz kawałkiem pizzy przed wyprawą?

ROZDZIAŁ 15

Nowy Jork rok 2001

Obserwował rząd ceglanych łuków, nie mając stuprocentowej pewności, w którym zniknęli ostatniej nocy. Pozwolił zanadto się wyprzedzić, skręcili w boczną uliczkę, a gdy do niej dotarł, zobaczył tylko kosze na śmieci na kółkach i worki gnijących odpadów. Stracił ich z pola widzenia.

Nerwy wzięły górę, przez co został za bardzo z tyłu.

Co prawda mógł pójść w dół ulicy i pukać w każdą roletę po kolei, ale scykorzył. Wrócił zły na siebie i, nie mogąc zasnąć, wciąż jeszcze przemierzał pokój swojego

apartamentu, gdy Nowy Jork wchodził już w kolejny poniedziałkowy poranek. Siedem lat czekania na tę chwilę; siedem lat czekania na rozmowę z tą dziewczyną. A on co robi? Tchórzy i gubi trop na ulicy.

Przez cały ten okres, zawsze przed zaśnięciem, wciąż odtwarzał w pamięci wspomnienie tamtej nocy w akademiku, próbując zrozumieć, co się właściwie wówczas wydarzyło. Starał się zachować żywe i wyraźne wspomnienie ich twarzy. Oswajał się z myślą, że wszystko to stało się naprawdę, że odcinek biletu pozwoli mu spotkać podróżników w czasie.

Dzisiaj rano Adam wziął urlop z pracy, tłumacząc się chorobą. Poinformował przełożonych, że może nie pojawić się przez kilka dni. Firma Sherman-Golding Investment przez kilka dni obejdzie się bez swojego specjalisty do zabezpieczenia systemów informatycznych.

Siedem lat. Miał wrażenie, że tamta noc i nieszczęśliwe lata uniwersyteckie to historie z poprzedniego wcielenia. Nie utrzymywał żadnych kontaktów ze zidiociałymi piwożłopami, z którymi dzielił kiedyś segment. W najmniejszym stopniu nie obchodziło go, co teraz robią. Bo on sam radził sobie doskonale. Przytulny apartament na Manhattanie, złota karta American Express, karta członkowska w ekskluzywnej siłowni z widokiem na rzekę Hudson. Rocznie zarabiał więcej niż jego staruszek w przeciągu dekady. A przecież nie przestał być hackerem, tyle że teraz paradował w eleganckim garniturze.

Całe jego życie, kariera, wszystkie decyzje, które podejmował od momentu ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia, prowadziły go do tego miejsca w Nowym Jorku, do tego klubu, do tej nocy. Całą swoją karierę, całe życie podporządkował niewyraźnemu nadrukowi na pogniecionym strzępku kolorowego papieru.

Szaleństwo totalne.

Gdy tak obserwował uliczkę oświetlaną promieniami porannego słońca, Pan Rozważny w jego głowie popędzał go do działania.

„Kontrola lotów do Adama, czas się ruszyć i przywitać, nie sądzisz?”. - Na tę myśl w

jego brzuchu zaczęły fruwać zastępy motyli. - „Daj spokój, Adamie, jesteś już pewnym siebie mężczyzną, a nie nerwową, kujonowatą wiewióreczką jak kiedyś. Pamiętasz? To ty rozdajesz karty. Frajera zastąpił ZWYCIĘZCA. A zwycięzcy nie siedzą beczynnie, jęcząc ze strachu”.

- Właśnie - odpowiedział głośno dla kurażu.

„Kontrola lotów zezwala na start. Czas ruszać”.

Właśnie wtedy ich zobaczył. Cztery osoby wyłoniły się spod jednego z łuków. Dostrzegł wysoką dziewczynę, która niegdyś niemal wyrwała ze stawów jego palec. Ani trochę się nie zmieniła. Miała na sobie dokładnie te same ubrania co tamtej nocy - te same ciuchy, które nosiła siedem lat temu... wyglądała też tak, jakby nie postarzała się nawet o dzień! Przy niej szła mała Azjatka, na oko trzynasto-, może czternastoletnia; dalej maszerował młody chłopak, prawdopodobnie kilka lat starszy, a tuż obok niego prawdziwy olbrzym. Miał ponad dwa metry wzrostu, szerokie na co najmniej metr bary i ponadstukilowe mięśnie.

„Zostaje tylko druga dziewczyna. Maddy”. Poprzedniej nocy towarzyszyła przecież tej brygadzie. Patrzył, jak miota się wśród spoconego tłumu niczym wariatka. Za studenckich czasów lubił thrash metal. Już mu przeszło. Teraz wołał słuchać jazzu, muzyki klasycznej, rytm and bluesa. Bardziej pasowało to do wyrafinowanego specjalisty, którym został. Wszystko to stanowiło część nowego wizerunku. Nowego Adama.

„Kontrola lotów zezwala na start. Masz zielone światło, stary. Czas zapukać. Teraz to już chyba nie stchórzysz?”.

- Do odważnych świat należy - wyszeptał.

„Tak trzymać”.

Zapamiętał łuk, spod którego wyszli. Piąty w kolejności. Odczekał chwilę i dopiero, gdy wyszli z uliczki i skręcili na wschód, w kierunku Brooklynu, cisnął styropianowy kubek mdłej kawy do kosza i zrobił pierwszy, niepewny krok przez chodnik w stronę zaśmieconej alejki.

- No to ruszamy - wyszeptał.

Roleta brzęknęła, ktoś delikatnie w nią stukał. Jedno z nich musiało czegoś zapomnieć. Maddy wstała więc z krzesła i podeszła do drzwi. Rozcierając oczy leniwym gestem, walnęła w zielony przycisk i odczekała, aż roleta podniesie się z trzaskiem do wysokości kolan, po czym zanurkowała pod nią na zewnątrz.

- Czegoście zapomnieli...?

Podniosła wzrok i ujrzała wysokiego, opalonego i zadbanego mężczyznę w bardzo drogim garniturze. Zdjął parę modnych okularów przeciwsłonecznych i uraczył ją uśmiechem.

- Och... cześć - odezwał się z angielskim akcentem i lekką nieśmiałością.

- Słucham? Mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Ty i ja, my, hmm... spotkaliśmy się kilka lat temu - powiedział z uśmiechem.

Maddy zmarszczyła brwi. Przez chwilę sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Nie sędzę - odpowiedziała, ale zaraz potem uświadomiła sobie, że jego twarz budzi niejasne skojarzenia.

- Wtedy chyba wyglądałem trochę inaczej. - Wzruszył ramionami. - Długie, przetłuszczone dredy, straszne pryszcze... no i, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, miałem brodę, choć sam nie wiem, czy to precyzyjne określenie. Nie widziałaś mnie wtedy w najlepszej formie. - Na przystojnej, szczupłej twarzy z wyraźnie zarysowanymi kośćmi pojawił się kolejny uśmiech. - Ale ty... - powiedział, potrząsając głową. - To niesamowite! Nie zmieniłaś się nawet na jotę.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się z zaskoczenia. Nagle go rozpoznała.

- O, mój Boże! - wyszeptała. - Jesteś... jesteś tym młodym...

- Adam Lewis - powiedział, kucając, aby znaleźć się na tym samym co ona poziomie.
Wyciągnął rękę.

- Jak nas... - Szczeka Maddy zatrzepotała żałośnie.

- Jak was znalazłem?

Skinęła głową.

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszonki w szytej na miarę prążkowanej marynarce i wyjął z niej skórzany portfel.

- Przez wszystkie te lata przechowywałem go w tym bezpiecznym miejscu. Czasami go wyciągałem i uważnie oglądałem, aby przypomnieć sobie, że nie popadam w obłąd, że tamta noc nie była wytworem mojej wyobraźni. - Wyciągnął postrzępiony, wyblakły kawałek papieru i przytrzymał go w dłoni. - To śmieć, który przez nieuwagę zostawiłaś w moim pokoju.

Spostrzegła jedynie nazwę klubu, w którym bawili się zeszłej nocy.

- Wypadło mi to?

Potwierdził skinieniem głowy i z westchnieniem spojrzął na bezchmurne, błękitne niebo.

- Jeśli dobrze pamiętam, obiecałaś mi wtedy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, że wrócisz i powiesz mi, czego dotyczy wiadomość. Powiedz w takim razie... jak ci idzie odkrywanie prawdy? Czy wiesz już, co znaczy Pandora?

- O rany! - Rozejrzała się po ulicy. - Chyba lepiej będzie, jeśli wejdiesz do środka.

ROZDZIAŁ 16

Nowy Jork rok 2001

Po wejściu do pomieszczenia Adam rozprostował plecy, oczy powoli przyzwyczajały się do skąpego światła tłącego się pod sklepieniem. Jasny wrześnieowy poranek zostawili na zewnątrz.

- Mój Boże... - wyszeptał i odwrócił się do niej. - To wasza... wasza baza?

- Obawiam się, że tak. - Skinęła głową.

Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę rzędu monitorów, pleksiglasowego cylindra i stojącej za nim maszyneryi zasilającej.

- A to? Co to...

- To nasza jednostka translokacji czasowej - odpowiedziała, podchodząc do mężczyzny. - Musimy porozmawiać, panie Lewis.

Potrząsnął głową.

- „Adam” wystarczy. Tylko klienci mówią do mnie per „panie Lewis”.

- Zgoda. Musimy porozmawiać o Pandorze, Adamie.

- Już wiesz, co to znaczy?

- Nie... - Potrząsnęła głową. - Posłuchaj, moi przyjaciele jeszcze o tym nie wiedzą. Planuję im powiedzieć, ale jeszcze nie teraz, najpierw sama muszę dowiedzieć się, o co tu chodzi. - Popatrzyła na niego. - Może ty mi pomożesz. Muszę dowiedzieć się wszystkiego, co

wiesz o Voynichu. Dlaczego właśnie tobie udało się odszyfrować fragment tekstu. No i jak się tu znalazłeś.

- Tak... tak, oczywiście - zgodził się.

- Usiądź. - Wskazała jeden z wytartych foteli. - Zrobię kawy.

Kilka minut później usiadła obok niego, kładąc na stole dwa kubki kawy i paczkę ciasteczek Oreo.

- Więc?

- Od czego mam zacząć? - Adam zdjął marynarkę, przełożył ją ostrożnie przez poręcz krzesła i poluzował krawat. - Niedługo po waszej wizycie zostałem jedynym bohaterem medialnym. W ogólnokrajowej gazecie ukazał się artykuł na mój temat, i chociaż następnego dnia w strony z historią o tajemniczym manuskrypcie Voynicha zawijano już ryby, to wystarczyło. - Zaśmiał się gorzko. - Każdy na uniwersytecie doskonale wiedział już, kim jestem. Pomyłecem. Bujającym w obłokach małym, smutnym szurkiem, który wymyślił sensacyjną historię tylko po to, żeby choć na chwilę znaleźć się w świetle jupiterów.

- Dlaczego? Przecież coś w końcu odszyfrowałeś. Nie wyjaśniłeś im, jak to zrobiłeś? Nie chciałeś udowodnić, że wcale nie jesteś wariatem?

- Nie mogłem wyjawiać informacji o technice, jakiej użyłem. Nie mogłem zademonstrować metody deszyfrującej.

- Dlaczego?

Adam upił łyk kawy.

- Bo... - Westchnął. - Zabrzmiało to jak szaleństwo. - Potrząsnął głową. - Bo to chyba rzeczywiście szalone.

- Powiedz mi po prostu, dlaczego nie mogłeś zdradzić prasie, jak złamałeś kod?

- Sądzę, że klucz szyfrujący został stworzony z myślą o mnie.

- Słucham?

- Manuskrypt został zaszyfrowany tak, aby tylko jedna osoba na świecie potrafiła go odczytać. - Źrenice Adama poszerzyły się do nadnaturalnych rozmiarów. W tej chwili wyglądał bardziej jak paranoidalny uczeń, którym był niegdyś, niż jak wymuskany człowiek sukcesu, w którego przez te wszystkie lata się zmienił. - Ktoś w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym - powiedział, śmiejąc się nerwowo - zna mnie. Zna mnie bardzo dobrze. Okej, już tłumaczę. - Westchnął głęboko, pochylił się w krześle i ciągnął opowieść: - Swojego czasu bardzo interesowałem się paleolingwistyką, nauką o martwych językach. Wziąłem nawet urlop dziekański, żeby wybrać się do Ameryki Południowej z kilkoma innymi pasjonatami. Wędrowaliśmy szlakiem preazteckiego plemienia, którego członkowie nazywali siebie Szepczącymi na Wietrze. Stworzyli ponoć alfabet na długo przed przybyciem Azteków. Ale do rzeczy: wysoko na szczycie wznoszącym się nad lasem deszczowym natrafiłem na jaskinię. Ściany pieczary pokrywały glify jakiegoś starożytnego języka. Wszystkie były unikatowe, Maddy, jedyne w swoim rodzaju. Nikt jeszcze nie napisał żadnej pracy naukowej na temat języka Szepczących na Wietrze.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że żaden paleolingwista nie odkrył wcześniej tej jaskini.

- Dlaczego w takim razie sam nie szukałeś sławy i nie ogłosiłeś odkrycia?

Wzruszył ramionami.

- Z różnych przyczyn. Najpierw sam chciałem zrozumieć te napisy. Zachować dla siebie. To przecież unikatowy zbiór symboli. Bezcenny w pracy szyfranta. - Uśmiechnął się z fałszywą skromnością. - Niektórych z tych znaków używam do tej pory, podczas tworzenia oprogramowania zabezpieczającego. Po części dlatego jestem jednym z najbardziej rozchwytywanych w Nowym Jorku specjalistów do zabezpieczeń informatycznych. Moich kodów nie da się złamać. - Machnął ręką, zakłopotany, że mogło to zabrzmieć zarozumiale. -

Tak czy siak, mówię o tym, bo... bo w manuskrypcie Voynicha zauważyłem dwa glify pochodzące z tej właśnie jaskini.

Maddy niemal upuściła Oreo do kawy.

- To bardzo istotne glify. Szepczący na Wietrze używali ich do oddzielania konceptów, czy też zdań, jeśli wolisz. U nas podobną funkcję pełnią znaki przestankowe: kropki i wielkie litery. Jeden glif zawsze pojawiał się na początku zdania lub wyrażenia, a drugi na końcu.

- Czyli co? Chcesz mi powiedzieć, że manuskrypt Voynicha napisali Aztekowie?

- Nie. Glify pojawiają się tylko w jednym fragmencie. - Uniósł palec. - Tylko raz. Manuskrypt Voynicha to setki stron przypadkowych znaków: pełno tu łacińskich, egipskich i greckich liter, jest trochę symboli matematycznych - no i ten jeden ustęp składający się z takich samych, losowo ułożonych znaków, który kończy się i zaczyna glifem Szepczących na Wietrze.

- Mój Boże!

- Właśnie. - Pokiwał głową. - Wygląda, jakby został specjalnie oznaczony. Zupełnie jakby ktoś chciał powiedzieć: „Skup się na tym fragmencie”. - Zaczął się niespokojnie wiercić. - Jakby ktoś chciał powiedzieć: „Skup się na tym fragmencie... Adamie Lewis”.

Na twarzy Maddy wykwitł i od razu zniknął nerwowy uśmiech.

- To naprawdę przerażające.

Adam skinął głową i kontynuował:

- Nie zamierzam zanudzać cię technicznymi szczegółami dotyczącymi łamania szyfru. Powiem tylko, że jeśli z zalewu bełkotu, który często tworzy się celowo, żeby wyprowadzić w kryptoanalitików w pole, uda się wyodrębnić fragment spójnego tekstu, to wtedy złamanie szyfru pozostaje tylko kwestią czasu. Ponieważ użyto znaczników Szepczących na Wietrze,

okazałem się jedyną osobą zdolną wyłowić z rękopisu Voynicha jakieś składne zdanie - powiedział, odstawiając kubek na stół. - I właśnie dlatego nie mogłem podać tej informacji do wiadomości publicznej. I dlatego też okrzyknięto mnie żądnym sławy pomyłeńcem. Nikt nie uwierzyłby przecież, że jakiś gość ze średniowiecza wiedział, iż wyprawię się do puszczy amazońskiej i odnajdę klucz niezbędny do złamania kodu! Byłem zmuszony przyjąć na siebie falę krytyki, a potem przełknąć wszystkie kpiny i szyderstwa. Później starałem się już tylko wyrzucić ten epizod z pamięci. - Uśmiechnął się. - No, ale teraz nakręcili ten cholerny film - westchnął. - Na szczęście zmienili nazwisko głównego bohatera.

- A przecież nikt zdrowy na umyśle nie chciałby, żeby grał go brzydka DiCaprio.

Oboje wybuchnęli serdecznym śmiechem.

Maddy w milczeniu mierzyła Adama wzrokiem. Pomyślała, że i tak wie za dużo. W którymś momencie będą musieli przecież wyprostować historię i upewnić się, że Adam Lewis nigdy ich nie odszuka. Na razie jest jednak uciążliwym elementem tajemnicy, w dziwny sposób powiązany z Pandorą. Być może nawet stanowi klucz do tej zagadki. On i jego preazteckie glify.

- Ciasteczko?

ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork rok 2001

- Dokąd nas prowadzisz? - spytał Liam.

- Do sklepu ze starzyzną, w którym mają też wypożyczalnię drogich kostiumów teatralnych i strojów z różnych epok. Znajdziemy tam prawdziwe ubrania dobrej jakości, a nie żadne ohydne i tanie poliestrowo-syntetyczne shaddziwne ciuchy jak w zwykłym sklepie z

przebraniami.

- Poli...

- Straszne. - Przebiegł ją dreszcz. - W moich czasach rodzice nosili jaskrawe poliestrowe kurty, importowane stroje do biegania... i plastikową biżuterię. Grhh. Ohyda. Idziemy tam - powiedziała, wskazując wzdłuż ulicy - jeszcze tylko kilka przecznic w tamtym kierunku.

- Jasne. - Liam skinął głową. - Ale dobrze byłoby założyć dla odmiany coś wygodniejszego.

- Nie podobają ci się dzinsy i bluzy z kapturem? - Sal zmierzyła go wzrokiem.

Nie potrafił powstrzymać kwaśnego uśmiechu.

- Spodnie ciutkę za ciasno opinają się wokół nóg, w rzeczy samej. Trudno w tym chodzić. No i wrzynają się w miejsca, o których wolałbym nie mówić.

Szybko uniosła dolną krawędź jego bluzy i zaśmiała się na całe gardło.

- Bo zdecydowanie za wysoko je podciągnąłeś. Powinny wisieć naprawdę nisko. - Okazało się, że pasek w spodniach Liama jest mocno zaciśnięty, a same dzinsy Diesla naciągnięte wysoko ponad biodra, tuż pod sam pępek. W tak założonych spodniach, ze starannie wsuniętą w nie koszulką - a na dokładkę ze srebrzystobiałym pasmem na skroni - Liam wyglądał jak starszy pan.

- Wszystko to musi zwisać luźno i nisko, rozumiesz? Na Jahullę, nosisz spodnie zupełnie jak mój pradiadek, naprawdę nie musisz ich podciągać pod same pachy.

- Cóż, właśnie tam, a nie w okolicach kolan, powinny się kończyć spodnie.

Sal cmoknęła z dezaprobatą i wywróciła oczami.

- Nigdy nie odnajdziesz się w dwa tysiące dwudziestym szóstym. Nawet gdybym ubrała cię w najodlotowsze bagie z polyfabu i nałożyła na szyję tuzin złotych łańcuchów, i tak będziesz wyglądał jak napuszony papug!

Zdobył się na słaby uśmiech.

- Chyba wolę stroje z przeszłości niż przyszłości. Teraz najlepiej wyglądać jak biedak i niechluj, im gorzej, tym lepiej. Powiedz mi na przykład, dlaczego ludzie świadomie robią dziury w spodniach? Widziałem takie ubrania już kilka ładnych razy.

- Masz na myśli dzinsy?

- Właśnie.

- Taka moda. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem, może wszyscy chcą wyglądać na starszych.

Potrząsnął głową i zaczął palcem zataczać koła na skroni.

- No proszę! Nie widzisz tego? Toż to kompletny idiotyzm. W domu matka zawsze starała się utrzymywać wszystkie mundurki szkolne i odświętny garnitur w jak największej czystości, zawsze wyglądały, jakby dopiero co wyszły spod nożyc krawca.

- Bo w twoich czasach ubrania były pewnie bardzo drogie. W Mumbaju, w mojej epoce - a nawet teraz, w dwa tysiące pierwszym roku - wszystko jest dużo tańsze. Założysz jakiś ciuch kilka razy, a potem często o nim zapominasz.

- Straszne marnotrawstwo.

Sal wzruszyła ramionami. Pewnie właśnie dlatego w dwa tysiące dwudziestym szóstym zawsze trąbiono o deficytach tego i tamtego: globalne zasoby naturalne, jeden po drugim, powoli się wyczerpywały. Mgliście przypominała sobie puszczane na „Digi-HD-Shaydari” reportaże o niedoborach ropy, wojnach w dalekich pustynnych krajach, płonących rurociągach i zbiornikach paliwowych.

- Tak się zastanawiam... - Liam przerwał tok jej myśl. - Kurcze, dobrze, że znowu mamy Boba. W rzeczy samej. Tęskniłem za naszym starym, dobrym małpoludem.

Sal spojrzała na Boba i Beki, którzy maszerowali kilka metrów przed nimi niczym goryle prezydenta: płynnie omiatali wzrokiem okolice, w każdej chwili gotowi złożyć swe życie na ołtarzu służby. Podczas gdy Beki poruszała się z wystudiowanym wdziękiem i sprawnością, Bob kroczył ociężale niczym czołg, wciąż przyzwyczajając się do nowego ciała.

- Zachodzę w głowę, o czym ci dwoje mogą rozmawiać - zainteresowała się Sal.

- Ciekawe - przyznał z uśmiechem Liam.

Beki skinęła głową, odbierając przychodzący sygnał bluetooth o niskiej częstotliwości. Zgodziła się z obserwacją współpracownika.

[01110100 01101000 01100101 01111001 00100000 01100100 01101111 00100000
01101110 01101111 01110100 00100000 01101011 01101110 01101111 01110111] -
stwierdziła.

Bob przewrócił szarymi oczami i spojrzał na partnerkę.

[01110100 01101000 01100101 01111001 00100000 0 01110111 01101001 01101100
01101100.]

Mózg Beki przez chwilę analizował tę sugestię.

- Masz rację - powiedziała głośno po chwili refleksji. - Zawsze gdy to możliwe, powinniśmy ćwiczyć komunikację werbalną.

Zza grubych warg Boba wypłynął głęboki głos:

- Czuję, że od dawna nie komunikowałem się werbalnie.

- Czujesz? - Popatrzyła na niego z ciekawością. - Wybrałeś bardzo ludzkie słowo.

Ledwo pamiętał, w jaki sposób naciągnąć mięśnie, żeby przywołać na twarz uśmiech. Przez chwilę, gdy napręzał wargi, wyglądał jak koń obnażający zęby.

- Potwierdzam. Podczas komunikacji werbalnej ludzie często używają nieprecyzyjnych jednostek miary.

- Słów takich jak „czuję” lub „wydaje mi się”?

- Potwierdzam.

Zapisała tę obserwację, potem na niego spojrzała.

- Wydaje mi się... że przyswoiłeś więcej behawioralnych cech ludzkich niż ja. A przecież oboje jesteśmy wyposażeni w tę samą wersję sztucznej inteligencji. Zainstalowany we mnie moduł sztucznej inteligencji do zastosowań bojowych to wersja 3.67.6901 W.G. Systems Mil-Tech.

- Potwierdzam. - Skinął głową. - We mnie zainstalowano tę samą wersję.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Zarejestrowałam, że silikonowo-węglowy interfejs, umieszczony pomiędzy procesorem a niedorozwiniętym mózgiem organicznym, wytworzył nieoczekiwane efekty uboczne - powiedziała Beki. - Nadprogramowe i nieprecyzyjnie zakodowane subprocesy sztucznej inteligencji.

- Potwierdzam. Również to odnotowałem - odrzekł Bob, analizując terabity danych z poprzednich miesięcy. - Podczas misji z Liamem O'Connorem dane pochodzące z mózgu organicznego sprawiły, że sztuczna inteligencja przekalibrowała priorytety misji. Potrafiłem podjąć decyzję taktyczną, aby go ocalić.

- Tak - przyznała, kiwając głową. - Również ja mam dostęp do... tej pamięci. To

działanie przyniosło bardzo pozytywne efekty. Mój moduł sztucznej inteligencji jest duplikatem twojego, dzięki czemu i ja czerpię korzyści z aktualizacji twoich procesów decyzyjnych.

Przekrzywiła głowę, pasmo ciemnych włosów opadło jej na twarz, która chwilowo zastygła w głębokim zamyśleniu.

- Sądzę, że w takiej sytuacji człowiek wyraziłby wdzięczność za pomocą werbalnego komunikatu. - Uśmiech Beki z kolei bardziej przypominał szczerzenie zębów przez koź niż konia. - Dziękuję.

- Potwierdzam - zakomunikował Bob.

- Podczas ostatniej misji podpatrzyłam u ludzi podstawowe zasady poczucia humoru. Czy przegrać ci żart?

- Potwierdzam. - Bob skinął głową. - Mam niewiele plików na temat poczucia humoru.

Przekrzywiła głowę i za pośrednictwem bluetootha przesłała Bobowi kilka megabajtów danych, nie przerywając marszu i milczenia. Bob zamrugał, przenosząc dane do długoterminowej pamięci, po czym odtworzył wspomnienie dżungli, klifu i zbitej u podnóża wzniesienia grupki podenerwowanych dzieci.

- Chyba rozśmieszyłaś Liama O'Connora.

- Ko, ko - wydekłamała beznamiętnie. - Jego i pozostałych nazwałam kurczakami. Śmiali się z tego.

Zmarszczył brwi w głębokim zamyśleniu.

- Dlaczego uznali to za takie zabawne?

Beki odpowiedziała podobnym zmarszczeniem brwi. Wreszcie spojrzała na niego z

zatroskaniem na twarzy i przyznała:

- Nie wiem.

Sal podeszła pod samą szybę wystawową sklepu.

- To tutaj - oznajmiła i przywołała jednostki pomocnicze, po czym wszyscy weszli do środka. Ich nosy łaskotała zatęchła woń naftaliny i kurzu.

Beki i Bob szli z przodu, Liam tuż za nimi.

- Jakiego stroju potrzebuję?

- Dużej wełnianej bluzy o jednolitej barwie - odrzekła Sal. - Żadnych wzorów.

Liam skinął głową i zanurzył się w wąskiej alejce zalanej różnobarwnymi kostiumami z wszystkich epok. Patrzyła, jak podziwia kostium pirata, z uśmiechem przyglądając się koronkowemu mankietom i galonom. Wyglądał jak dziecko w sklepie z zabawkami.

Odwróciła się, by sprawdzić, czy po sklepie krząta się ktoś, kogo można by poprosić o pomoc. Kiedy tak cofała się w stronę wejścia i zakurzonej szyby wystawowej, coś przykuło jej wzrok.

Coś niebieskiego. Coś jakby znajomego... Siedział na drewnianym fotelu bujanym po drugiej stronie okna. Pluszowy miś. Podeszła i kucnęła obok, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Znam cię - wyszeptała, unosząc jedną z przetartych łap.

Pamiętała tego niedźwiadka - małego, wypłowiałego, niebieskiego niedźwiadka - jednookiego misia. Skądś go znała, przed jej oczami stanął obraz wirujących głowy i łap.

„Skąd ja cię znam?”.

Wyteżała umysł, starając się spenetrować uciekające wspomnienie, kiedy Liam

krzyknął coś z drugiej części sklepu.

- Sal! Sal? To będzie dobre?

Wstała i ponownie zagłębiła się w ciasnym labiryncie zatęchłych rzędów z wieszakami, aby odszukać przyjaciela. O misiu, na razie, zapomniała.

ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork rok 2001

Maddy obróciła się na dźwięk podnoszonej rolety. Zobaczyła cztery pary stóp, a chwilę potem Liama, który przecisnął się pod roletą i stanął w pogrążonym w mroku pomieszczeniu.

„No, to teraz się zacznie” - pomyślała.

Wstał i machnął do niej ręką.

- Szkoda, że nie widziałaś tych durnych kostiumów... - Urwał w pół słowa. - Kto to jest?

Beki zastygła w skupieniu tuż przy nim, gdy zadawał pytanie. Chłodne oczy otaksowały gościa.

- Ta osoba to Adam Lewis - odpowiedziała. - Jego obecność tutaj jest niepożądana.

- Mhm - powiedziała Maddy. - Teraz ty to powtórz.

- Nieupoważniona obecność. - Głęboki głos Boba, który przed sekundą wyłonił się

spod rolety, wypełnił pustkę. - Intruz musi bezzwłocznie opuścić bazę.

- Wyluzujcie, ludzie - uspokajała Maddy. - Już i tak za dużo wie. Nie mogę go zwyczajnie wyrzucić.

Sal weszła na końcu. Nacisnęła przełącznik, roleta natychmiast opadła z brzękiem.

Obie jednostki pomocnicze podeszły do Maddy i wyraziły dezaprobatę, identycznie marszcząc brwi.

- Ta osoba nie ma prawa tu przebywać. To naruszenie...

Maddy przerwała ich wywody uniesieniem dłoni.

- Rozumiem. To naruszenie zasad bezpieczeństwa. Problem w tym - skinęła głową w kierunku Adama - że on sam nas znalazł. Byliśmy... - W poczuciu winy wzruszyła ramionami. - No dobra, ja byłam nie ostrożna. Zostawiłam niewielki trop, który doprowadził go tutaj.

Liam obszedł Boba i Beki, podejrzliwie zerkając na mężczyznę.

- Tego faceta pojechałyście zobaczyć?

- Tak. To Adam Lewis. - Odwróciła się do niego. - Dlaczego się nie przywitasz?

Adam wciąż wpatrywał się w przerażającą postać Boba.

- Hmm... cześć.

Liam przerwał głuchą ciszę, wyciągając dłoń na powitanie.

- No cóż, u nas zawsze znajdzie się miejsce dla niespodziewanego gościa. Nazywam się Liam O'Connor.

Adam odetchnął z ulgą i chwycił podaną rękę.

- A to jest Sal.

- Cześć. - Machnęła ręką. Adam odwzajemnił gest, ale szybko przeniósł wzrok na Boba.

- Czy to, hmm... jednostka pomocnicza, o której mówiłaś? Nic mi nie grozi...?

Liam podążył za wzrokiem gościa i wyszczerzył zęby.

- Czy nic ci nie grozi ze strony Boba?

Adam skinął głową.

- Słyszałem co nieco o jego... hmm... wyczynach.

- Masz na myśli odrywanie rąk nazistom?

- Tak.

- Och, nie przejmuj się Bobem. To prawdziwie zacny i solidny chłopina, w rzeczy samej. Zawsze dobrze mu z oczu patrzy.

Maddy dźwignęła się z krzesła i zwróciła bezpośrednio do klonów.

- Jestem strategiem drużyny i z mocy swoich uprawnień upoważniam Adama do przebywania w tym miejscu. W biurze terenowym. Czy to jasne?

Jednostki pomocnicze jak dzieci pokornie skinęły głowami i jednym tonem oznajmiły:

- Potwierdzam.

- Tylko na pewien czas, rozumiemy się? - dopowiedziała Maddy, odwracając się do

Adama. - Dopóki nie zbadamy manuskryptu Voynicha.

- Hmm... pasuje mi.

- Po zakończeniu zadania, gdy już poznamy treść rękopisu... coś wymyślimy, Adamie. Nie możesz tu zostać, a my nie możemy ryzykować, że odejdziesz stąd i zaczniesz wszem i wobec rozpowiadać o wszystkim, co tu widziałeś.

- Nigdy tego nie zrobię! Słowo! - obiecał, potrząsając głową.

Maddy zmrużyła oczy.

- Słuchaj - podjął Adam, wstając. - Od siedmiu lat wiem, że podróże w czasie istnieją! Przez cały ten czas nie szepnąłem o tym nawet żywej duszy. Nie mógłbym. - Potrząsnął głową. - Naprawdę bym nie mógł! Zrujnowałoby to mnie i pogrzebało moją zawodową reputację, nie mówiąc już o całej reszcie. Nigdy w życiu nie dostałbym już żadnego zlecenia w branży zabezpieczeń informatycznych!

- Potrafię to sobie wyobrazić. - Maddy zacisnęła wargi.

- Zresztą - kontynuował - już to przerabiałem. Raz przyprawiono mi przecież gębę kompletnego wariata, nikt nie wierzył w ani jedno moje słowo. Stałem się pośmiewiskiem. Nie, dziękuję. Nie skorzystam.

Liam położył dłonie na biodrach.

- Mnie wydajesz się w porządku, stary.

Obie jednostki pomocnicze milczały, dwie pary oczu w milczeniu oceniały gościa.

- Wy dwoje - odezwała się do jednostek Maddy - nie rozerwiecie go na strzępy, jak tylko na chwilę się odwrócę?

Bob odezwał się w imieniu swoim i Beki:

- Zaprzeczam. Adam Lewis jest czasowo upoważniony do przebywania w bazie. -
Podał gościowi dłoń wielkości rękawicy do baseballa. - Miło mi cię poznać, Adamie Lewis -
huknął.

Adam lekko chwycił podaną dłoń.

- Tak... jasne, przyjemność po mojej stronie.

Teraz Beki wyciągnęła do niego swoją szczupłą, choć równie zabójczą, dłoń.

- Jesteś pewna, że nie zamierza...?

Maddy zaśmiała się z zakłopotaniem.

- Ukręcić ci palca?

- Zaprzeczam - odrzekła Beki, z przytyłym uśmiechem chwytając dłoń mężczyzny. -
O ile nie dostanę takiego rozkazu.

Maddy uśmiechnęła się i nacisnęła okulary na nos.

- Okej, świetnie, no to wzajemne prezentacje mamy za sobą. Teraz przygotujemy
jednostki pomocnicze do podróży: trzeba załadować dane, zarys historii, języki z epoki...
wszystko. - Spojrzała na Adama. - Mówiłeś, że wiesz sporo na temat tego okresu
historycznego.

- Historia dwunastego wieku stała się dla mnie czymś na kształt obsesji - potwierdził.

- Świetnie, pomożesz mi w takim razie w stworzeniu pakietu danych. Przybliż
jednostkom ówczesne realia. Wyjaśnij im też, tak jak mnie, charakter zawirowań
politycznych: opowiedz o konflikcie Ryszarda z Janem i innych ważnych wydarzeniach.

- Zgoda.

Maddy odwróciła się do Liama i Sal.

- Zamienimy słówko na osobności?

- Umrze?

Maddy obserwowała gościa przez otwarte drzwi wylęgarni. Siedział na oparciu jednego z foteli, wyjaśniając Bobowi i Beki, jakie reguły rządziły światem epoki Plantagenetów. W wylęgarni jaśniała subtelna brzoskwiniowa poświata, emitowana przez kilka próbek wzrostowych, w których pływały zwinięte płody utrzymywane w stanie hibernacji, ale gotowe do aktywnego wzrostu po naciśnięciu odpowiedniego przycisku na panelu sterowania. Pompy systemu filtracyjnego furkotały z cicha, jak dyskretna aparatura zwykłego akwarium.

- Umrze. Sprawdziłam go.

- Kiedy?

- Niedługo. Bardzo szybko.

- Jezu - wymruczał Liam. - Jak?

- To bez znaczenia. Chodzi o to, że nawet jeśli coś wypaple, jest mało realne, że ktoś to w ogóle usłyszy. Zresztą, i tak nikt mu nie uwierzy. Pamiętajcie, że biedak już raz się skompromitował.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego go wpuściłaś - powiedziała Sal.

Maddy przygryzła wargę.

- Nie miałam wielkiego wyboru. Zjawił się pod samymi drzwiami. Wie też, że jesteśmy podróżnikami w czasie. Nie mogłam mu po prostu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Poza tym wie niemal wszystko o manuskrypcie Voynicha - dodała, odwracając się w stronę

Liam - i o epoce, do której się udajecie. A jeśli mamy dowiedzieć się, co jeszcze zawiera rękopis, to zyskanie sojusznika w postaci jedynej osoby, która rozszyfrowała fragment tego dokumentu... wydaje się całkiem rozsądnym posunięciem.

- Racja - przytaknęła Sal.

Maddy westchnęła.

- Czuję, że trochę was w to wkopuję. Tym razem jest inaczej niż podczas ostatnich kryzysów, kiedy od razu musieliśmy działać. I to szybko. Ta sytuacja... sama nie wiem, może tym razem powinniśmy sobie odpuścić, pozwolić pomartwić się innej drużynie. Choć z drugiej strony nastąpiło przesunięcie - nieznaczące, to fakt, ale wyskoczyło tuż pod naszym nosem i...

- Spokojnie, Maddy. - Liam położył dłoń na jej ramieniu. - Przed nami zadanie do wykonania. I to ważne zadanie.

Sal ze smutkiem zmarszczyła brwi.

- Może coś mi się jednak poplątało? Co jeśli plakat zawsze tam wisiał, a ja go przeoczyłam?

- Jeszcze ani razu się nie pomyliłaś. - Maddy potrząsnęła głową i spojrzała na Adama.
- Rzecz w tym, że to, co udało mu się odszyfrować...

„Powiedz im, Maddy - powiedz o wiadomości, którą znalazłaś w skrzynce depozytowej”.

- Fragment, który odszyfrował, ewidentnie brzmi jak ważna wiadomość. Rozumiecie? Zupełnie jakbyśmy zostawili ją sami. Musimy wiedzieć, co lub kto się za tym kryje.

Liam wyszczerzył zęby.

- Ach, czeka nas niezła przygoda. Rycerze i dziewice, może nawet spotkamy Robin

Hooda? Nie mogę się już doczekać!

- To może być bezcenny widok - stwierdziła Sal, znacząco zniżając głos. - Ile ja bym dała, żeby zobaczyć, jak współpracują nasi pupile, nasze mordercze zwierzaczki.

- Punch i Judy [Bohaterowie brytyjskiego widowiska kukielkowego. Te tradycyjne spektakle wystawiane są najczęściej w kurortach nadmorskich. Punch i Judy to para wiecznie kłócących się małżonków, którzy wspólnie przeżywają mnóstwo fascynujących i śmiesznych przygód.]? - zażartowała Maddy, po czym w zamyśleniu pokiwała głową. - Sądzę, że będzie to bardzo przydatny test terenowy dla Boba.

- No właśnie - zgodził się Liam.

- A ten cały Adam... możemy mu zaufać? - spytała Sal.

- Nie do końca - trzeźwo odparła Maddy. - Ale skoro już tu jest, może okazać się przydatny. Zresztą... wiem, to zabrzmi okrutnie, wkrótce i tak umrze.

- Poważnie? - spytała Sal.

Liam spojrzał na przyjaciółkę.

- Pozwolisz mu umrzeć?

- Nie mam innego wyjścia - westchnęła. - Taką mamy robotę.

ROZDZIAŁ 19

Nowy Jork rok 2001

Liam wspiął się po skrzypiącej drabinie za Bobem i Beki. Bob pierwszy wskoczył do cylindra translukacyjnego, obficie rozchlapując wodę.

- Po co ten wielki słój z wodą? - spytał Adam.

Maddy ustalała właśnie z komputerem-Bobem współrzędne portalu, więc Sal odpowiedziała w jej imieniu:

- Jest wypełniony roztworem wody i substancji dezynfekującej, po to, żeby podróżnicy w czasie nie mogli zabrać ze sobą przyklejonych do skóry zarazków.

- Rozumiem.

- Spełnia też funkcję urządzenia wypornościowego, dzięki czemu do przeszłości przesyłani są tylko podróżnicy i woda, nic poza tym. - Wskazała małą, szeroką na metr wyrwę na środku bazy. - Kilkukrotnie musieliśmy otwierać portal bez cylindra. To właśnie skutek: przy okazji uleciał też kawałek podłogi. A to niedobrze.

Beki wskoczyła do wody z plastikowym workiem na ubrania w ręku. Wypłynęła tuż obok Boba i zaczęła poruszać nogami, żeby utrzymać się na powierzchni.

Maddy skończyła wprowadzać współrzędne i aktywowała odliczanie. Dołączyła do Sal i Adama, którzy stali obok dna próbówki.

- Dobra, pięć minut do zrzutu.

- W porządeczku - powiedział Liam, który siedział na szczycie schodków, zanurzając gołe stopy w zimnej wodzie.

- Pamiętajcie... jest styczeń tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku. Głębokie średniowiecze. - Głos odbił się echem od niskiego sklepienia.

Adam potakująco skinął głową i podjął:

- Król Ryszard od czterech lat przebywa poza ojczyzną, wyruszył na krucjatę do Ziemi Świętej. Pod nieobecność władcy w Anglii zapanowało bezprawie. Brat króla, Jan, walczy o zaprowadzenie porządku, ale jego wysiłki okazują się bezskuteczne. Musicie więc zachować najwyższą ostrożność. Jedźcie do krainy opanowanej przez anarchię.

- To nie będzie jak w kinie? - Liam szelmowsko uniósł brew.

Adam w odpowiedzi potrząsnął głową.

- Przykro mi. Nie. Obawiam się, że rzeczywistość diametralnie odbiega od wyobrażeń filmowców. Nie spotkacie raczej facetów w ciasnych rajtuzach ani dziewczyc z burzą złotych włosów, tęsknie wyglądających z wieżyczek disnejowskich zamków. To mroczne, okrutne czasy. Zwalczające się wzajemnie frakcje polityczne, ambitni baronowie wszelkimi metodami pracy do władzy, grasujące bandy rozbójników, mrowie najemników i skrytobójców.

- Uważajcie na siebie - ostrzegła z troską Maddy. - Wszystko, co musicie zrobić, to odnaleźć klasztor w Kirklees i odszukać Cabota. Wysondujcie go dobrze, ale sami bądźcie dyskretni, Liamie. Rozumiesz? Bądź bardzo...

- Spokojnie, Mads... Wszystko jasne. Mamy być dyskretni. - Twarz Liama stężała. Czas na wygłupy właśnie minął.

- Bobowi i Beki wgraliśmy pliki z francuskim, może się przydać - dodała.

- To ówczesny język arystokracji - dodał Adam. - Kupcy i nisko urodzeni posługiwali się natomiast prymitywną odmianą staroangielskiego. Pamiętaj, że wymowa niektórych słów może diametralnie różnić się od współczesnej.

- Jednostki pomocnicze mogą mówić w twoim imieniu, jeśli będziesz miał z tym problemy - poradziła Maddy. - I przetłumaczają, jeśli czegoś nie zrozumiesz.

- Jasne.

Maddy uświadomiła sobie, że zamartwia się i zrzędzi niczym nadopiekuńcza matka.

Odwróciła się i spojrzała na jeden z ekranów.

- Zostały trzy minuty i dwadzieścia sekund.

- Macie zimowe ubrania - powiedziała Sal. - Będzie bardzo chłodno. Ciasno się opatulcie, jak już tam dotrzecie.

Liam podniósł zapinany na suwak przezroczysty plastikowy worek, który trzymał w lewej dłoni.

- Nie wywoła kontaminacji? Przecież to plastik.

- Biodegradowalny - uspokoiła Maddy. - Głęboko zakopcie te worki. Rozpadną się po kilku latach. - Wzruszyła ramionami. - A przynajmniej powinny się rozpaść, jeśli etykieta ekologiczna nie kłamie. - Ponownie spojrzała na zegarek. - Już czas, Liamie.

Skinął głową i opuścił się do zimnej wody.

- Arghh! Nienawidzę tego momentu!

Maddy wspięła się po szczeblach na samą górę i przykucnęła przy podskakujących głowach.

- Dobra, okno powrotne aktywujemy w tej samej lokalizacji, w której zostaniecie zrzućeni. Jak zwykle będzie otwarte tylko przez kilka minut. Pierwsze okno otworzymy godzinę po zrzucie. Drugie dwadzieścia cztery godziny później. Trzecie pojawi się za kolejny tydzień. No i oczywiście zostaje okno awaryjne po sześciu miesiącach. Wszystko jasne?

Liam, Bob i Beki w milczeniu skinęli głowami.

- Dwie minuty! - Zawołała Sal.

Maddy wyciągnęła rękę w stronę nagiego ramienia Liama i dotknęła go delikatnie.

- Tylko nie zgubcie się znowu, błagam. Nie jestem pewna, czy moje zszargane nerwy zniosą następny przeklęty kryzys.

- Nic nam nie będzie - wyseplenił Liam przez dzwoniące zęby. - Jedziemy na sy-sybki rekonesans, krótką pogawędkę z niejakim panem Cabotem na te-te-mat ma-ma-nuskryptu V-voynicha, a potem wracamy do domu na he-herbartkę.

- Będziemy mogli w jakiś sposób się z nimi skontaktować?! - zawołał Adam.- No wiesz, gdy będą w przeszłości?

- Tak - rzuciła przez ramię - możemy przesłać im wiązkę informacyjną. Niestety nie będą w stanie nam odpowiedzieć.

- Czy nie-nie mógłbym użyć te-tej księ-ggi Vo-voynicha? - spytał Liam.

- Informacja: poprawna wymowa to „wojnisz” - wtrąciła się Beki.

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie. Miejmy nadzieję, że wyprawa sprowadzi się jedynie do błyskawicznego zwiadu i nie będziemy musieli, jak ostatnio, zakopywać w ziemi żadnych skamielin.

- Racja - zgodził się Liam. - W-w ta-takim ra-razie do zo-zobaczenia wkrótce.

Mocniej ścisnęła jego dłoń, czując rosnące poczucie winy związane z wysyłaniem go z powrotem w czasie. Czy tym razem to naprawdę konieczne? Jak wielkie szkody w jego organizmie wyrządzi ta podróż?

„Maddy, weź się w garść”.

- Do zobaczenia wkrótce, Liamie - powiedziała, delikatnie ściskając jego knykcie, po czym spojrzała na Boba. - Uważaj na niego, dobrze?

- Potwierdzam. Liam O'Connor jest agentem. - W tubalnym pomruku dało się wyczuć

nutkę przywiązania.

- Znasz parametry misji? - Tym razem Maddy zwróciła się do Beki.

- Potwierdzam - spokojnie potaknęła jednostka.

- Maddy! - krzyknęła Sal. - Złaż natychmiast, zostało tylko dwadzieścia sekund!

Dziewczyna szybko zeszła po schodkach i odeszła kilka kroków od cylindra, Sal odliczała już ostatnie dziesięć sekund.

Adam z nieskrywany zachwytem patrzył na pracujący wehikuł czasu: szafkę pełną obwodów elektrycznych i poskręcanych przewodów. Pomieszczenie wypełniło się narastającym warkotem tłamszonej energii, która wzbierała przed translokacyjną erupcją.

- Czy ten hałas to normalna rzecz? - zapytał, ale jego głos zagłuszył rosnący wizz energii elektrycznej.

- Siedem... sześć... - kontynuowała Sal.

Maddy walczyła z rosnącym pragnieniem krzyknienia „stop”. Może tą akurat misją powinien przejmować się ktoś inny, nie oni. Może powinna była najpierw skonsultować wszystko z Fosterem. Może lepiej byłoby wysłać wiadomość do przyszłości, żeby sprawdzić, czy ktoś inny wcześniej nie zajął się tym problemem. Do głowy cisnęło jej się jeszcze z tuzin „może”.

- Cztery... trzy...

Ale Sal dostrzegła małą falę czasową, a oni są zobowiązani zajmować się takimi anomaliami. To fakt. W ich łuku znalazł się mężczyzna, którego nie powinno tu być. To drugi fakt.

„No i jest też trzeci fakt: muszę dowiedzieć się, czym jest Pandora. Co oznacza? Kto chce, żebym się tego dowiedziała?”.

- Dwa... jeden!

„Już za późno na jakiegokolwiek wątpliwości, Maddy”.

Energia wypłynęła wreszcie z maszynerii obok cylindra, a Liam i dwie jednostki pomocnicze zniknęli w jednej chwili wraz z kilkudziesięcioma litrami wody, w bazie rozbrzmiało głuche echo wyginającego się pleksiglasu.

Ciszę, która nastąpiła po translacji przerwał szept Adama:

- Absolutnie... nie-sa-mo-wi-te!

ROZDZIAŁ 20

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Lądowanie było ciężkie i mokre. Liam zachwiał się od uderzenia i opadł na kolana, otaczająca go biała mgła chaosu szybko wyparowała w niebyt.

- Auu! - krzyknął, próbując stanąć na nagich stopach, pod którymi poczuł grudkowaty czarnoziem skutą porannym mrozem i sprawiający wrażenie ostrej skały. Ubrany w same bokserki dygotał na całym ciele. Rozejrzył się po okolicy, konstatując, że stoją na środku małego, pustego pola smaganego wiatrem. Zimowy poranek przywodził na myśl zmierzch rozciągający się nad pustkowiem, apatyczne światło słońca niemrawo wyzierało zza bezkształtnej masy chmur.

- Cu-cudownie. - Liama przeszył mróz, zaczął więc rozcierać ciało.

- Powinniśmy natychmiast się ubrać - poradził Bob.

- ŚŚ-wwiście słowa - zadzwonił zębami.

Rozsunął suwak plastikowego worka i wyciągnął grubą, szorstką szatę z wełny o oliwkowozielonej barwie, po czym skwapliwie naciągnął ją na siebie przez głowę, ignorując irytujący fakt, że materiał drapie go po skórze. Potem wciągnął parę grubych bawełnianych kalesonów. Nie pochodziły co prawda z epoki, ale w tak krótkim czasie nie byli w stanie znaleźć nic lepszego. Sal zapobiegawczo odpruła metkę producenta i instrukcje dotyczące prania. Na oko wyglądało to przekonująco, przy odrobinie szczęścia nikt przecież nie będzie z bliska oglądał ich bielizny. W końcu nałożył parę lekkich skórzanych butów z drewnianymi podeszwami - obuwie wypatrzyli w wypożyczalni kostiumów - i obwiązał talię długim plecionym sznurem, aby zabezpieczyć szatę.

Odziewał się w pełnej pośpiechu ciszy, patrząc na kilkanaście kruków, które zataczały kręgi na szaro-białym niebie; krakanie ptaków pobrzmiwało na opustoszałym terenie niczym ostrzeżenie. Wsłuchiwał się w żalony szum rzeńskiego wiatru i suchy szelest opadłych liści, co chwila podrywanych i rzucanych z jednej zaoranej skiby na drugą.

- Ni-nie t-ttego się spodziewałem - wymruczał przez stukające zęby i zacisnął sznur na biodrach.

Głowa Beki wynurzyła się z dekoltu błotnistobrązowej sukni.

- A czego się spodziewałeś, Liamie O'Connor?

- Zielonych lasów... skąpanych w słońcu łąk... majowego kwiecica. - Wzruszył ramionami.

Jednostka zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę.

- Dlaczego? Przecież jest zima.

Liam patrzył, jak smuga jego oddechu skręca się, wygina i odpływa.

- Naprawdę nie wiem. Ja tylko...

- Rekomendacja - powiedział Bob. - Natychmiast powinniśmy pozbyć się tych worków.

- Zgoda.

Bob kopnął w ziemię, z której wyprysnęła czarna gruda gleby. Potem uklęknął i wielkimi łapskami zaczął kopać niczym pies przetrząsający ziemię w poszukiwaniu kości. Liam podał Beki swój worek i wykorzystał okazję, aby lepiej przyjrzeć się okolicy. Na końcu pola przed nimi rysował się skraj lasu. Odwrócił się. Za nimi grunt łagodnie przechodził w niski pagórek, za którym dostrzegł cienką smugę dymu wylatującego z kamiennego komina.

- Hej! Tam coś jest - powiedział.

- Potwierdzam - zgodnie odpowiedziały jednostki pomocnicze.

Liam cmoknął z dezaprobatą.

- Co wam o tym mówiłem? „Potwierdzam” brzmi beznadziejnie, w rzeczy samej. Szczególnie w tych czasach!

Bob podniósł się i wyprostował, pozwalając Beki wrzucić torby do dołu i zasypać wszystko ziemią. Fałdy szarej szaty klona opinały się na masywnych bulwach mięśni.

- Od tej pory powinniśmy używać miejscowego dialektu właściwego dla tysięcy sto dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Potwierdzam - przytaknęła Beki.

Oboje zamarli w bezruchu, równocześnie zamrugali powiekami i dokładnie w tym samym momencie zaczęli ładować dane. Po upływie kilku chwil wrócili do świata żywych.

- Gotowe? - spytał Liam.

Bob przytaknął.

- Tak, panie. Ja i ta tu białogłowa mówić już mogę po staroangielsku.

- En outre - powiedziała Beki, która skończyła już grzebać plastikowe worki i zabrała się do udeptywania ziemi stopami obutymi w drewniaki - nous sommes en mesure de parler en français Normand [Poza tym potrafimy też posługiwać się normańską francuszczyzną.].

- Nieźle. - Liam wyszczerzył zęby. - Jestem pod wrażeniem! - Wskazał głową cienki słup kopcia unoszącego się nad kamiennym kominem, po raz pierwszy w życiu poczuł miły zapach dymu drzewnego. - Tam zmierzamy?

Beki skinęła głową.

- Oui. C'est la destination. Continu tu doit, trois cents, cinquante-six pieds dans cette direction [Tak, to cel naszej podróży. Jeszcze trzysta pięćdziesiąt sześć stóp w tamtym kierunku.].

- Jużci - dodał Bob - Tamój jeszcze furlong i odnajdziem...

Liam w desperacji uniósł rękę.

- Ni w ząb nic nie rozumiem z tego, co mówicie.

- Sto dziesięć metrów stąd - wyjaśniła Beki - zaczynają się ziemie klasztoru w Kirklees, zgodnie z danymi administracyjnymi z tej epoki.

- Ach. - Liam podrapał się po żebrach, które już zaczynały swędzieć pod szorstkim materiałem. - Teraz jaśniej. Mógłbym zasugerować... żebyście mówili normalnie, gdy jesteśmy sami?

Bob i Beki spojrzeli po sobie i skinęli głowami.

- Ruszamy? - zaproponował Liam, pocierając zgrabiące dłonie. - Może uśmiechnie się do nas szczęście i ktoś ugości nas pyszną kanapką z boczkiem.

Nowy Jork rok 2001

- Co teraz? - spytał Adam.

Maddy wskazała maszynę translokacyjną.

- Przygotujemy się do ponownego otworzenia portalu za około pół godziny... do tego czasu wehikuł powinien się już naładować.

Wyglądał na zdezorientowanego.

- Powiedziałaś przecież, że do powrotu mają godzinę.

- Czas nie biegnie identycznie - odparła Sal. - Też na początku nie mogłam tego pojąć.

- Dla nich upłynie godzina - wyjaśniła Maddy - ale to wcale nie znaczy, że my też musimy czekać właśnie godzinę. Za około trzydzieści minut moc się uzupełni. Mogłabym wysłać cię w czasie do jakiegoś punktu i ustalić powrót na tydzień później. Ale już chwilę po zrzucie mogę ustawić sygnaturę czasową na tydzień później i ponownie otworzyć portal. Dla ciebie upłynie tydzień. Dla nas tutaj jedynie kilka sekund. Płaszczyzny czasoprzestrzenne nie są symetryczne. Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Rozumiem. - Skinął głową.

Odwróciła się do mikrofonu na biurku.

- Bob, wprowadź, proszę, współrzędne pierwszego okna powrotnego.

> Przyjąłem, Maddy.

- Znając ich, i tak pewnie spóźnią się na pierwsze okno - powiedziała i zaśmiała w

wymuszony sposób. - Nie wiem, po co się właściwie przejmuję.

Adam popatrzył na biurko zarzucone puszkami, pudełkami po pizzy i świstkami papieru.

- Macie tu prawie taki sam bajzel jak ja w swoim mieszkaniu.

- Ja sprzątam. To Maddy jest bałaganiarą - westchnęła Sal.

Usiadł pomiędzy dziewczynami i popatrzył na ekrany.

- Jesteście podpięci do Internetu?

- Mhm... - Maddy kliknęła myszką i zminimalizowała kilka okien dialogowych na jednym z monitorów. - Mamy tu dostęp do chyba każdej podpiętej do sieci bazy danych.

- Dobry Boże - powiedział, wskazując jeden z ekranów. - Czy to jest to, co myślę?

- Intranet Białego Domu? Tak.

- Naprawdę udało ci się włamać do ich sieci?

- Chciałabym powiedzieć, że zrobiłam to sama - odparła z uśmiechem - ale biuro terenowe zawsze było do niej podłączone. - Kliknęła klawiszem myszki. - Dla zabawy buszuję po skrzynce odbiorczej prezydenta Busha. - Zachichotała. - Lubi przysyłać kumplom zdjęcia kotów wyrabiających różne śmieszne rzeczy. Sam zobacz.

Adam parsknął śmiechem na widok dachowca śpiącego na parapecie okiennym, z wciśniętą na łepkę czapką baseballówką Yankeesów.

- To niemożliwe! - wymamrotał.

Maddy uśmiechnęła się i kliknęła myszką na skrzynce odbiorczej prezydenta: wiedziała, że znajdują się tam e-maile ostrzegające o jutrzejszej tragedii - tragedii, o której

osoba z terażniejszości nie powinna nic wiedzieć. Przynajmniej nie dzisiaj. Niepotrzebnie się jednak martwiła; mózg Adama bujał już w innych rejonach. Odwrócił się, by spojrzeć na pleksiglasową próbkę i szafeczkę z kablami na podłodze obok niej.

- To prawda, co mówiłaś? Możemy nawiązać z nimi kontakt w przeszłości?

- Mhm. Jeśli wiemy, w jakim miejscu i czasie akurat się znajdują, możemy wysłać precyzyjną wiązkę cząstek tachionowych do punktu w przestrzeni, w którym powinni znajdować się osiemset ileś lat temu. Jednostki pomocnicze są...

- Mówisz o wielkim małpoludzie i wysokiej dziewczynie, która niemal złamała mi palec.

- Tak, o nich - zaśmiała się. - Oboje potrafią wykrywać cząstki tachionowe. W ich głowy wbudowano chipy. W pewnym sensie to klony z komputerami zamiast mózgów.

- Tylko że nie mogą przesyłać zwrotnych wiązek tachionowych - dopowiedziała Sal.

- Dlaczego nie?

- Wymaga to potężnej mocy - cierpliwie wyjaśniała Maddy. - Poza tym potrzebowaliby nadajnika. Ich głowy nie byłyby w stanie pomieścić tego wszystkiego obok superkomputera.

- Jak w takim razie odpowiadają?

- Nie mogą. Działamy tu trochę w ciemno. Zawsze mamy nadzieję, że będą pamiętać o planie.

- Nie, no, mogą się z nami komunikować - zaprzeczyła Sal. - Tak jakby.

Maddy lekko się skrzywiła. Naprawdę nie chciała, żeby Adam dowiedział się za dużo o ich procedurach.

- Ostatnim razem Liam tak zrobił - ciągnęła Sal. - Odebrałyśmy od niego wiadomość pochodzącą aż z okresu późnej kred...

- Tak. - Maddy delikatnie kopnęła Sal w stopę, żeby wreszcie zamknęła buzię na kłódkę. Adam nie musi wiedzieć, jak daleko w czasie można się cofnąć za pomocą ich technologii.

- Tak. Stosowaliśmy wcześniej podobną metodę. Wykorzystywaliśmy dokument lub przedmiot dostępny dla nich w przeszłości, który później uważnie obserwowaliśmy w teraźniejszości.

Twarz Adama pokryły zmarszczki zamyślenia.

- Sądzicie więc, że właśnie taką funkcję pełni manuskrypt Voynicha? Ktoś używa go do wysyłania komunikatów agentom z przyszłości?

- Mhmm. Możliwe. Musimy się tego dowiedzieć.

Bez słowa potrząsnął głową.

- Ja tylko... to... wciąż staram się to wszystko ogarnąć rozumem.

- Ciężka sprawa. - Maddy cmoknęła. - Na początku miałam to samo.

- Ja też - przyznała Sal.

Adam uśmiechnął się szeroko.

- Wiedziałem. Przez cały ten czas wiedziałem, że... istniejecie. Że nie oszalałem. Ale to naprawdę jest absolutnie...

- Niesamowite.

Zachichotał niczym rozkoszny berbec.

- Tak. Mój Boże, dokładnie. To jedyne słowo, które jest w stanie to oddać: „niesamowite”.

- Po jakimś czasie to powszednieje - westchnęła Sal.

ROZDZIAŁ 21

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Ciekawskie oczy obserwowały ich z obu stron ścieżki - kilkunastu mnichów pielęgnujących rzadki przywiedły winorośli z rozdziawionymi ustami patrzyło, jak Liam w otoczeniu dwóch jednostek pomocniczych maszeruje piaszczystą ścieżką w kierunku wrót klasztornych.

- Pochwalony! - nieśmiało krzyknął Liam.

Jeden z mnichów upuścił na ziemię koszyk i pokuśtykał przez warzywnik do pobliskiej stodoły, dukając pod nosem jakieś łacińskie modlitwy. Pozostali pochyłili się, nerwowo zerkając na całą trójkę i zatrzymując dłuższe, tęskne spojrzenia na Beki.

W progu stał młodzieniec - mniej więcej rok młodszy od Liama - i patrzył na zbliżających się obcych, ze strachu jego oczy zrobiły się okrągłe jak pomarańcze.

- Wstu-ppu tu nie mmo-cie! - wyjąkał chłopak.

Liam przekrzywił głowę i spytał Beki:

- Czy on właśnie powiedział, że nie możemy tu wejść?

- Potwierdzam.

- Nie no, w takim razie ten staroangielski nie jest aż tak trudny. - Odwrócił się do młodzieńca w białym habicie i czarnym szkaplerzu cystersa.

- Rozumiesz... mnie? - spytał powoli.

Chłopiec przełknął ślinę, strzelając oczami najpierw na lewo i prawo, a potem w górę, na grubo ciosaną, beznamiętną twarz Boba. Wreszcie pokiwał trzęsącą się na wszystkie strony głową.

- A jużci...

„To będzie łatwiejsze niż myślałem”. - Liam rozluźnił się odrobinę.

- Szukamy człeka Cabotem nazywanego. Ludzie mówią, że tu mieszka. Znasz go?

Chłopiec zmrużył tylko oczy.

- To klasztor w Kirklees. We właściwym miejscu jesteśmy?

- Kirk-laigh - wymruczał chłopiec.

- Przecież mówię, klasztor w Kirklees. To tutaj?

Teraz młodzieniec powoli skinął głową i odrzekł:

- Jużci, Kirk-laigh.

- A Cabot? Żyje tu pośród was człek, którego zwą Cabotem?

Młody mnich znowu zmarszczył brwi.

- Informacja - mruknęła Beki.

- O co chodzi?

- Niewykluczone, że w niewłaściwy sposób wymawiasz nazwisko.

- Jak powinienem mówić?

- Spróbuj tak: „Car-boh”.

Oczy chłopca zrobiły się jeszcze większe, gdy to usłyszał.

- Szukacie wy... S-Sébastiena Cabota?

- Jużci, jego właśnie. - Liam wzruszył ramionami.

Młodzieniec drżącym palcem wskazał pokrytą strzechą stajnię po drugiej stronie ogrodu warzywnego.

- Tamój... b-brat Sébastien ko-konie oporządza.

Liam uraczył chłopca szerokim uśmiechem. -

Podziękować.

Przeszli przez warzywnik, patrząc, jak pogrążeni w milczeniu mnisi odsuwają się od nich jak od diabłów wcielonych. W klasztornej ciszy hałasowała gromadka kurczaków, które żwawo dziobały ziemię i gdały bez sensu. Ogluszający pisk zmącił spokój szarego poranka, kiedy Liam rozwarł na rozcież drzwi stodoły. Wewnątrz panowała ciemność gdzieniegdzie rozświetlana cętkami słabego światła, które przedostawało się do środka przez przerzedzoną strzechę. Usłyszał zachryple sapanie zwierząt.

- Jest li tu Say-bass-tii-en Ca-bow? - Aż wzdrygnął się na dźwięk nieporadnie wymawianych przez siebie głosek.

- Jużci! - zabrzmiał obcy głos. Zgrzytliwy i głęboki. - Komu widzieć go spieszno?

- Hmm... zwał mnie Liamem.

Usłyszał skrzypienie i szelest dobiegający z głębi ciemnych boksów, chwilę później na tle skąpego światła wpadającego przez otwarte drzwi pojawiła się postać w habitcie.

Cabot miał na sobie habit i szkaplerz cysterski, ale w niczym nie przypominał pozostałych, identycznie odzianych mnichów o bladych twarzach, którzy wciąż wystawali pomiędzy rządkami zaoranej ziemi niczym samotne zjawy. Cabot zdawał się dwa-trzy centymetry niższy od Liama, ale był zdecydowanie potężniejszy. Habit skrywał szerokie ramiona zahartowane od noszenia starych mięśni. Siwiejąca broda porastała zabliznioną, chropowatą skórę, a błotnistozielone oczy, pamiętające niejedną bitwę, płonęły pod masywnym czołem przedzielonym przez sinoróżową bliznę, biegnącą na skos przez nos i prawy policzek.

- Liam? - mruknął cicho.

- Liam O'Connor. Ale możecie nazywać mnie Liamem.

- Liam, rzeczesz? - powtórzył, ważąc imię w ustach. - Takowego przydomka jeszcze nie słyszał. - Cabot spojrział przez ramię na Boba.

- Wyglądacie mi na zawołanego woja.

- Nie - grzmotnął Bob. Huknięcie głębokiego barytonu wystraszyło konie, które zaczęły się niespokojnie wiercić w ciemności.

- Bracie Cabot, czy jest tu jakieś miejsce, w którym spokojnie porozmawiamy? Jakieś... - Liam spojrział przez ramię na twarze kilkunastu zdumionych mnichów, którzy stali bez ruchu z narzędziami ogrodowymi w rękach, z ciekawością obserwując scenę i podsłuchując, jak obcy rozmawiają z ich bratem. - Jakieś ustronne miejsce?

Cabot zerknął na Beki.

- Niewiasty nie mają wstępu do klasztoru. Bracia moi pragną oszczędzić sobie wszelakich cielesnych pokus. Stajnia musi starczyć. - Starzec skinął głową i gestem nakazał wejść do ciemnego wnętrza stajni. Na drugim końcu budynku znajdowały się cele dla gości: cztery gołe ściany kamienne, para prostych drewnianych łóżek z siennikami i małe prostokątne okno w ścianie szczytowej, przez które sączyły się mizerne przebłyski światła. Usiadł na jednym z łóżek i zachęcił gości do tego samego.

- W mrocznych tych czasach - zaczął szeptem Cabot - strach spłynął na braci moich, których jużście w ogrodzie widzieli. Zło grasuje po lasach okolicznych, cały kraj mackami swemi objęło. Tedy i z bojaźnią do obcych podchodzić musimy. - Nagle zmrużył oczy, a blizna na jego czole mocno się naprężyła. - Wiesz, jak mnie zwą Liamie z Connor. Gadajże, skądęś się wywiedział?

Liam wzruszył ramionami w obronnym geście.

- Trudno to wyjaśnić, bracie Cabot. Ale... przybyliśmy do tego klasztoru, bo otrzymaliśmy wiadomość nakazującą cię odszukać.

- Wiadomość, rzeczesz. A od kogóż to?

- I tu jest problem. Nie wiemy tego.

- Szukaliście mnie. No to i znaleźliście. Tylko jakież tego powód?

- Tego też nie jestem pewien. - Liam zrobił kwaśną minę.

Cabot potrząsnął głową, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć, potem się zaśmiał.

- Na próżności tedy się trudzili. Mam konie, które po świtanu trza oporządzić. - Poruszył się, by wstać.

Liam uznał, że najwyższa pora wyciągnąć asa z rękawa.

- Bracie Cabot, słyszeliście kiedyś o piśmie nazywanym manuskrytem Voynicha?

Cabot znieruchomiał i ponownie usiadł na łóżku. Przez kilka sekund trawił słowa Liama, lecz wreszcie potrząsnął tylko głową.

- Voynich? Nigdy o takowym rękopisie nie słyszał.

- Może w takim razie - zaczął Liam, przygryzając wargę - sami napisaliście jakiś ważny manuskrypt?

- A to dobre! - szczerze zaśmiał się Cabot. - Tedy nie wiecie, że mieczem wymachuję dużo sprawniej niżli gęsim piórem?

- A ktoś inny? Może zna brat kogoś, kto teraz pracuje nad rękopisem? Zwojem?

Zakonnik znowu potrząsnął głową.

- Od dawien dawna przechowujemy zwoje z modlitwami i kwity klasztorne. To miejsce kontemplacji i oddania się Bogu. Wszystko, com miał rzec, już wam rzekłem. Tedy... jeśli ostatnie to wasze pytanie było, proszę abyście poszli już swoją drogą - powiedział i ciężko podźwignął się z łóżka.

Liam zaklął pod nosem. Bez przekonania spróbował jeszcze jednego:

- Bracie Cabot, co wiecie na temat Pandory?

Na dźwięk tego słowa Cabot zatrzymał się jak wryty. Spojrzał na Liama, a następnie na pozostałą dwójkę. Wreszcie przemówił głosem miękkiem jak szept.

- Tedy słyszeliście o tem?

„Świetnie, co mam teraz niby powiedzieć?”. - Liam zdecydował, że jedyny sensowny pomysł to blefować na całego. Stanowczo skinął głową.

- Ależ oczywiście, bracie Cabot... wiem wszystko o Pandorze.

- A ten mąż i białogłowa? - spytał starzec, ukradkowo zerkając na jednostki pomocnicze, które przyjęły strategię Liama i zgodnie skinęły głowami.

Cabot z roztargnieniem tarł brodę, w milczeniu obserwując przybysza.

- Ani na krztynę nie wyglądasz jak członek zakonu, chłopcze. Rzekłbym raczej, że ledwoś co na giermka wyrósł.

„Zakonu? Jakiego u licha zakonu? Jezu, co teraz powiedzieć?”.

- Ale... ty wyglądasz, panie - Cabot zwrócił się do Boba. - Oczy mylić mnie nie mogą, tyś człek wojnę znający. Zgaduję, żeś niedawno wrócił?

Bob zerknął na Liama w poszukiwaniu pomocy. Irlandczyk zdobył się tylko na energiczne kiwnięcie głową, mające zachęcić Boba do odpowiedzi.

- Jużci - powoli odpowiedział Bob. - Ja... niedawno... wróciłem.

- Co wiesz o niewoli króla Ryszarda? Czy i on wreszcie powróci?

Powieki Boba przez chwilę trzepotały, zanim udzielił odpowiedzi.

- Król Ryszard wróci do Anglii za pięć miesięcy.

Cabot zaklął.

- Tedy gniew go ogarnie okrutny! Kraj w posoce się skąpie! Wyrznie wszystkich na swojej drodze, aby go odszukać. Niech Bóg nas ma w opiece, jeśli wcześniej go nie odzyskamy.

„Go?”.

Liam popatrzył na Cabota.

- Odzyskamy... err.. go? - Wystarczyłoby mu teraz choćby mgliste wyobrażenie o naturze tego, o czym mówi Cabot. Dalsze blefowanie byłoby o niebo łatwiejsze.

- Tak! Przepadł! Ludzie gadają, że porwał go Zakapturzony.

- Zakapturzony?

- Jużci! Żadne pogłoski do uszu waszych nie doszły?

Liam potrząsnął głową.

- My... dopiero cośmy wrócili.

- Z Ziemi Świętej?

Liam doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli żwawo to potwierdzi.

- Tedy i mogliście nie słyszeć. Dwie zimy temu oddział bractwa templariuszy przechowywał go w swojej pieczy. Mieli za zadanie ochronić go, wywieźć byle dalej od niebezpieczeństwa, byle dalej od Saracenów, dalej od Saladyna. Ale zostali zaatakowani w lesie w pobliżu tegoż klasztoru. Zginął kwiat naszego zakonu, grupa naszych najlepszych i najodważniejszych rycerzy.

Cabot popatrzył na małe okno.

- Giermek, jedyny, co ze szponów śmierci się wyrwał, opowiedział nam o zakapturzonym człeku. Sam jeden zaatakował on i wybił co do jednego wszystkich rycerzy i cały zastęp zbrojnych. Młodziak ocalały z rzezi mówił, że na własne oczy widział, jak ciosy lądowały wprost na kapturze diabelskiego nasienia, a szatę jego przeszyła moc bełtów i strzał. Cokolwiek się pod tą szatą kryło - a człek to nie był pewnikiem - zatrzymało się dopiero, gdy cały gościniec krwią spłynął.

- A to... Pandora?

- No przecie - rzekł Cabot - zabrał go. Porwał ze sobą słowo Boże. Już dwa roki będzie, jak słuch o nim zaginał.

„Słowo Boże?”. - Liam popatrzył na jednostki.

- Moi bracia zakonni nie wiedzą, czego bardziej lękać się im wypada - gniewu króla Ryszarda, gdy wróci, czy tej... tej zjawy nieczystej w kapturze. Ale dla mnie jasne jest jak słońce, co na niebie świeci, że to przed Ryszardem Coeur de Lion trwogę największą czuć trzeba. - Niemal wypluł z siebie przydomek Ryszarda Lwie Serce. - Sam przecie wojowałem u jego boku. Widziałem potok krwi za jego armią płynący; tysiące więźniów ścinanych dla kaprysu, niepojęte okrucieństwa, jakich dopuszczał się w imię Pana naszego. - Cabot potrząsał głową. - Lasy Anglii w pogorzelnisko zamieni, z ziemią zrówna każdą wioskę najmniejszą, a miecz swój przyłoży do gardeł kolejnych mężów, niewiast i dzieci, dopóki Graala nie odzyska. Nie troszczy się on o ten kraj.

Uwagę Cabota przyciągnęły głosy mnichów zgromadzonych przed stodołą.

- Braci moich nie raduje wasze przybycie. - Rzucił szybkie spojrzenie na Beki. - I tej dziewczki obecność w klasztorze. Niepokoi ich to. - Wstał nagle. - Powrócę tu. Ufam, iż intencje macie dobre? Nie mylę się?

- Nie przybyliśmy tu w złych zamiarach - zagrzemiał Bob.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparł Liam. Słowa te chyba uspokoiły Cabota. Patrzyli, jak kluczy w ciemności, odchodząc w stronę promieni, które wpadały przez listwy w drzwiach stodoły.

- Czy on przed chwilą powiedział: „Graal”?

- Potwierdzam - zadudnił Bob.

Beki przechyliła głowę, przeszukując bazę danych.

- Informacja: istnieje wiele historycznych powiązań templariuszy z obiektem o nazwie Święty Graal.

- Święty Graal? A co to jest?

- Według źródeł Święty Graal to puchar, z którego pił Jezus Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy. Artefakt ten ma rzekomo magiczne właściwości. - Spojrzała na niego. - To oczywiście kompletnie irracjonalne dane. Bardziej prawdopodobne, że chodzi tu o jakiś dokument religijny.

- Mamy też pliki ze szczegółowymi danymi na temat zakonu templariuszy - dodał Bob. - To zakon mnichów-rycerzy założony w celu ochrony chrześcijańskich pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej przed islamskimi najeźdźcami. Należy również pamiętać, że według wielu nieoficjalnych źródeł prawdziwym powodem powołania do życia zakonu templariuszy była chęć odnalezienia, a później ochrony Świętego Graala.

- Poczekaj. - Liam uniósł brew. - Chcesz powiedzieć, że Graal i Pandora to jedna i ta sama rzecz?

Obie jednostki pokiwały głowami.

- Istnieje taka możliwość - dodała Beki.

Liam zmrużył oczy.

- Chyba właśnie spóźniliśmy się na pierwsze okno powrotne.

- Zostały dwie minuty i dwadzieścia siedem sekund.

- Trudno, nie ma potrzeby, żebyśmy pędzili teraz jak wariaci przez pole. Spokojnie zdążymy na jutrzejszy portal. Jeśli brat Cabot zaproponuje nam nocleg, może uda nam się wyciągnąć z niego więcej informacji na temat Świętego Graala.

ROZDZIAŁ 22

Nowy Jork rok 2001

Wszyscy troje w milczeniu wpatrywali się w falujący na środku podłogi obraz.

- Czy to... czy widzę tam niebo? - spytał Adam, wlepiając zmrużone oczy w połyskujący miraż, który przywodził na myśl taflę wody migającej głęboko w studni: tańczące, błyszczące, drgające odbicie zwiastujące coś więcej niż na pierwszy rzut oka.

- Tak - powiedziała Maddy. - To chyba jakieś pole.

- Dobry Boże! - wyszeptał. - Widzę więc pole i-i... niebo sprzed dziewięciu wieków!

- Tylko Liama i jednostek pomocniczych nie widać - trzeźwo zauważyła Sal.

- Okej. - Maddy wróciła do biurka i nacisnęła przycisk. - Było otwarte wystarczająco długo. Postanowili tam przenocować.

Portal w mgnieniu oka zniknął.

- Nienawidzę, gdy tak się dzieje - powiedziała Maddy. - Szkoda, że nie mogą nas zwyczajnie poinformować, co zamierzają. - Dotknęła mikrofonu na biurku, by obudzić zainstalowaną w komputerze sztuczną inteligencję.

- Bob?

> Słucham, Maddy.

- Rozpocznij ładowanie dwudziestoczworgodzinne okna.

> Potwierdzam.

Adam podszedł do biurka.

- Mówiłaś przecież, że mogą się z nami skontaktować w pewien sposób. Jak to nazwałaś?

- Dokumentem zrzutowym.

- Właśnie. Może w takim razie mogliby użyć manuskryptu Voynicha? Wiesz... gdyby udało im się go znaleźć?

- Nie! - Zaprzeczyła ruchem głowy. - Nie mogą. - Przycisnęła okulary do grzbietu nosa. - Skoro ty złamałeś szyfr, równie dobrze może to zrobić ktoś inny. Zresztą, jeśli inna drużyna rzeczywiście posługuje się rękopisem, a my zaczniemy nadpisywać ich wiadomości, może to wywołać prawdziwe komplikacje.

- No dobra - odpowiedział. - A co z nagrobkami?

- Hmm? - Sal i Maddy popatrzyły na niego pytająco.

- No nie chodzi mi przecież o zwykłe groby, tylko o te na cmentarzu klasztornym w Kirklees. Tam je widziałem.

- Co widziałeś? - spytała Sal.

- Kamienne stele nagrobne z inskrypcjami. Jest tam kilkadziesiąt płyt pamiętających czasy budowy klasztoru. Łatwo je odszukać, wystarczy trochę popracować łopatą.

- Sugerujesz, żebyśmy wybrali się do Anglii i zbeczęścili jakiś cmentarz...

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział spokojnie. - Byłem tam. Wiele lat temu, gdy

już ten cały rozgłos wokół Voynicha zelżał. Chciałem dowiedzieć się, dlaczego Kirklees jest takie wyjątkowe. Pojechałem tam więc i sam wy badałem sprawę. Oczywiście okazało się, że na miejscu nie ma nic szczególnego. Stary budynek klasztorny i strzeżony ogród gęsto porośnięty chwastami, jeżynami i parzącymi pokrzywami. Odkryłem jednak kilka kamiennych płyt, niektóre były pokryte łacińskimi inskrypcjami. Nagrobki są - co prawda - w większości przewracane i zniszczone, ale za to dobrze zakonserwowane - wciąż można odczytać niektóre napisy. Zrobiłem kilka zdjęć.

- I co? - Maddy się zaśmiała. - Sugerujesz, żeby ryli w nich wiadomości?

- Czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Mogłoby się udać, nie sądzisz? Jeżeli wyrycie wiadomości w płycie wywoła falę czasową, to pod wpływem takiego drobnego przesunięcia zmieni się też prawdopodobnie obiekt na zdjęciu. - Błądził wzrokiem od Maddy do Sal, potem utkwiał spojrzenie w starszej dziewczynie. - Czy już wszystko poplątałem?

Maddy przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu, po czym strzeliła palcami.

- Tak... tak, to chyba mogłoby zadziałać! - Rzuciła szybkie spojrzenie na Sal. - Jeśli... zajdzie taka konieczność. Ale wiecie co? Nie pozwolę, żeby Liam po raz kolejny zgubił się gdzieś w zakamarkach historii. Nie tym razem. - Popatrzyła na ekran maszyny translokacyjnej, po którym przesuwał się pasek ładowania.

- Za trzydzieści minut ponownie otworzymy portal. Jestem pewna, że będą już tam na nas czekali.

ROZDZIAŁ 23

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

W stajni rozległy się odgłosy szurania i niespokojne prychanie koni, po chwili dało się

słyszeć pukanie do drewnianych drzwi.

- Kto tam?

- Niosę wam strawę - odezwał się głos Sébastiena Cabota.

- Ach! - Przez ostatnią godzinę żołądek Liama kurczył się z głodu. Krótki zimowy dzień upłynął tak szybko, że nie mieli okazji ponownie porozmawiać z Cabotem na osobności. Liam zaczął się powoli zastanawiać, czy dzięki spędzeniu nocy w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku uda im się dowiedzieć czegoś nowego.

Zerwał się niecierpliwie i otworzył drzwi prowadzące do kwater gościnnych.

Młody mnich, którego dziś rano spotkali w bramie klasztoru, postawił przed nimi kilka drewnianych mis i bochen chleba. Tuż za chłopcem do komnaty wszedł Cabot niosący kolejną misę i dzban z napitkiem, który chlupotał pomiędzy ściankami naczynia, gdy mnich stawiał je na klepisku.

- Gorący rosół na mroźny dzionek - oznajmił - i kapka miodu na rozgrzanie członków.

Cabot odprawił chłopaka i usiadł na jednym z drewnianych łóżek. W blasku świec wyglądał dużo starzej niż rano. Pofałdowana skóra twarzy, zmarszczki i podłużna, spora, krzywa blizna zdradzały długi żywot i niewiele tylko lat spędzonych w tym odizolowanym i wymarłym miejscu.

- Bracia moi niczym stare baby cały dzień na plotkowaniu przepędzili, miast kontemplacji i modlitwie się oddać.

Liam chwycił jedną z mis i łąpczywie zanurzył kawałek chleba w gęstym wywarze.

- Wcześniej nam rzekliście, bracie Cabot, że walczyliście u boku króla Ryszarda.

- Juźci. - Skinął głową.

- W prawdziwej bitwie?

- I to niejednej, chłopcze.

- Ale przecież jesteście cystersiem. Nie sądziłem, że mnisi wyruszają na wojny, by walczyć w bitwach.

Cabot spojrzał na niego uważnie.

- Nie od zawsze przecie do tego zakonu należałem. Będzie już dwie zimy, kiedym wystąpił z zakonu templariuszy.

- Byłeś rycerzem templariuszem? - spytała Beki.

- Nie rycerzem - odrzekł. - Nie jestem szlachetnie urodzony. Byłem zbrojnym.

- Zbrojnym? - dopytywał się Liam, odrywając z bochna kolejny kawał chleba.

- Informacja - powiedział Bob. - Zbrojny: nisko urodzony zawodowy żołnierz wykonujący również funkcje pomocnicze w zakonie, takie jak konserwacja opancerzenia i innej własności.

Cabot podejrzliwie zmrużył oczy.

- Coś osobliwego widzę w tobie, panie.

Bob wytrzymał spojrzenie, po czym wyszczerzył garnitur zębów w serdecznym uśmiechu.

- Wojowaliście więc z Ryszardem?

- Na ostatniej krucjacie, a jakże. - Cabot potrząsnął głową z tęsknym wyrazem twarzy.

- Najsmutniejsza to rzecz. Całe dziesięć wiosen w Ziemi Świętej spędziłem na służbie u templariuszy, z czego pięć tylko jako takiego spokoju było. Boć gdy Saladyń Jeruzalem

zdobył, zapanował pokój.

Liam pokiwał głową. Zanim wyruszyli, Adam dał im solidny wykład z historii. Saladyn ze swoją wielką armią oblegał mury Jerozolimy w tysiąc sto osiemdziesiątym siódmym roku. Miasto upadło. Po niemal dziewięćdziesięciu latach panowania chrześcijan, znowu trafiło w ręce muzułmanów. Saladyn postąpił jednak chytrze - zamiast wyrżnąć w pień wszystkich chrześcijan, ogłosił, że wszyscy niewierni mogą pozostać w mieście i praktykować swoją wiarę. Pielgrzymi z Europy mogli od teraz bez przeszkód odwiedzać miasto i czcić święte dla nich miejsca. Zrobił to z nadzieją, że złagodzi w ten sposób gniew władców europejskich, rozwścieczonych po upadku świętego miasta. Nie wziął jednak pod uwagę charakterów króla Ryszarda i króla francuskiego Filipa II. Obaj pałali żądzą wygrywania bitew i przechadzania się w blasku chwały, obaj też szukali dobrego pretekstu. Trzecia wyprawa krzyżowa była jedynie chępliwą próbą odzyskania Jerozolimy oraz Akry i Jaffy - największych miast zdobytych przez Saladyna.

- Ale król Ryszard utopił Ziemię Świętą w potokach krwi, jakich nigdy nie widział. - Oczy Cabota zabłysły w ciemności. - Wziął Akre. Saracenowie pokornie ukorzyli się przed nim, lecz on kazał ich wszystkich, bez wyjątku, ściąć. Z odrąbanych głów utworzono wzgórze. Wzgórze to po jakimś czasie wypełniło fosę i rozlało się na równinę.

Liam popatrzył na kartofla podskakującego w zupie, ale głód go chyba nagle opuścił. Cabot westchnął.

- Mniemam, że król Ryszard nie przybył, aby Akre wyzwalać, ani nawet Jeruzalem. Pragnął zdobyć to, co zostanie.

- Zostanie?

- Jużci, to, co zostanie, gdy Saladyn Jeruzalem i Akre w pośpiechu opuści. - Mnich zmrużył oczy. - Ale wy już wszystko wiecie. - Uśmiechnął się kwaśno. - Pierwej mówiliście, że do bractwa należycie. Widzę jednak, że prawdą to nie jest. - Popatrzył na Boba. - Nielichą posturę macie, ale o zachowaniu templariusza nic nie wiecie. Rzeknijcie mi, jakeście usłyszeli o najpilniej strzeżonej tajemnicy zakonu? - Cabot znowu popatrzył na Liama. - Jakeście usłyszeli o... Pandorze? Kimże, na miły Bóg, jesteście?

Liam bezradnie zerknął na jednostki, ale obie odpowiedziały mu tylko tępym spojrzeniem.

„Cudownie”. - Odłożył miskę rosółu na klepisko.

- My... Chyba będzie najlepiej, jeśli powiem prawdę.

- Myślę, że tak właśnie uczynić powinienes - przytaknął Cabot.

- Przybyliśmy z... bardzo daleka. Przybyliśmy tu, by odnaleźć dokument nazywany manuskrytem Voynicha. Dziwnie to może zabrzmieć, ale wasze imię jest z nim powiązane. Z jakiegoś powodu znalazło się w nim nazwisko Cabot.

- Alem ja nic nigdy o nim nie słyszał!

- Wiem - przytaknął Liam. - Wiem. Wierzę. Ale w manuskrypcie jest mowa o innej jeszcze rzeczy. - Zerknął na jednostki pomocnicze, żadna nie miała chyba zamiaru przerywać.
- O Pandorze, którą w naszej wcześniejszej rozmowie nazwałeś też słowem Bożym.

Cabot nie kwapił się do odpowiedzi.

Liam postanowił go przycisnąć.

- Użyłeś też określenia Święty Graal.

- Nie mogę z tobą o tem mówić. To sprawa templariuszy. Niczyja więcej.

- Już nie... - Liam nie powstrzymał ironicznego uśmiechu. - Mówiłeś, że twoi bracia go stracili.

- Nie mogę o tem rozmawiać. - Cabot z uporem zaciskał wargi.

- Przecież już rozmawiałeś. - Liam nachylił się nad mnichem. - Sądzę, że to Graala

musimy odszukać. A skoro jakiś bandyta odebrał go braciom templariuszom, to może uda nam się pomóc?

Cabot zaśmiał się na te słowa.

- Wasza trójka? Zamierzacie wytropić Zakapturzonego w lasach Nottingham i Graala mu odebrać?

- Potwierdzam - odrzekł Bob.

Starzec przestał się śmiać i wlepił wzrok w migający płomień stojącej między nimi świecy.

- Są głupcy, którzy wygadują, że to diabeł wcielony. - Cabot wzruszył ramionami. - Wielu ludzi, głodujących ludzi, poszło za nim do lasu. Podążyli za nim jak za królem, jak za Bogiem, bo strzały się go rzekomo nie imają, bo na poborców podatków napada. Walka przy jego boku przynosi srebro i zapewnia strawę. Powiadają, że wielka jest jego siła, że gołymi rękami męża na pół rozerwać potrafi. Że biega z szybkością rączego rumaka... a co najważniejsze, że jest nieśmiertelny, nie może zostać zabity. - Na twarz Cabota wypłynął cierpki uśmiech. - Ciężkie i niespokojne czasy nadeszły, to nie dziwota, że ludzie różnie bajdurzą. Biedni i głodni chłopci spragnieni są takowych o diabłach opowieści. - Cabot westchnął. - Pewności nie mam, czy w gawiedzi bajdurzeniu choć ziarno prawdy się kryje, lecz prawda o Zakapturzonym jest taka, że podburza on biednych i głodujących. A na domiar złego - ma Graala.

Liam powoli przeżuwał ciepły, wymaczany w rosole chleb.

„Wystarczająco silny, by rozerwać człowieka?”. - Spojrzał na Boba. - „Czyżby inna jednostka pomocnicza? Inna drużyna w tej samej lokalizacji?”.

Cabot nagle spojrział na Boba i Beki.

- A wy dwoje? Głodu nie czujecie?

Oboje potrząsnęli głowami.

- Jesteśmy najedzeni - oznajmiła Beki.

Liam odchrząknął.

- Pytałeś, kim jesteśmy, bracie Cabot.

- Mów śmiało.

- Przybyliśmy z tego samego miejsca co Zakapturzony.

- Czyżbyście go znali? - Cabot popatrzył chłopcu prosto w oczy.

- Nie. Ale chyba wiem, czym jest.

- Powiedz.

- Nie jestem pewien, czy mam prawo, bracie Cabot... To bardzo skomplikowane. Ale wiem, że gdy wytropimy go w lasach... to z odpowiednim wsparciem w postaci oddziału zbrojnych - Liam zerknął na jednostki pomocnicze - moi przyjaciele zmusiliby go do zwrócenia tego, co zabrał.

Cabot przez dłuższą chwilę przypatrywał się im w milczeniu.

- Nigdy nie spotkał kogoś takiego jak wy. Dostrzegam w was osobliwy jakiś, niepokojący pierwiastek. W połowie niemal jużem wam zawierzył.

- Bracie Cabot - odparł na to Liam, szczerząc zęby - nie ma brat pojęcia, jak bardzo osobliwi jesteśmy.

Zakonnik wyczuł w słowach chłopaka ironię, więc też odpowiedział uśmiechem.

- Jest pewien człek, do którego zabrać was chce ta połowa mego umysłu, która już

wam zawierzyła. Człeka tego bardzo frasuje rosnąca na tych ziemiach anarchia... a jeszcze bardziej martwi go, że spadnie nań gniew króla Ryszarda, który szybko wywie się po powrocie, iż Graal przypadł. Jeśli dostrzeże w was szczerą intencję, jeśli uwierzy, że Graala zdołacie dlań odzyskać, wtenczas bez wahania wspomóż was w waszych poczynaniach.

- Kto to?

- Człek, któregoś uczył, jak mieczem robić, gdy jeszcze mleko miał pod nosem. Szermierz z niego marny pod każdym względem. Aleć serce ma dobre. W większej części.

- Kto to?

- Młodszy brat króla, Hrabia Kornwalii i Gloucester. Zwą go też Janem bez Ziemi.

ROZDZIAŁ 24

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Liam obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy jakiś mnich nie wyszedł za nimi z ogrodów klasztornych na pole. Przeszli przez pagórek i znaleźli się poza zasięgiem wzroku.

Ten poranek był równie szary i ciemny, równie zimny i ponury, co wczorajszy. Na szczęście, jak na zawołanie, powietrze przed nimi załśniło. Dostrzegł, że Maddy, Sal i ten Anglik, Adam, stoją w półmroku bazy, która faluje jak kozuch ropy na pomarszczonej wodzie.

Przeszli przez okno, a kilka chwil później znowu otoczyła ich duchota panująca w bazie pod znajomym łukiem. Liam pocierał ramiona, rozkoszując się ciepłem. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny w zasadzie nie przestawał dygotać z zimna.

Adam w bezgłośnym zdumieniu kiwał głową, zachwycony powrotem agentów.

- No i? - spytała Maddy.

- Odnaleźliśmy Cabota, w rzeczy samej - odpowiedział Liam. - Ale możemy z tym poczekać? Marzę o kubku gorącej herbaty.

- Jasne.

- Może też coś na ząb?

Maddy spojrzała na zegarek. Dzień powoli miał się ku końcowi. O tej porze, w poniedziałkowe późne popołudnie, większość kawiarni i restauracji była wolna od tłoku.

- Właściwie, dlaczego nie? Ale lepiej się przebierzcie. Wyglądacie jak banda wyznawców Hare Kriszny.

Nowy Jork rok 2001

- Cabot zaproponował, że zabierze nas na spotkanie z tym całym Janem.

Adam tak gwałtownie opuścił rękę, że trzymany w niej widelec głośno zabrzączał o talerz z sałatką.

- Janem? Janem bez Ziemi? Nikczemnym królem Janem?

- Tak, chyba o tego gościa chodzi. - Liam skinął głową.

- Mój Boże! - wydyszał. - To jest... Chciałbym... - Odwrócił się do Maddy. - Powinienem jechać. Powinienem pojechać razem z nim i dwoma, hmm... - Adam popatrzył na Boba i Beki, którzy siedzieli naprzeciwko, ramię przy ramieniu, chlepcząc podany w misce bulion.

- Z Wielkim Małopoldem i Psycholaską? - upewniała się Maddy.

Skulił się z poczuciem winy, ale skinął głową.

- Przykro mi, to niemożliwe. Straciłam już rachubę, ile protokołów złamałam, pozwalając ci uczestniczyć w tej misji. Nie ma mowy. Nie wyślę cię razem z nimi w czasie.

- Ale znam tę historię jak mało kto. Mam ją w małym paluszku. Przeczytałem...

- Nie, nie ma mowy. Nie mogę pozwolić sobie na takie ryzyko. Wolę nie myśleć, co powiedziałby Foster, gdyby wiedział, co tu się wyprawia!

- Foster?

- Wyjaśnię ci później. - Urwała dyskusję i zwróciła się do Liama. - Sądziś, że o to właśnie chodzi w tej wiadomości: „Szukaj Cabota w Kirklees”? Ktoś użył manuskryptu Voynicha i - zerknęła na młodego Anglika - posłużył się Adamem, aby przekazać nam tę konkretną informację? A wszystko po to, żebyśmy mogli odzyskać Świętego Graala...

- Pandorę? - spytała Sal.

- Pandorę... Świętego Graala, na jedno wychodzi - rzuciła Maddy i wróciła do odpytywania Liama. - Czyli teraz planujesz odzyskać ten dokument, zwój, księgę - cokolwiek to jest - od zamaskowanego rabusia, który, jak podejrzewasz, jest jednostką pomocniczą z innej drużyny Jeźdźców w Czasie?

- Tak to mniej więcej wygląda - przytaknął Liam.

Sal oparła podbródek na dłoni.

- A jeżeli Graal miał zostać zgubiony? Przecież właśnie dlatego obrósł taką legendą. Bo zniknął.

- Chcesz, żebyśmy odpuścili? - odrzekł Liam. - Pozwolili mu zagać na dobre?

- Tak. Rozejrzyjcie się wokół siebie... historia jakoś diametralnie się nie zmieniła, pojawił się tylko kiepski film z DiCaprio oparty na historii Adama. Może tym razem powinniśmy sobie odpuścić.

- Brat Cabot nazwał go słowem Bożym. - Liam ugryzł kęs hamburgera. - Jak dla mnie brzmi to całkiem poważnie. Zresztą, jeśli król Ryszard wróci i dowie się, że ktoś buchnął jego Graala, bo jego braciszek nie potrafił zapewnić ładu w ojczystej Anglii ani zabezpieczyć relikwii, to według Cabota Ryszard zabije Jana.

- Hmm, chyba masz rację. Jest jeszcze jeden problem - powiedziała Maddy. - Jeśli faktycznie inna jednostka szaleje tam teraz w amoku, to ryzyko kontaminacji jest naprawdę wysokie. Nie możemy sobie od tak umyć rąk, Sal. - Odwróciła się do Adama. - Ty tu jesteś ekspertem z historii, co się dzieje z królem Ryszardem? Jaka jest sytuacja w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku?

- Krucjata króla Ryszarda zakończyła się klęską w tysiąc sto dziewięćdziesiątym drugim - zaczął wyjaśniać Adam. - Władca nie miał wystarczająco dużych sił, aby zdobyć i utrzymać Jerozolimę. Kiedy zyskał absolutną pewność, że Saladyn i tak bez trudu odbije miasto, uznał, iż oblężenie jest daremne. Zawarł więc rozejm z Saladynem i rozwiązał armię krzyżowców, którzy falami wyruszyli w drogę powrotną do domów. Sam Ryszard postanowił wrócić do Anglii drogą morską, lecz jego statek rozbił się u wybrzeży Malty, co zmusiło go do pokonania reszty dystansu lądem. Niestety szczęście wciąż mu nie sprzyjało, szlak po Europie wiódł przez ziemie księcia, który żywił do niego dawną urazę. Ryszard trafił do niewoli. Przesiedział w lochu osiemnaście miesięcy, czekając na pieniądze, które pozwolą mu wykupić się z niewoli. A więc w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym Ryszard musiał właśnie wydostać się na wolność lub niedługo to zrobi. Na brzegach Albionu wyląduje w bardzo złym nastroju, bo jego krucjata okazała się jedną wielką katastrofą, a Anglia przeobraziła się w bankruta na skraju rebelii.

- Okej, czyli radosny jak skowronek to on teraz nie będzie - podsumowała Maddy.

- Ale zdobył to, po co wyruszył - zauważył Liam. - Graala.

- Tylko po to, żeby ponownie stracić go w Anglii, o co obwini swojego brata.

- Jeżeli Jan zostanie zabity - rzekł Adam - może to wywołać głębokie zmiany. Brak Jana, to brak króla Jana... co z kolei oznacza brak Wielkiej Karty Swobód.

Pozostali popatrzeli na niego, jakby chcieli zapytać „No i co?”.

- No nie! Magna Charta Libertatum, czyli Wielka Karta Swobód to fundamentalny dokument dla angielskiego prawa! Ten dokument definiuje nasz kraj. - Spojrzał na Maddy. - A w pewnym stopniu definiuje też Amerykę.

- O Boże! Masz rację! Tak poważne przesunięcie może wywołać falę, zmienić rzeczywistość. - Rozejrzała się po restauracji, dość ekskluzywnej zresztą. Wybrał ją Adam i zaoferował, że zapłaci za lunch swoją złotą kartą American Express. Ciszę mącił jedynie brzęk naczyń dobiegający zza drzwi wahadłowych do kuchni. W restauracji siedzieli tylko oni i kilku biznesmenów po drugiej stronie pomieszczenia. Maddy wyjrzała przez niebieską szybę na ulicę.

- Musimy iść tym tropem - odezwała się wreszcie. - Jeżeli Cabot pragnie zabrać cię na audiencję do króla Jana...

- Jeszcze nie jest królem - zauważył Adam.

Maddy wzruszyła ramionami i ciągnęła niespieszona.

-... to sugeruję trzymać się tego tropu. Bo... dzieje się tam coś niepokojącego. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby nas tam ściągnąć i podsunąć tego Cabota. Wiadomość o Pandorze...

- Maddy? - Sal uniosła głowę znad talerza. - Dlaczego Pandora jest dla ciebie taka ważna?

„Zamierzasz im teraz powiedzieć?”. - Stary dylemat powrócił. „Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu”, tak właśnie napisano na kratce. Uważaj na siebie... nie powtarzaj nikomu. Ale Sal i Liam mogliby się dowiedzieć. Przecież nie znajdą się w żadnym

niebezpieczeństwie, jeśli podzieli się z nimi tą wiedzą.

Teraz Liam uważniej spojrział na dziewczynę.

- Maddy? Co się dzieje?

Z drugiej strony Adam Lewis to tak naprawdę ktoś nieznajomy, nawet jeśli jest tylko nieszczęśliwą ofiarą, która przez przypadek wdepnęła w tę kabałę. Im mniej wie, tym lepiej.

- Adamie, zostawisz nas, proszę, na kilka minut?

Wyglądał na urażonego, ale skinął głową na znak aprobaty.

- Dobra. W takim razie... hmm... pójdę uregulować rachunek.

Odprowadziła go wzrokiem, patrząc jak przechodzi przez opustoszałą restaurację, po czym odwróciła się do pozostałych i zniżyła głos.

- Ukrywałam coś przed wami, przepraszam.

- Co?

- Liamie, pamiętasz naszą wyprawę do San Francisco, do tysiąc dziewięćset szóstego roku, po nowe zarodki klonów?

- Tak.

- W skrytce bankowej znalazłam napisaną odręcznie i zaadresowaną do mnie wiadomość. - Wzięła głęboki oddech, wciąż nie do końca przekonana, czy postępuje słusznie.

- Ktoś ją nabazgrał właściwie. Kimkolwiek był autor, musiał się bardzo spieszyć.

- No, co tam było napisane? - Sal poruszyła się niespokojnie.

- Okej, okej - uspokoiła dziewczynę. - To leciało tak: „Maddy, uważaj na Pandorę,

ucieka nam czas. Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu”.

Liam i Sal wymienili spojrzenia. Bob zmarszczył brwi, Beki z namysłem przekrzywiła głowę.

- To ostrzeżenie - wyjaśniła Maddy. - Szczególnie się nad tym nie zastanawiałam, gdy mieliśmy na głowie dinozaury. Zresztą, chyba próbowałam to od siebie odepchnąć. Staralam się za dużo o tym nie myśleć. - Zawiesiła głos i spojrzała na Adama, który czekał aż kelner zaakceptuje płatność kartą American Express. - Ale później nasz przyjaciel rozszyfrował wiadomość.

- Teraz to wszystko zaczyna mieć ręce i nogi - rzekł Liam. - Dlatego tak bardzo naciskałaś, żebyśmy wybrali się na zwiad.

- Przepraszam. - Potrząsnęła głową. - Bardzo przepraszam, że nie podzieliłam się tym z wami wcześniej. Ale autor notatki napisał, żeby nikomu o tym nie mówić. Nie wiedziałam, co mam robić...

- Nic się nie stało - uspokoiła ją Sal. - Ważne, że już o tym wiemy. Jest okej.

- Właśnie - potwierdził Liam, wyginając wargi w półuśmiechu. - Jeszcze jakieś sekrety?

Potrząsnęła głową i westchnęła.

- Wystarczy ten jeden.

Adam Lewis zapłacił rachunek w kasie i szykował się do powrotu.

- Pamiętajcie, że to wszystko musi zostać między nami. To sprawa Agencji. Rozumiemy się?

Pozostali skinęli głowami.

Adam z wahaniem podszedł do stolika.

- Już mogę bezpiecznie wrócić?

Maddy skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Załatwione. Powinniśmy się zbierać. Czeka nas sporo pracy.

ROZDZIAŁ 25

Nowy Jork rok 2001

Liam z uznaniem pokiwał głową, patrząc na nową bieliznę termoaktywną.

- Wygrzebałam ją w sklepie sportowym - odezwała się Sal. - Nałóżcie to pod wierzchnie ubrania, żeby zachować ciepło.

- Dzięki - odpowiedział, wpychając bieliznę do plastikowego worka.

- Tym razem też odprułam metki - dodała. - Ale... lepiej się z tą bielizną nie afiszujcie. To współczesny materiał.

- Jasne.

Do stojących przy długim stole kuchennym przyjaciół dołączyła Maddy.

- Wysyłamy was kilka minut po dacie ostatniego powrotu, aby uniknąć zderzenia tachionowego. - Wymieniła z Liamem spojrzenia. - Drugi raz nie popełnię tego samego błędu - wymruczała kącikiem ust. - Okej - podjęła, odwracając się do Adama. - Adamie... powiesz Liamowi i tej tu parze o swoim pomysśle? - Machnęła palcem w stronę Boba i Beki, którzy

stali na końcu stołu wyprostowani jak wartownicy... w samej białej bieliźnie.

Adam skinął głową.

- Znaleźliśmy sposób na utrzymywanie stałego kontaktu...

- Przecież Maddy mówiła, że nie możemy używać manuskryptu Voynicha - odrzekł Liam.

- Nie będzie takiej potrzeby. W Kirklees znajduje się cmentarz wybudowany w tym samym czasie co klasztor. Byłem tam osobiście i cały przetrząsałem. Znalazłem setki pokruszonych steli nagrobnych zakopanych pod kępami jeżyn, pokrzyw i chwastów. Znajdziecie je tam, jeśli dobrze poszukacie. Kilku zrobiłem serię zdjęć. Szczególnie zaintrygowała mnie kamienna płyta, która stanowiła część nagrobka niejakiego Roberta Hasketta, zmarłego w tysiąc sto dziewięćdziesiątym drugim roku. Teraz już oczywiście nie żyje. - Zmarszczył czoło. - Poprzez „teraz” mam oczywiście na myśli punkt, w którym...

Liam cmoknął niecierpliwie i machnął ręką.

- Nie martw się, ja też często się gubię z „teraz” i „wtedy”.

- Powinien więc już leżeć - ciągnął Adam - pod świeżo wykutym nagrobkiem. Musicie go tylko odszukać.

- Pytanie - odezwała się Beki, unosząc palec.

- Tak? - Oczy Adama rozblęły na widok jej wyrzeźbionego ciała. Szybko odwrócił zawstydzoną twarz z zaróżowionymi policzkami. - Hmm... o co chodzi... Beki?

- Nie chcesz chyba, żebyśmy komunikowali się w otwarty sposób? Ryzyko kontaminacji jest zbyt duże.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Posłużymy się szyfrem. Najlepiej jakimś niepozornym kodem, który ładnie wkomponuje się w kamienną stelę tak, żeby wyglądać niemal jak

ornament.

- Znasz taki kod? - drażyla Beki.

- Tak. Co prawda nie ja go stworzyłem, ale możemy go odrobinę zmodyfikować. Macie jakąś kartkę papieru?

Sal szybko podbiegła do biurka z komputerami, a po chwili wróciła z notatnikiem i długopisem.

- Dzięki. Dobra, to szyfr masoński. Nazywa się go też szyfrem pigpen lub szyfrem chlewikowym. - Na kartce naszkicował siatki złożone z linii i kropek, po czym wypełnił je literami alfabetu.

- Teraz wystarczy każdą literę wiadomości zastąpić fragmentem siatki, gdzie umieszczono daną literę. Pokażę wam to na przykładzie.

Na kartce zapisał zaszyfrowaną wiadomość. Liam nachylił się, by dobrze przyjrzeć się symbolom. Nic dla niego nie znaczyły i, dokładnie jak mówił Adam, tworzyły raczej nieciekawego wzorek.

- Teraz uważajcie... weźmy na przykład literę „X”. Widzicie już, w którym miejscu szyfru się znajduje? W której siatce ją umieściłem? Tak, jest w dużym ukośnym krzyżu z kropkami pośrodku - w lewej ćwiartce. Widzicie już? - Agenci zgodnie przytaknęli. - Teraz popatrzcie na zakodowaną wiadomość: pierwszy symbol odpowiada właśnie temu fragmentowi siatki pigpen z literą „X”. Czyli mamy pierwszą literę zaszyfrowanej wiadomości. To „X”. Kto odgadnie, jaka jest druga litera?

- To „S” - błyskawicznie zareagowała Sal.

- Tak jest. Złapałaś. No już, zobaczymy, czy uda ci się rozszyfrować resztę.

Sal porwała długopis z biurka i z uśmiechem na twarzy szybko i bez wyraźnego trudu odszyfrowała całą wiadomość.

- No proszę - pochwalił Adam. - Bułka z masłem.

Liam podniósł rękę.

- Ale, hmm... przecież to szyfr wolnomularzy. Każdy mason, który natknie się na ten szyfr na cmentarzu z łatwością przetłumaczy naszą wiadomość.

- Zgadza się, i właśnie dlatego musimy poddać go lekkiej obróbce. Wywrócę układ liter w ten sposób... Adam ponownie rozrysował tę sama siatkę, ale tym razem wypełnił ją literami w przypadkowym porządku.

- Jeżeli będziemy zostawiali jedynie bardzo krótkie wiadomości, tak aby nie można było zastosować technik analizy częstości, złamanie szyfru będzie możliwe tylko przy użyciu potężnej mocy obliczeniowej.

- Technik analizy częstości?

Adam chciał już wyjaśnić to pojęcie Liamowi, ale Maddy szybko mu przerwała.

- Może innym razem - powiedziała, podnosząc kartkę papieru przed oczy jednostek, aby uważnie ją sobie obejrzały. - Zapamiętacie ten układ?

- Potwierdzam - odpowiedział Bob, pochylając się trochę. - Właśnie zapisałem obraz cyfrowy.

- Potwierdzam - jak echo powtórzyła Beki.

- Świetnie. Mamy więc nową metodę komunikacji. - Włożyła kartkę do tylnej kieszeni dzinsów, żeby jej nie zgubić. - Dacie nam znać, gdzie i kiedy udostępnić portal. Postąpimy według standardowej procedury, otwierając kolejne okna w odstępach dnia, tygodnia i dwóch tygodni, no i oczywiście zostaje okno krytyczne po sześciu miesiącach.

- Co tak krytycznego jest w sześciu miesiącach? - spytał Adam.

- Głowy Boba i Beki wylecą w powietrze.

- Co? Czy właśnie powiedziałaś...?

- To środek bezpieczeństwa, technologia komputerowa nie może wpaść w niepowołane ręce. - Maddy zmarszczyła nos. - Więcej przy tym skwierczenia niż prawdziwej eksplozji. Przepalą im się obwody.

- Aha.

Wróciła do odprawy.

- No, to tak wygląda harmonogram aktywacji okien, Liamie, ale... ponieważ nie mamy klarownego planu misji, prawdopodobnie sam będziesz musiał wyznaczyć termin i miejsce ekstrakcji. Okej?

- Jasne - potwierdził Liam. - Czyli mówisz, że masz te zdjęcia?

- Tak - przytaknął Adam. - Chociaż nie przy sobie - powiedział, odwracając się do Maddy. - Są w moim mieszkaniu. Na twardym dysku. Najpierw muszę je przynieść.

Dziewczyna przygryzła wargi.

- W takim razie Sal lub ja pójdziemy po nie razem z tobą.

- A jeśli okaże się, że akurat tego grobu na cmentarzu nie będzie? - spytała Sal.

- Ale powinien być - odrzekł Adam.

Maddy wydeła policzki.

- Hmm, słuchajcie: jeżeli z jakiegoś powodu okaże się, że nagrobek nie istnieje, wróćcie pierwszym zaplanowanym oknem. Trzeba zachować ostrożność. Nie jedźcie na audiencję do księcia Jana, dopóki nie zyskacie pewności, że potraficie nawiązać z nami kontakt.

- Rekomendacja. Pierwsze zadanie podczas misji: zlokalizowanie nagrobka i wysłanie wiadomości testowej - rzekł Bob.

- Zgadza się - odrzekła Maddy. - Jesteś bardzo rozsądny, Bob - pochwaliła go i rozejrzała się po twarzach zgromadzonych.

- To chyba wszystko. - Uśmiechnęła się. - Wyruszamy zapolować na przedmiot, o którego naturze i miejscu przechowywania nie wiemy niemalże nic, poza tym, że ukradł go i uciekł z nim do lasu jakiś drań w kapturze. Czyli nic nowego, wdepnęliśmy w nieznanne bagno i sami nie wiemy, co wyprawiamy, poruszając się prawie po omacku. Dzień jak co dzień. Zaczynamy?

Kiedy Liam odwrócił się, by podążyć za Bobem i Beki na drugą stronę łuku i wspiąć się po drabinie, Maddy wyciągnęła rękę i złapała go za ramię.

- Liamie?

- Hmm?

Spojrzała na pasmo siwych włosów nad skronią i pierwsze, niewyraźne zmarszczki starości wokół jego oczu.

- Liamie, cieszę się, że wyjawiałam wam, tobie i Sal, prawdę. Trzymanie tego w tajemnicy zżerało mnie od środka.

- Baba z wozu, koniom lżej, jak mawiała ciotunia Doe - odrzekł, lekko garbiąc ramiona.

- Musisz na siebie uważać... znowu.

- Przy Punchu i Judy nic mi nie grozi. - Wyszczrzył zęby.

Odwrócił się, by odejść, ale wstrzymała go jeszcze na chwilę.

- Liamie, to bardzo ważna misja. Mam silne przeczucie, że... sama nie wiem... że pozwoli nam otworzyć drzwi. Jeśli rozwiążemy zagadkę Pandory, dowiemy się więcej o ludziach, dla których pracujemy - powiedziała szeptem.

- Czyli pewnie o jakimś panie Waldsteinie?

- Tak powiedział Foster. - Wzruszyła ramionami. - Sama się zastanawiam.

- Właśnie wpadłem na nielichy pomysł.

- Jaki?

- Foster. Może podczas naszej nieobecności powinnaś wypytać staruszkę o Pandorę.

- Myślałam o tym - odparła. - Skoro wy wiecie, równie dobrze może dowiedzieć się i on.

Liam przekrzywił głowę.

- Ufam mu.

Uśmiechnęła się do Liama - w jego bezczelnym, krzywym uśmiechu odbijał się cień wychudłej twarzy Fostera.

- Tak, ja też.

W bazie rozległo się echo rozbryzgiwanej wody, Bob wskoczył właśnie do cylindra translokacyjnego.

ROZDZIAŁ 26

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Cmentarz znaleźli na tyłach klasztoru. Ponura przestrzeń z kilkoma kamieniami nagrobnymi i kilkunastoma drewnianymi krzyżami, które obsiadły czarne jak żuki kruczyska, wpatrujące się w oszronioną ziemię w poszukiwaniu czegoś nadającego się do połknięcia.

W najświeższym grobie - długim kopczyku ziemi z prostym drewnianym krzyżem - spoczywała zapewne osoba, którą uznano za niegodną kamiennej inskrypcji.

Otoczeni bladą szarówką klękali przy kolejnych grobach i sprawdzali wyryte w kamieniu przydomki. Wreszcie Liam odetchnął z ulgą - pod niskim, młodym dębem, który uparcie piął się do góry w poszukiwaniu słońca i delikatnie szeleścił listkami poruszonymi przez kłujący mrozem wietrzyk, znaleźli grób Haskette'a. Na metrowej bryle bladego granitu ktoś topornie wyrył imię zmarłego i rok jego śmierci. Najwyraźniej nie było to dzieło wykwalifikowanego rzemieślnika, nagrobek został stworzony prawdopodobnie przez jednego z cysterskich mnichów.

- Rekomendacja: aby poinformować bazę o pomyślnym zlokalizowaniu steli, należy wyryć co najwyżej symbol odpowiadający literze „L” - powiedział Bob.

Liam przytaknął. Klon miał rację: lepiej nie ryć więcej niż to absolutnie konieczne.

- Hmm... czy ktoś pomyślał o zabraniu dłuta?

- Zaprzeczam.

Zaklął i rozejrzał się wokół. Musi tu być coś, co mogłoby się nadać. Nie zauważył jednak nic poza trawą i pokrzywami oraz zamarznątą, skutą mrozem ziemią usianą zbędnymi fragmentami obrabianego kamienia i krzemienia.

„Krzemień. Powinno wystarczyć”.

Zaczął już grzebać w twardym gruncie, próbując wyciągnąć kawałek wystarczająco duży, aby użyć go jako prowizorycznego narzędzia, ale Beki po cichu podeszła do niego i pacnęła po głowie.

- To niepotrzebne, Liamie O'Connor - powiedziała.

- Hmm? - Podniósł głowę akurat w momencie, gdy Bob wyciągał długi gwóźdź z drewnianego krucyfiksów wbitego w świeżo usypany grób. Kawałek metalu wyszedł z żalobnym skrzypnięciem, poprzeczna belka z mocnym tąpnięciem upadła na stwardniałą hałdę czarnej ziemi, płosząc pobliskie kruki. Ptaki hałaśliwie wzbiły się w szare niebo, kracząc z urazą.

- Errrr... nie można tak robić! - powiedział, mimowolnie kreśląc opuszkami palców znak krzyża.

Bob minął go beztrąsko i odszedł w stronę grobu.

- Dlaczego nie? - rzucił przez ramię.

- To... po prostu złe. Profanacja, nie inaczej.

Bob pochylał się już nad grobem, wydłubując w granitowej powierzchni masonski symbol zgodny z literą „L”.

Liam wzniósł oczy ku niebu.

- Ojj, naprawdę mi przykro... jeśli to oglądasz.

- Późny już ranek, wcześniej miałem nadzieję wyruszyć - krzyknął poirytowany Cabot, zakładając uprzęż na dwa kuce. - Wciąż jeszcze chcecie, żebym do księcia Jana was wiódł?

- Tak, tak. Chcemy - zapewnił Liam.

- Gdzieście byli?

- Zaczepnąć świeżego powietrza - odrzekł Liam, gdy okrążali warzywnik w drodze do stajni.

- Lady źle się poczuła - powiedział, wskazując głową Beki.

Cabot wysunął podbródek.

- Lepiej ci już, moja droga?

Beki szybko zerknęła na Liama, szukając w jego oczach wskazówki, ale odpowiedział za nią.

- Czujesz się już bardzo dobrze, prawda... lady Rebecco?

Bezglównie skinęła głową, a gdy zbliżyli się do Cabota i jego wozu, niespodziewanie zarzuciła zwyczajny chłopięco-chybotliwy krok i zaczęła w kobiecy sposób falować biodrami.

- Szlachetnie urodzonaś? - Starzec zmrużył oczy, przyglądając się jej ciemnobrązowej, przetartej sukni i chłopskim chodakom. - Toś właśnie awansowała na prawdziwą damę, co? - zakpił niedowierzająco. - Hmm... Z którego księstwa przybywasz?

Liam spojrział na nią wzrokiem mówiącym: „No już, Beki, lepiej niech to zabrzmi

przekonująco”.

Chłodne, szare oczy przez kilka bolesnych sekund wytrzymały podejrzliwe spojrzenie Cabota, wystarczająco długo, aby Liam zaczął się zastanawiać, czy popełnił błąd, pochopnie przedstawiając ją jako arystokratkę.

- Je viens de la duché d'Alevingnon en Normandie [Pochodzę z księstwa Alevingnon w Normandii].

Postawa Cabota uległa natychmiastowej przemianie - harde oczy żołnierza nagle zrobiły się dużo większe.

- Madame, racz mi wybaczyć me siermiężne maniery! Ja tylko...

- Nie uchybiłeś mi, starcze - odpowiedziała ze słodkim uśmiechem. - Nasza misja zmierzająca do odzyskania tego hmm... przedmiotu... wymaga od nas zachowania anonimowości.

„Genialne”. - Liam wyszczerzył do niej zęby. - „Pierońsko genialne”. - Miał ochotę przytulić ją tu i teraz. Skoro jednak awansowała już na szlachetnie urodzoną damę, byłoby to nie na miejscu.

Cabot wskazał na wóz - zwykłą drewnianą dwukółkę z płócienną budą. Do pojazdu zaprzężono dwa kucyki z wydętymi brzuchami. Zwierzęta niecierpliwie skrobały kopytami skutą mrozem ziemię, paląc się do odjazdu.

- Skromny to powóz, pani, ale w całym klasztorze tylko ten jeden mamy.

Beki spokojnie, niemal pogodnie, skinęła głową.

- Wystarczy.

- Lepiej, pani, podróżować w skromnym wozie handlarza niżli w wystawnej karocy, co dla bandytów łakomym kąskiem stać by się mogła - dodał Cabot.

- Racja. - Beki skinęła głową.

- Lady jest ukontentowana. - Liam się uśmiechnął.

Cabot spojrział na spowite gęstymi chmurami niebo zwiastujące opady śniegu.

- Jak najrychlej ruszać musimy. Trzy dni drogi przed nami, pod warunkiem wszak, że Bóg śniegu nie ześle. Trzy dni do zimowego pałacu księcia Jana. - Odsunął płócienną plandekę na tyle wozu. - Pozwolisz milady - powiedział, wyciągając zrogowaciałą dłoń, aby pomóc jej wejść na dwukółkę, ale zignorowała ten gest i wskoczyła na nią sama z iście królewskim wdziękiem rekruta gramolącego się na pakę wojskowej ciężarówki.

Liam przygryzł wargi.

- Lady Rebecca to niezwykle samodzielna niewiasta.

- Zaiste - zasromał się Cabot. - Jużem zauważył.

Bob wdrapał się zaraz za nią, a wóz ugiął się i zatrzęsł pod jego wagą.

- Komu w drogę, temu czas - odezwał się Cabot do Liama. - Lepiej nam wyjechać z lasów, zanim zmrok opadnie.

ROZDZIAŁ 27

Nowy Jork rok 2001

- Wcale nie zamierzam uciec do pierwszej lepszej telewizji, żeby wypaplać wszystko, co wiem.

Maddy podążyła za Adamem po schodach i weszła przez obrotowe szklane drzwi do cichego holu. Siedzący za biurkiem ochroniarz apartamentowca spojrzął znad gazety i ciepło uśmiechnął się do Adama.

- Cudowny dziś wieczór, nieprawdaż, panie Lewis?

- Rzeczywiście, Jerry - pogodnie odpowiedział Adam. - Wyjątkowo rześko jak na tę porę roku.

Jerry wyglądał na faceta, który niegdyś pracował w wydziale zabójstw, ale za swoje grzeszki został wysłany na zieloną trawkę. Rozsiadł się w krześle, które zatrzeszczało pod jego masą i roześmiał się rubasznie. - Właśnie za to uwielbiam takich Brytoli jak pan, zawsze rzucicie jakąś wyrafinowaną nawijkę o pogodzie.

Adam zbył jego pogodny rehot dobrodusznym machnięciem ręki i przeszedł obok biurek w stronę wind na końcu holu. Stuknął w przycisk. Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, patrząc jak cyferki na elektronicznym wyświetlaczu powoli, piętro po piętrze, spadają oraz wsłuchując się w przytłumiony zgiełk wczesnowieczornego ruchu i szelest gazety czytanej przez Jerry'ego.

Mosiężne drzwi otworzyły się z brzdękiem. Po wejściu do środka Adam wcisnął przycisk z numerem piętra. Drzwi zamknęły się z cichym świstem.

- Nie mogę ryzykować - odrzekła wreszcie Maddy.

- Wciąż mi nie ufasz?

- Nie. Byłabym głupia, spotkaliśmy się dzisiaj rano.

- W zasadzie to było siedem lat temu. - Zaśmiał się.

Jakaś część jego dobrego humoru udzieliła się również dziewczynie.

- Chyba tak - odrzekła, rozglądając się po ciemnej boazerii i mosiężnych wykończeniach windy. - Czysze w tym apartamentowcu muszą być dość wysokie.

- Bardzo wysokie.

Dyskretny kurant zasygnalizował, że znaleźli się na czternastym piętrze. Drzwi otworzyły się, ukazując gruby dywan i kolejne ściany pokryte czarną boazerią.

- Jeśli wydaje ci się, że to wygląda ekskluzywnie, to poczekaj, aż zobaczysz moją chatę.

- Chatę?

Poprowadził ją w głąb korytarza. Gdy wreszcie stanęli przed drzwiami, Adam z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął pęk pobrzękujących kluczy. Drzwi otwarły się z cichym kliknięciem. Adam pchnął je na roścież i gestem zaprosił Maddy do środka.

- Pani przodem.

- Co za klasa - odrzekła Maddy. Gdy weszła do środka, oddech niemal natychmiast uwiązł jej w gardle. Ściana apartamentu - zbudowana z sięgających podłogi przyciemnionych okien, za którymi rozciągał się las manhattańskich drapaczy chmur - pływała w gęstym, waniliowym świetle zachodzącego słońca. Przeszła przez przestronny hol, zatrzymując się dopiero, gdy jej nos niemal rozpląszczył się na szybie.

- O mój Boże... to niesamowite!

- Słono zapłaciłem za ten widok - odpowiedział, wchodząc tuż za nią; powiesił marynarkę na oparciu chromowanego stołka barowego i uruchomił automatyczną sekretarkę.

Maddy odwróciła się, żeby posłuchać. Było kilka nagranych wiadomości: parę powiadomień z pracy, kobiece głosy wypyujące, jakie ma plany na wieczór. Adam przewinął wszystkie, beztrąsko je kasując.

- Przepraszam. - Posłał jej nieśmiały uśmiech.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyła ramionami. - Najwyraźniej jesteś rozchwytywany.

- Dobra - powiedział. - Teraz muszę tylko wykopać ten mój stary dysk. - Przeszedł obok rowerka do ćwiczeń i zbliżył się do stojącej przy oknie skrzyni. - Mam tu większość śmieci z czasów uniwersyteckich. - Uniósł wieko i zachichotał, ostrożnie wyciągając wytarte pudełko z figurkami Warhammera. - Nigdy nie potrafiłem na dobre pożegnać się z fantasy. Człowiek nie ma serca się ich pozbyć. Nie, jeśli ślęczał całe godziny, żeby je dobrze pomalować.

Wrócił do przekopywania kufra i wyciągał kolejne przypadkowe przedmioty. Po raz pierwszy dzisiaj dostrzegła w nim tego podenerwowanego młodzieńca ze strąkowatymi włosami, którego odwiedziły z Beki w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Samotnika, fajtlapowatego kujona owładniętego pasją eksplorowania mrocznych zakamarków wiedzy - fana puzzli, liczb, kodów, teorii spiskowych.

Rozejrzała się po apartamencie, uświadamiając sobie, że odbija się w nim charakter Adama, jego desperackie pragnienie wymyślenia się na nowo. Nie chciał pozostać wąskim w barach nerdem z zapadniętą klatką, przetłuszczoną skórą i nieświeżym oddechem. Teraz stanowił emanację sukcesu: był bystry, inteligentny i pewny siebie.

- Jest gdzieś tutaj. Cała moja praca nad manuskrytem Voynicha, praca magisterska poświęcona martwym językom. Nigdy jej nie wyrzuciłem - spojrzał na nią - bo zawsze wiedziałem, że znowu mogę jej potrzebować.

Przeszła przez korytarz i ostrożnie usiadła na siodełku rowerka ćwiczeniowego, aby z bliska obejrzyć jego skarby.

- Warhammer... poważnie grałeś w Warhammera? - zachichotała.

Skulił ramiona.

- O tak, ale trzymam to pod kluczem. Ludzie, z którymi pracuję, których tu zapraszam,

oni, hmm... nie czują tego rodzaju rzeczy. Wiesz, co mam na myśli?

- No ba! - odparła. - Idę o zakład, że większości twoich dziewczyn zupełnie by to nie zaimponowało.

Wyciągnął plastikowy koszyk pełen poskręcanych kabli, wtyczek i elektronicznych gadżetów.

- Kiedy byłam dzieckiem, bawiłam się figurkami Warhammera młodszego brata - dodała. - Wymyśliłam własne zasady walki, bo instrukcja była kosmicznie skomplikowana.

- To na pewno - odpowiedział, ostrożnie wyciągając różne przedmioty.

Gdy uważnie obserwowała, jak przekopuje się przez stertę szpargałów, uzmysłowiła sobie, że przypomina jej starszego brata ciotecznego, Juliana. Ubóstwiała go. Zawsze taki bystry i cool - megamózg i licealny outsider, który ma w sobie to coś... poczucie własnej wartości otaczające go niczym nieprzenikalne pole siłowe.

Adam, klęczący tam w swoich eleganckich spodniach i koszuli od Dolce & Gabbana, jak chłopiec pochylony nad skrzynią z zabawkami, przypominał go do złudzenia. Coś zakłuło ją w sercu. Miała dziewięć lat, gdy wydarzyła się ta tragedia; kiedy świat zatrzymał się na tamte kilka godzin, a ona oglądała telewizyjną relację ze śmierci trzech tysięcy ludzi jak jakiś film katastroficzny. Tylko dziewięć lat... Jej młody umysł nie od razu dopuścił do siebie myśl, że po zawaleniu się drugiej wieży już nigdy nie zobaczy Juliana.

- Ach... to chyba ten - powiedział, wyciągając dysk twardy, niemal tak duży jak pudełko po butach. - Dwadzieścia gigabajtów! - Zaśmiał się, wstając. - Popatrz, jaki wielki jest ten cholerny... - Urwał w pół słowa. - O co chodzi?

Maddy nie czuła nawet, że płacze. Łzy leciały ciurkiem z ukrytych za okularami oczu, skapując na policzki i koszulkę. Przygryzła wargi, zła na samą siebie, że tak łatwo się przy nim rozkleiła.

- Co się dzieje? - Adam wstał i położył dłonie na jej rozedrganych ramionach.

Potrząsnęła głową. „Co mam ci powiedzieć? Że przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś wielbiłam. Kogoś, kto umrze jutro rano?”. - Maddy poczuła, że opada z sił. Dlaczego Foster nie zwerbował Juliana zamiast niej? Okazałby się o niebo lepszym Jeźdźcem w Czasie, o niebo lepszym przywódcą drużyny. Wtedy uświadomiła sobie, że gdyby miała szansę opuścić bazę pod arkadami i wrócić do rodzinnego domu w Bostonie; gdyby miała szansę uciec od podróży przez historię i zmartwień związanych z osiami czasów oraz tą tak zwaną Agencją, która bez chwili wahania rzuca zdanych na własne siły żółtodziobów na pierwszą linię ognia; gdyby miała szansę odejść... skorzystałaby z niej bez zmruczenia okiem.

Potem, nie mówiąc ani słowa, zaczęła wypłakiwać się w ramię Adama, roniąc łzy na drogą, bladoniebieską koszulę.

- Hej, wszystko dobrze - uspokajał łagodnym tonem, niezręcznie głaszcząc jej drżące plecy. - To był ciężki dzień.

- Nom, trochę tak - wymamrotała, pociągając nosem. Puściła go wreszcie i odsunęła się na kilka kroków. Czerwonymi od płaczu oczami próbowała umknąć przed jego wzrokiem, znaleźć jakiś bezpieczny punkt w przestrzeni, byle tylko nie patrzeć na Adama.

Słońce szukało swego miejsca na niebie, a mieszkańcy Manhattanu zaczęli już szukać włączników światła.

- Ja... naprawdę... nie wiem, dlaczego... to zrobiłam. - Maddy zaczęła szukać w umyśle pierwszych słów usprawiedliwienia.

- Nic się nie stało - odpowiedział. - Naprawdę, nie musisz tłumaczyć...

- Nie. - Poprawiła okulary na nosie. - Właśnie, że muszę ci to wytłumaczyć. Ja... to tylko praca, stres. Właśnie: stres. I... - Westchnęła, uświadamiając sobie nagle, że jeśli nie weźmie się w garść, znowu zamieni się w sierotkę i wybuchnie płaczem. Wzięła głęboki oddech. - Tęsknię za poprzednim życiem... mam wrażenie, że trafiliśmy do tej dziwnej agencji podróżników w czasie lata temu, choć... upłynęło raptem kilka miesięcy. - Zaśmiała się drwiąco. - Cała gromada tajemniczych podróżników z przeszłości musi na nas pewnie

patrzeć jak na klub niepełnosprytnych.

- Nie - zaprzeczył natychmiast. - Sądzę, że tajemniczy goście z przyszłości to też ludzie, którzy mogą czasem zranić się w palec, zadławić gumą do żucia lub pośliznąć na skórcie od banana.

Skinęła głową, przecierając załzawione oczy.

- Tyle że my jesteśmy w tym mistrzami świata.

Wyciągnął rękę, aby złapać ją za dłoń, próbowała go odepchnąć, lecz chwycił ją i delikatnie uściśnął.

- Wygląda więc na to, że historia gatunku ludzkiego spoczywa w rękach prawdziwych ludzi. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Wolę was od brygady superbohaterów, którzy myślą, że pozjadali wszystkie rozумы.

ROZDZIAŁ 28

Lasy hrabstwa Nottinghamshire rok 1194

Ognisko z trzaskiem pożerało sosnowe szyszki i suche, kruche gałęzie, które zebrali w słabym świetle zimowego popołudnia. Nieustannie sypiący śnieg spowalniał ich jazdę, a Cabot - tonem bardziej właściwym dla wściekłego żołnierza niż pobożnego mnicha - musiał w końcu przyznać, że rozsądniej będzie rozbić obozowisko w dziczy, zamiast szukać bezpiecznej kwatery w jakiejś osadzie, jak postąpili poprzedniej nocy.

Gdyby podróżowali w cieplejszym miesiącu, mówił, bezpieczniej byłoby nie rozpalać ognia, by nie ryzykować, że jak ómy do płomienia zlecą się tu zbóje. Ale ziąb był niemiłosierny.

Cabot splunął w płomienie, przegryzając ostatni kawałek czerstwego chleba.

- Do Oxfordshire dotrzemy rankiem, a pod bramami Pałacu Beaumont przed południem już będziemy.

- Jesteście pewni, że księżę Jan nas nie odprawi?

- To jasne jak słońce na niebie. Głupiec biedny traci nad krajem kontrolę. Oj, wiele on uczynił, żeby brata swego zezłościć, nierozsądnie postąpił, rozkazując Ryszarda templariuszom zabrać Graala do Szkocji, miast ostawić go w Beaumont.

- Dlaczego tak postąpił?

- Nie wiem ja tego. Może chciał relikwię tam ukryć, by brata w pole wywieść i coś odeń uzyskać. Skoroście - Cabot utkwiał wzrok w Liamie - nie z zakonu templariuszy, jak podejrzewam, skąd tyle o Graalu wiecie?

- Nie uwierzyłyby mi brat, gdybym rzekł prawdę. - Liam się uśmiechnął.

- Gotowem posłuchać. - Cabot rozłożył ręce.

Liam spojrzął na Beki i Boba, którzy stali w milczeniu na straży, oddaleni od siebie o kilkanaście metrów, na skraju światła rzucanego przez ogień. Analizował, jak dużo mnich powinien wiedzieć, czy byłby w stanie im pomóc, gdyby poznał prawdę. Ważne też oczywiście, czy wywołałoby to kontaminację historii.

- My... przybyliśmy z przyszłości.

Szpakowata twarz Cabota pozostała niewzruszona, nie zrobiło to na zakonniku żadnego wrażenia.

- Z bardzo odległej przyszłości. My, cóż... znaleźliśmy średniowieczny manuskrypt, w którym pojawia się słowo Pandora. Przybyliśmy dowiedzieć się, co oznacza.

- Przyszłość... nie jestem pewien, czy pojmuję, co rzeczesz.

- Przyszłość, czyli dni i lata, które jeszcze nie minęły, a które dopiero nadejdą.

Cabot sceptycznie zmrużył oczy.

- Jakże to możliwe? Żywoć człowieka w jedną tylko stronę biec może. Słońce najpierw wschodzi, a później dopiero zachodzi. W drugą stronę nijak się ono kręcić nie może.

- To nauka - odpowiedział Liam. - Nie wiem dokładnie, na jakiej zasadzie to działa. Ale działa.

- Nauka? Jakże to słowo pojmujesz?

Liam wzruszył ramionami.

- To wiedza o tym, jak działają pewne rzeczy. Jest bardzo ważna w naszych czasach. Nauka pozwala nam konstruować różne maszyny i rozumieć świat.

Starzec bezwiednie pogłaskał poszarpaną bliznę znaczącą jego policzek.

- Kilku Saracenów, których zem był spotkał, prawilo o takich to cudach. O cyfrach jakowych i podobnych rzeczach, co ich nie można w ręce ująć ni zważyć, kupić czy sprzedać. O konceptach... ideach, które nasz Kościół za herezyję by uznał. - Bruzdy na twarzy mężczyzny ułożyły się w uśmiech. - Wystaw sobie, że wielu mędrców saraceńskich wierzy, iż żyjemy na powierzchni gigantycznej kuli!

Liam przytaknął.

- Jużci! - Głośny rechot Cabota rozbrzmiał echem w martwej ciszy lasu. - Słyszał kto głupotę takową? Kula!

- A jednak mają rację! Ziemia ma kształt kuli.

Cabot zaczął się krztusić, niemal w jednej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Na stos trafić można za takie herezyje, jeśli w niewłaściwym towarzystwie się je wygłasza!

- Ale to prawda, bracie Cabot. Ziemia jest kulą, zagubioną wśród innych kul, które nazywamy planetami. W kosmosie wirują ich miliony. Obracają się wokół Słońca w obrębie tak zwanych systemów słonecznych.

- To... nasza Ziemia... rotuje wokół... Słońca?

- Tak.

- Więcej słońc jest na niebie?

- Tak. Tym właśnie są gwiazdy. Słońcami.

Cabot zadarł głowę ku niebu. Żadnej dzisiaj nie dostrzegął. Na twarzy starca walczyły ze sobą dwa sprzeczne odczucia, bruzdy to wyginały się, torując drogę kolejnemu dobrodusznemu rehotowi, to układały się w srogi grymas pogardy i niedowierzania. Wreszcie mnich ponownie spojrzał na Liama i potrząsnął głową.

- Zaiste, osobliwy z ciebie gołowąs, Liamie z Connor, osobliwie i wyglądasz, i mówisz. - Uśmiechnął się. - Toś mi dopiero baśń zmyślną opowiedział. Choć rozum co innego podszeptuje, lubię ja takich jak ty młodzieńców. Zważaj jednak na słowa, a historyje o przybyciu z dni co dopiero nadejdą, o światach kulistych i słońcach mnogości lepiej dla siebie ostaw! Dobrze radzę.

Liam wzruszył ramionami. Może Cabot ma rację. Przeczytał wystarczająco dużo ksiązek historycznych i wiedział, że Europa dopiero za kilka wieków zaakceptuje takie teorie. Mieszkańcy średniowiecza uważają, że Ziemia jest płaskim dyskiem, a Słońce porusza się posłusznie z jednego jego końca na drugi, ponieważ „Bóg tak stworzył świat”. Nie ma innych światów. Nie ma innych słońc. Jest tylko ten padół i niebo. Próba wyjaśnienia mnichowi

fenomenowi podróży w czasie, faktu, że historia, która dopiero ma się wydarzyć już istnieje i - mało tego - może też zostać napisana na nowo, cóż, sam Liam ledwie to wszystko pojmował.

- Nieważne. - Liam dorzucił do ognia suchą gałązkę. - Zapomnijmy o tym, przybyliśmy tu, aby rozwiązać zagadkę Pandory... Graala. Teraz, gdy wiemy, że został przez kogoś skradziony, cele naszej wyprawy uległy zmianie. Wiemy już, że musimy zacząć od odzyskania relikwii.

- Tak. - Cabot intensywnie wpatrywał się w płomienie. - Czas pomsty nadejdzie, jeśli Graal nie odnajdzie się przed pow...

- CISZA! - kłapnął zębami Bob, machając ręką, aby przestali gadać.

Cabot zamilkł. Przez dobrą minutę wsłuchiwali się w delikatny szum wiatru trącającego gałęzie i dochodzące z oddali pohukiwanie sowy, wreszcie Liam coś usłyszał, odgłos był bardzo cichy, ale dochodził z bliska: metaliczny brzęk uprząży lub zbroi.

- Słyszycie? - wyszeptał Cabot. - Goście.

Nagle wszyscy to usłyszeli - niemal melodyjny brzdęk uwolnionej ciężki i poświst pocisku prującego powietrze. Liam usłyszał odgłos uderzenia i zobaczył, jak Bob odsuwa się krok do tyłu. W świetle ogniska zauważył błysk metalu wystającego spomiędzy łopatek jednostki, która odwróciła się do Liama. Chłopak zauważył, że blade drzewiec strzały zakończonej białą lotką utkwiał w klatce piersiowej klona.

- NIEBEZPIECZEŃSTWO! - huknął, a jego głos popłynął w głąb lasu.

Ciemność przeszyło kilka kolejnych strzał, jedna trafiła w prawe biodro Boba, trzecia świsnęła tuż obok głowy Liama - tak blisko, że jego ucho smagnął pęd powietrza.

- Zbóje! - krzyknął Cabot, zrywając się na nogi i pędząc w stronę odkrytego wozu.

W bladym, tańczącym świetle ogniska pojawiło się kilkanaście kształtów w podartych łachmanach, wszyscy napastnicy dzierżyli łuki i długie, obusieczne miecze, od ostrzy odbijało

się błyskające światło. Z ich wyglądu wynikało, że nie zażądają wydania kosztowności. Najpierw zabijają podróżników, a dopiero potem zajmą się wozem w poszukiwaniu zdobyczy.

Bob i Beki zareagowali jednocześnie, mózgi jednostek wykorzystujące identyczne schematy operacyjne szacowały ryzyko i podsuwały dostępne metody postępowania w takim samym tempie, z dokładnością do mikrosekundy. Bob rzucił się na stojącego najbliższego mężczyznę, zwinnie uchylił się przed ciosem i wyprowadził swobodne cięcie, które zostało jednak sparowane. Niezrażony tym, ponownie wyrósł jak spod ziemi, zacisnął wielkie, żelazne palce na szyi napastnika, tuż pod jego szczęką, i zgniótł gardło człowieka. Kiedy ten opadł na kolana, charkając krwią z ust i nosa, Bob chwycił za ostrze jego miecza i podrzucił go. Broń obróciła się w powietrzu i wylądowała rękojeścią w wielkiej dłoni klona. Szybkim jak błyskawica sztychem w klatkę piersiową wykończył bandytę.

W tym samym czasie Beki bez trudu wyrwała łuk innemu rabusiowi i zamachnęła się nim niczym ćwierćpałką, zwalając przeciwnika z nóg. Opadła kolanami na jego pierś, złapała za głowę i skręciła ją tak mocno, że głośno zatrzeszczały chrząstki i kości.

Ostrze Boba zabrzączało na mieczu kolejnego napastnika. Głowice obu broni zakleszczyły się. Klon mocno pociągnął za swój miecz, szpada wypadła z rąk rabusia. Ostrze wykonało salto w powietrzu, wibrując jak kamerton, i uderzyło w pień pobliskiego drzewa. Rumianolicy mężczyzna z głową obrośniętą kosmykami przetłuszczonych blond włosów, starszy od reszty grasantów, krzyknął „Poddaję się!” i zupełnie niepotrzebnie uniósł ręce w geście uległości. Bob zamachnął się po raz drugi i odciął dwie wyprostowane kończyny, które potoczyły się po pokrytej śniegiem ziemi. Mężczyzna wrzasnął dziko i popędził w stronę lasu, nieporadnie wymachując zakrwawionymi kikutami.

Liam usłyszał kolejny brzdęk uwalnianej cięciwy, a następnie zobaczył, jak Beki wyjmując kilka strzał z leżącego u jej stóp ciała. Po drugiej stronie trzaskającego ogniska człowiek, który wcześniej skradał się, by od tyłu zająć Liama i Cabota, kulał krok po kroczku jak niemowlak, niemiłosiernie stękając przy tym z bólu. Z jego głowy wystawały pióra lotki, a z pleców kawał zakrwawionego drzewca. Potknął się i wpadł do ogniska, z którego w czarne niebo uleciał deszcz iskier.

Pozostali przy życiu grasanci chyba dość się już napatrzyli, bo odwrócili się na pięcie i

czmychnęli niczym wystraszone konie. Podeszwy butów i kołyszące się kołczany zniknęły w ciemności. Czyjeś przeciągłe zawodzenie - zapewne nieszczęsnego starca, który stracił obie ręce - szybko zamieniło się w niewyraźne echo zmieszane z przerażonymi krzykami pozostałych bandytów próbujących odszukać się w ciemności lasów.

Te kilkanaście sekund - w niewiele krótszym czasie Cabot zdjął swój wierny miecz z wozu i przyjął niegdyś wytrenowaną, a dziś już instynktowną postawę obronną doświadczanego szermierza - wystarczyło, by czterej napastnicy legli pokotem na ziemi.

- Dobry Boże! - wydyszał Cabot.

Bob podszedł do Liama.

- Nic ci nie jest, Liamie O'Connor? - spytał obojętnie.

- Wszystko w porządku, Bob. Lepiej zajmij się tym - powiedział, wskazując strzały sterczące z jego klatki piersiowej i biodra.

Podeszła do nich Beki.

- Pomogę ci, Bob - zaoferowała się, spokojnie dotykając zakrzywionej końcówki grotu tkwiącego między łopatkami klona. Oderwała go szarpnięciem nadgarstka, po czym przełożyła rękę na klatkę piersiową Boba i zaczęła ostrożnie wyciągać z niej drzewiec, który wychodził z ciała, powodując syczący dźwięk zasklepiającej się tkanki.

Cabot szeroko otwartymi oczami gapił się bez słowa, jak Beki odrywa drugi grot i wyciąga strzałę z biodra Boba, którego twarz nawet nie drgnęła.

- Krew krzepnie już na dwóch ranach - powiedziała. - Szacuję, że twoja sprawność bojowa jest obecnie na poziomie co najmniej dziewięćdziesięciu pięciu procent pełnej wydajności.

- Potwierdzam.

- Czymże wy, na wszystkie świętości, jesteście? - wysyczał Cabot.

- Jestem bardzo odporną istotą ludzką, panie - mało przekonująco odparł Bob, przenosząc na niego wzrok.

- A ty, pani? - Tym razem Cabot zwrócił się do Beki. - Nigdy nie widział białogłowy, która by potrafiła tak walczyć.

- Takoż i ja jestem bardzo odporną...

Liam zaśmiał się drżącym głosem, wciąż nabuzowany adrenaliną po walce.

- Spokojnie, już mu zdradziłem, że jesteśmy z przyszłości. Możemy sobie darować staroangielski.

- To wywoła niepożądaną kontaminację. - Beki zmarszczyła brwi.

Liam potrząsnął głową.

- To wcale nie oznacza, że facet od razu uwierzył w choć jedno moje słowo.

Cabot wciąż jeszcze trzymał miecz w dłoniach, zmęczone ramiona pozwoliły ostrzu opaść na ziemię. Mnich oparł się ciałem o rękojeść i wpatrywał w całą trójkę bez słowa.

- Cóż, Liamie z Connor... powoli zaczynam ci wierzyć.

ROZDZIAŁ 29

Nowy Jork rok 2001

- O mój Boże, tak! Tak! Zmieniło się!

Sal wpatrywała się w ziarnisty obraz na ekranie. Zdjęcie przedstawiało obłupaną i zniszczoną ze starości płytę kamienną, którą zarastały oliwkowozielone porosty. Zauważyła niewyraźną inskrypcję z nazwiskiem „Haskette” i wyraźną rysę, pamiątkę po uderzeniu toporem lub strzale z broni palnej. Najwyraźniej na przestrzeni ostatnich ośmiuset lat ktoś przypadkowo lub celowo zbeczczył grób.

Na dole fotografii, w miejscu, gdzie pojawiały się jeżyny, ledwie dostrzegła niewyraźne wyżłobienie utworzone przez kilka przecinających się linii. Gdyby Adam robił zdjęcie w słabszym oświetleniu, ten nadwyżkowy symbol byłby całkowicie niewidoczny. Łatwy do przeoczenia.

- To na bank to! - powiedział. - Widzicie?

Sal przytaknęła. Maddy nic nie odpowiedziała.

Sal przejechała palcem po kształcie na ekranie.

- To symbol odpowiadający literze „L”?

- Tak, dokładnie tak! - Adam nie po raz pierwszy rozdziawił usta w osłupieniu. - Nie wierzę. Sześć lat temu odwiedziłem ruiny klasztoru w Kirklees i strzeliłem fotki wszystkim tym grobom. Później zapisane na starym dysku zdjęcia bezpiecznie spoczywały w mojej skrzyni... Jezu, nie podłączałem tego twardego przez kilka lat - gromadziły się na nim tylko kolejne warstwy kurzu. A mimo to coś się wydarzyło! Dane na dysku zostały zmodyfikowane! Zdjęcia są inne! To... to... się po prostu we łbie nie mieści!

- Drobną falą - wyjaśniła Maddy. - Właśnie to się wydarzyło. Mała, malusieńka fala czasu. Tak niewielka, że jedynie Sal ją poczuła.

Sal naprawdę marzyła, żeby te małe przesunięcia omijały ją z daleka; gdy nadchodziły, zaczynała odczuwać objawy podobne do choroby lokomocyjnej, trochę jakby zbyt długo kręciła się wokół własnej osi z zasłoniętymi oczami.

- Chcecie mi teraz wmówić, że ta fala czasu płynęła tutaj przez osiemset siedem lat?

- Tak, zostawiając za sobą nieznacznie odkształconą oś czasu. Oczywiście za wyjątkiem wszystkiego, co znajduje się w obrębie pola ochronnego naszej bazy. - Zauważyła zamęt na twarzy Adama. - Właśnie po to wyniosłam twój twardy dysk na uliczkę. Umieściłam go poza polem energii, żeby przelała się po nim fala czasu. Rozumiesz?

Powoli skinął głową.

- Jasne... czyli kiedy Sal wyczuła... tę falę, ty...

Maddy przytaknęła. Wybiegła na zewnątrz z kablem transferu danych w momencie, gdy Sal zaczęła chwiać się i blednąć, potem szybko ponownie zgrała na komputer wykonane przez Adama zdjęcia grobów.

Przez cały czas Adam stał na środku bazy z otwartymi ustami. Biedak wyglądał jak dziecko specjalnej troski. Ponownie skinął głową, jakby mogło mu to choć odrobinę pomóc w pojęciu tego wszystkiego. Potem pochylił się do przodu i z bliska uważnie przyjrzał się zdjęciu.

- Czuję, że moja głowa zaraz eksploduje. - Zaśmiał się. - W życiu nie widziałem nic bardziej nieprawdopodobnego!

- Oczywiście, że nie - chłodno odrzekła Maddy. - Dlatego podróżowanie w czasie to ściśle tajna sprawa.

- Ale, ale przecież to może zrewolucjonizować historię! Historycy mogliby odwiedzać epoki, które badają, na własne oczy mogliby przekonać się, jak wyglądała rzeczywistość, nie musieliby polegać na...

- Gdyby historycy swobodnie wyruszali na wycieczki w przeszłość, to ich bezcenna historia ulegałaby przesunięciom, głębokim przemianom, a echa tych zmian płynęłyby w czasie; drobne fale odkształcające drobne decyzje generowałyby większe fale odkształcające

istotne decyzje. No i raptem, w dwa tysiące pierwszym roku wszyscy gadalibyśmy, sama nie wiem - po mandaryńsku, moglibyśmy też zamienić się w jaszczuroludzi albo popatrzeć, jak Nowy Jork znika z powierzchni Ziemi lub obraca się w radioaktywne zgłiszcza! A wszystko dlatego, że ktoś wpadł na przegenialny pomysł, by cofnąć się w czasie i na własne oczy zobaczyć, jak wyglądała historia!

Sal spojrzała na Maddy. Policzki dziewczyny zaróżowiły się z gniewu. Albo zawstydzienia.

„Jahulla, co się z nią dzieje?”

- Przepraszam - potulnie powiedział Adam. - Tak tylko mówiłem.

Maddy spojrzała mu prosto w oczy.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, Adamie. Dlatego utknęliśmy pod tymi arkadami. Na okrągło przeżywamy dwa te same przekłete dni, raz po raz oglądamy te same rzeczy! Jesteśmy tutaj właśnie z powodu takich matołów z przyszłości. Popaprańców! Tępaków struganych! Żądnych władzy jełopów, którzy uważają podróże w czasie za jakąś grę! Inspirującą ideę! Utknęliśmy tu, żeby pilnować historii... ale nie mam pojęcia, jak długo tu zostaniemy: ja, Sal i Liam. - Popatrzyła na Sal. - Na zawsze?

- Mam nadzieję, że nie. - Hinduska wzruszyła ramionami.

Po wybuchu Maddy zapanowała długa cisza przerywana tylko szumem wiatraczków komputerowych i cichym perkotaniem napędu w próbkach hodowlanych na zapleczu.

- Wszystko w porządku? - Zaniepokoiła się Sal.

Maddy przez dłuższą chwilę przygryzała wargę. Wreszcie skinęła głową.

- Tak - westchnęła. - Wszystko gra.

- Przepraszam - kajał się Adam - ale to dla mnie takie nowe, takie ekscytujące.

- Nie. To ja przepraszam. - Maddy potrząsnęła głową. - Byłam... nieuprzejma. Wcale nie chciałam na ciebie naskakiwać. Czasem po prostu cię to przygniata. Sam fakt, że o tym wszystkim wiesz. Jestem zmęczona.

Sal próbowała pocieszyć towarzystwo.

- Dobrze, że przynajmniej znaleźli właściwy grób. No nie?

- Jasne - przytaknęła Maddy.

- Tym razem będziemy wiedzieć, co robią.

ROZDZIAŁ 30

Pałac Beaumont, Oksford rok 1194

Wóz zatrzymał się na wybrukowanym gościńcu wiodącym do otoczonego kamiennym murem pałacu królewskiego. Cabot zeskoczył z kozła, mocno uderzając sandałami o ziemię.

- Pochwalony! - krzyknął do grupki żołnierzy blokujących przejazd.

Liam patrzył na wysokie, kamienne budynki za niskim murem - strome ściany szczytowe, blanki, rynny i kominy, z których buchały gęste słupy dymu drzewnego, łopoczące na dachach chorągwie ozdobione królewskimi herbami - i nie mógł przestać się śmiać. Kolejne miejsce, którego chłopak z Corku z tysiąc dziewięćset dwunastego nie miał prawa oglądać.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Bob.

- Ależ ja się nie śmieję, Bob. To po prostu ekscytujące. Ten widok... to prawdziwy średniowieczny zamek królewski.

Rozmowa Cabota z grupą żołnierzy dobiegła końca. Żołdacy - pięciu mężczyzn w zimowych płaszczach i ciężkich kolczugach - wydychali chmury pary i bez zainteresowania patrzyli, jak zakonnik mozolnie brnie przez śnieg w stronę dwukółki.

- Co się stało, bracie Cabot?

- Jana tu nie ma - odpowiedział, gramoląc się na kozioł. - Powrócił do zamku w Oksfordzie.

Ku rozczarowaniu Liama, kiedy jakieś dwa kilometry stąd przejeżdżali obok obwarowanego Oksfordu, nie zdecydowali się wjechać przez wielki łuk bramy na ruchliwą ulicę grodu, którą dostrzegli z gościńca. Nad dziesięciometrowym, kamiennym murem udało mu się jednak dostrzec kosmyki dymu drzewnego wydobywającego się z kominów na kilku spadzistych dachach i zdało mu się, że widzi zwieńczony blankami zarys twierdzy zamkowej.

- Strażnik mówi, że niepokój okolicą trzęsie, toteż księżę dla bezpieczeństwa pobieżył do zamku.

Liam ponownie popatrzył na niski krzemienny mur oraz rozciągającą się za nim otwartą przestrzeń ozdobioną drzewami wiśni i bryłą pałacu Beumont. Konstrukcja przypominała nieco katedrę: długi i przysadzisty budynek okrywał sklepiony dach wykonany z drewna. Wokół królewskiej siedziby nie wybudowano żadnej fosy ani rowów obronnych. W niespokojnych czasach miejsce to nie gwarantowało bezpiecznego schronienia dla władcy.

- Zamek w Oksfordzie - powiedział Cabot, chwytając za lejce i powoli zawracając konie - znam dobrze. Bezpieczna to forteca, a samo miasto chronią grube mury. Zaiste, właściwe to miejsce dla Jana. - Cabot zaśmiał się sucho i niewesoło. - Dopóty, dopóki lud posłuszeństwa mu nie wypowie.

Późnopołudniowe słońce prześwitywało przez mknące po niebie chmury, wóz bez przeszkód wjeżdżał przez główną bramę Oksfordu na targowisko rojące się od kupców

ubijających ostatnie tego dnia interesy.

Liam usiadł na koźle obok Cabota, chichocząc z nieskrywaną rozkoszą. Wszystkie widoki i zapachy robiły na nim olbrzymie wrażenie. Na stragany, czyli płaskie wózki ręczne, właściciele załadowali niesprzedane dziś resztki towarów: zgniłe, popękane główki kapusty i połamane korzenie rzepy. Patrzył, jak jakiś kupiec na jedną kupę rzuca zające i króliki obdarte ze skóry od łap po samą czaszkę; jak piekarz zbiera ostatnie niesprzedane bochny czerstwego chleba; jak pomiędzy zwijającymi interes handlarzami kręci się hałastra bardzo młodych i bardzo starych żebraków w brudnych, wytartych szatach, błagając o nienadające się już do sprzedaży ochłapy, które wylądują w świńskim korycie.

- Złe to czasy dla biednych - skomentował Cabot.

Liam poczuł, że jego radosny uśmiech jest trochę nie na miejscu. Bieda. Dojmująca bieda. Widział już podobne obrazki; swojego czasu napatrzył się na żebraków z Corku. Ale oni dopraszali się o pieniądze. Pieniądze, za które najpewniej kupią alkohol. Natomiast to... ci ludzie żebrali o resztki rzucane świniom.

- Rzeczywiście - odparł półgłosem.

Nad targowiskiem zawisł cienki welon oparów: mieszanin dymu drzewnego z kilkunastu stosów przed domostwami i mgiełki ciepłej pary, która wydobywała się z tysięcy ust owiewanych mroźnym powietrzem. Dominował obezwładniająca wiązanka dwóch zapachów: dymu drzewnego i odchodów. Dym drzewny... Liam już wcześniej zauważył, że woń zdaje się przenikać wszystko dokoła. Gdyby miał wybrać zapach, który przez resztę życia będzie mu przypominał dwunasty wiek, byłby to właśnie dym drzewny. Aromat ten przynajmniej w jakiejś części litościwie maskował obrzydliwy smród gnijących fekaliiów oraz intensywny zapach kału, zarówno zwierząt, jak i ludzi.

Cabot zauważył, jak chłopak marszczy nos.

- Po to habit mnicha wdziałem, żeby jak najdalej od miasta uciec. - Wskazał głową wyrastającą przed ich oczami twierdzę. - Zamek oksfordzki.

Nadciągał zmierzch; szare niebo przybierało ciemniejsze odcienie zimowego granatu. Widoczne w jednej chwili słońce, w następnej zniknęło już za murami miasta. Oczom Liama ukazał się normański, kanciasty donżon zamku oksfordzkiego, wylaniający się zza zawieszonych nisko oparów dymu i mgły. Przez wykute wysoko szczeliny okienne wypływała bursztynowa poświata otaczająca kosze opałów i mrugające pochodnie.

Cabot prowadził wóz w górę krętej, brukowanej ulicy, zwężającej się w miejscach, gdzie chatki i szopy oblepiały ją niczym strupy ropiejącą ranę. Za uchylonymi płachtami wystrzępionych szmat Liam dostrzegał ulotne, blade jak zjawy, osobliwe twarze: facjaty utyłane błotem i wychudłe z głodu. Oczy, które bez nadziei patrzyły na tłące się w izbach łożowe świece; oczy, które zatrzymywały się na nim z błyskawicznie ulatniającym się zainteresowaniem.

Nadzieje Liama, że dane mu będzie ujrzeć zielone pola i delikatne dziewice, szarmanckich rycerzy w lśniących zbrojach i rozradowanych chłopków płasających wokół słupa majowego, czy piersiaste, rumianolice dziewczki wybuchające perlistym śmiechem... teraz wydawały się raczej rojeniami.

„To ponure czasy”.

Dwukółka przejechała przez drewniany most nad błotnistą, zamrznietą przy brzegach rzeką. Wreszcie zajechali pod wysoką, kamienną bramę Zamku w Oksfordzie. Liam obserwował wartownika, który podszedł do wozu.

- Co was niesie? - Zauważył cysterski habit Cabota i po krótkim namyśle dodał jeszcze: - Bracie...

- Przybywamy na audiencję do Jego Książęcej Mości, Hrabiego Kornwalii i Gloucester.

- Nie ma on czasu na kazania.

- Rzeknij mu, że przybył jego stary mistrz szermierczy. Cabot.

Wartownik zmrużył oczy i jął uważnie przyglądać się Cabotowi stojącemu w blednym świetle.

- Zostańcie tu - odrzekł i odwrócił się, by przywołać kolejnego wartownika, który przekaże wieści do zamku.

- Nie mitręzcie - rzucił jeszcze Cabot - zimnica tu sroga, a księżę w gniew popadnie, jak posłyszycy, że jego kamratowi staremu czekać kazaliście.

Wartownik popatrzył na niego sceptycznie.

- Kamratowi, mówicie? - Ruszył w stronę płóciennej budy. - Coście tam skryli?

- Gości - odrzekł Cabot.

Wartownik szpicem miecza rozsunął płócienną zasłonę.

- Ach... kokota dla Jego Księżęcej Mości. - Uśmiech rozciągnął szorstką twarz żołnierza, gdy wyciągał rękę, by dotknąć nogi Beki. - Dorodna klaczka w wiejskiej chałupie się zrodziła.

- Nie próbowałbym na twoim miejscu - ostrzegł Liam, zaglądający do środka z drugiej strony wozu. Mięśnie pod wieśniaczą szatą Beki zaczęły się wyraźnie napinać. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to urwany łeb wartownika księcia Jana. - Beki - upomniał ją szeptem. - Nie rób mu krzywdy.

- Potwierdzam - odpowiedziała z nutką odrazy w głosie.

Wartownik roześmiał się szczerze.

- Krzywdy? Doprawdy... sam z ciekawością bym to obaczył...

Nad łukiem bramy rozległy się podwyższone głosy i odbiły echem od wewnętrznych ścian - w środku zapanowało poruszenie. Wartownik cofnął rękę i grzecznie kiwnął głową do

Beki.

- Wielka szkoda - mruknął i wyciągnął głowę zza płóciennej zasłony.

- Co się dzieje?

- Idzie! Zna mnicha! - wysokim głosem ostrzegł młodzieniec.

Cabot uśmiechnął się do kapitana straży jak chytry lis.

- No i masz, toteż cим mówił.

Kapitan odsunął się od wozu i stanął wyprostowany, wsłuchując się w coraz wyraźniejszy stukot buciorów na bruku, który z wolna tonął już w zmierzchu. Po chwili bramę zalała migająca poświata płonącej pochodni, a Liam dostrzegł niską, pękatą sylwetkę stojącego w środku mężczyzny z długimi włosami.

- Co, do czorta jasnego, się tu wyprawia? - Wściekle warknięcie odbiło się echem od kamiennych ścian. - Puścić go!

Cabot spał lejce, pozwalając dwukółce potoczyć się pod niskim sklepieniem i zatrzymać w obrębie murów zamkowych. Krępa postać stanęła tuż za Cabotem, ciemny kształt wypuszczał bladoniebieskie chmury pary.

- Sébastien Cabot!

- To ja, jaśnie panie!

- Ostatniom słyssał, że Turków za morzem zabijasz!

Cabot parsknął śmiechem.

- Jużci, próbowałem ja tego.

Młody giermek trzymający migającą pochodnię pędem obiegł wóz, by jak najszybciej dołączyć do księcia. Na twarz Jana padło wreszcie tańczące bursztynowe światło. Liam zobaczył szczupłe, zniewieściałe oblicze, które zdobiła rzadka broda i wąsy unoszące się przy każdym oddechu. Całość okalały przepiękne, długie włosy płowej barwy. Księżę ciepło uśmiechał się do Cabota.

- Sébastien - rzekł, gdy już przyjrzał się bliznom na twarzy starca. Oględziny trwały odrobinę zbyt długo, by uznać je za taktowne. - Nawet nie wiesz, jak bardzo serce me raduje się na twój widok, stary druhu.

Kiedy Cabot zeskoczył z wozu, Jan od razu wziął go w ramiona.

- Zawsze to dobrze przyjazną twarz zobaczyć - dodał Jan.

Cabot z wyczuciem oddał księciu uścisk.

- Co u mojego ucznia?

Jan wypuścił go z objęć i postąpił krok do tyłu.

- Wciąż niezdamy ze mnie głupiec. Prędeż własny łeb z karku zetnę niżli głowę innego człeka. - Spojrzał na Liama. - Widzę, że synaś się doczekał.

- Nie, nie jest on moim synem. - Odwrócił się do Liama. - On... on przybył tu, by... - Cabot zamilkł, usiłując jak najlepiej sformułować myśl.

- O co chodzi? Sébastienie?

- Sire, wierzę, że ten młokos i dwoje jego towarzyszy, którzy też tu na moim wozie przybyli, pomogą nam odzyskać zaginiony skarb.

- A więc i ty o tym słyszałeś? - westchnął Jan.

Pomiędzy mężczyznami zapadła długa cisza, rozumieli się bez słów.

- Nieroztropnie tu o tym rozmawiać - cicho rzekł Jan, gestem ręki nakazując Liamowi zeskoczyć z wozu. - Chodź.

ROZDZIAŁ 31

Zamek w Oksfordzie rok 1194

Liam podążył za Janem i Cabotem, którzy rozprawiali o minionych dniach. Minęli ogrodzenie i weszli do mrocznego, chłodnego wnętrza twierdzy. Oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku, w uszach dzwoniło echo kroków, które odbijały się od kamiennych stopni prowadzących na wyższe piętra ciasną spiralą.

Tuż za plecami usłyszał przyciszony głos Beki.

- Ufasz Cabotowi?

- Nie mamy wyjścia - wyszeptał. Słowa popłynęły po schodach w kierunku mnicha i Jana, którzy wciąż serdecznie ze sobą rozmawiali.

Wreszcie weszli do przestronnego holu, zachęcająco oświetlonego pochodniami i ociekającymi łojem świecami w kandelabrach, które podwieszono do kilku dębowych belek skrzyżowanych wysoko na suficie. Liam podejrzewał, że poświata, którą zauważył już wcześniej, wydobywała się właśnie z tego korytarza.

Jan zwrócił teraz uwagę na Liama, Boba i Beki.

- Mówisz, Sébastienie, że tych troje to twoi przyjaciele... możemy otwarcie przy nich rozmawiać?

- Godni są zaufania - przytaknął Cabot.

- Siadajcie. - Jan machnął ręką i opadł na drewnianą ławę ustawioną przy dużym kominku, w którym trzaskał ogień. Liam dopiero teraz zauważył, jak słabowicie i niezdrowo wygląda mężczyzna.

- Niespokojnie to czasy - podjął Jan po chwili. - Lud Anglii otwarcie buntuje się przeciw mej władzy, baronowie knują za moimi plecami... a wszystko przez podatki. - Utkwione w płomieniach oczy księcia lśniły. - Podatki, które nakładałem, by finansować jego głupią krucjatę, a potem wykupić oblakańca z niewoli. - Spojrzał na Cabota. - Wierzajcie mi... wielce mnie kusilo, żeby dać mu zgnieć w niewoli.

- Oblakańca? - Liam pochylił się do przodu.

- Panie - zaczął Cabot - ten młodziak to Liam z Connor. Na jego towarzyszy wołają... Bob i Beki.

Jan uprzejmie pozdrowił Liama skinieniem głowy i po raz pierwszy spojrzał na jednostki.

„To przez te chłopskie łachmany”. - Liam podejrzewał, że tak to w tych czasach działa: biedni byli ludźmi niższego rzędu, nie lepszymi od psów, kotów czy kurcząt swobodnie spacerujących po grodzie pomiędzy ciemnymi, cuchnącymi chałupami, byli niemal niewidzialni.

- Jesteś wojem? - spytał Boba Jan.

- Zap... - Bob przerwał i szybko się poprawił. - Nie, jaśnie panie. Prosty ja człek.

Brwi na szczupłej twarzy Jana wygięły się w łuk.

- A gotów bym się założyć, że wóz przeciągniesz z łatwością wołu.

Bob zmarszczył brwi. Zajął się przetwarzaniem tej uwagi, próbował ustalić, czy książkę

go chwali, czy obraża.

- A tyś jest... - Jan przeciągle popatrzył na drugą jednostkę. - Beki, jeśli dobrze pamiętała.

- Niewiastę przedstawiono mi jako lady Rebeke - odrzekł Cabot.

- Czyżby? - Jan spojrział sceptycznie na ochlapaną błotem suknię. - To ma być szlachetna białogłowa?

- Oui - odrzekła Beki doskonałą normańską francuszczyzną. - Je viens de la duché d'Alevingnon en Normandie [Tak, pochodzę z księstwa Alevingnon z Normandii.].

Cabot szeroko się uśmiechnął, bo Jan natychmiast przestał szyderczo wpatrywać się w Beki.

- Tak, panie, ufam, że jest szlachetnie urodzona... jednakowoż nigdy nie słyszał o tym księstwie.

Jan wytwornie pochylił głowę.

- Madame. S'il vous plaît accepter mes excuses humbles [Pani, zechciej przyjąć me pokorne przeprosiny.].

- Mówię również po angielsku - odrzekła.

- Upraszam o wybaczenie, moja droga - odparł i wskazał jej strój. - To te łachmany...

- Nie chcieliśmy przyciągać niepotrzebnej uwagi - przerwała sucho.

Cabot z przerażeniem otworzył oczy.

- Lady Rebeko, nie przystoi przerywać Jego Książęcej...

Jan potrzęsnał głową.

- Mniejsza o to. - Uśmiechnął się słabo. - Ostatnimi dniami frasują mnie ważniejsze zdecydowanie sprawy aniżeli etykieta królewska. Pragniesz wiedzieć, o kim mówiłem?

- Obląkaniec? - powtórzył pytanie Liam.

- O starszym bracie - odrzekł, wzdychając. - O królu. - Ostatnie słowo niemal wypuł z niesmakiem. - Sprowadził na kraj ruinę, nieroztropnie wyruszając na krucjatę, która, jak powiadają, klęski jedynie przyniosła. Jeruzalem wciąż pozostaje w rękach muzułmanów. Najgorsze wszakże, że głupiec pozwolił się dla okupu porwać. - W zamyśleniu tarosił rzadką brodę piaskowego koloru. - Ale to ja musiałem tłamsić ubogich i wyciskać z możliwych nowe podatki, choć kraj cały już ze złota wyciśnięty. - Wskazał wysokie i wąskie półokrągłe okno z widokiem na gród. - Tamój ich ujrzyjecie... Ludzi z burczącymi żołądkami, co mnie za swą niedolę obwiniają. Nie jego. Nie Ryszarda Lwie Serce. - Westchnął. - Wszystkich nas jego krucjata w nędzę wpędzi. Wartownikom już nie płacę. Pozostali na stanowiskach, bo w zamku strawa jest przynajmniej.

- Poza murami grodów niewiele lepiej, panie - dodał Cabot. - Wioski i miściny takż ledwo zipią.

- A wszystko - wymruczał Jan - przez kapryśne głupca peregrynacje.

- Co masz na myśli? - spytał Liam. - Panie? - dodał szybko, ponaglony ostrym spojrzeniem Cabota.

Jan spojrzał na niego.

- Sébastien powiada, że wiesz o rzeczach znanych tylko templariuszom.

- Myślicie o... Pandorze, panie?

Jan zmarszczył brwi. To słowo najwyraźniej nic dla niego nie znaczyło.

- Graalu? - dodał Liam.

- A jużci, Graal. - Zaśmiał się Jan. - A cóż to jest? Kielich? Czara? Nic więcej. Kielich, z którego Chrystus raz jeden wino pił! Ale Ryszard, jak wszyscy ci głupcy templariusze, wierzy, że moc wielką ma to sacrum! Szaleniec wierzy, że gdy poniesie ze sobą kielich do boju, niezwyciężonym się stanie! Po to właśnie na krucjatę się wyprawił, rozumiecie? Nie, żeby Ziemię Świętą z rąk muzułmanów wyswobodzić... lecz, by zabrać to, co po upadku Jeruzalem zostanie. Zabrać tę... tę durną relikwię!

Z płonących polan na kamienną posadzkę wyprysnął dymiący odłamek węgla drzewnego. Jan patrzył, jak żar szybko gaśnie.

- Wariata na skarby polowanie... w tym zdaniu całą prawdę o krucjacie głupca można zamknąć.

- Czy brat twój odnalazł Graala, panie? - spytała Beki.

- Owszem. Odnalazł. - Jan skinął głową. - I rozkazał oddziałowi najlepszych templariuszy przywieźć go tutaj dla bezpiecznego przechowania. - Lecz... to mnie o wszystko obwini, wiem to. Zabić mnie każe. - Liam zauważył, że lewa ręka Jana położona na kolanie drży. - Kazałem jego oddziałowi przewieźć skarb do kaplicy Rosslyn we Szkocji. Tam tajemnica Graala byłaby bezpieczna, bowiem i wokół pałacu królewskiego, i wokół zamku niepokoje panują. Uznałem, że odległa kaplica będzie najbezpieczniejszym miejscem!

- Jednakowoż wpadli w zasadzkę - dopowiedział Cabot. - Graala skradziono.

- A po powrocie, wątpliwości w tej materii nie mam, Ryszard głowę moją na włócznie nadzieje - mruknął Jan. Uświadomiwszy sobie, że drży mu ręka, ukrył ją pod fałdami szat.

- Panie, z takim właśnie zamiarem, w tej sprawie, tych troje przywiodłem przed wasze oblicze. Powiadają, że pomogą odzyskać Graala.

- Potraficie to zrobić? - Wpatrywał się to w Liama, to w Boba i Beki. - Do mych uszu też doszły o tem pogłoski. Wieści o Zakapturzonym, którego pono zabić nie można. Demon

to, powiadają niektórzy. Anioł gniewny, snują opowieści inni: głównie chłopcy i niczeczemniki, co do lasów czmychają, by do jego gromady dołączyć. Twierdzą, że zdołacie odebrać mu Graala? - Jan nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

Liam zerknął na Beki z nadzieją, że powie coś przydatnego, ale jednostka popatrzyła tylko na niego bez słowa. Bob natomiast posłusznie, i niezbyt pomocnie, kontynuował obserwację rozmowy.

- Sądzę, panie... że Graal mógł zostać skradziony przez kogoś, kto pochodzi z tego samego... hmm... miejsca, co my.

- A cóż to jest za miejsce?

Liam przygryzł wargę. Najlepiej jak potrafili wyjaśnili to Cabotowi, ale mogło to wywołać kontaminację, którą będą musieli naprawić później. Zastanawiał się, jakie konsekwencje dla Maddy i Sal w dwa tysiące pierwszym roku przyniosłaby próba wyjaśnienia przysłemu królowi Anglii podstawowych zasad podróżowania w czasie.

- To miejsce, panie, znajduje się daleko stąd. Panują u nas dziwne zwyczaje. Ale Zakapturzony nie jest ani demonem, ani aniołem. - Wskazał głową Boba. - To zapewne tylko osobliwy człek podobny do Boba... to wszystko.

- Osobliwy? Objaśnij mi to dokładniej.

- Silny... bardzo silny człowiek. Nadzwyczajnie krzepki - dodał Liam. - O niesamowitej wytrzymałości. Posługuje się też pewnymi niezwykłymi technikami walki.

- Mówią, że zakapturzonego łotra nie mają się belty ni inne pociski. Ponoć jest niepowstrzymany w boju, ponoć to sam Graal chroni go przed zranieniem. - Jan powoli potrząsnął głową. - Może w tym bajdurzeniu o templariuszach tkwi ziarno prawdy.

- Panie - odparł Cabot. - Na własne oczy widziałem, jak ten oto Bob takie same sztuki czyni.

Jan przeniósł wzrok z Cabota na jednostkę pomocniczą.

- Potwierdzam - zagrział Bob. - Potrafię regenerować się po ekstremalnych uszkodzeniach i wdrażać środki zapobiegawcze minimalizujące skalę zniszczeń.

- Sébastienie, ten wół człowieczy rzecz po naszymu, ale ja ni w ząb nic nie pojmuję z jego bełkotliwej gwary.

- Rzekł on, panie, że ma moc Zakapturzonego. Na własne oczy widziałem, jak przeszły go strzały, które uśmierciłyby zwykłego człeka... a mimo to on nawet nie mrugnął - odrzekł mnich.

- To prawda. Tu nie o Graala chodzi. Nie o magiczne ani boskie moce. Zakapturzony to inna... cóż, powiedziałbym, że to człowiek podobny do Boba - dodał Liam.

Jan bez słowa przyglądał się im przez chwilę, gładząc palcem kłaczek włosów na czubku swojej brody. Hol wypełnił dźwięk trzaskających i syczących polan. Wreszcie księżę wybudził się z zamyślenia.

- I mówicie, że pomóc nam przybyliście?

- Tak. Odzyskamy Graala dla Waszej Księżęcej Mości - potwierdził Liam.

ROZDZIAŁ 32

Zamek w Oksfordzie rok 1194

Kwatery, które im przydzielono, były najwyraźniej przeznaczone dla szlachetnie urodzonych gości: cztery komnaty na najwyższych piętrach twierdzy udekorowano tapiseriami i haftowanymi poduchami. Prawdziwym dowodem na to, że Jan ceni sobie ich

obecność, była spora odległość dzieląca ich okna od fetoru unoszącego się nad ulicami Oksfordu.

Palenisko w komnacie Liama płonęło jasno, wypełniając zimną i wilgotną izbę przyjaznym ciepłem. Na drewnianym stole postawiono dla nich misę z bochnami chleba i konfiturami oraz dzban importowanego wina.

-...byłem jego mistrzem szermierczym. Fechtunku uczyłem trzech synów królewskich: Geoffreya, Ryszarda i Jana - ciągnął Cabot, przelewając wino z dzbana do swojego kielicha. - Chłopcami byli, oj, dawno temu to było, jeszcze zanim polityczne waśnie ich podzieliły. Najstarszym był Geoffrey, ulubieniec Henryka. Ryszardem zawsze zawziętość rządziła... pewne było, że zechce imię swoje w historii rozślawić.

- A Jan? - dopytywał Liam.

Cabot wzruszył ramionami.

- Chłopiec to był łagodnego usposobienia. Szermierz z niego żaden. To w Ryszardzie wyczuwałem coś, co wzbudzało trwogę. Zapowiadał się na wielkiego... wszechpotężnego władcę. Męża, który z zimną bezwzględnością wszystkie królestwa w Europie podbije i scali w jedno. Kiedy Geoffrey zmarł, jasnym się stało, że to Ryszard zasiądzie na tronie po swoim ojcu... wiedziałem, że teraz poleje się krew. - Twarz Cabota wykrzywił przygasły uśmiech. - I ja wtedy byłem młody, i ja chwałę zdobyć chciałem na polach bitewnych.

- Jak długo byłeś w takim razie templariuszem?

- Piętnaście lat temu wszedłem na służbę do Sir Godfreya Cottleigha i jako zbrojny wyruszyłem do Ziemi Świętej, by wypełnić swą powinność: dać ochronę chrześcijańskim pielgrzymom. To w tamtych latach - ze wszech miar spokojnych, jeszcze przed Jeruzalem upadkiem - poznałem sekrety bractwa.

- Sekrety? O Graalu?

- I nie tylko.

Bob i Beki ożywili się na te słowa. Liam podejrzewał, że oboje uważnie obserwują jego twarz, język ciała, wypatrując gestów sygnalizujących szczerą lub kłamstwo.

- Jakich?

Cabot nie był skory łamać dawno temu złożonej przysięgi o dochowaniu tajemnicy.

- Bracie Cabot? Co jeszcze się za tym kryje?

- Rozumiesz przecie, że wyjawiając ci... więcej, zdradzę bractwo. Pojmujesz to?

- Ale przecież brat i tak ich opuścił. Więc...

- Dobrze prawisz. - Wzruszył ramionami, po czym przechylił puchar z winem i wlał je do gardła. - Po Jeruzalem upadku i ogłoszeniu przez Ryszarda krucjaty, aby ją odzyskać, zrozumiałem, ile krwi w imię Boga zostanie przelane. Gdy król Ryszard przybył do Ziemi Świętej wraz ze swoją armią, dostrzegłem, że jego głową zawładnęła potężna myśl. Niebezpieczna myśl. - Oczy Cabota i Liama się spotkały. - Usłyszał historię o Wyznaniu Treyarcha... i przybył po Graala.

Beki poruszyła się niespokojnie.

- Nie mam danych na temat Wyznania Treyarcha. Co to jest?

- Wyznanie Treyarcha to historia spisana ręką Gerarda Treyarcha. Wraz z bratem swoim walczył on w pierwszej wyprawie krzyżowej. Bili się w szeregach armii chrześcijańskiej, która po raz pierwszy wyswobodziła Jeruzalem w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Słyszeliście o tem?

Liam nie słyszał. Odwrócił się więc do pozostałej dwójki.

- Beki? Bob?

- Pierwsza wyprawa krzyżowa została zorganizowana przez papieża Urbana II w tysiąc dziewięćdziesiątym piątym roku. Celem było zdobycie Jerozolimy i wydalenie z niej muzułmanów. Krucjata przebiegła po myśli chrześcijan. W tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, po krótkim oblężeniu, krzyżowcy weszli do miasta. W kolejnych dniach żołnierze rzekomo wymordowali wszystkich muzułmanów w mieście...

- Mężczyzn, kobiety... dzieci - potwierdził Cabot.

- Jerozolima i Ziemia Święta - ciągnął Bob - pozostawały w rękach chrześcijan przez blisko sto lat władane przez chrześcijańskich królów, Obrońców Grobu Pańskiego. Pokój w tak zwanym Królestwie Niebieskim utrzymywał się przez niemal dziewięćdziesiąt lat, ale nadszedł rok tysiąc sto osiemdziesiąt siódmy. Saraceni pod dowództwem zdolnego sułtana Saladyna wreszcie odbili miasto.

- Saladyna? - spytał Liam.

Bob przytaknął.

- Saladyn okazał się miłosierny, pozwolił chrześcijanom pozostać w mieście i rozkazał swoim ludziom nie bezcześcić świętych dla niewiernych miejsc.

- A Wyznanie Treyarcha? Co to za dokument, bracie Cabot? - dopytywał Liam.

Cabot zaczął powściągliwie:

- Wedle legendy, w czasach, gdy chrześcijanie władali Ziemią Świętą, a na ziemiach tych zapanował niemal stuletni pokój, Gerard i Raymond Treyarch odkryli coś w kryptach pod Jeruzalem. Wyznanie Treyarcha to spisana przez Gerarda relacja z tych poszukiwań.

- Co odkryli?

- Starożytny przedmiot.

Cabot mocniej zacisnął usta, jakby wcale nie miał ochoty ich otwierać.

- I?

- Legenda głosi... że ponad tysięcletni zwój znaleźli. Za czasów Jezusa Chrystusa spisany.

- Jezu! - chlapnął Liam.

- Jużci... z czasów Chrystusa pochodził. - Cabot z naganą zmarszczył brwi.

- Co w nim było napisane?

- Nigdy nie czytał Wyznania Treyarcha, ale słyszał, iż nic się z niego nie można wywiedzieć o treści zwoju z epoki Chrystusowej... to tylko opowieść o tym, co z nim uczynili. - Cabot wgryzł się w jabłko. - Pono przepisali to pismo jakimś szyfrem, a potem zniszczyli zwój.

Liam wyprostował plecy.

- Zniszczyli? Po co?

- Tego nie wiadomo. - Cabot skulił ramiona. - Może dlatego, że prawdy w nim objawione były zbyt niebezpieczne dla zwykłych śmiertelników? Może zawierał słowa Boże o wielkiej mocy, których pojąć nie potrafimy?

- A ten przepisany, zaszyfrowany rękopis - dociekał Liam - to jest Święty Graal?

- Ach, słusznie prawisz, chłopcze. Rękopis ten i klucz do jego odczytania - te dwie rzeczy połączone razem - to właśnie nazywamy Graalem. - Ostrożnie pokiwał głową. - Dobrze to, że Graal składa się z dwóch części, które są przechowywane oddzielnie.

- Wierzycie w jego moc, ojciec Cabot? - spytała Beki.

- Wierzę, że ta właśnie moc wpędziła braci Treyarch w obłąd.

- Hmm? - Liam szeroko otworzył oczy. - Naprawdę?

- Raymond Trejarch, jak mówią ludzie, targnął się na życie swoje w Jerozolimie, a Gerard trafił do klasztoru w Akwitanii, gdzie spisał swoje Wyznanie i, jak legenda głosi, oszalał.

Ogień wygasał. Liam sięgnął po kolejne polano i delikatnie położył je na stosie jarzących się węgla i pulsującego żaru.

- Dowiedzieliśmy się więc, że połowa Graala została skradziona przez tego kaptura i jego zbójów...

- Jużci, zaszyfrowany rękopis.

- Gdzie w takim razie znajduje się drugi element? Klucz? - pytał Liam.

- Kiedy Ziemią Świętą władali królowie chrześcijańscy, rękopisu strzegli rycerze templariusze z Jerozolimie, klucz natomiast przechowywało w swej pieczy inne bractwo z Akry oddalonej o sto mil na północ. Miasta padły łupem Saladyna... a Ryszard krucjatę zwołał, by oba artefakty odzyskać.

Wzrok Cabota błędził tysiące kilometrów od Oksfordu.

- Byłem ja w Akrze, gdy miasto uległo przed armią Ryszarda. - Westchnął. - Byłem ja tam, patrzyłem, jak wszystkim muzułmańskim obrońcom ścinają głowy. Mniemam, że tego właśnie dnia znalazł klucz. Tak to świętował.

Liam zadrżał na myśl o rzezi niewinnych ludzi.

- Chciał zdobyć obie rzeczy i udało mu się je zdobyć... ale po co wysłał rękopis do Anglii? - spytał Cabota.

- Pytanie - przerwała Beki. - W jakim celu to zrobił?

- Z przezorności. Wiadome to, że król Ryszard obawiał się wrogów, może innych królów, którzy też wiedzieć mogli o Wyznaniu Treyarcha. Armia krzyżowców osłabła po tym, jak objawiło się, że ma zbyt nikłą siłę do oblężenia i zdobycia Jeruzalem. Rycerze dotychczas walczący u boku króla wrócili do swoich ojczyzn - tak jak i jam to uczynił rok wcześniej. Połowę Graala wysłał Ryszard na przechowanie do domu, zaś drugą, klucz do rękopisu odczytania, zostawił przy sobie. Powrót do domu opóźnił się, gdy jego statek zatonął, a on w niewoli się znalazł. Dwie wiosny czekał, by do domu powrócić - dwie wiosny osładzane myślą, że posiada klucz do odczytania słów Bożych. Ale gdy wreszcie powróci...

- Dowie się, że jakiś zakapturzony mąż odebrał Janowi rękopis.

Cabot przytaknął.

Liam rozumiał już, dlaczego biedak smutniał, gdy wspomiano przy nim imię brata.

- Król Ryszard zabije go po powrocie - mruknął Cabot. - To rzecz pewna. Obawiam się, że myśl ta uporczywa wykrzywiła umysł jego ponad wszelkie proporcje.

W ciszy słychać było tylko trzaskanie i skwierczenie płonących polan. W końcu odezwała się Beki:

- Pytanie: co wspólnego ma słowo „Pandora” ze Świętym Graalem?

Cabot zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Bracie Cabot? - ponaglił go Liam.

Starzec odpowiedział niskim, tylko trochę głośniejszym od szeptu głosem.

- To jedyne słowo z pierwotnego rękopisu, które mogli znać templariusze.

Liam w zamyśleniu pogłaskał się po podbródku.

- Beki... Bob? - Dwie pary szarych oczu spojrzały na chłopca. - Jeśli tekst Graala trafi w nasze ręce, to czy uda wam się go rozszyfrować?

- Nie wiemy - odrzekła Beki.

- Nie dysponujemy danymi na temat ówczesnych technik szyfrowania - dodał Bob.

- Ale założmy, że go zdobędziemy i zabierzemy ze sobą do... - Spojrzał na Cabota, uświadamiając sobie, że lepiej nie ujawniać mu dokładnej lokalizacji czasowej bazy. - Jeśli zabierzemy go do domu, to może Adam zdoła złamać szyfr?

- To możliwe - zgodziła się Beki.

- Toż to nie dziecięca łamigłówka, którą od tak rozwiązać można! - warknął Cabot. - To... to słowa Pana naszego! Uświęcona prawda! A ty, gołowąsie, mówisz o tem jak o grze jakowej!

Liam odpowiedział starcowi równie hardym spojrzeniem.

- To nie gra, bracie Cabot. Przynajmniej nie dla mnie. Przybyliśmy tu, bo... bo niewykluczone, że nie są to słowa naszego Pana. Słowa te mogli spisać ludzie podobni nam, inni podróżnicy w czasie.

Szczęka starca opadła i zadrgała niepewnie.

- Otrzymaliśmy ostrzeżenie, bracie Cabot. Ostrzeżenie, by odszukać Pandorę, czymkolwiek ona jest. Rzekliście, że w Wyznaniu Treyarcha mowa o tym, iż odnaleziony rękopis pochodzi z czasów Jezusa. To prawda?

- Takem mówił - przytaknął Cabot.

- A więc ostrzeżenie czekało dwa tysiące lat, aż je odnajdziemy. - Popatrzył na starego mnicha. - To nie jest żadna gra.

- Musimy zdobyć tego Graala - dodała Beki.

- Racja - dodał Bob. - To musi znaleźć się na liście priorytetów misji.

ROZDZIAŁ 33

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Wsluchiwał się w głosy swoich ludzi, wyznawców. Echo rozmów prowadzonych wokół ognisk spowijało cały las. Morale było wysokie. Mieli dzisiaj dobry dzień. Zdołali przejąć furgon kupiecki pełen luksusowych towarów wiezionych jakiemś baronowi. Właśnie chleptali cudzoziemskie wino, które znaleźli na wozie. Zgromadzeni przy ogniskach biesiadnicy śpiewali coraz mniej melodyjne, za to coraz głośniej.

„Są jak dzieci”.

Obserwował ich ukryty w cieniu szałas. Oto jego własna armia chłopskich rozbójników. Przez ostatnie lata przywykli do skrajnej biedy, głodu i wygrzebywania z ziemi resztek jedzenia. Ale tu, w lasach hrabstwa Nottingham - gdzie swobodnie kłusowali na jelenie i zające, bo żołnierze nie śmieli się za nimi zapuszczać - zachowywali się jak rozochocone bachory.

Wszystko to bardzo przypominało Jamesowi Locke'owi czasy, z których przybył. Pamiętał świat biedy, przeludnionych i popadających w ruinę miast... skażone oceany zasiedlone jedynie przez dryfujące hałdy plastikowych odpadów i powoli rozkładających się toksyn. Świat na skraju upadku... na skraju śmierci.

Spojrzał na trzymaną w rękach drewnianą skrzynię, stare wytarte drewno z dekoracyjnym wzorem wrytym na ściankach. Wpatrywał się w nią intensywnie. Wewnątrz spoczywało to, po co przybył z przyszłości. Przedmiot, na który jego bractwo czekało niemal

sto lat. Utracona prawda. Ostrzeżenie. Proroctwo.

„Pandora”.

Locke zerknął do środka, dotknął jej, nawet rozwinął kawałek, żeby choć kątem oka zobaczyć inskrypcje. Poczul, jak włosy na karku stają mu dęba. Pergamin pokrywały ukryte przed niepowołanym wzrokiem słowa: przypadkowe, niezrozumiałe symbole skrywające swe znaczenie pod szyfrem.

Ponownie wyrztał przez zasłonę szalasu na swoich zbójów, którzy weselili się w migającym świetle ogniska. Napaści na towary baronów, farmy, wozy poborców podatkowych - wszystko to przywiedzie króla Ryszarda prosto do Nottingham. Kiedy powróci do Anglii, trafi do tych lasów. Przywiodą go tutaj wieści o powstaniu i zaginięciu jego bezcennego Świętego Graala.

„Przyjedzie. A razem z nim druga połowa Graala. Klucz”. - Locke z zadowoleniem pokiwał głową.

ROZDZIAŁ 34

Zamek w Oksfordzie rok 1194

- Pokaż mu to tylko, a bełkotliwy matoł od razu stanie się posłuszny - rzekł Jan.

Liam spojrział na trzymany w dłoniach zwitek pergaminu zapieczętowany woskiem z wyciśniętym herbem Jana bez Ziemi.

- Co to jest, sire?

- To rozkazy dla Szeryfa z Nottingham, który ma uczynić wszystko, co w jego mocy,

by dopomóc ci w wytropieniu Zakapturzonego i jego rabusiów. - Zaciśnął wargi w drwiącym uśmiechu. - A jeśli ten niewydarzony głupiec, szeryf William De Wendenal, waży się temu sprzeciwiać lub jeśli rzucać ci zacznie kłody pod nogi, masz prawo przejąć od niego urząd. Takie to prerogatywy nadaje ci ten dokument.

- Azaliż... zostanę szeryfem Nottingham?

- Jeśli konieczność taka zajdzie.

- Aż mnie dreszcz przeszedł - zachichotał Liam.

- Jużci - powiedział Jan, rozglądając się po dziedzińcu. Z nozdrzy oporzędzonych koni buchały pióropusze pary, niespokojne chmury przetaczały się przez szare, zimowe niebo, zapowiadając opady kolejnych zwałów śniegu. Istotnie było mroźno. - Ale niebawem się ociepli. Ręczę.

W pobliżu stali żołnierze o poważnych twarzach, pocierając owinięte rękawicami dłonie i przestępując z nogi na nogę, by się rozgrzać.

- Weźmiesz ze sobą do Nottingham tuzin moich najlepszych gwardzistów. Wszyscy z nich to dobrzy wojowie. Ufam im. Będą wykonywać twoje rozkazy z taką gorliwością, jakbym to ja sam je wydał. - Jan zerknął na Boba, który nosił teraz kolczugę opinającą szeroki tułów, kaptur kolczy chroniący jego kokosiany łeb i długi miecz przytwierdzony do skórzanego pasa, który ciasno opinał biodra. - Mniemam wszakże, że jeśli twój wielki przyjaciel jest choć w połowie tak dobrym wojem jak prawileś... to w ogóle nie będziesz ich potrzebował.

Liam spojrział na nich, ledwo się powstrzymując od szczerzenia z dumą zębów.

„Moja własna armia ołowianych żołnierzyków”.

- Na wszelki wypadek wolę mieć ich przy sobie - powiedział.

Jan przez chwilę marszczył brwi, ale wreszcie zrozumiał, co młodzieniec ma na myśli.

- Takoż i postanowione. - Książę położył rękę na ramieniu chłopca. - Zwróć mi to, co zostało zabrane, Liamie. Zanim będzie za późno.

- Tak, panie. - Pochylił głowę. - Odzyskamy go dla ciebie.

- Jeden mam wszak warunek, przy którym upierać się będę. - Wskazał głową Beki. - Lady Rebeka pozostanie ze mną tu w Oksfordzie.

- Co? - Liam aż cofnął się o krok.

Jan wykonał nieznaczny ruch głową, dwaj żołnierze wyrosli jak spod ziemi i chwycili Beki pod ramiona. Liam usłyszał zgrzyt klingi wyciąganej z pochwy i szybkie ruchy Boba składającego się do siepnęcia mieczem.

- Bob, nie! - krzyknął. Odwrócił się do Beki. Jednostka zdążyła już złapać za gardło nieszczęśnika z prawej i mocno ścisnąć jego krtań. Żołdak wytrzeszczył oczy i zaszurał stopami, szukając oparcia na kocich łbach.

- Beki! Odstaw go!

Popatrzyła jeszcze wyzywająco na mężczyznę i dopiero zwolniła uchwyt.

- Jak sobie życzysz.

Mężczyzna zachłysnął się powietrzem i opadł na kolana, rżąc i wypluwając flegmę na bruk.

- Dobry Boże! - Jan sapnął niespokojnie.

- Zdziorna z niej pannica, sire - rzekł Cabot. - Walczy nie zgorzej niż najodważniejsi mężowie, jakich znam.

- Zaiste - odrzekł Jan. - Nalegam wszak, aby została tu do waszego powrotu.

Potrafiliby wydostać się z twierdzy. Liam wiedział, że Bob i Beki w przeciągu minuty zaścielą dziedziniec dywanem martwych i konających na bruku mężczyzn. Stwierdził jednak, że okoliczności wymagają bardziej dyplomatycznych rozwiązań.

- Czy mogę pomówić na osobności z moimi przyjaciółmi, panie?

- Jak sobie życzysz. - Jan pociągnął nosem i wykonał gest w kierunku żołnierza stojącego obok Beki. Ten pomógł swemu koledze podnieść się z ziemi i poprowadził go przez podwórze do innych wartowników, którzy podkpiwali już pod nosem z żołdaka: „Dorosły mąż, królewski gwardzista... sprany przez dziewczkę!”.

Jan powoli odszedł na kilka kroków od Liama i zaczął fałszywie nucić jakąś melodię.

Liam, Beki, Bob i Cabot zbliżyli się do siebie, aby porozmawiać przyciszonymi głosami.

- Nie powinniśmy się rozdzielać! - powiedział Liam. - Przegapisz okno powrotne, jeśli cię tu zostawimy!

- Zaplanowane okno - rzekł Bob - zostanie otwarte za trzy dni, jedną godzinę i...

- Godzinę po nim pojawi się okno awaryjne, a za kolejne dziesięć dni następne - przerwała Beki. - Ponadto za pięć miesięcy, dwadzieścia sześć dni, godzinę i siedemnaście minut będzie też na nas czekało ostatnie okno ekstrakcji.

Liam uświadomił sobie, że Beki do czegoś zmierza.

- Sugerujesz, żeby cię tu zostawić?

- Potwierdzam. Może nadarzyć się sposobność pozyskania strategicznie użytecznych danych: dodatkowych informacji na temat Wyznania Treyarcha.

- Potwierdzam. - Bob skinął głową. - Poza tym teraz, skoro już wypróbowaliśmy

metodę komunikowania się z biurem terenowym, możemy przesłać do bazy osobną sygnaturę czasowo-topograficzną dla Beki.

Miał rację, mogli przecież otworzyć portal tutaj, specjalnie dla niej. Wcale nie musiałyby wracać do Kirklees. Liam spojrzął na nią uważniej.

- Poradzisz sobie?

- To słuszną decyzją taktyczną - odrzekła.

Liam zerknął na Jana, który niecierpliwie spoglądał w niebo i wciąż nucił.

- Mam wrażenie, że czuje do ciebie miętę, Beki.

- Miętę?

- No wiesz... podobasz mu się.

Cabot parsknął śmiechem, ale szybko się przeżegnał i wznosił wzrok ku niebiosom z pełnym skruchy wyrazem twarzy.

- Tak! Bądź ostrożna.

- Poradzę sobie z nim - odrzekła spokojnie. - Wykorzystam jego... żądze i motywacje.

- Nie może dowiedzieć się, że jesteś jakimś robotem z przyszłości - powiedział Liam.

- Rozumiesz? Wywoła to zbyt poważną kontaminację.

Beki przez dłuższą chwilę przyglądała się Liamowi, nagle wyraz jej zimnej, wyczutej z uczuć twarzy zaczął łagodnieć, wargi ułożyły się w ciepły, zmysłowy uśmiech. Dla lepszego efektu odrzuciła do tyłu burzę czarnych włosów. Liam poczuł, jak coś przelewa się przez jego żołądek... pożądanie?

„Daj spokój, Liamie. To tylko organiczny robot, pamiętasz?”.

- Moja sztuczna inteligencja przyswoiła wiele nowych informacji. Obserwowałam samcze rytuały. Czytałam też Harry'ego Pottera. Wiem, jak posługiwać się językiem ciała i modulować głos, by skutecznie manipulować samcami waszego gatunku. - Kuszący, zapraszający, urzekający uśmiech nie schodził z jej twarzy. Nawet mrugnęła okiem: niezręcznie i w wymuszony sposób, ale jego serce i tak zaczęło bić mocniej. - Poradzę sobie, Liamie O'Connor.

„Nie ma mowy, żeby sobie nie poradziła”.

- Dobra - przytaknął Liam. - W takim razie zostajesz tutaj. Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Powiadomimy biuro terenowe

o twojej dokładnej lokalizacji, żeby mogli wysłać do ciebie wiązkę tachionową. Jeśli coś pójdzie nie tak, Beki... jeżeli z jakiegoś powodu Maddy nie wyznaczy terminu powrotu, koniecznie musisz dostać się do Kirklees przed upływem sześciu miesięcy. Rozumiesz?

- Potwierdzam. Nie chcę ulec autodestrukcji.

- No, to wszystko ustalone. - Spojrzał na Boba i Cabota, po czym skinął głową i odwrócił się do Jana. - Lady Rebecca zgodziła się zostać.

- Naturalnie - odrzekł Jan. - Uczynię, co w mej mocy, aby poczuła się tu jak najlepiej.

Liam podszedł bliżej i grzecznie uklonił się księciu.

- Wyruszamy zatem, sire.

- Nie mitręzcie ani chwili - rzekł Jan. Przez jego twarz przebiegła chmura napięcia. - Przyszły wieści, że król Ryszard do Francji już dotarł.

- Powrócimy tutaj, zanim zdążysz powiedzieć Póg mo thoin [Wulgarnie powiedzenie irlandzkie. Dosłownie: „pocałuj mnie w dupę”].

Jan znowu zmarszczył swoje gęste brwi w konsternacji. Przez chwilę przygryzał wargi, jakby naprawdę zamierzał to powtórzyć.

- To takie powodzenie z moich rodzinnych stron.

- Oczywiście. - Odprawił Liama kurtuazyjnym skinieniem głowy. Chłopak odwrócił się i wgramolił na tył wozu Cabota. Gdy Bob poszedł jego śladem, osie dwukółki zaczęły trzeszczeć pod jego ciężarem.

- Dobrze było starego druha ujrzyć! - krzyknął Jan do Cabota. - Bóg mi świadkiem, zem od dawna żadnego nie widział.

- Nie wrócim z pustymi rękoma, panie. - Cabot cmoknął na konie i mocno ściągnął lejce, żeby poderwać je do stępa. Wóz wolno potoczył się po kocich łbach ku głównej bramie zamku. Liam wyjrzał przez płócienną zasłonę, żeby popatrzeć na żołnierzy - jego żołnierzy - którzy formowali szyk, karnie ustawiając się gęsiego za wozem: mała kolumna rumianolicych żołnierzy w matowych kolczugach zaczęła ociężale maszerować ich śladem.

Po raz ostatni zerknął jeszcze na Beki, kokieteryjny uśmiech zniknął już z jej twarzy, oszczędzała go na później. Skinęła głową na znak pożegnania, gdy znikali w bramie i wyjeżdżali na most.

ROZDZIAŁ 35

Nowy Jork rok 2001

Sal obserwowała Adama, który krzątał się między czajnikiem a lodówką po drugiej stronie bazy i parzył im herbatę.

- Nie mówimy mu za dużo? - spytała Sal. - Nie zdradzamy zbyt wiele? Foster

powiedział przecież, że mamy być supertajną organizacją.

Maddy oderwała wzrok od monitora i spojrzała na młodego mężczyznę.

- Wiem, wiem - wymamrotała z poczuciem winy. - Ale ja... on jest użyteczny. Potrzebujemy go.

- Co się w takim razie stanie... kiedy już naprawimy historię i wszystko wróci do normy? Co z nim wtedy zrobimy?

Maddy nic nie odpowiedziała... co Sal zrozumiała opacznie. Oczy dziewczyny nagle rozbliły.

- Może zostać?

- Nie! - szybko zaprzeczyła starsza dziewczyna. - Nie! Nie możemy go zwerbować!

- Ach.

- Nie może zostać, Sal. Nie może. Nie mogę po prostu przyjąć kogoś tylko dlatego, że go lubimy.

- Dlaczego nie?

- Bo mamy już pełną drużynę. Czteroosobową, zgodnie z nakazem Fostera. Agencję tworzą czteroosobowe zespoły. Każdy członek ma określone zadania i...

- Ale przecież z Beki jest nas w drużynie pięcioro!

- Wiem! To kolejny powód, żeby nikogo więcej nie przyjmować.

Patrzyły, jak Adam nalewa wodę z czajnika do kilku wyszczerbionych kubków i miesza herbatę, brzękając łyżeczką o ścianki. Irytujący dźwięk słychać było w całej bazie.

- Co teraz zrobisz, Maddy?

- Nic - westchnęła.

- Nic?

- Nic, bo... - Przygryzła wargę i odwróciła wzrok. - Bo dużo czasu mu nie zostało.

- Co masz na myśli?

- Sprawdziłam go, Sal. Znalazłam jego nazwisko na liście jutrzejszych ofiar...

Spojrzenie Sal znowu powędrowało w stronę biurka i Maddy.

- Shadd-yah! - wyszeptwała. - Niemożliwe. Jutro? Tylko mi nie mów, że...?

Maddy skinęła głową.

- Pracuje dla firmy o nazwie Sherman-Golding Investment... z siedzibą na dziewięćdziesiątym piątym piętrze w wieży północnej. - Maddy poczuła, że jej głos zaczyna delikatnie drżeć. - Znalazł się w grupie tych osób, którym nie udało się wyjść.

Usłyszały odgłos zbliżających się kroków. Odwróciły się, by zobaczyć Adama niosącego w obu dłoniach kubki z parującą herbatą.

- Dla szanownych pań. Po filiżance wybornej herbaty. - Zmarszczył brwi ze zmieszaniem. - Co się z wami dzieje?

Maddy przywołała na twarz szeroki uśmiech.

- Hej... nic. Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedziała i sięgnęła po kubek. - Dzięki.

Ponownie spojrzał na stół kuchenny.

- Pójdę tylko po herbatniki. Moja mama zawsze powtarza, że filiżanka herbaty jest zbyt mokra bez ciasteczka, które można w niej zanurzyć.

Odprowadziły go wzrokiem. Maddy zaczęła się zastanawiać, w jak okrutną osobę musi zmieniać ją ta robota, skoro rozmyślnie zataja przed kimś tak sympatycznym jak Adam, że niedługo spotka go śmierć.

ROZDZIAŁ 36

Nottingham rok 1194

Gród Nottingham jaśniał w ciemności. Nie była to jednak zachęcająca poświata pochodni i ognisk wartowniczych rozpalonych przez strażę, ale łuna unosząca się nad płonącymi budynkami.

Kiedy Liam, Cabot i Bob wraz z eskortą powoli zajechali pod bramy miasta, usłyszeli słabe pobrzękiwanie i zgrzyt stali oraz ryki zbuntowanego tłumu.

Wóz wtoczył się do otoczonego murem grodu przez otwartą i niestrzeżoną wartownię. Na głównej ulicy wałały się połamane kawałki drewna. Na środku gościńca płonął stos pogrzebowy usypany z kilkunastu ciał. Zapach spalonego ludzkiego mięsa przyprawiał Liama o mdłości.

Siedzący obok niego na koźle Cabot odwrócił się.

- Choryś, młodziaszku?

- Je-zu! Ten zapach - burknął, wycierając strużkę żółci spływającą z jego brody. - Co się dzieje?

- Rebelią to pachnie.

Liam zauważył kucające wokół ogniska kobiety i dzieci w łachmanach, prawdopodobnie oplakujące bliskich, których ciała trawił już ogień na stosie. Dostrzegł też wóz obładowany czymś, co w pierwszej chwili wydało mu się stertą odartego z kory drewna na opał bądź bladych, gruzłowatych gałęzi brzozy lub wierzby. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że patrzy na czyjeś ręce i nogi - ciała, ciśnięte jedno na drugie.

- Głód i choroby nawiedziły Nottingham - rzekł Cabot, potrząsając głową. - Chłopi nie orają już ziemi, bo podatki i tak zzerają wszystkie plony. Jedzenie gnije na polach, a miasta najpierwej to odczuwają.

- Gdzie się wszyscy podziali?

Cabot kiwnął głową w stronę głównego placu miasta, gdzie naj intensywniej jaśniała poświata i skąd dochodziły najgłośniejsze ryki i zgrzyt ostrzy.

- Pewnikiem szturmują zamek Szeryfa z Nottingham.

Cabot sięgnął przez zasłonę do wnętrza wozu, wyciągnął pochwę z mieczem i położył ją na kolanach, popędzając konie naprzód przez ulicę oblepioną błotem i wałącymi się chałupami.

- Może przyjdzie nam drogę karczować.

Zgiełk i bursztynowa łuna stały się intensywniejsze, gdy wyjechali z zakrętu na błotnistej wybrzdżonej drodze, a przed ich oczami wyrósł zwieńczony blankami kamienny mur. Wzdłuż podstawy roило się mrowie ludzi niosących setki płonących pochodni. Najgęściej było przy grubych, dębowych wrotach wieży strażniczej. Wnosząc po zamęcie i poruszeniu wśród tańczących cieni oraz falujących pochodniach, mieszkańcy Nottingham robili co w ich mocy, by podpalić bramy. W odpowiedzi żołnierze na murach zasypywali tłum bełtami i uchylali się przed miotanymi prosto w nich kamieniami, dzidami i okazjonalnie wystrzeliwanymi strzałami.

Do wozu podbiegł jeden z gwardzistów, których Jan oddelegował do eskorty. Edward - choć wszyscy wołali na niego Eddie. Pozostali gwardziści zdawali się wypełniać jego polecenia, choć wcale nie był od nich wyższy stopniem.

- Panie! - zakrzyknął do Liama. - Jeśli nas obaczą... to hurmą się na nas rzucą!

Miał rację. Nikt w kilkusetosobowym tłumie nie dostrzegł jeszcze wozu i eskorty, ukrytych w ocienionym zaułku pomiędzy długim, krytym strzechą spichlerzem a warsztatem młockarza.

- Musimy się przedrzeć - rzekł na to Liam.

- Panie? - Eddie popatrzył na niego ze szczerym zdumieniem. Zniszczona twarz żołnierza dowodziła, że swojego czasu, podobnie jak Cabot, brał udział w niejednej bitwie. A jednak ten rozkaz poważnie go zaniepokoił.

- Panie... toż to samobójstwo!

Liam niepewnie skinął głową. Nie wyglądało to najlepiej. Na szczęście mieli jeszcze Boba. Obrócił się na koźle.

- Grhm... Bob? - Poczul, że usta wyschły mu na wiór, a głos drży z nerwów. Nienawidził się za to, bo wszystkim mężczyznom wokół udawało się powstrzymywać od infantylnych pisków, a jego głos wciąż jeszcze brzmiał jak chrypienie подростка tuż przed mutacją.

Pokryta szczecina głowa Boba wysunęła się przez płócienną zasłonę.

- Robota czeka.

- Potwierdzam - huknął i zniknął za zasłoną. Chwilę później dwukółka podskoczyła, bo Bob ciężko zeskoczył na ziemię. Przymaszerował na przód wozu, dzwoniąc i pobrękując przy tym kolczugą. Kiedy stanął obok siedziska woźnicy, jego głowa znalazła się niemal na poziomie głowy Liama. Objął wzrokiem rozgrywającą się przed nimi scenę.

- Życzysz sobie wejść do konstrukcji obronnej przed nami?

Liam skinął głową, czując, że strach ściska i wywraca mu kiszki do góry nogami.

- A co ty o tym myślisz, Bob? Damy radę?

Bob zasepił się na moment, ale w końcu skinął głową.

- Szacuję wysokie prawdopodobieństwo sukcesu. Osiemdziesiąt...

- Tylko oszczędź mi teraz tych wyliczeń! Błagam!

Bob posłusznie skinął głową i mocno klepnął agenta w ramię swoją wielką, małpoludzią łapą.

- Nie obawiaj się, Liamie. Oczyszczę drogę. - Spojrzał na żołnierzy, wszyscy zdjęli z pleców tarcze i obnażyli miecze, okazując gotowość do działania.

- Każ gwardzistom ustawić się za mną po obu stronach wozu. - Bob spojrział na Liama, oczy jednostki ginęły pod mocną krawędzią czoła i brzegiem metalowej misiury. - I trzymajcie się blisko.

Liam spojrział na Cabota.

- Zrozumiał brat?

- A jużci! - Mnich energicznie pokiwał głową. - Na cał go nie odstąpię.

Liam rozkazał Eddiemu i jego ludziom ustawić się w dwóch sześciuosobowych rzędach po obu stronach wozu, po czym dał znak Bobowi, że wszystko gotowe.

Bob odwrócił się w stronę tłumu i pomaszerował naprzód, dzierżąc w dłoni wysoko uniesiony miecz. Wóz potoczył się tuż za nim, oba konie płochliwie i niespokojnie prychały,

osłaniający flanki gwardziści chowali się za tarczami.

Kiedy wyłonili się z cienia, zaczęły się ku nim odwracać pierwsze głowy; kolejni ludzie zwracali się w ich stronę, słysząc podniesione głosy swoich towarzyszy. Liam mógłby przysiąc, że widzi, jak ten sam pomysł niczym pchła przeskakuje z jednego człowieka w tłumie na drugiego: oto nadchodzi łatwiejszy, niżli zamek Szeryfa, kąsek do schrupania, łatwiejszy cel, na którym można skupić swój gniew. Tuzin żołnierzy, którym dla przykładu można uczynić krwawą łaźnię. No i wóz, pewnikiem obładowany złotymi monetami albo i lepiej - jedzeniem przeznaczonym na stół Szeryfa.

Przez tłum przetoczył się ryk euforii i gniewu, motłoch zapomniał na chwilę o podpalaniu bram zamku.

„Cholera”. - Liam nie miał pod ręką żadnej broni. Oddałby teraz wszystkie skarby świata za jedną z tych nazistowskich strzelb pulsacyjnych - nadałaby się nawet rozładowana, lepiej ścisnąć coś ciężkiego niż miętosić własne kciuki.

Zamaszyste kroki idącego na przedzie Boba przeszły w niespieszne susy. Cabot warknął na swoje konie. Wóz nagle przyspieszył, a Eddie i jego ludzie poderwali się do szybszego truchtu. Przed nimi zamajaczył mur. Ponad rykiem hałastry popłynęły krzyki obrońców. Musieli rozpoznać okrągłe hełmy i długie tarcze gwardii królewskiej, dlatego zaczęli szykować się do otworzenia bram przed posiłkami. Ale tłuszcza wcale nie zamierzała rozstąpić się tak łatwo. Nawet na widok okazałej dwumetrowej postaci Boba.

Banda kilkunastu mężczyzn - sądząc po wyglądzie, raczej nie mieszczuchów z widłami i kamieniami w rękach, ale banitów grasujących po lasach - postanowiła odeprzeć natarcie jednostki.

Liam złowił okiem błysk zardzewiałego ostrza opadającego na głowę Boba. Klon zwinnie uchylił się przed ciosem i z siłą szarżującego byka strzelił barkiem mężczyznę, który wleciał wprost w tłum, przy okazji zwalając z nóg jeszcze z tuzin ludzi.

Jeden z mężczyzn wykorzystał moment, gdy Bob odzyskiwał równowagę i uderzył dzidą prosto w jego żołądek; grot utonął głęboko w kolczudze, przeciął metalowe wiązania,

przeszył skórę i wbił się na kilka centymetrów w ciało. Bob odpowiedział zamaszystym siepięciem miecza, który wbił się w bok mężczyzny i rozszcepił go na pół. Impet wyhamował dopiero na ramieniu człowieka stojącego obok. Obaj rabusie opadli na ziemię w momencie, gdy Bob wyrwał ostrze dzidy z rozdartej tkanki i strzaskanej kości, przygotowując się do wykonania zamachu w drugą stronę. Pozostali napastnicy szybko wycofali się jednak z zasięgu jego ciosów.

W tym samym czasie gwardziści, wstrzymywani przez zamieszanie na przedzie, odpędzali od wozu spływające na nich z obu stron fale motłochu. Na ich głowa spadały pociski wszelkiego autoramentu: kamienie, kije, kawałki odłupanych kamieni.

Coś dźgnęło Liama w ramię. Krzyknął z bólu i chwycił się za miejsce, w które został rażony. Krew. Leżąca pod jego nogami tarcza Eddiego trzeszczała i brzęczała pod gradem spadających pocisków.

- Panie! - krzyczał Eddie, dźgając czubkiem miecza stojącego najbliżej rebelianta. - Panie! Trza przeć dalej!

ROZDZIAŁ 37

Nottingham rok 1194

Bob zręcznie obrócił halabardę, nakierowując wymazany krwią grot na nadciągających ludzi. Dwupółmetrowym drzewcem zatoczył szeroki łuk, zahaczając i rozcinając przysadzistego człowieczka, który wycofywał się zbyt opieszale.

Świszczące ostrze halabardy robiło swoje, oczyszczając przestrzeń przed Bobem, który mógł wznowić miarowy pochód w kierunku dębowych wrót znajdujących się już tylko kilkanaście metrów dalej. Cabot mocno kopnął w zad konia zaprzęzonego po lewej stronie wozu. Kuc z oporami ruszył się z miejsca, wywracając ślepiami i parskając ze strachu. Drugi

kucyk wziął z niego przykład i wóz znowu zaczął się toczyć. Gwardziści dotrzymywali im kroku, tarcze wygrywały metaliczne brzdęki przywodzące na myśl stukot kul gradowych opadających na blaszany dach.

Liam poczuł lekki podmuch na policzku, gdy kawałek kamienia lub skały świsnął zdecydowanie za blisko skóry. Schował głowę w ramionach i nisko przykucnął.

- Jezusie i Mario, zabierzcie nas stąd! - wykrzyczał przez zaciśnięte zęby.

Cabot przełożył lejce do jednej ręki, a drugą uniósł wyżej, by osłonić twarz.

Śmiercionośne wahadło Boba wyrąbało im drogę wprost pod wielkie dębowe wrota. U ich podstawy leżały już zaczątki stosu z orlicy i drzewa - na szczęście podpałka nie zajęła się jeszcze ogniem - oraz kilka naszpikowanych bełtami ciał.

Liam zrozumiał, że orlice i gałęzie trzeba będzie odsunąć na bok, aby wóz mógł swobodnie przejechać przez bramę - jeśli oczywiście żołnierze odważą się ją otworzyć. Bob był na razie zbyt zajęty wymachiwaniem halabardą i odganianiem tłumu, żeby poradzić sobie z tym na własną rękę. Gdy wóz toczył się po wyrąbanej przez klona przesiece w tleszczy, żołnierze odbiegli od flank wozu i utworzyli półksiężyc, aby chronić przestrzeń przed wrotami.

Rebelianci - Liam zauważył, że spora liczba atakujących to raczej zaprawieni w boju grasanci, a nawet najemnicy, a nie zwykła gawiedź miejska - nie palili się ani do natarcia hurmem, ani atakowania poszczególnych gwardzistów. Bali się dostać w pole rażenia halabardy Boba. Woleli trzymać się z tyłu, szydzić na całe gardło, kląć i zalewać żołnierzy królewskich gradem pocisków.

Liam zeskoczył z wozu i zaczął niszczyć mały kopiec gałęzi i paproci zalegający u podstawy wrót.

- Pomóż! - krzyknął do stojącego najbliżej żołnierza.

Gwardzista szybko zerknął na Eddiego, który skinął głową.

- Nuże, rób, jak mówi!

Żołdak rzucił na ziemię tarczę i miecz, po czym dołączył do Liama odciągającego na bok naręcza splątanych gałęzi i paproci. Wspólnymi siłami szybko zdołali zrobić wyłom w gęstym stosie, kiedy Liama niespodziewanie zakłuł ostry, palący ból pleców; poczuł uderzenie czegoś ostrego i twardego. Z wrażenia ugięły się pod nim nogi. Upadł twarzą wprost w gniazdo kolców i gałęzi. Zawisł na nim niczym porwany i poskręcany strach na wróble na drucie kolczastym. Przez chwilę, pozbawiony tchu i zmysłów, łapał ustami powietrze.

Za plecami usłyszał głośny zgrzyt uderzenia. Wykręcił się i próbował wypłatać z pułapki, wciąż czując piekący ból między ramionami. Kątem oka zauważył, że żołnierz, który pomagał mu rozwalić stos, ciężko opadł na kolana i zaczął pełzać po zabłoconej kostce brukowej, pobrzękując zbroją i bezładnie przewracając szeroko otwartymi z zaskoczenia oczami. Z wgniecionego boku hełmu wystawała krótka lotka beltu. Rzeka ciemnej, niemal czarnej krwi, wypływała szerokim strumieniem spod dzwonu szyszaka i zalewała twarz żołnierza.

„Boże, dopomóż, bo wszyscy tu zginiemy”.

Cabot niespodziewanie znalazł się obok Liama i jął wyciągać go ze stosu drewna. Krzyczał coś do niego, ale w zgiełku skandujących głosów i gradu brzdęków oraz zgrzytów chłopak nie mógł zrozumieć, czego starzec od niego chce.

Cabot zerknął przez ramię, by w ostatniej chwili uchylić się przed lecącą bryłą krzemienia, która rozprysła się, uderzając w pobliski mur. Odwrócił się do Liama i dźgnął go palcem w głowę, znowu coś wykrzykując. Liam odwrócił się z grymasem bólu od nagłego wykręcenia kręgosłupa i zobaczył, że dębowe wrota za jego plecami zostały uchylone. Przez powstałą szczelinę mógł przedostać się co najwyżej jeden człowiek.

Cabot wydarł się znowu, tym razem wprost do ucha Liama.

- Zapomnij o wozie!

Liam skinął głową, a Cabot energicznie pomógł mu stanąć na nogi.

- Tak... okej - mruknął półgębkiem. Liam zobaczył, że Eddie i dziesięciu pozostałych przy życiu gwardzistów może już tylko kulić się za swoimi wyszczerbionymi i zniekształconymi tarczami, z których kilka sprasowało się już jak sreberko od czekolady.

- Brama otwarta! - krzyknął Liam, przykładając dłonie do ust.

Słowa utonęły jednak wśród zalewy rebelianckich krzyków. Spróbował jeszcze głośniej:

- BRAMA OTWARTA!

Tym razem Eddie go usłyszał, szybko się odwrócił i zrozumiał, co dowódca ma na myśli. Rzucił krótki rozkaz. Gwardziści, nie czekając na dodatkowe zachęty, szybko zaczęli wycofywać się w kierunku bramy.

Liam wzrokiem szukał Boba. Ponad grzbietami dwóch kuców zaprzęzonych do wozu dostrzegł okrągłą głowę jednostki w kapturze kolczym, który falował przy każdym uniku i obrocie, oraz metaliczną plamę wymalowywaną w powietrzu przez ostrze halabardy, świstające dokoła niczym łopata jakiegoś olbrzymiego śmigła.

- BOB! - ryknął.

Jednostka pomocnicza zamarała niczym zaskoczony królik i rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem Liama.

Liam wymachiwał rękami, a gdy Bob wreszcie go zauważył, wskazał na bramę.

- OTWARTA!

Bob kiwnął głową, ostatni raz dźgnął ostrzegawczo halabardą i z głębokim, niedźwiedzim rykiem, który na kilka krótkich sekund wstrzymał i wystraszył nacierający

tłum, obiegł susami niespokojne konie i porzucony wóz.

Żołnierze, jeden po drugim, jęli szybko przedzierać się przez płataninę gałęzi i wąską szczelinę w bramie. Tyłów strzegła ariergarda w postaci Eddiego i dwójki gwardzistów.

- Idźcie przodem! - krzyknął do Cabota i Liama Eddie.

Liam popchnął Cabota w stronę bramy.

- Poczekam na Boba.

Mnich skinął głową i ruszył za pozostałymi przez szparę. Kiedy Bob dołączył do Liama, gawiedź wróciła do miotania pocisków.

- IDŹ! - Zadudnił głos Boba. Sporej wielkości głaz odbił się od jego ramienia i poleciał w mrok. - TERAŻ!

- Dobrze, dobrze! - Liam nakazał skinieniem pozostałym żołnierzom, aby popędzili przez otwór we wrotach. Powietrze wokół nich zgęstniało od szumu ciskanych głazów i kamieni. Liam skulił się, obejmując głowę rękami, i czekał, aż przyjdzie jego kolej, pewny, że jakiś wielki kawał skały roztrzaska mu mózg, zanim zdoła prze dostać się do środka.

Eddie machnął ręką, zachęcając by szedł pierwszy. Liam nie dał się dwa razy prosić. Przeszedł przez resztkę gałęzi i wśliznął się w wąską lukę pomiędzy wielkimi, dębowymi skrzydłami wrót, które drżały od uderzeń skał i kamieni niczym membrany bębnow.

Wreszcie znalazł się pod mrocznym sklepieniem wieży wartowniczej. Osunął się na twarde bruk, dysząc i rżąc z wysiłku. We wpływającym przez lukę skąnym świetle pochodni zauważył blade i przerażone twarze tuzina żołnierzy wspierających ramionami wrota i gotowych je zatrzasnąć, w razie gdyby tłuszcza zdecydowała się ruszyć do szturm i naprzec na odrzwia.

W szparze pojawiła się teraz głowa Boba.

- Szerzej, proszę! - Głos klona wybił się ponad ogłuszający harmider. Wartownicy niechętnie uchylili skrzydła o kilka dodatkowych centymetrów, aby mógł się precyzyjnie przesuwać. Gdy wreszcie znalazł się w środku, natychmiast zasunięto ciężką belkę ryglującą.

Liam znowu opadł na ziemię, grube wrota jeszcze przez chwilę trzeszczały i uginały się pod słabnącym zalewem pocisków. Słyszał, jak ryki i nawoływania cichną, rwą się i tracą pierwotną intensywność. W końcu jeden z żołnierzy na wieży wartowniczej krzyknął do wszystkich na dole:

- Odchodzą!

Wartownik stojący obok Liama, jeden z tych, którzy wsuwali belkę ryglującą, westchnął:

- Zupełnie jak zeszłej nocy.

Liam złapał go za ramię.

- To samo działo się wczoraj?

Wartownik wzruszył ramionami.

- Każdej nocy niemal jest tak samo.

ROZDZIAŁ 38

Zamek w Nottingham rok 1194

Wystarczył krótki rozkaz Cabota i rzut okiem na królewską pieczęć, aby przekonać jednego z zamkowych strażników, że bezzwłocznie należy zaprowadzić przybyłych gości do

głównego donżonu. Kiedy weszli, Szeryf z Nottingham siedział pochylony nad okrągłym dębowym stołem, na którym płonął tuzin grubych świec, rzucających migotliwą poświatę na stertę rozrzuconych pergaminów i paterę niedojedzonej, zapomnianej stawy.

- Co znowu? - Zatoczył się jak pijaczyna. Zapuchnięte oczy zaszyły krwią na widok nieznajomych w łachmanach, wierzgnął w krzesło i pochylił się niezdarnie, by sięgnąć po leżący na stole miecz. Broń zsunęła się ze stołu wraz z kilkoma pergaminami i zabrzęczała żałośnie na podłodze.

- Panie! - odezwał się jeden ze strażników, młody chłopak z pasmami rudych włosów wystających spod obrzeża hełmu. - Panie! Wždy to nie rozbójniki.

Szeryf przestał macać po podłodze w poszukiwaniu ostrza i zadarł głowę, by spojrzeć na nowo przybyłych.

- Ni-nie rozbójniki? - Zmrużył zwilgotniałe oczy zasłonięte przez kołtun czarnych, przetłuszczonych włosów. - Bezpiecznie już? Poszli se do... do czorta?

- Spił się zachlajmorda! - bąknął pod nosem Eddie.

- Jużci, panie - odrzekł młody wartownik - Rozeszli się, jak ostatniej nocy.

Szeryf opadł z powrotem na krzesło z westchnieniem ulgi, decydując, że miecz może równie dobrze leżeć na podłodze. Wymruczał modlitwę gęstą od niezrozumiałych słów i sięgnął przez stół po czaszę z winem.

- Sire - powiedział Cabot, postępując krok do przodu - prowadzą nas rozkazy książęce. Jaśnie Pan Hrabia Kornwalii i Gloucester...

- Azaliż? Ciekawem, co Jan z-znów ode mnie chce. - Wyszczrzył zęby i wlał zawartość czary pomiędzy szeroko rozdziawione wargi.

- Przybywamy wprost z zamku księcia Jana w Oksfordzie - odrzekł Cabot. - Przynosimy rozkazy księcia.

- Rozkazy? - Szeryf z Nottingham znowu zarechotał. - Mnie chce rozkazy wy-wydawać? - Z trudem podniósł się z krzesła, zatoczył w ich stronę, po czym stracił równowagę i jak długi rozciągnął na podłodze. Leżąc tam na dobre i zaczął skomleć. Po jakimś czasie, gdy bezskutecznie czekali, aż znowu zacznie się gramolić, uświadomili sobie, że zaczął chrapać.

- Nikomu on już się nie przyda - rzekł Cabot.

- Bob - westchnął Liam - rzuć go na łóżko.

Patrzyli, jak Bob niedbale przerzuca sobie szeryfa przez ramię i niesie go przez hol w stronę wielkiego dębowego łóża.

Liam odwrócił się z pytaniem do wartownika.

- Zawsze jest spity jak bela?

Młodzieniec nie miał pewności, czy powinien odpowiadać na to pytanie.

- Gadajże! - warknął Eddie.

- Tak, panie. Zaczął pić - strażnik spojrzał na nich niespokojnie - bo panicznie się stracha.

- Czego się boi? - spytał Liam.

- Ludzi, panie! Ludzi z miasta! Tera to każdej nocy tu przychodzą. Każdej jednej nocy się skrzykują i dawaj bramy podpalać.

- Gdzie się podziali kapitanowie? Zbrojni? Kto tu właściwie dowodzi?

Młody strażnik wzruszył ramionami.

- Wielu zdezerterowało. Odeszli na służbę u innych panów.

- No to kto tu dowodzi?

- Szeryf - odrzekł chłopak.

- Nie ma kapitanów?

- Nie, panie. Ino... żołnierze.

- Ilu?

- Jakaś połowa garnizonu się ostała. Pewnikiem nie więcej jak dwieście głów, panie. Ale z każdym dniem nas ubywa.

- Dlaczego więc zostałeś? - spytał Liam.

- Bo... bo wikt tu mam, panie. Bo stracham się, co motłoch ze mną zrobi. Słyszałem opowieści o pochwyconych żołnierzach, których złapano podczas ucieczki z zamku... dobrzem słyszał, co im zrobili.

Eddie zaklął.

- Zamek szybko padnie, jeśli w jego murach ostaną się jeno wystarchane młokosy.

- To niedobry czas na przejmowanie dowodzenia, Liamie - zgodził się Cabot i od razu kątem oka wychwycił zdziwiony wyraz twarzy młodego strażnika. - Jużci, ten młody pan będzie twoim nowym szeryfem. - Niechętnie wskazał głową chrapiące cielsko rozwalone na łożu po przeciwległej stronie holu. - Pewien jestem, że lepiej sobie poradzi niż ten zapijaczony głupiec, William De Wendenal. - Cabot odwrócił się do Liama. - Zanim ruszymy na poszukiwania pewnego przedmiotu, dopatrzeć musisz najpilniejszych spraw.

Liam bez słowa skinął głową. „Jezu, mam teraz rządzić zamkiem?” - pomyślał.

- Oczywiście - odrzekł po chwili bez cienia entuzjazmu. - Oczywiście... tak.

Poczuł, że Cabot, Eddie i młody wartownik - a nawet Bob - patrzą na niego wyczekująco i czekają, aż się odezwie.

„Dlaczego ja? Dlaczego to zawsze muszę być ja?”.

- Errr... dobrze - powiedział w końcu. - Dobrze - powtórzył dla pewności. - Mmm, okej.

Wciąż nie odrywali od niego wzroku.

- Eddie?

- Panie?

- Zamierzam mianować cię dowódcą.

- Panie? - Żołnierz szeroko otworzył usta.

- Dobrze słyszysz, od dzisiaj będziesz dowodził garnizonem. Na resztę dzisiejszej nocy przejmiesz też dowodzenie na murach obronnych. Rozumiesz?

- Tak, Jaśnie Panie! - odpowiedział Eddie z entuzjazmem.

Liam spodziewał się, że odwróci się i bez chwili zwłoki odejdzie, ale gwardzista najwyraźniej czekał, aż nowy szeryf go odprawi.

- No to, hmm... możesz już iść.

- Tak, panie! - Eddie odwrócił się na pięcie. - Chodź! - warknął na młodego wartownika. Wyszli ciężkim krokiem z holu, minutę później Liamowi zdało się, że słyszy, jak powarkiwanie Eddiego musztrującego załogę odbijają się od kamiennych murów na zamkowym dziedzińcu.

Pograżony w ciszy hol wypełnił lekko chrapliwy śmiech Cabota.

- I tak to Liamie z Connor, tajemniczy przybyszu z przyszłości, stałeś się częścią historii. Tyś jest Szeryfem z Nottingham.

- Wywoła to skażenie czasoprzestrzenne i stanowi pogwałcenie parametrów misji - ostrzegł Bob.

- Tak. - Liam potakująco skinął głową. - Doskonale to rozumiem. - Rzucił okiem na pochrapującego na łóżku pijacznę. Mężczyzna najwyraźniej nie nadawał się na to stanowisko. Nerwus i nieudacznik. Pijak, nerwus i nieudacznik. Być może pokonały go realia. Stres związany z obowiązkiem zapanowania nad tym beznadziejnym bałaganem. Widział już wystarczająco, by wiedzieć, że kraj jest w dramatycznej sytuacji, że zbankrutował i znalazł się na skraju kompletnej anarchii. Rozwścieczona, głodująca ludność ugiwała się pod brzemieniem podatków. Szlachta - baronowie, lordowie, hrabiowie, którzy powinni stanowić kręgosłup władzy, dostarczać zbrojnych i złota niezbędnego do utrzymania porządku - spiskowała przeciwko Janowi, odmawiając płacenia należnego mu trybutu.

Bałagan. Straszny bałagan. Ale bałagan ten nie dotyczył ani jego, ani Boba. Przecież właśnie tak wyglądała historia.

- Obawiam się, bracie Cabot - zaczął Liam - że chrapiący tam szlachcic... wciąż jest Szeryfem.

- Pojmujesz wszakże, że ten zamek jest ostoją władzy na północy?! - rzekł Cabot. - Pojmujesz to? - Jeśli wpadnie w ręce zbuntowanych chłopów, stracimy kontrolę nad całym krajem na północ od Oksfordu!

- Rozumiem. Ale to nie nasza sprawa. Jeśli coś się wydarzyło, to widocznie tak miało być. Tak działa historia.

Cabot przysłuchiwał mu się w milczeniu.

- Pozwolisz na to? Jeśli ład się rozpadnie, ziemia przesiąknie krwią niewinnych ludzi!

Cabot prawdopodobnie miał rację.

- Informacja: według źródeł historycznych nigdy nie wybuchło powszechne powstanie chłopskie, które doprowadziło do obalenia Szeryfa z Nottingham - poinformował Bob.

Liam utkwiał w nim wzrok.

- Jesteś pewien?

- Potwierdzam.

- Wprost cudownie - westchnął. - Właśnie mi mówisz, że wszystko jest nie tak, jak ma być? Że to w ogóle nie powinno się dziać?

- Wiele wskazuje na to, że jesteśmy świadkami kształtowania się niewłaściwej wersji historii - odparł Bob.

ROZDZIAŁ 39

Nowy Jork rok 2001

- Sal? Sal?... Wszystko dobrze?

Maddy zauważyła, że Hinduska chwieje się na nogach. Do połowy opróżniony kubek herbaty wypadł z jej rozluźnionych palców i spadł na twardy beton. Sal zrobiła niepewny krok, by przytrzymać się krawędzi stołu kuchennego i złapać równowagę. Maddy wstała z fotela i troskliwie objęła wąskie ramiona koleżanki.

- W głowie mi się kręci - odrzekła.

- Nic ci nie jest? - Spytał Adam.

- Nie... ale to chyba była... - Sal skinęła głową.

W bazie zgasły wszystkie światła.

- Fala czasu - stwierdziła Maddy.

- Co? - Usłyszała niespokojny, rwany oddech Adama. Na policzku poczuła delikatny powiew powietrza, Adam zamachał rękami w czarnej jak smoła ciemności. - Co to jest? Czy to... czy to kolejne zaburzenie wymiarów?

- Nie - odpowiedziała. - To tylko ciemność. Generator odpali za kilka sekund.

Ale światła ponownie rozbłysły, jeszcze zanim Maddy usłyszała głęboki, przerywany furkot rozgrzewającego się generatora.

- Super! Czyli wciąż mamy moc - powiedziała, patrząc na niego z uśmiechem. - To dobry znak.

Monitory komputerów zaczęły ożywać, jeden po drugim.

- Przeszła duża fala - stwierdziła Sal.

- Tak, rzeczywiście.

- Czy to znaczy, że...? - Adam popatrzył na obie dziewczyny. - Że znaleźliśmy się na alternatywnej osi czasu? W alternatywnym dwa tysiące pierwszym roku? - Głowa chłopaka podskoczyła jak korek.

- Tak. - Podeszła do biurka z komputerami. - Zobaczmy w jak bardzo alternatywnym.
- System komputerowy właśnie kończył się restartować, na jednym z monitorów pojawiło się

okno dialogowe Boba.

> Restart systemu ukończony.

- Bob?

> Witaj, Maddy.

- Właśnie przeszła fala czasu.

> Wiem.

- Ale wciąż mamy prąd. - Niepotrzebna uwaga, ale i tak ją wypowiedziała.

> Potwierdzam, mamy prąd. Ale musiałem skorygować parametry napięcia i natężenia.

- Co?

> Energia przychodząca ma postać prądu stałego.

Spojrzała na stojących przy biurku Adama i Sal.

- Niewykluczone, że mieliśmy do czynienia z większym przesunięciem niż myślałam.

> Informacja: nie mamy zewnętrznego łącza danych.

- Nie ma Internetu - skrzywiła się Sal. - To nie zwiastuje nic dobrego.

Maddy skinęła głową w stronę rolety.

- Całkiem sporo się tam zmieniło... może powinniśmy się przekonać?

Kiedy podeszli do drzwi, Maddy stuknęła zielony przycisk. Nic się nie wydarzyło. Nie

działał napęd rolety podłączony bezpośrednio do zewnętrznego źródła zasilania. Nie był monitorowany ani kontrolowany za pomocą systemu komputerowego.

- Wspaniale - mruknęła i zaczęła kręcić korbą obok przycisku.

- Pozwól mnie - zaoferował się Adam i złapał za lewar.

Roleta podnosiła się powoli, wpuszczając do środka zadziwiająco jasną jak na tę porę dnia wstęgę światła. Maddy zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta po południu. Zazwyczaj już około godziny czternastej promienie słońca, blokowane przez most Williamsburg, nie dochodziły do ich ciemnej uliczki.

Adam przestał kręcić korbą, gdy drzwi zatrzymały się na wysokości jego pasa. Spojrzeli na siebie i wszyscy troje jednocześnie kucnęli, by wyrzeć na zewnątrz.

- Shadd-yah! - wyszeptała Sal.

- Hmm... to nie Nowy Jork - rzekł Adam.

- Nie - niemal nonszalancko potwierdziła Maddy. - To nie nasze miasto... znowu.

Bruk ich uliczki urywał się nagle w miejscu, gdzie przestawało działać pole energetyczne. Zamiast niego zalegał muł rzeczny ciągnący się do East River. Dziewczyna zauważyła kilka łodzi rybackich przeróżnej wielkości. Przywiązane do drewnianych słupów cumowniczych łajby leżały krzywo na błotnistym brzegu niczym wylegające się foki.

Po drugiej stronie East River wciąż oczywiście leżała wyspa Manhattan, ale zamiast lasu drapaczy chmur znajdowało się na niej jedynie senne miasteczko z dywanem spadzistych dachów i kominów; gdzieś w głębi wystawała iglica kościoła. Wzdłuż obrzeży miasta ciągnęły się kolejne łodzie i pomosty. Zapracowani rybacy wyladowywali połów na brzeg, małe dźwigi podnosiły sieci pełne wiercących się istot rzecznych i wyrzucały je na nabrzeże, nad którym unosiły się chmary szybujących, pikujących i płaczliwie zawodzących mew.

- Bywało gorzej - stwierdziła Maddy.

Adam potrząsnął głową.

- Przecież... przecież wszystko się kompletnie zmieniło!

- No ba - zachichotała Sal. - Oczywiście, że tak.

- Mamy prąd - rzekła Maddy. Wskazała w kierunku miasta, gdzie wzdłuż rzędu latarni przy brzegu ciągnęły się kable napowietrzne. - Nie trafiliśmy na szczęście do ciemnych wieków średnich.

- Ale nie ma Internetu - zauważyła Sal.

Po tej stronie rzeki, gdzie kilka minut temu znajdowały się niemal nieużywane dźwigi portowe i magazyny brooklyńskie, był już tylko mulisty brzeg z rosnącymi tu i ówdzie kępkami dzikiej trawy i kilkunastoma przygnanymi przez przyływ łodziami rybackimi oblepionymi porzuconymi zwojami liny i bezużytecznymi, porwanymi sieciami. Po prawej Maddy zauważyła małą, zwirową alejkę, która wiała się wzdłuż brzegu w otoczeniu szpaleru drewnianych słupów telegraficznych. Kilka mil dalej dostrzegła wybrzuszone zarysy wysp Belmont i Roosevelt oraz most przechodzący w tym miejscu przez rzekę - zupełnie jak na prawidłowej osi czasu. Teraz wyglądał jednak zupełnie inaczej.

Adam podążył za jej wzrokiem.

- Ruszemy na zwiad?

Maddy w zamyśleniu przygryzała wargę. Potrzebowali informacji. Trzeba dowiedzieć się, kiedy i jak wytrysnęła ta alternatywna oś czasu.

- Powinniśmy tak zrobić.

Wprowadziła hasło, by zablokować system komputerowy. Następnie wszyscy wyszli na zewnątrz, zaciągając za sobą roletę. Spojrzała na arkady: przysadzisty budynek pomiędzy dwiema porośniętymi trawą hałdami błota; wyszczerbiona półkula, utyłane igloo ze starej,

kruszejącej cegły, urwana konstrukcja. Zastanawiała się, czy z drugiego brzegu rzeki widać to wszystko. Bez wątplenia ktoś w końcu zauważy, że wśród blocka i cumowiska starych łodzi ni stąd ni zowąd pojawiła się pękata kopuła z rdzawych cegieł.

To możliwe. Kolejny powód, by ruszyć cztery litery.

- Idziemy - powiedziała, wskazując ciągnącą się w pobliżu alejkę. Zaczęli przeskakiwać z jednej kępy trawy na drugą, żeby nie utyłać się szlamiastym mułem i suchą nogą wejść na żwirówkę.

- Przypomina mi to Calais - rzekł Adam. - Normandię - dodał.

Kierowali się wzdłuż brzegu ku mostowi. Kiedy zbliżyli się do przeprawy, wreszcie ujrzeli pojazd. Małą półciężarówkę z płaską paką obładowaną drucianymi boksami z kurczakami. Z chorobliwym charkotem silnika samochód odjechał w stronę Manhattanu, hałaśliwie podskakując na moście.

- Dziwnie to wygląda - rzekł Adam. - Jakbyśmy znaleźli się w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych.

Rzeczywistość naprawdę wyglądała staroświecko. Ciężarówka przypominała trochę jeden z tych starych Fordów T, które można zobaczyć w slapstickowych czarno-białych filmach. Przeszli przez most, idąc po jednej stronie drogi. W tę i w tę przejeżdżały kolejne samochody, wszystkie wyglądały osobliwie i staromodnie z tymi finezyjnymi zawijaszami i liliami, które zdobiły mosiężne elementy karoserii.

Po drugiej stronie mostu skręcili w lewo, w drogę wiodącą do centrum miasteczka, po której krzątało się już więcej ludzi załatwiających typowe dla poniedziałkowego popołudnia sprawunki.

Starowinka w czarnej sukni i szalu, popychająca przed sobą koszyk pełen bagietek, spojrzała na nich z zainteresowaniem, gdy przechodzili obok. Spochmurniała, najprawdopodobniej zbита z tropu ich dziwnym strojem, ale potem skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Bonjour - pozdrowiła ich uprzejmie.

- Słyszałyście to? - spytał Adam.

- Francuski?

Adam przytaknął.

- W Ameryce mówi się po francusku? - zapytała z niedowierzaniem Maddy.

Droga zawiodła ich na mały plac miejski, nad którym górowała iglica kościoła i wysokie kamienice, które zdawały się nachylać nad rynkiem. Na środku idyllicznie pluskała fontanna, lecz nagle ten błogi dźwięk zagłuszył przejeżdżający obok trzykołowy skuter prowadzony przez staruszkę z dzieckiem na kolanach.

- Tu jest całkiem przyjemnie - oznajmiła Sal. - Chyba bardziej podoba mi się ta wersja.

- Ale to francuskie miasto - zaprotestowała Maddy. - Tak nie powinno być.

Nagle ciszę spokojnego placu wypełniły głosy uczniów, którzy maszerowali parami ze skórzanymi tornistrami na plecach ubrani w żółto-zielone blezery. Jeźdźcy w Czasie patrzyli, jak dzieciaki wylewają się z budynku i przechodzą przez plac, rozmawiając, śmiejąc się i wydając odgłosy typowe dla wszystkich dzieci świata wychodzących ze szkoły.

Sal wskazała znak nad drzwiami, z którego wyszła dziatwa: BIBLIOTHEQUE.

- Co to? - spytała.

- Nie jestem pewna. - Maddy wzruszyła ramionami. - Czekać, może uda nam się tam zdobyć trochę informacji.

Adam i Sal ruszyli za nią przez plac i weszli po schodach do chłodnego, słabo

oświetlonego wnętrza, gdzie ujrzeni obite drewnem ściany i spłowiały dywan oraz wysokie korytarze półek z ciemnego drewna, które ugięły się pod ciężarem niezliczonej ilości tomiszczy.

- To biblioteka, nie? - spytała Sal.

- Tak... tak, zgadza się. - Maddy skinęła głową.

Miejsce nie wyglądało jednak jak żadna biblioteka, w której kiedykolwiek dane jej było się znaleźć. Przywykła do nowoczesnych, jasnych, oszklonych przestrzeni zastawionych wiecznie zajętych stanowiskami komputerowymi, pomarańczowymi plastikowymi krzesłkami i szafkami wypełnionymi płytami DVD oraz magazynami, w których tylko z rzadka pojawiała się jakaś książka.

- Historia - mruknął Adam. - Musimy znaleźć jakiś podręcznik historii. - Głos rozbrzmiał echem w ciszy biblioteki, kilka par oczu ukłuło go lekko poirytowanym spojrzeniem.

Maddy kiwnęła głową. Rozeszli się po osobnych korytarzach i zaczęli przeglądać grzbiety książek na półkach, szukając sposobu na zidentyfikowanie kategorii. Po kilku minutach Sal cicho syknęła, żeby do niej dołączyli.

Znaleźli się w dziale przypominającym sekcję dla dzieci. Hinduska trzymała w dłoniach sporą książkę.

- To ilustrowany podręcznik historii dla dzieci. - Sal przekartkowała kilka stron, wszystkie z jaskrawymi ilustracjami i kilkoma paragrafami tekstu. Zauważyła rysunek przedstawiający rzymskich legionistów, schemat żaglowca, oś czasu. Książka wyglądała na podręcznik historii powszechnej. Powinien wystarczyć.

- Pewnie żadne z was nie czyta po francusku? - spytała Maddy.

Sal i Adam potrząsnęli głowami.

- Ja również - odpowiedziała dziewczyna. - Będziemy musieli ją sobie pożyczyć. - Maddy wyjęła podręcznik z ręki Sal, rozejrzała się po alejce i wetknęła go pod bluzę.

- To tylko książka dla dzieci - powiedział Adam. - Nie znajdziemy tam raczej wszystkich potrzebnych informacji.

- W Wikipedii też byśmy nie znaleźli. - Wzruszyła ramionami.

- Wiki-co?

- Nieważne. - Maddy zdjęła kolejną książkę z półki i przekartkowała kilkadziesiąt stron, po czym z uznaniem skinęła głową. - Ta też się nada. - Wepchnęła tom w ręce Adama. - No co się tak głupio patrzysz? Schowaj ją.

ROZDZIAŁ 40

Nowy Jork rok 2001

Kursor komputera-Boba przez kilka sekund migał na ekranie.

> Ukończyłem tłumaczenie zeskanowanych stron z języka francuskiego na angielski. Segregowanie danych potrwa jeszcze kilka minut.

- Jasne - powiedziała Maddy, niecierpliwie stukając palcami w biurko. - Tylko się pośpiesz, proszę.

> Potwierdzam.

Zastanawiała się, kiedy to do ich drzwi zapuka jakiś żandarm. Ich osobliwie wyglądający bunkier-rotunda był widoczny ze zwirowki i chociaż droga nie należała do

najruchliwszych, Maddy była przekonana, że ktoś w końcu zauważy, że budynek ich bazy to zbędny element krajobrazu.

Spojrzała na tomy biblioteczne, które skanowali przez ostatnie pół godziny. Nie każdą stronę, tylko te z omówieniem wydarzeń od dwunastego wieku po współczesność.

Podręczniki historii dla dzieci. Potrząsnęła głową. Bajkowe ilustracje utrzymane w jaskrawej tonacji przedstawiały uśmiechniętych i rumianolitych ludzi: byli tu królowie, dziewice, żołnierze i chłopci. Tekst wydrukowano dużymi literami i wyraźną czcionką - nie wierzyła, że uda im się znaleźć wiele szczegółowych informacji.

Uproszczona historia dla dzieciaków z podstawówki.

„Świetne śledztwo, nie ma co”.

W oknie dialogowym Boba zamigał kursor.

> Procedura ukończona. Teraz ułożę dane w sekwencji chronologicznej.

Na sąsiednim ekranie wyświetlił się edytor tekstowy, na stronie zaczęły migać zdania i paragrafy, które szybko zapełniały stronę, gdy Bob szybko wycinał i wklejał odpowiednie fragmenty tekstu przeniesione z bazy danych, którą przed chwilą stworzył.

Adam nachylił się, żeby rzucić okiem na kolejne treści wyświetlane na ekranie. Sam tekst. Komputer-Bob nie tracił czasu na przetwarzanie licznych ilustracji, zresztą większość z nich miała bardziej ozdobny niż informacyjny charakter; stanowiły jedynie kolorowe urozmaicenie, pojawiające się tu i ówdzie pomiędzy paragrafami, by młode umysły łatwiej przyswajały najważniejsze treści.

- Mój Boże - wymruczał Adam, zaczynając czytać stronę. - Tysiąc sto dziewięćdziesiąty czwarty rok... wielkie powstanie chłopskie na północy. - Popatrzył na dziewczyny szeroko otwartymi oczami.

- To nowe wydarzenie - bardziej stwierdziła niż zapytała Maddy.

Potakująco skinął głową, skanując wzrokiem stronę.

- „Wielkie Powstanie Chłopskie... upadek dynastii Plantagenetów... armia chłopska pod wodzą postaci znanej jako Żelazny Książę. Król Ryszard salwuje się ucieczką do Akwitanii... ogólnokrajowe zamieszki i wojna w Anglii... szlachta jednoczy się przeciwko Żelaznemu Księżciu... armia Żelaznego Księcia ostatecznie pokonana w bitwie pod Hawley Cross w tysiąc sto dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Wojna domowa pomiędzy możnymi...”. - Wyciągnął dłoń i uderzył klawisz PAGE DOWN na klawiaturze. - „Wojna Trzech Pokoleń... Anglia rozpada się na trzy wrogie frakcje... wrogie frakcje tworzą niezależne państwa”. - Znowu strona w dół. - „Tysiąc czterysta piętnasty: inwazja Karola Szóstego na Zjednoczoną Federację Księstw Angielskich”. - Odwrócił głowę od ekranu. - Anglia... Anglia już nie istnieje!

- To wyjaśnia, dlaczego wszyscy tu mówią po francusku - zauważyła Maddy.

- „Tysiąc pięćset dwudziesty pierwszy rok: pierwsza francuska kolonia w Ameryce...”
- Adam nie przestawał czytać. - „Tysiąc pięćset sześćdziesiąty trzeci: pierwsze hiszpańskie kolonie... tysiąc sześćset pierwszy: Wojna Kolonialna. Kolonie francuskie przeciwko hiszpańskim... król Filip Trzeci Hiszpański podpisuje traktat pokojowy z królem Karolem XVI, Francja wygrywa po sprzymierzeniu się z Republiką Holenderską. Ameryka Północna podzielona na trzy obszary wpływów: francuski, holenderski i hiszpański...

- Mój Boże! - wyszeptała Maddy. - Nie ma już Ameryki!

- Jest - odparła Sal - tyle że nieangielska, to wszystko.

Maddy potrząsnęła głową.

- Hej! To zupełnie co innego, Sal. To już nie Ameryka, jeśli nie mówi się tu po angielsku!

Sal wzruszyła ramionami.

- Byłabym Hinduską, nawet gdyby Indie przestały być częścią imperium brytyjskiego. Liczy się ziemia, na której się rodzisz, nie flaga czy język. Tak przynajmniej mawiał mój stary wychowawca.

- Cóż - ciągnęła Maddy, wciąż mruczając pod nosem. - Według mnie bez flagi z gwiazdami i pasami, to miejsce to nie Ameryka. Nie powinno to tak wyglądać.

Adam po cichu czytał dalej.

- Teraz to państwo nazywa się Le Union d'Amérique. Międzynarodowym językiem jest francuski. Jest też językiem prawa... - Przebiegł wzrokiem przez tekst. - Językiem nauki...

- Nauki! - Maddy splunęła. - A to dobre. Przecież tu nawet nie ma Internetu! A te samochody i ciężarówki! To graty jak sprzed wojny!

- Za to posiadają zdecydowanie większą wiedzę medyczną - rzekł Adam, wskazując paragraf na dole strony. Numery stron zaczęły się zmieniać. Bob wciąż dodawał nowe fragmenty tekstu. - Lekarstwo na raka: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci... lekarstwo na coś, nie jestem w stanie przeczytać... lekarstwo na coś innego.

- Patrzcie - zauważyła Sal. - Populacja Ziemi zbliża się do trzech miliardów.

- To znaczy, że na planecie jest o połowę mniej ludzi niż w naszych czasach! - zauważył Adam.

- To te same czasy.

- Wiem - odparował. - Chodzi mi o naszą wersję tego okresu.

Sal zmrużyła oczy, przeglądając paragrafy z historią dwudziestego wieku w pigułce.

- Nie widzę też żadnych informacji na temat drugiej wojny światowej.

Adam skinął głową, masując podbródek.

- Było trochę wojen w Afryce, kilka w Ameryce Południowej. Ale w tym dwudziestym wieku jest zdecydowanie mniej konfliktów zbrojnych niż w naszych...

- Pewnie dlatego, że nie ma tu Ameryki? - opryskliwie fuknęła Maddy. - To właśnie próbujesz powiedzieć?

- Nie do końca to mam na myśli. - Wzruszył ramionami. - Może ma to związek z tym, że na Ziemi żyje zdecydowanie mniej ludzi? Może dlatego, że nie trzeba już walczyć o kurczące się zasoby. Nie wiem. Nie jestem historykiem społecznym.

Zapadła głucha cisza. Bob wciąż dodawał przetworzone dane, a liczba stron zrzucanych na ekran rosła.

- Robi to wrażenie dużo spokojniejszego świata - odezwała się w końcu Sal, odwracając się do Adama. - To najprzyjemniejsza fala czasowa, jakiej dotychczas doświadczyliśmy. - Wzruszyła ramionami. - Trochę nawet szkoda, że będziemy musieli...

- Sal. Nawet o tym nie myśl! - Maddy spiorunowała ją wzrokiem.

- O czym?

- Doskonale wiesz o czym.

- Tak tylko gadam. - Sal wydeła wargi. - Nic więcej.

- To nie gadaj! Nie możemy ocalić tego świata tylko dlatego, że jest przyjemny. To przesunięta historia. Poważnie zniekształcona historia!

- Ale...

- Ale co?

Sal zawahała się, nie wiedząc, jak dokończyć.

- Co by się stało, gdybyśmy jej nie naprawili?

Maddy w osłupieniu popatrzyła na nią przeciągle.

- Nie no. Co by się stało? Co by się stało, gdybyśmy sprowadzili Liama i pozostałych do domu... i zostawili wszystko bez zmian? - Maddy potrząsnęła głową. - Sal... nie pora na takie dyskusje. - Zerknęła na Adama przyglądającego się ich kłótni. - A już na pewno nie będziemy o tym rozmawiały przy kimś obcym, rozumiemy się?

Po raz pierwszy zauważyła, że w oczach Sal zbierają się łzy.

- Wszystko, co znasz, to dwa tysiące dziesiąty rok, Maddy. Nigdy nie widziałaś moich czasów. Nie widziałaś Nowego Jorku w dwa tysiące dwudziestym szóstym ani żadnego innego miejsca w tym okresie.

- Nie... nie widziałam, ale to...

- Wszystko się, shadd-yah, rozpada! I wszyscy mają świadomość, że jest coraz gorzej!

- Sal! - Ostrzegła ją Maddy. - Nie będziemy się o to spierać! Nie w obecności Adama!

- Ale tak będzie! Ty to wiesz i ja to wiem! Z każdym rokiem będzie gorzej i gorzej! Zanieczyszczenie powietrza! Globalne ocieplenie! Wojny naftowe! Nikt nie wie, jak się to wszystko skończy. A to... przejrzyj na oczy! Przecież ten świat jest lepszy!

- Wojny naftowe? - spytał zaskoczony Adam.

Maddy uciszyła go machnięciem ręki.

- Sal... słuchaj, wszyscy obiecaliśmy coś Fosterowi. Mamy utrzymać historię w ryzach, zachować ją w niezmiennym kształcie, na dobre i na złe. Pamiętasz, co mówił? Nie możemy zmienić historii wedle własnego widzimisię. Po prostu nie możemy! Bo... bo...

- Bo co? Czy kiedykolwiek powiedział dlaczego? Nigdy tego nie wyjaśnił!

„Nigdy nie wyjaśnił... nie szczegółowo w każdym razie” - przyznała w duchu Maddy.

- Powiedział, że historia musi podążać w określonym kierunku. Jeśli tak się nie dzieje, wszystko się sypie. Wszystko idzie źle!

- Jakie wszystko?

- Czasoprzestrzeń... lub coś podobnego. Struktura czasoprzestrzeni. Tak mówił, powłoka powstrzymująca te stwory przed przedostaniem się do naszego świata.

Sal dokładnie wiedziała, jakie istoty Maddy ma na myśli. Raz jedną widzieli - tylko raz: „szukacza”.

Patrzyły na siebie bez słowa, czekając na to, która pierwsza wypowie to słowo na głos.

- Jakie stwory? - spytał w końcu Adam.

Maddy zignorowała pytanie.

- Sal, wiem, że zostałyśmy wciągnięte w to wbrew własnej woli i możemy liczyć tylko na siebie. Wiem, że zostałyśmy rzucone na głęboką wodę. Codziennie proszę Boga o powrót Fostera, który powiedziałby nam, co dokładnie robić. Prawdę mówiąc, codziennie mam ochotę wyjść przez te drzwi i poczekać, aż bańka zresetuje się beze mnie w środku. Ale jesteśmy tu nie bez przyczyny. Gdyby nie udało nam się osiągnąć tego co dotychczas... świat pozostałby radioaktywnym pustkowiem... lub gęstą dżunglą pełną jaszczuroludzi! Wiem tyle, że to, co do tej pory robiliśmy, przynosiło skutek! Korzyści! Nie widzisz tego? Ja tylko...

- Nie wiesz o wszystkim, Maddy - cicho powiedziała Sal.

Straciła język w gębie. Sal trafiła w samo sedno.

- Nie, okej... masz rację. Nie wiem. Tak naprawdę wiem tylko tyle, że wiem niewiele.

I naprawdę mnie to przeraża! Nie wiem też, co znaczy to ostrzeżenie. Nie... - Maddy przerwała w pół słowa. Uświadomiła sobie, że jak tak dalej pójdzie, zaczniesz otwarcie omawiać kwestię Pandory w obecności Adama.

- Adamie? Może zrobisz mały rekonesans? Sprawdź, czy jacyś francuscy rybacy nie zebrali się przypadkiem przed bazą, by wspólnie podziwiać nasze... ceglane... coś.

Popatrzył przeciągle na obie dziewczyny.

- Okej. - Wstał i odszedł w stronę rolety, po czym zaczął ją podciągać korbą.

- Sal - podjęła półgłosem - wszystko, co ty, ja i Liam wiemy, pochodzi od Fostera. Musimy zaufać tej wiedzy, bo na razie tylko tym dysponujemy.

Sal patrzyła na nią bez słowa.

- Ale dowiemy się więcej, obiecuję. Dowiemy się więcej dzięki manuskryptowi Voynicha... dowiemy się, czym jest Pandora, co oznacza. Zrozumiemy ostrzeżenie. A kiedy dowiemy się więcej... - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, może pewnego dnia będziemy mogli dokonać wyboru?

W odpowiedzi Sal nieznacznie kiwnęła głową.

- Ale na razie - westchnęła, poprawiając okulary - na razie... wiemy tylko, co powinno się wydarzyć, a co nie. Natomiast to tutaj na bank nie powinno mieć miejsca.

Sal wskazała głową monitor za Maddy.

- Myślę, że Bob się z tobą zgadza.

Maddy odwróciła się i zobaczyła kursor migający na końcu komunikatu.

> Rekomendacja: priorytet misji uległ zmianie. Należy zlikwidować skażenie historii.

- Tak, Bob, masz rację. Chyba musimy ostrzec Liama.

ROZDZIAŁ 41

Zamek w Oksfordzie rok 1194

„Jeśli skutecznie wypełnimy misję, Liamie O’Connor, i wrócimy do biura terenowego, czy wtedy przejdę na emeryturę?”

„Emeryturę? Co masz na myśli?”

„Czy moje ciało zostanie zniszczone, a ja zastąpiona męską jednostką pomocniczą? Słyszałam, jak Sal Vikram stwierdziła, że ta organiczna obudowa jest błędem”.

Beki w swojej głowie odtwarzała wspomnienie - rozmowę z Liamem, którą prowadzili, idąc wzdłuż prehistorycznej plaży i patrząc jak brachiozaury na odległej równinie zajadają trawę. Wiedziała, że funkcjonuje jako niezależny byt tylko z powodu pomyłki Sal, która przez nieuwagę wybudziła z hibernacji kobiecy embrion zamiast męskiego.

Była błędem.

„Dlaczego właściwie mielibyśmy to zrobić, Beki?”

„Męska konstrukcja nośna jest osiemdziesiąt siedem procent efektywniejszą jednostką militarną niż kobieca obudowa”.

„Teraz naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy mieć was obojga. Boba i Beki. Czy istnieją jakieś zakazy Agencji dotyczące posiadania dwóch jednostek pomocniczych w drużynie?”

„Zaprzeczam. Nie wiem nic o istnieniu wytycznych Agencji w tym zakresie”.

„Sama widzisz. Będziemy mieć dwie jednostki zamiast jednej”.

„Wspomnienie” zostało skompresowane do postaci filmu video o niskiej rozdzielczości, aby wydajniej przechowywać dane na dysku twardym. Pikselowy obraz, płaski i metaliczny dźwięk. Ale równolegle utworzony został wtedy inny plik z danymi: plik z zapisem reakcji neuronowej w jej niewielkim, organicznym płacie mózgowym. Plik, któremu nie przypisała jeszcze nazwy, został jedynie oznaczony użytecznym identyfikatorem kategorii: ReaEmoc - 57739929.

„Czy funkcjonuję tak samo efektywnie jak jednostka Bob?”.

„Tak, oczywiście. Sam nie wiem, co byśmy bez ciebie poczęli”.

W pliku znajdował się zapis reakcji jej mózgu z tego momentu. Kilka tysięcy synaps w małym, zwierzęcym mózdzku wystrzeliło wówczas szereg elektrycznych miniimpulsów. Jak dotychczas tamta sytuacja najbardziej przypominała autentyczną reakcję emocjonalną.

Gdy tak w całkowitym milczeniu i bezruchu obserwowała rozciągający się poniżej Oksford - średniowieczny gród pogrążony w głębokim śnie, oświetlany jedynie słabymi i sporadycznymi przeblaskami księżycy - jej sztuczna inteligencja analizowała plik, rozpakowywała dane i przekopywała się przez nie, nie mogąc zdecydować, jaka z ludzkich emocji najbardziej przypomina plik ReaEmoc - 57739929.

[Wdzięczność?].

Nie, nie do końca. To coś więcej. Nie była to zwykła reakcja na zdanie wyrażające pochwałę... tkwiło w tym coś jeszcze. Czynniki dodatkowe. Przeanalizowała wartości liczbowe, uruchomiła proces cyfrowej symulacji organicznego mózgu i próbowała odtworzyć ten ulotny moment „emocji”.

To coś więcej niż wdzięczność. Czuli się wtedy doceniona. W tamtym momencie przestała być zwykłym „błędem”.

Ale to jeszcze nie to. W pliku wciąż znajdowały się nieznane wartości liczbowe.

Kiedy ponownie odtworzyła plik, by jeszcze raz przeanalizować ten moment, to wspomnienie, jej nieruchoma jak maska twarz nieznacznie się poruszyła. Zadrzały mięśnie na dłoniach. Tym razem wyłowiła istotny czynnik. Nie chodziło o fakt, że pochwalono jej starania ani o obietnicę, że wciąż będzie funkcjonowała jako jednostka pomocnicza. Najważniejsze było to, że usłyszała to od konkretnej osoby.

[Liam O'Connora].

Podmuch świeżego wiatru poruszył zasłony po obu stronach małego okna w pograżonej w ciemności komnacie. Powoli przekrzywiła głowę, niepewna, co ta konkluzja właściwie oznacza.

Dalsza analiza została przerwana. Usłyszała skrzypnięcie drzwi, bezszelestnie odwróciła się i ujrzała, jak do jej pokoju wślizguje się ciemna postać.

Kształt przemykał przez komnatę, cicho szurając skórzanymi podeszwami po kamiennej posadzce.

- Lady Rebeko? - Rozpoznała miękki, śpiewny głos Jana. - Czy sen już cię zmorzył?

Podszedł do łoża i jął przebierać rękami po materacu.

- Lady Rebeko?

- Tu jestem! - odrzekła Beki.

Dostrzegła, jak zarys postaci Jana podskakuje z zaskoczenia.

- Dobry Boże! - zachłysnął się w ciemności. Jednostka obserwowała, jak cień książęcej głowy odwraca się to w jedną, to w drugą stronę, by wreszcie zatrzymać się na niej przy oknie. - Tuś się skryła? Azaliż spać nie możesz?

- Zaprze... nie, ja nie śpię.

- Takoz i ja spać nie mogę - zwierzył się, podchodząc do niej wokół łóżka. - Ja... umysł mój jak szalony gna od frasunku do frasunku. Głębokom zatroskany.

Staął naprzeciwko niej. Bardzo blisko. Bliżej, jak zauważyła, niż większość ludzi podczas typowego dialogu. - Umysł mój... ukojenia pragnie. Mgieł smutków rozproszenia - wyszeptał łagodnie. - A ty, pani... ty, lady Rebeko... jakowaś siła nieznana przyciąga mnie do ciebie...

Poczuła dotyk ręki na karku.

[Bliskie zagrożenie].

Złapała go za nadgarstek i mocno ścisnęła.

- Ooo! - Jan zachichotał. - Wielceś powabna, gdy się zezłościysz, kochana! Jakaż to zawziętość się w tobie gotuje!

[Analiza: pozytywna reakcja obiektu na odruch obronny].

- Spodobało mi się... - Poczuła łopoczący powiew ciepłego powietrza na policzku, Jan dyszał jej prosto w twarz. -... zachwyciło mnie, jak potraktowałaś tego żołdaka, kochana.

Uświadomiła sobie, że odnosi się do sytuacji, w której niemal złamała kark jednego ze strażników.

- Pochwalasz to?

- Och, tak! Tak! - Kiwał głową. - Rzadkom widywał niewiasty... niewiasty tobie podobne. Tak... tak...

- Silne?

- Silne... tak! Boże, tak! Niewiasty, które potrafią opór stawiać!

Szybkim, sprawnym ruchem uniosła go w powietrze i cisnęła na plecy. Wylądował na twardej podłodze z perkusyjnym tąpnięciem. Beki nie zwlekała ani chwili. Całym ciężarem ciała przygniotła jego klatkę piersiową. Naraz wyrzucił całe powietrze z płuc. Ścisnęła go za gardło, ale w ostatnim momencie cofnęła rękę, żeby go przypadkiem nie zadusić.

Jan wierzgał na podłodze, rżąc z wybałuszonymi oczami, w których odbijały się ulotne promienie księżyca.

- Boszzzz! Boszz! Urghhrrlhady... R-Rebeghao!

Umysł jednostki przeanalizował piskliwy tembr bulgocącego głosu i przyspieszony puls wyczuwalny na karku, po czym podsunął sugestię, że intencje księcia mogły zostać źle zinterpretowane.

Zwolniła uścisk na gardle.

- Przepraszam, panie - rzekła.

Jan patrzył na nią bez słowa, rwany oddech wypełnił przestrzeń pomiędzy nimi. Krzaczaste płowe brwi zbiegły się w jedną linię, nie znała go jeszcze na tyle, by mieć pewność, co oznacza ten grymas.

- Uchybiłem ci, pani? - spytał wreszcie.

ROZDZIAŁ 42

Zamek w Nottingham rok 1194

- Pojmujesz, że to straceńcza wyprawa? - spytał Cabot. - W borach królewskich rojno od famulusów Zakapturzonego, co walczą leśnym sposobem.

Liam westchnął. Sen nie pomógł rozwiązać problemu. W zimnym świetle styczniowego poranka ich pozycja wyglądała tak samo źle. Kłęby dymu świadczące o zesłonocnym napadzie wspinały się na pochmurne niebo, niewyraźne miasto Nottingham zdawało się wrogo zerkać na Liama.

- Bracie Cabot, musicie zrozumieć, że nie przybyliśmy tu z Bobem, aby bawić się w policjantów i złodziei! Szeryf będzie musiał poradzić sobie z tym sam! - Odwrócił się do Boba siedzącego na dębowej ławie ze wzrokiem utkwionym w grodzie za oknem. - Bob? Wyjaśnij mu!

- Priorytetem misji jest odzyskanie artefaktu nazywanego Graalem - huknął, nie odrywając wzroku od dachów Nottingham.

- William De Wendenal to lichy darmozjad i opój! Jego ludzie opuszczają go! - Cabot potrząsnął głową. - Nie wiedziałem, iż autorytet Jana jest tak kruchy! Nie wiedziałem, jak złym...

- Przykro mi, ale nie możemy tu zostać. Musimy odszukać Graala!

- Nie pojmujesz, Liamie? Aczli kraj ten prawo i sprawiedliwość opuszczą, aczli chaos zapanuje... toć wojna domowa zaraz wybuchnie! Baronowie rozedrą ten kraj na kawałki. A i gorsze na dejść może, boć to zaproszenie Francji do inwazji na Anglię i rabunku. Na Boga! Długo oni mitrzyć nie będą, jeśli woń łatwego zwycięstwa złowią w swe nozdrza!

- Może... może - rzekł Liam, pocierając zmęczone oczy - ale to już nie nasza misja, w rzeczy samej. - Odwrócił się od okna. - Ktoś z naszych musi patrolować lasy. Musimy wytropić Zakapturzonego!

- Patrolować lasy! Ledwoć nam żołnierzy starcza, by zamek utrzymać! A przecie tam - w tych lasach - bandyci w pień ich wszystkich wyrzną!

Liam podejrzewał, że Cabot ma rację. Garstka mężczyzn, którzy ostali się w zamku, to albo wystraszeni starcy, albo jeszcze bardziej przerażeni chłopcy. Nie miałby serca nakazać im patrolowania zamku, nie mówiąc już o regularnym przetrząsaniu lasu Sherwood.

- Bob? Jakiś pomysł?

Klon nie poruszył się nawet o centymetr.

Liam podszedł do niego i szturchnął go w ramię.

- Bob? Żyjesz?

- A jemu co? - Cabot zmrużył oczy. - Jakby czar kto na niego rzucił.

- Dajcie mi chwilę - spokojnie odparł Bob. - Przetwarzam dane.

- Co jemu? - powtórzył pytanie Cabot, podnosząc się zza okrągłego dębowego stołu, wciąż zawalonego stertą pergaminów i zwojów z nieaktualnymi od dawna petycjami do Szeryfa.

- Myślę... myślę, że odbieramy sygnał.

- Sygnał?

Liam zignorował pytanie starego zakonnika. Postawił stołek przed Bobem i sam na nim usiadł.

- Bob? Powiedz mi, co masz.

- Trwa rozpakowywanie pakietu danych przesłanego za pomocą sygnału tachionowego szerokiego zasięgu - odrzekł. - Chwileczkę.

Nowy sygnał od Maddy, to musiało być to. Ciekawe, co też mogło się im przytrafić.

Pewnie nic wesołego.

Wreszcie Bob się poruszył i przeniósł wzrok z szarego nieba Nottingham na Liama.

- Otrzymałem od Maddy wiadomość wraz z załączonym pakietem danych, Liamie.

- Co jest w tej wiadomości?

- „Rozlała się fala czasu. Poważne zdarzenie kontaminacyjne. Źródło: tysiąc sto dziewięćdziesiąty czwarty rok. Wytyczne misji ulegają zmianie. Należy powstrzymać nadejście wydarzenia znanego jako Wielkie Powstanie Chłopskie. Więcej informacji na temat przyczyn powstania znajduje się w załączonym pakiecie danych. Pandora schodzi na dalszy plan. Potwierdzić odbiór komunikatu”.

- Co jest w pakiecie danych? - spytał Liam.

Bob kilkakrotnie zamrugał powiekami i podjął:

- „Wielkie Powstanie Chłopskie wybuchło w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku podczas panowania króla Ryszarda. Przedłużająca się nieobecność króla, który wyruszył na trzecią wyprawę krzyżową doprowadziła kraj na skraj bankructwa. Kiedy Ryszard przebywał poza krajem, autorytet Korony szybko osłabł pod namiestniczym panowaniem księcia Jana, młodszego brata króla...”. - Przez ponad godzinę przez hol płynął monotony głos jednostki, która czytała na głos skompilowany podręcznik.

Kiedy wykład dobiegł końca, pierwszy odezwał się Cabot. Szorstki zazwyczaj głos mnicha drżał teraz niepewnie.

- Zatem to... to zdarzenia, co się dopiero wydarzyć mają? Azaliż będzie dokładnie, jak wam mówiłem? Na kraj spadnie rebelia i wojna domowa?

Liam skinął głową.

- To historia, która właśnie się wydarzyła.

- Wydarzyła?

- Wydarzy - poprawił się Liam.

- Ale wydarzyć się nie musi, aczli...?

- Jeśli ja... jeżeli my coś z tym zrobimy. Tak. - Posłał Cabotowi przepaszający uśmiech. - Mielicieście rację, bracie Cabot: pilniejsze sprawy mamy teraz na głowie.

- Tedy zamierzacie...?

- Wygląda na to, że będziemy musieli zostać tu z Bobem dłużej. - Liam wstał, podszedł do okna i oparł się o kamienny parapet. - Zeszłonocne zamieszki... to zwiastuny buntu chłopskiego. Wszystko rozpocznie się tutaj, w Nottingham.

- Potwierdzam - rzekł Bob. - Należy bezzwłocznie zastosować środki zapobiegawcze.

- Masz pełne błogosławieństwo Jana - rzekł Cabot. - Wykorzystasz to?

- Oczywiście, nie jestem obłąkany. - Liam wzruszył ramionami.

- Tedy zostaniesz nowym szeryfem Nottingham?

Liam zauważył, że Bobowi zrzędła mina.

- Wiem, wiem... jeśli mianuję się szeryfem, skażę historię, ale wszystko wskazuje na to, że...

- Zaprzeczam - przerwał Bob. - Przewidywany poziom kontaminacji jest akceptowalny.

- Dajże spokój! - Liam zaśmiał się. - Nigdy nie istniał szeryf Nottingham o nazwisku Liam O'Connor!

- W relacjach historycznych z tego okresu nie ma wzmianek o nazwisku szeryfa Nottingham.

- Chcesz powiedzieć... że nikt nie wie, kto to był?

- Potwierdzam. Oznacza to, że twoje imię nie zostanie zachowane dla potomności, a w związku z tym ryzyko kontaminacji jest akceptowalne.

Cabot dołączył do nich przy oknie.

- Słusznie tedy wnoszę, że możesz być szeryfem?

- Hmm... tak - potwierdził Liam. - Chyba mogę.

- Dobra to nowina! - Cabot klepnął go po plecach. - Czas nam działać.

- I to szybko. - Liam wziął głęboki oddech. - Zaczynamy z samego rana. Sprawdzimy, jakie zapasy zostały w zamku. Ile jest pieniędzy w kufrach. Czas też usłyszeć, co lud Nottingham ma nam do powiedzenia... czego potrzebuje najbardziej. Tego Zakapturzonego - czymkolwiek lub kimkolwiek jest - biedota ma za jakiegoś bohatera ludowego. Zajmiemy się nim tak szybko, jak to możliwe.

Stara twarz Cabota wykrzywiła się w uśmiechu.

- Dobrze radzisz, młodzieńcze.

- Powinniśmy też przesłać do bazy odpowiedź - powiedział Liam do Boba. - Damy im znać, że już zaczęliśmy nad tym pracować, a Beki została w Oksfordzie. Muszą wiedzieć, gdzie skierować sygnał, jeśli będą chcieli się z nią skontaktować.

- Potwierdzam - odrzekł Bob. - Przygotuję zaszyfowaną wiadomość do wyrzycia na nagrobku.

- Nagrobku?

Liam ze skruchą zgarbił ramiona.

- Zdaje się, że powinniśmy byli spytać. Używamy, hmm... używamy jednego z waszych grobów w Kirklees jako... swego rodzaju tablicy informacyjnej. Nie macie nic przeciwko? To tylko kilka wyrytych linii i...

- Bezczescicie grób jakiegoś człeka? - Cabot zmarszczył brwi.

Liam potulnie skinął głową.

- Czyj? - gniewnie warknął mnich.

- Haskette'a.

Cabot na sekundę przygryzł wargi.

- Ach, brata Roberta? Nie frasujcie się, kiep to był okrutny.

ROZDZIAŁ 43

Normandia, Francja czerwiec 1194 roku

Patrzył na mroźny błękit kanału La Manche, który lśnił w porannym słońcu - spokojny jak jezioro przy młynie, cichy jak mnich; woda dyskretnie wpływała na normański żwir i wycofywała się z szeptem.

Król Ryszard właśnie skończył się wypróżniać i okrywał się na powrót. Jego wzrok powędrował wzdłuż wybrzeża, w kierunku małej floty wyciągniętych na plażę statków oraz

ustawionych między nimi namiotów i markiz zwieńczonych sztandarami, które falowały na lekkim wietrze.

Kwiat angielskiej szlachty przybył do Normandii, by powitać go na ojczystej ziemi. Wszyscy oferowali swoje wsparcie, zbrojnych i pieniądze. W królewskim namiocie roiło się od możnych, którzy kokosili się jak uczniaki, próbując przechytryć się wzajemnie, najgorliwiej zmanifestować niezachwianą lojalność wobec korony.

Ryszard uśmiechnął się do siebie.

Zupełnie jak psotne dzieci... obwiniające się wzajemnie o wywołanie zamieszek na północy Anglii. Do królewskich uszu dochodziły pogłoski, wiarygodne bądź nie, o powstaniu chłopów. Wszyscy ci głupcy, którzy przybyli tu do Normandii złożyć mu hołd, powinni byli pilnować teraz porządku w Anglii, zamiast wciąż wadzić się ze sobą, rywalizować o fawory i władzę przebywającego poza krajem króla.

No i jeszcze ten jego brat, Jan... bezużyteczny idiota nic prawie nie uczynił, by naprawić sytuację. Słabość, to jego największa wada, zawsze był słabeuszem i tchórzem.

Ryszard splunął, czując gromadzącą się w ustach żółć.

Odpychająca, zimna, zwilgotniała Anglia budziła w nim odrazę. Brat bez ikry, kłótlivi i dwulicowi możni, odrażający chłopi... nawet ten ich prostacki język - ingielski. Szorstkie dźwięki wciąż zgrzytały w jego uszach.

„Oto i moje królestwo. W pełnej krasie”.

Nędzny ten kraj nie jest wart więcej niż suma podatków, które można z niego wycisnąć. Podatków potrzebnych, by zebrać armię i odzyskać francuskie ziemie utracone w ciągu ostatnich pięciu lat.

Francja. Cała Francja... to jest jego spuścizna, prawdziwy dom. To mu Bóg przeznaczył. To i wiele więcej.

Pewność zyskał już za młodu. Pewność, że jego przeznaczeniem jest władać całym światem chrześcijańskim - ta brzydka i wilgotna wysepka, Brytania, to dopiero przygrywka. Z potężną siłą po raz wtóry najedzie Ziemię Świętą i wschodnie pustynie arabskie, by zdruzgotać armię Saladyna.

Uśmiechnął się, gdy powiew wzmagającej się bryzy poderwał proporce na namiotach i sprawił, że wszystkie sztandary załopotały z nowym wigorem.

„Bóg mi to przeznaczył”.

Gdybyż było inaczej, to czyż Pan pozwoliłby mu poznać tajemnicę Wyznania Treyarcha? Dlaczego Pan sprawił, że wyrwał Graala z rąk muzułmanów? Teraz jest bezpieczny; bezpieczny na tej ohydnej wyspie po drugiej stronie kanału; bezpieczny w pałacu królewskim... i cierpliwie czeka, aż Ryszard wróci i go odszyfruje.

Poczuł, że jego nogi i ręce drżą z ekscytacji na samą myśl o tym.

Widział go przez ułamek sekundy, kiedy rycerze wydobyli go z katakumb Jeruzalem; poźółkłe krusze stronicze manuskryptu pokryte niewyraźnymi inkaustowymi wierszami. Poczuł wówczas, jak z artefaktu wypływa powiew boskiej energii, wyczuł znaczenie słów... choć wszystkie zostały zaszyfrowane. Rzucił nań tylko okiem, a potem nakazał najbardziej zaufanym templariuszom, aby co tchu wywieźli go do Anglii, do zamku królewskiego w Oksfordzie.

W jego posiadaniu, w jego dębowej skrzyni... znajdował się klucz niezbędny do rozszyfrowania słów Pana: druga połowa Graala. Mały, kwadratowy wycinek wytartej skóry.

- Panie?

Do jego mózgu wdarł się piskliwy, drżący głos przypominający wizg rybitwy lub zgrzyt palców na blasze. Z irytacją odwrócił się do młodego, ubranego w jedwabie giermka, który wyglądał bardziej na wyrosniętego pazia; chłopak klęczał na plaży kilka metrów od niego i wbijał wzrok w kamienie, nie mając odwagi spojrzeć swojemu królowi prosto w oczy.

- Lordowie pytają... hmm... kiedyż Jego Królewska Mość planuje żagle postawić? - nerwowo spytał młodzieniec.

Szeroka twarz Ryszarda zajaśniała w uśmiechu. To zabawne, jak bardzo nerwowi w jego obecności robili się wszyscy ludzie. Jąkali się przy każdym słowie; ich głosy przybierały cienie jak u niewiast tony; wierzili się, drapali za uszami i szurali nogami; ich policzki pąsowiały. Zachowywali się tak, jakby wyczuwali płonącą w jego trzewiach moc przeznaczenia, jakby doskonale rozumieli, że wkrótce król Ryszard zapanuje nad imperium większym niż Cesarstwo Rzymskie w dniach swojego rozkwitu. A on będzie nim rządził z surową dyscypliną i stanowczością ojca.

„Bo Bóg tak chce”.

- Odplyniemy z porannym przyplywem - odrzekł powoli.

Młody giermek skinął głową i jął się wycofywać.

- Jeszcze jedno, chłopcze! - krzyknął za nim Ryszard.

Giermek zatrzymał się jak wryty.

- Tak, panie?

- Zapiszcz tak przy mnie raz jeszcze, a wydłubię ci jęzor czubkiem mego miecza.

Twarcz giermka pobladła. Bez słowa skinął głową, bojąc się ponownie odezwać.

Ryszard patrzył, jak wycofuje się na stosowną odległość, odwraca się i odbiega ku namiotom, by przekazać wieści. Król ponownie spojrział na kanał i uśmiechnął się szeroko. Pogoda sprzyjała przeprowie. Wiatr się wzmagał.

„Bo Bóg tak chce”.

ROZDZIAŁ 44

Zamek w Nottingham rok 1194

Słońce grzało twarz Liama. Zamknął oczy, rozkoszując się ciepłem i wsłuchując z błogością w odgłosy budzącego się do życia Nottingham: ktoś tam rąbie drwa, trach-trach-trach, gdzieś ryczy osioł, pokrzykują tragarze rozkładający stragany, ujada pies, wywołując lawinę kolejnych poszczekiwań. Wszystkie te dźwięki odbijały się od brudnych dachów miasta i płynęły w kierunku twierdzy.

Stadko jaskółek przemknęło tuż obok wąskiego okna Liama, który otworzył oczy i obserwował, jak ptaki nurkują i ścigają się wzajemnie. Przeniósł wzrok z tonącego w letniej poświacie grodu na polec rozciągających się za nim pól. Szerokie pasy jęczmienia i pszenicy wreszcie były doglądane.

Ktoś na dolnych piętrach, może na ulicy, zaczął śpiewać. Kobięcy głos wyrażał podobny zachwyty.

„Mógłbym tu zostać do końca życia” - westchnął. Mógłby, naprawdę mógłby porzucić misję. Porzucić Boba i Beki, wróciliby do domu sami, a on zostałby tutaj na stanowisku szeryfa Nottingham. Dopóki utrzymywałyby historię w niezmienionym kształcie, nikt by się o niego przecież nie upomniął. Mógłby żyć tu aż do swojej naturalnej śmierci, sprawiedliwie władając poddanymi.

„Cudny sen”. - Z radością smakowałby go przez cały dzień. - „Ale - westchnął - wiele dziś spraw do załatwienia”.

Poniżej, na brukowanym dziedzińcu, odbywała się poranna musztra. Eddie przyuczał nowych rekrutów. Towarzyszył mu Bob, demonstrujący żółtodziobom, jak przybrać pozycję obronną. Miecz, uniesiony ponad zmierzwiony kołtun jego czarnych włosów, lśnił w słońcu.

Liam odszedł od okna i skończył się odziewać. Paż postawił przed nim paterę ze świeżo upieczonym chlebem i miodem oraz karafkę chrzczonego wina. Dziesięć minut później Liam wyszedł z mrocznej twierdzy na dziedziniec i przez chwilę z bliska obserwował musztrę żołnierzy.

Jeszcze pięć miesięcy temu znalezienie mężczyzn gotowych do wstąpienia w szeregi gwardzistów graniczyłoby z cudem. Lud Nottingham zareagowałby wrogością wobec każdego młodzieńca na tyle głupiego, by ogłosić, że pragnie wejść na służbę do szeryfa. Ale to było jeszcze zanim Liam otworzył wrota zamkowych spichlerzy i rozdał magazynowane w nich świeże bochny chleba. Wieść o tym błyskawicznie gruchnęła wśród głodującej biedoty, napychającej żołądki gulaszem pokrzywowym i polewkami z gnijących jarzyn. Ten prosty gest wykonany przez Liama w pierwszym dniu po objęciu funkcji szeryfa położył kres nocnym zamieszkom.

Eddie zauważył przyglądającego się im Liama.

- Dzień dobry, sire! - Krzyknął.

Liam skinął głową i machnął ręką na powitanie.

- Witaj, Eddie. Dobrze się prezentujecie, chłopaki.

Kilku ćwiczących żołnierzy odwróciło się i grzecznie pochyliło głowy. Zarówno starzy, jak i młodszy rekruci uśmiechali się i kiwali głowami.

Liam, Cabot i Bob przeprowadzili inwentaryzację zamku i stwierdzili, że zapasy żywności są na tyle obfite, żeby wyżywić cały garnizon przez sześć miesięcy albo i dłużej. Przy rozważnym dzieleniu się zapasami z ludnością, rezerwy starczyłyby na miesiąc. Liam wydał dekret, na mocy którego lasy królewskie stały się ogólnodostępne. Od teraz lud mógł w nich szukać pożywienia, polować na zwierzyńnię oraz zbierać dziko rosnące warzywa, orzechy i jagody. Posunięcie to zjednało chłopów i zagwarantowało stały dopływ jedzenia na rynek miejski. Cabot, kontent, że ryzyko rebelii w Nottingham zostało zażegnane, szybko powrócił do Kirklees, aby ponownie objąć pieczę nad klasztorem.

Ledwie tydzień po przejściu urzędu od poprzedniego szeryfa Liam i Bob mogli już wysyłać pierwsze patrole za mury Nottingham. Na szczęście - był to już chyba ostatni dzwonek. Jeśli ludzie mieli wyżywić się we własnym zakresie, to wraz z nadejściem wiosny czas zacząć uprawę pól.

Gdy tylko Bob zauważył Liama, wydał komendę „spocznij”. Po odejściu dowódcy rekruci z westchnieniem ulgi opuścili ciężkie miecze i tarcze.

- Szeryfie. - Klon oficjalnie powitał Liama.

Liam gestem zaprosił Boba do spaceru po obrzeżach dziedzińca, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać. Chciał z nim swobodnie porozmawiać.

- Bob - powiedział przyciszonym tonem - ile jeszcze czasu do końca misji?

- Na zegarze misji pozostało dwadzieścia cztery dni, dziewiętnaście godzin i czterdzieści trzy minuty.

Liam w zamyśleniu pokiwał głową, gładząc rzadkie kępki ciemnego zarostu, który przez kilka ostatnich miesięcy zdążył wykiełkować wokół jego szczęki.

- Czyli zostało mniej niż cztery tygodnie?

- Potwierdzam.

- Oboje z Beki będziecie musieli wrócić.

- Licznik misji wymaga zresetowania - potwierdziła jednostka.

Sześć miesięcy: po takim okresie aktywowany jest mechanizm prewencyjny. W oprogramowaniu jednostek zakodowano komendę autodestrukcyjną. W czaszkach nastąpi zwarcie i przepalenie drobnej masy obwodów elektrycznych. Takie rozwiązanie gwarantowało, że technologia informatyczna z dwa tysiące pięćdziesiątego roku nie stanie się łupem osób z przeszłości, a żaden tyran nigdy nie naprawi, nie przeprogramuje ani nie

wykorzysta maszyny do zabijania takiej jak Bob. Jeśli jednostki pomocnicze nie powrócą do bazy, by zresetować zegary misji, to w wyniku przepalenia małego fragmentu obwodów zamienią się w bełkoczących wioskowych głupków.

- Sądzę, że powinienem wybrać się z wizytą do brata Cabota. Zostawimy też wiadomość dla Maddy. Trzeba dać jej znać, że trzymamy rękę na pulsie.

Bob burknął tylko potakująco.

W bazie zorganizują okno powrotne, którym wrócą obie jednostki pomocnicze. Wtedy Bob i Beki zresetują liczniki i przekażą Maddy wszystkie zebrane informacje. Z perspektywy Liama poparcie dla buntu chłopów stopniało. Mieszkańcy Nottingham już z radością zajęli się swoimi sprawami, natomiast plebs z pobliskich wiosek i miasteczek, po zbiorach i kolejnych dotacjach żywności, pójdzie ich śladem. Jeżeli historia rzeczywiście znowu wskoczyła na właściwą oś - a wszystko na to wskazywało - on i Bob nareszcie będą mogli wypełnić zasadniczą część misji: przetrzepać rozciągające się po sam horyzont lasy i znaleźć zakapturzonego zakapiora wraz z topniejącą bandą jego zwolenników... aby z odrobiną szczęścia odebrać im Graala.

Kiedy do Nottingham wróciły pozory ładu i porządku, sfera rabusiów - czy to pod dowództwem Zakapturzonego, czy nie - grasowała już daleko od Nottingham i okolicznych wsi. Farmy były regularnie patrolowane przez oddziały niedoświadczonych rekrutów; codzienny widok setki żołnierzy w kolczugach zdawał się wystarczająco zniechęcać łotrów, dlatego w tym roku jeszcze nikt nie podpalił ani nie zrujnował plonów.

Poprzedniego lata, jak Liam usłyszał od Cabota, zbóje łupili wszystkie napotkane farmy - zabijali chłopów, zarzynali lub kradli zwierzęta, podpalali pola. W efekcie niemal nikt nie odłożył zbiorów na zimę. Poprzedni szeryf nie zrobił niemal nic, aby przygotować ludność na nieunikniony głód, nie licząc oczywiście napełnienia zamkowych spichlerzy.

Liam nie mógł się nadziwić, jak skuteczny okazał się naturalny gest obdarowania chlebem biednych i głodujących mieszczan. To jedno posunięcie zakończyło zamieszki. Ci odważni ludzie byli gotowi znosić niekończące się udręki i ponosić największe ofiary, a nawet wykazywać się dozgonną lojalnością... gdyby tylko ich wysoko urodzeni panowie

zechcieli dostrzec w nich ludzi.

To, co okazało się oczywistością dla skromnego chłopca z Corku, urodzonego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, było niemal nie do pojęcia dla lordów i baronów francuskiego pochodzenia - z których większość nie nauczyła się nawet mówić w języku podległych im chłopów.

„Aż tyle zmieniło się w ciągu tych pięciu miesięcy”.

Liam po raz kolejny uświadomił sobie zdumiewającą względność czasu. Przybyli tu z Bobem w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku, na początku stycznia, w zimnym, ponurym miesiącu pełnym pochmurnych dni. Już jest czerwiec. Zima dobiegła końca, wiosna przebrzmiała, lato nadchodziło w tym roku zaskakująco wcześnie, drzewa zieleniły się od pączkujących liści. Ale Maddy i Sal pożegnały ich raptem pół godziny temu; tyle czasu zajmuje ponowne naładowanie wehikułu translokacyjnego.

Potrząsnął głową.

- O co chodzi, Liamie?

- Właśnie coś zrozumiałem.

- Co?

- Starzeję się szybciej niż one.

- Maddy i Sal?

- Właśnie.

- Potwierdzam. W twoim przypadku upłynęło więcej czasu.

- Ale to niesprawiedliwe - burknął. - Jeśli nie przestaniemy wyjeżdżać na długie misje, takie jak ta... zamienię się w zramolałego dziada, zanim one wyjdą z okresu dojrzewania.

Bob popatrzył na niego, niepewny jak zareagować.

- To nieuniknione następstwo podróży w czasie, Liamie.

- No tak - westchnął. - Cóż, zgodziłem się w końcu na to wszystko, gdy stary Foster werbował mnie do drużyny.

Przez chwilę szli w milczeniu, po murach piął się szczepek i dzwonienie broni, którą machali musztrowani rekruci Eddiego.

- Dzisiaj znowu jedziemy zbierać podatki, co?

- Potwierdzam.

Bob i Liam wraz z połową garnizonu złożyli już wizytę w kilkunastu najbliższych majątkach ziemskich. Za każdym razem wracali z wozami obładowanymi ziarnem i dukatami z dziesięciny. Kiedy możni i baronowie zjawiali się przed swoimi obwarowanymi twierdzami, zaklinali się na wszystkie świętości, że są biedni jak myszy kościelne, a nakładane przez księcia Jana podatki zrujnowały ich i wpędziły w głód, ale wbrew temu, co mówili, zarówno oni jak i ich służba wyglądali na zaskakująco dobrze odżywionych, a ich spichlerze były zastanawiająco dobrze zaopatrzone. Tymczasem chłopci z ich włości przypominali mieszkańców Nottingham z zeszłej zimy - wyglądali jak strachy na wróble.

- Najpierw odwiedzimy możnych, później ty powrócisz do zamku z łupem, a ja udam się do Kirklees.

Bob wstrzymał krok.

- Nie powinieneś podróżować bez eskorty, Liamie. W lasach wciąż grasują rabusie.

- Wiem... wiem. Zabiorę ze sobą mały oddział, obiecuję. Konno zajedziemy tam przed zmrokiem, przenocujemy w klasztorze i wrócimy wczesnym rankiem. Sądzę, że czas poinformować innych i sprawdzić, czy Beki jest gotowa wrócić do domu. Jej zegar misji też

odlicza ostatnie dni.

- Potwierdzam.

Eddie wydał rozkaz zakończenia musztry. Liam patrzył na odpoczywających rekrutów; pomiędzy nimi krzątały się dwie młode kobiety z podłużnymi drągami na ramionach. Do kijów podwieszono były cebry na deszczówkę. Wycieńczeni i spragnieni rekruci brali od nich chochle, by łączywie wychłęptać trochę wody lub spryskać nią spoczone twarze.

- Ciekawe... - odezwał się Liam. - Ciekawe, jak sobie radzi.

ROZDZIAŁ 45

Zamek w Oksfordzie rok 1194

- Mówiłem ci już wcześniej, lady Rebeko... że oczy twe piękne są jak gwiazdy? - zagruchał Jan. Uniósł głowę z jej kolan i spojrzał na nią z błogim uśmiechem na ustach. - Mówiłem, kochana?

Beki skinęła głową i odpowiedziała słabym uśmiechem.

- Sto dwadzieścia siedem razy, panie - odrzekła rzeczowo, łagodnie głaszcząc policzek oblubieńca.

Wybuchnął śmiechem.

- Jaka w tobie... celność! - Nagle wstał i wbił w nią uważne spojrzenie. - I z tegoż to powodu zadurzyłem się w tobie. Nie jesteś jak insze białogłowy... te wszystkie krowiska z pawimi piórami we fryzurach, co o poematach i błahostkach tylko myślą. Jesteś... -

Zmarszczył brwi, próbując jak najlepiej dobrać słowa. - Jesteś tak od nich odmienna!

Powoli skinęła głową, starając się wybrać najstosowniejszą odpowiedź.

Warianty odpowiedzi:

1 Dziękuję za twe miłe słowa, panie (78% skuteczności).

2 Pragnę być odmienna tylko dla ciebie, miły mój (21% skuteczności).

3 Jestem odmienna, panie. Jestem jednostką bojową z 2056 roku (1% skuteczności).

Zachichotała nieśmiało, bo zdążyła już zaobserwować, że wiele kobiet podobnie reaguje w odpowiedzi na zalotne pochlebstwo.

- Dziękuję za twe miłe słowa, panie.

Zmarszczył brwi z udawanym wyrzutem.

- Panie? Panie? Zwij mnie Janem, kochana. Błagam. Zwij mnie, jak tylko zapragniesz!

- W takim razie będę cię zwała Janem.

Uśmiechnął się błogo i opadł na łóżko, jego głowa znowu znalazła się na kolanach jednostki.

- Nigdy podobnej radości nie czuł - zamruczał i przymknął oczy, gdy Beki zaczęła masować jego zatroskane czoło. - Nigdy w ciągu całego mego nieszczęsnego żywota. Przy tobie zapominam

o wszystkich troskach: kłótliwych baronach, długach, wzburzeniach, frasunkach, frasunkach, frasunkach... - ciągnął, a ona udawała, że słucha, przytakując w precyzyjnie wyliczonych momentach, bo kognitywna część jej umysłu szybowiała już w innych rejonach.

[Czas pozostały do zakończenia misji: pięćset osiemdziesiąt osiem godzin i pięćdziesiąt sześć minut].

Czas uciekał. Za trzy tygodnie będzie musiała wrócić do dwa tysiące pierwszego roku. Gdyby potrafiła odczuwać frustrację, prawdopodobnie właśnie ta emocja zdominowałaby teraz jej myśli. Ponad pięć miesięcy symulowanej gry miłosnej z hrabią Kornwalii i Gloucester. Pierwszej nocy, kiedy bez zapowiedzi wszedł do jej komnaty, spodziewając się łatwej zdobyczy... niewłaściwie skalkulowała odpowiedź i powaliła go na podłogę. To właśnie tamtej nocy, jak sam później przyznawał, na łeb na szyję - dosłownie - wpadł w okowy miłości.

Początkowo nie była pewna, jak skuteczne i przekonujące są jej reakcje na jego podchody, zabiegi, poematy miłosne i zapalczywe deklaracje bezgranicznej miłości, którym towarzyszyło mocne okładanie się pięściami po piersiach. Szczęśliwie jedna ze służek dostrzegła jej nieporadność i poprosiła o chwilę rozmowy na osobności. Beki uważnie przysłuchiwała się słowom tej starszej kobiety, która z pewnością z niejednego już pieca chleb jadła. Służka poradziła jej, w jaki sposób rozmawiać z Janem, czym mu sprawiać przyjemność.

Zastanawiała się, jak przełożyć tę garść rad na praktyczną strategię reakcji behawioralnych. Stwierdziła, że wszystkie wskazówki starej kobieciny można by sprowadzić do tego współczesnego powiedzenia: „Zgrywaj trudną do zdobycia”.

Taką właśnie taktykę zdecydowała się obrać. Wszystko wskazywało na to, że zadziałała. Jan, używając kolejnego współczesnego zwrotu, był w jej rękach „potulny jak baranek”. Jak „przymilny szczeniaczek”. Zrozumiała, że daje jej to pewną przewagę; mogła prosić Jana o rzeczy, o które nikt nie śmiałyby go prosić. Ale dzięki sztucznej inteligencji na tyle dobrze poznała schematy ludzkich zachowań, by rozumieć, że gdyby zbyt często pytała o najbardziej intrygującą ją sprawę, książę szybko nabrałby podejrzeń.

Tą sprawą było oczywiście Wyznanie Treyarcha.

Przez ostatnie pięć miesięcy zahaczyła o ten temat raptem kilka razy. Za każdym razem upewniała się, że Jan wypił wystarczająco dużo wina, by już uznać go za

nieprzytomnie pijanego.

Dzięki chaotycznym odpowiedziom księcia uzyskała garść pożytecznych informacji.

Na Wyznanie za młodu natknął się jego starszy brat Ryszard, kiedy wciąż byli tylko synami Henryka II i wszyscy mieszkali w Pałacu Beaumont. Jan najwyraźniej nie kłamał, twierdząc, że nie ma pojęcia, jakim cudem dokument znalazł się w królewskiej bibliotece. Mówił, że podobno w niejasnych okolicznościach nabył go jego ojciec.

Jan opowiadał, że całe jego dzieciństwo naznaczone było wspomnieniem ojca pilnie strzegącego i często czytającego ten dokument. Stał się on również obsesją starszego brata, Ryszarda, który za wszelką cenę starał się dowiedzieć, jakąż to tajemnicę skrywa Wyznanie. Pewnego dnia, w wieku zaledwie dwunastu lat, Ryszard w końcu odnalazł je dobrze ukryte pomiędzy bibliotecznymi zwojami, pergaminami i manuskryptami ojca.

Wydarzenie to odmieniło go.

Podczas gdy Jan, z głową na jej kolanach, bez końca bredził o miłości, Beki odtworzyła plik audio z zapisem ich ostatniej rozmowy na temat Wyznania. Książę leżał wtedy przy ogniu trzaskającym ze świeżego bierwiona i dukał coś grubym, zapijaczonym głosem. Słowa zlewały się w bełkotliwy ciąg.

„Po tej jednej nocy... Ryszard zdał się całkiem odmienion. Wciąż był brutalem ohydny. Ale teraz... teraz przemienił się w brutala omamionego dziwaczną wizją jego przeznaczenia dotyczącą. Gadał, że po ojcu odziedziczy królestwo i imperium z niego uczyni. Bóg bowiem wskaże mu sposób. Wiem... wiem, że po to właśnie głupiec zidiociały wybrał się do Ziemi Świętej. Jak tylko ojciec i najstarszy nasz brat Geoffrey pomarli, a Ryszard został królem... to właśnie najsampierw uczynił - krucjatę przekłętą rozpętał”.

Beki usłyszała swój własny głos.

„Bóg wskazał mu drogę?”.

„Jużci... jużci... wszystko przez to zaprzańskie Wyznanie. Znalazł tam historię o

Graalu. Wszystko było tam zapisane. Przez to w szaleńca się przeistoczył... to uczyniło go niebezpiecznym”.

„Wyznanie wciąż jest w królewskiej bibliotece?”.

„Nie... nie wiem i wiedzieć nie chcę. To... mniemam, że Ryszard uznał Oksford za najbezpieczniejsze dla niego miejsce. Lecz błagam... dość już o tym szaleńcu, kochana... w brzuchu mnie kole na samą o nim myśl”.

Cisza.

„Lękasz się go?”.

Znowu cisza. Długa. Wreszcie...

„Trwogę we mnie budzi”.

„Bo boisz się, że to ciebie obwini za utratę Graala?”.

W ciszy słychać było tylko trzaskanie płomieni na przepalonych drwach. Mimo to Beki przypomniła sobie gest, ciche skinienie głową, szeroko otwarte oczy człowieka przewidującego swoją rychłą śmierć.

„Lękam się, że po jego powrocie nieboszczykiem się stanę”.

Przypomniła sobie upiorny wyraz jego twarzy.

„Pozwól mi przynajmniej radować się resztką tego czasu... który mamy dla siebie... i nie wypowiadajmy dziś już głośno jego imienia”.

ROZDZIAŁ 46

Klasztor w Kirklees rok 1194

Sébastien Cabot powitał Liama radosnym machnięciem ręki, gdy ten cmokał na konia i ściągał lejce. Tuż za nim w spaloną słońcem ziemię z chrzęstem wbiły się buty i kopyta końskie, gdy Eddie rozkazał zatrzymać pochód.

- Panie! - krzyknął Cabot, wychodząc mu na spotkanie przez furtę ogrodów przyklasztornych. - Wspaniała to niespodzianka!

Liam wyswobodził stopy ze strzemion i przerwawszy nogę przez grzbiet konia, zeskoczył na ziemię. Ciało pod pikowaną tuniką i urzędową szatą lepilo się od gorąca. Przejechał rękawem po mokrym czole, odgarniając z oczu kosmyk czarnych, przesiąkniętych potem włosów.

- Ależ gorąc - stwierdził niepotrzebnie.

- Dobrze to dla jabłek i winogron. - Cabot chytrze mrugnął okiem.

Obaj przez chwilę przyglądali się sobie, po czym Liam wyciągnął rękę na powitanie. Cabot ujął ją w obydwie dłonie.

- Zbyt wiele tygodni od naszego ostatniego spotkania upłynęło, przyjacielu.

Liam potakująco skinął głową.

- Obowiązki. Morze obowiązków.

- Jakże to interesuje cię w te strony prowadzą, panie?

- Rankiem złożyliśmy wizytę w majątku Sir Guya i Sir Raymonda. Obaj zaklinali się, że klepią biedę, lecz okazało się, że niczym nie różnią się od innych spasionych i nieprzyzwoicie bogatych lordów. Odebraliśmy tylko tyle, ile byli dłużni.

- A dług od dawna już narastał.

- A jużci! - Liam przetarł strużkę potu z pokrytej meszkiem górnej wargi. - Sébastienie - ściszył głos - przybyłem tu również, by... hmm... porozmawiać.

- Oczywiście - starzec skinął głową.

Liam odwrócił się i wskazał swoich żołnierzy, wszyscy byli wycieńczeni po wielokilometrowym marszu i spoceni pod kolczastymi koszulkami.

- Każesz swoim braciom zająć się żołnierzami? Przydałaby się kapka wody. Może jakaś stawa.

- Oczywiście. - Odwrócił się i krzyknął coś w stronę ogrodu. Po chwili z małego sadu za stodołą wyłoniło się kilku mnichów z koszykami w rękach.

- Udamy się teraz do jakiejś ustronnej kwatery? - spytał Cabot.

Liam skinął głową.

- Wieści o twoich poczynaniach w Nottingham dotarły i tutaj - rzekł Cabot. - Szybko zyskałeś miłość poddanych, młody Liamie.

- Ale możni już mnie tak nie kochają, co?

- Moźni cię znienawidzili. - Wzruszył ramionami. - Uważają cię za gołowasa i samozwańca. Każdy jeden deliberuje, czemu Jan właśnie jego nie wybrał do zarządzania północą. No i - zachichotał - wymusiłeś na nich płacenie podatków.

Liam pił wodę z dzbana, rozkoszując się rześką strużką spływającą po wyschniętym gardle.

- Sébastienie... niedługo opuścimy to miejsce.

- Wyjedziecie? Do waszego czasu? Dlaczegoż to?

- Tak to po prostu działa. Na chwilę musimy wrócić do naszej epoki.

- Ale... ale nie możesz oddać urzędu Szeryfa w ręce tego pijanicy, Williama De...

- Powrócimy. Obiecuję. Musimy tylko porozmawiać z naszymi kolegami. Zobaczyc, jak wygląda sytuacja w przyszłości.

- Przyszłość - wymruczał Cabot, marszcząc starą twarz. - Ile ja bym dał, żeby choć mały jej fragment na własne oczy obaczyć.

- Wcale nie jest taka wspaniała, Sébastienie - westchnął Liam.

- Opowiedz mi coś o niej.

Stary mnich i tak wiedział już zbyt dużo. Pewnego dnia, niedługo, będą musieli zdecydować, czy mogą mu zaufać, czy nie. Kilka informacji nie zrobi pewnie wielkiej różnicy.

- To zatłoczony świat - odpowiedział. - Tak właśnie to widzę. Zatłoczony świat pełen hałaśliwych grubasów.

- Grubasów?

- Pękatych jak lordowie i baronowie. Wszyscy, nawet najbiedniejsi, żyją jak lordowie w porównaniu do tutejszej biedoty. Wszyscy jedzą więcej niż potrzebują. Wszyscy mają więcej rzeczy niż kiedykolwiek będą potrzebować.

- Tedy ze wspaniałej ery przybyłeś.

- Taka powinna być. - Wzruszył ramionami.

Cabot zmrużył oczy.

- Nie tęskno ci do niej?

Liam wiedział, że kiedy jego misja w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku dobiegnie końca, zatęskni za pianiem koguta o poranku, dzwonieniem młota kowalskiego, zapachem dymu drzewnego i smakiem przaśnego chleba wypiekanego w setce glinianych pieców.

- Zostałbym tutaj z wielką chęcią - rzekł po chwili i niemal natychmiast poczuł, że to jednak zbyt osobiste wyznanie. - Ale nie mogę, Sébastienie. Wzywają mnie obowiązki, w rzeczy samej.

- Obowiązki... oj, potrafię ja to zrozumieć.

Łagodny powiew wiatru poruszył trawę porastającą cmentarz. Siedzieli sami na tyłach klasztoru.

- Liamie - odezwał się po jakimś czasie Cabot - czy mój świat - zatoczył okrąg obiema rękami - czy taki on jak powinien? Czy to już ta Anglia z waszych ksiąg historycznych?

- Jeszcze nie wiem. Rebelia w Nottingham sprzed kilku miesięcy mogła stać się dla księcia Jana o wiele większym strapieniem. Powstała nowa wersja historii: w wyniku powstania kraj rozpadł się na dzielnice, Francuzi wykorzystali to i najechali Anglię, która zniknęła z mapy świata.

- Dobry Boże!

- Sądzę jednak... mam nadzieję, że jesteśmy na dobrej drodze, żeby zażegnać niebezpieczeństwo. Ale...

- Cóż znowu?

- Ale historię wciąż wykrzywia szereg małych zmian. To znaczy, niech się ojciec

zastanowi. Ja... ja zostałem szeryfem, to po pierwsze. Brat dowiedział się o tylu nowych rzeczach. To drobne różnice, ale mogą wywołać większe przesunięcia.

Cabot zgarbił się odrobinę.

- Frasujesz się, że innym zdradzę, coś mi rzekł?

- Szczerze mówiąc... tak.

- A któż by w te fantazyje chciał wierzyć? Rzekliby, że to mnicha starego szalonego bajdurzenie. - Wybuchnął śmiechem. - Podróżowanie do dni jutrzejszych, co nadejść mają? Światy w kształcie kul? Któż by tych nonsensów wysłuchiwać chciał? W dyby by mnie przecie zakuli, coby ludziska zgniłym jadem ciskać we mnie mogli.

Co racja, to racja.

- Myśl mi do głowy przyszła.

- Jaka?

- A może, młody Liamie... i historia okrągła jest, dziwnym jakimś sposobem.

- Co masz na myśli?

Cabot w skupieniu zmarszczył krzaczaste brwi.

- Okrągła... jak koła u wozu. Może od zawsze przeznaczone ci było powrócić tutaj jako Szeryf z Nottingham, a ja dawnom już został wybrany do posłyszenia wszystkich tych osobliwości od ciebie.

Starzec mówił do rzeczy.

- Może też i tak być, że naszemu biednemu księciu Janowi od zawsze pisane było stracić Graala. Tak stoi w twoich księgach historycznych, Liamie?

- O Świętym Graalu? - Liam opróżnił kielich. - Nie wiem... nie ma tam na ten temat pewnych informacji. W podręcznikach opowieść o Graalu przedstawiana jest jako legenda, mit, baśń.

- No i masz ci - rzekł Cabot z uśmiechem. - Skoro to rzecz, co nigdy jej nie było... to jeśli zagubiona została, to jakąż różnicę to czyni?

- Racja.

Pochylił się i z szturchnął Liama w ramię z ojcowską czułością.

- Zbyttno się frasujesz, chłopcze.

- A nie mam powodów? - Uśmiechnął się. - Zresztą... Sébastienie. - Spod szaty wyciągnął kawałek pergaminu z jednym wierszem rozrzuconych symboli masońskich. - Musimy to wydłubać w - zerknął na mogiłę - w nagrobku starego, dobrego Haskette'a.

Cabot przez chwilę oglądał podany kawałek pergaminu.

- Bystrze to wasze pismo żeście obmyślili, dobrzeć to, że same tu proste linie, bo żaden ze mnie kamieniarz i zawijasa zgrabnego bym nie wydłubał - rzekł, wyciągając spod szkaplerza młot kamieniarski i dłuto.

- Do roboty zatem.

ROZDZIAŁ 47

Nowy Jork rok 2001

Na zewnątrz było ciemno. East River, oświetlana tylko promieniami półksiężyca, skrzyła się srebrzyście i odbijała bursztynową poświatę rzucaną przez lampy kilku zakotwiczonych przy brzegu kutrów. Kilkanaście latarni w małym porcie rybackim - dowiedzieli się, że nazywa się Laurent-Sur-Mer - żarzyły się bez przekonania, a w oknach, to tu, to tam, słabo migotały scenki z życia rodzinnego.

- Nigdy nie widziałem tak spokojnego Nowego Jorku - zauważył Adam. - Przypomina mi wioskę moich dziadków w Szkocji.

Maddy pokiwała głową.

- Są też takie miejsca w Maine i Connecticut. Malownicze jak pocztówki.

Przez chwilę wsłuchiwali się w kojące dźwięki odpływu i cicho pluskających fal oraz odległe zawodzenie mew.

- Od kiedy jesteś w tej agencji podróżywania w czasie? Nie powiesz mi przecież, że od zawsze. Sprawiasz wrażenie osoby, która robiła już inne rzeczy: miałaś własne życie przed tym wszystkim?

- Oczywiście.

- Uchyliż rąbka tajemnicy?

Wzruszyła ramionami. Wyjawienie mu garstki informacji na swój temat raczej nie doprowadzi do katastrofy.

- Pochodzę z Bostonu. Żyją tam moi starzy, skończyłam tam liceum. Potem poszłam do college'u na informatykę. Ale zerwałam się po pierwszym roku.

- Dlaczego?

- Dostałam pracę w firmie zajmującej się projektowaniem gier komputerowych. Pomyślałam, że w takiej sytuacji nie ma sensu ciągnąć studiów.

- Gdzie dostałaś tę pracę?

- Tutaj. W Nowym Jorku. Programowałam interfejsy użytkownika i grę internetową. Coś w stylu World of Warcraft, tylko dużo lepszą.

- World of Warcraft? Przykro mi... ale nigdy o niej nie słyszałem.

- Ale ze mnie bystrzak. - Zganiła się ze śmiechem. - Oczywiście, że nie znasz. Wyjdzie dopiero w dwa tysiące czwartym.

- Jak w takim razie zwykła programistka została podróżniczką w czasie? - spytał Adam. - Trzeba przyznać, że to imponujący awans zawodowy.

Podniosła na niego wzrok.

- Chyba nie powinnam ci zdradzać zbyt wiele, Adamie... Pamiętaj, co ci powiedziałam,. Nie będziesz mógł dłużej z nami zostać, a im więcej wiesz, tym większy mamy problem. Zostałam „zwerbowana”, to ci musi starczyć.

Nagle poczuła zawroty głowy, jakby właśnie ktoś zawiązał jej oczy i zakręcił nią jak w ciuciubabce.

- Ach - wymamrotała nieprzytomnie.

- Też się źle czujesz? - spytał Adam. - Czekaj... czy to była...?

- Tak. - Odwróciła się i zawołała Sal. Zauważyła jednak, że Hinduska biegnie już ku nim, rozplątując za sobą zwoje kabli.

- Dobra robota - powiedziała Maddy, wpinając końcówkę kabla w dysk twardy, który leżał przy jej stopach. Podniosła głowę i przez dłuższy moment przyglądała się odległemu miastu i kutrom rozsianym po całej rzece. Chociaż fala rozlała się z taką siłą, że nawet ona i Adam wyraźnie ją poczuli, na zewnątrz, chwilowo wszystko pozostawało bez zmian.

- Chyba dostaliśmy kolejną wiadomość od Liama! - krzyknęła Sal, która odbiegła już z powrotem do monitorów.

Sekundę później Adam i Maddy stali już przy Hindusce, wpatrując się w ziarnisty obraz grobu na monitorze.

- Patrzcie tu, widzicie? - powiedziała, pokazując coś na zdjęciu. - Teraz jest tam zdecydowanie więcej znaków.

Maddy nachyliła się nad ekranem. Dopiero po ustawieniu dużo większego kontrastu na zdjęciu niewyraźne, przetarte wyżłobienia w starym kamieniu stały się dużo wyraźniejsze.

- Tak... to nowa rzecz, racja. - Chwyciła za leżące na biurku długopis i notes oraz kartkę z rozpisany przez Adama szyfrem pigpen. - Okej, zobaczmy w takim razie, co my tu mamy.

Wszyscy troje z bliska wpatrywali się w ekran. Choć obraz był ostrzejszy, tym razem rowki zdawały się płytsze, tak jakby zostały wykonane innym narzędziem. W niektórych miejscach ryty stały się niemal całkowicie, ale można było odgadnąć ich znaczenie.

- Hmm - mruknęła Maddy, przygryzając w skupieniu długopis.

Adam chwycił inny pisak i zanotował symbole, które były na tyle wyraźne, że nie mieli wątpliwości, co znaczą. Minutę później na kartce pojawiło się kulawe zdanie:

- Nic nie rozumiem - poddała się Maddy. - Co tu jest napisane?

- Daj spokój, to kaszka z mleczkiem - stwierdziła Sal. - „Powstanie stłumione. Gotowi do powrotu. Czekaemy na instrukcje”.

Adam szybko dopisał brakujące litery. Idealnie uzupełniły luki. Spojrzał na Sal z uśmiechem.

- Fenomenalnie.

Maddy nie przestawała żuć końcówki długopisu.

- Nic się jednak nie zmieniło. Albo jeszcze tego nie widzimy, bo jest ciemno. Rzecz w tym, że to na bank nie jest Nowy Jork. - Oczywiście spostrzeżenie, ale miała to gdzieś. - Rzeczywistość wciąż jest niewłaściwa.

> Maddy.

- O co chodzi, Bob?

> Dane w moim systemie uległy zmianie.

- Co? To niemożliwe. Pole zabezpieczające jest chyba włączone, czy coś przegapiłam?

> Potwierdzam, lecz fala czasu przyplłynęła z dużą siłą, co wywołało czasowy zapad napięcia. Pole zabezpieczające wyłączyło się na kilka sekund.

- Shadd-yah! - Sal spojrzała na Maddy. - Czy to na nas wpłynęło?

- Nie mam pojęcia. - Zmierzyła Sal wzrokiem od stóp do głów. - Nic się nie zmieniłaś. A ja?

Hinduska uśmiechnęła się pod nosem.

- Wciąż wyglądasz jak nerdowaty nerd.

- Dzięki. - Odwróciła się do Adama. - Wszystko okej, Adamie?

On wpatrywał się w nią jednak z wybałuszonymi oczami i rozdziawioną buzią.

- Adamie?

- Dobry Boże! - wydukał. - Kim wy, ludzie, jesteście? Gdzie... ja... jestem?

Maddy odwróciła się do Sal, zastanawiając się, co znowu jest nie tak. Wtedy Adam wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Żartowałem.

Zaklęła pod nosem i ukłuła go jadowitym wzrokiem.

- To nawet w połowie nieśmieszne, debilu!

Kursor komputera-Boba przemknął po ekranie.

> Zmienił się rozmiar plików w siedemnastu z trzydziestu siedmiu stron zeskanowanego podręcznika historii.

Adam spojrzał na stos ukradzionych z biblioteki książek, które leżały na brzegu biurka.

- Jeśli zmieniła się ich treść, wywrócił się też zapewne układ stron, co z kolei wpłynęło na wielkość plików cyfrowych.

Maddy potakująco skinęła głową.

- Bob, a co ze streszczeniem? Historią w pigułce?

> Ten podręcznik również się zmienił.

- Rzuć obraz na ekran. Niech no spojrzę.

Dokument pojawił się obok okna dialogowego.

> Identyfikuję przekształcone fragmenty tekstu.

Bob zaczął podkreślać wszystkie zmienione ustępy. Czyli niemal wszystko.

Adam zaczął głośno czytać fragmenty:

- „...tysiąc sto dziewięćdziesiąty czwarty rok: król Ryszard wraca z trzeciej wyprawy krzyżowej... odzyskuje królestwo od młodszego brata, Jana... po oblężeniu Nottingham Jan składa broń i błaga Ryszarda o litość. Król skazuje uzurpatora na śmierć za zdradę korony... każe go powiesić i poćwiartować...”.

Adam potrząsnął głową.

- Wciąż coś jest nie tak. W poprawnej wersji historii Ryszard wybaczył mu i zachował przy życiu.

- Jesteś pewien? - spytała Maddy.

- No oczywiście! Nigdy nie słyszałaś o królu Janie?

- Raz chyba widziałam kreskówkę Disneya z królem Janem. - Wzruszyła ramionami. - Tylko, że był nim jakiś lis czy lew, więc nie wzięłam tego na poważnie.

Sal przeczytała już dalsze fragmenty.

- Nie ma tu nic o powstaniu chłopów na północy.

Maddy i Adam wrócili do lektury.

- Liam pisze, że zdołali zapobiec wybuchowi powstania - dodała Hinduska. - Ale... tutaj stoi jak wół, że Anglia i tak zniknęła z mapy.

Adam wrócił do streszczania dokumentu.

- „...tysiąc sto dziewięćdziesiąty piąty rok: król Ryszard ogłasza czwartą wyprawę krzyżową”. - Ze zdziwieniem spojrział na dziewczyny. - Czwartej krucjaty na pewno nie było. To coś nowego - powiedział i wrócił do lektury: - „Król Ryszard staje na czele czwartej wyprawy krzyżowej, której celem jest odzyskanie Jerozolimy. Nowa krucjata nie przyciąga wielu ochotników, pomimo wydania przez Kościół bulli papieskiej”.

- Co to jest? - Spytała Sal.

- To oficjalny list lub dokument papieski. Papież ogłosił, że według Boga krucjata to niegorszy pomysł.

- „Król Ryszard nakłada horrendalne podatki i zaciąga gigantyczne długi na sfinansowanie krucjaty, w tysiąc sto dziewięćdziesiątym szóstym roku opuszcza Anglię po raz ostatni... Tysiąc sto dziewięćdziesiąty siódmy rok: król Ryszard ginie, a jedenaście tysięcy towarzyszących mu rycerzy i zbrojnych zostaje zdziesiątkowanych przez armię Saladyna w bitwie pod Al Karak. Bezkrólewie w Anglii doprowadza do skrajnej nędzy i anarchii... Tysiąc sto dziewięćdziesiąty dziewiąty: król Filip Drugi Francuski najeżdża...”. I tak dalej. - Adam potrząsnął głową. - Taki sam rezultat.

- Francja połknęła Anglię - stwierdziła Sal.

- Czwarta krucjata naprawdę nigdy nie została zorganizowana?

- Nie. W normalnej wersji historii nieudana próba wyzwolenia przez Ryszarda Jerozolimy podczas trzeciej krucjaty w zasadzie zakończyła walki w Ziemi Świętej. Wszystkie chrześcijańskie królestwa straciły zapał do wojny. Żadnego władcy nie było już zresztą stać na kolejne wyprawy. W rzeczywistości, w prawidłowej wersji, po powrocie do domu Ryszard skupił się na odbudowywaniu swojego królestwa, próbując odzyskać tereny w Normandii utracone na rzecz Francji. Przez ostatnie sześć lat życia właśnie na tym koncentrował wszystkie wysiłki: chciał odzyskać ziemie, które wymknęły się z jego rąk, gdy prowadził swoją świętą wojnę.

Maddy wyduła wargi.

- Hmm... coś zaburzyło jego ostrość widzenia.

- Zaburzyło ostrość widzenia? - Adam potrząsnął głową. - Raczej wpędziło w szaleństwo. Bo co on właściwie, do licha, wyprawia? Rujnuje swój kraj, sam traci wszystkie pieniądze i wyrusza na samobójczą krucjatę. Po co?

- Pewnie oszalał - trzeźwo stwierdziła Sal.

- Według niektórych historyków już wcześniej był lekko świrnięty.

- Czyli to coś nowego - stwierdziła Maddy. - Może historia potoczyła się tak w wyniku działań Liama? Być może ma to związek z manuskryptem Voynicha? - Zdjęła okulary i przetarła oczy. - Jeżeli są tam inni podróżnicy w czasie... to również oni mogli coś nabroić.

Popatrzyli na nią w milczeniu. Nie znali odpowiedzi. Nasuwały się im same pytania.

- Okej... w porządku, oto, co zrobimy. Wyślemy kolejny pakiet danych ze zmienioną wersją historii i spytamy Liama, czy wie, dlaczego Ryszard tak nagle zapragnął powrotu do Jerozolimy. - Znowu nałożyła okulary na nos. - W odwodzie mamy też sześciomiesięczne okno powrotne, z którego mogą skorzystać, a jeśli postanowią wrócić wcześniej, będą musieli przesłać nam sygnaturę czasu.

ROZDZIAŁ 48

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

- Na to świnią do chłopa goda: gdybyś ty zoczył, co ja zoczyłam, co twa luba

wyprawia, tyż by ci się ogon zakręcił! - Rumiana twarz Eddiego zmarszczyła się jak stary dywan na gładko wypolerowanej podłodze. Reszta żołnierzy w zasięgu słuchu rechotała do wtóru jak gromadka starych przekupek, ich śmiech popłynął głęboko w las po obu stronach gościńca.

Liam popatrzył pytająco na kapitana straży.

- Wybacz, Eddie, ale chyba nie chwytam!

- Panie... Świnia paczyła jak żonka chłopca...

Jeden z gwardzistów za plecami Eddiego nagle upadł na ziemię. Wypuścił z rąk tarczę i złapał się obiema rękami za gardło.

- Co jest? Ha?!

Liam zobaczył jak spomiędzy drgających ust chłopaka wypływa strumień czerwieni, dostrzegł wreszcie grot beltu wystający z gardła ofiary.

Eddie zareagował zdecydowanie szybciej.

- ZEWZRZEĆ SZYK! - Donośna komenda wypełniła leśny dukt, gęsty już od kilkunastu pocisków prujących przez powietrze w ich stronę. Dwie strzały wdarły się w bok konia, po obu stronach prawego uda Liama. Rumak stanął dęba, Liam stoczył się po zadzie zwierzęcia i ciężko wylądował na twardym, zabłoconym trakcie. Koń rzucił się pędem na oślep, zostawiając za sobą tumany kurzu.

Liam, prawie bez tchu, leżał na plecach, wpatrując się w piękne, błękitne niebo przecinane zamazanymi zarysami ruchu - strzałami i bełtami szybującymi nad głową. Z wielkim trudem wciągnął powietrze i, podejrzewając, że leżał już ponad minutę, uniósł się nieprzytomnie na łokciach.

W kurzawie pyłu dojrzał swoich gwardzistów, którzy z trzymanymi wysoko nad głową tarczami zgromadzili się wokół niego, aby uformować obronny okrąg. Ogłuszający

świst strzał odbijających się z brzękiem od tarcz na dobre wypędziło ciszę z lasu.

- To zasadzka! - wydyszał Liam, gramoląc się na czworaka.

Eddie zerknął przez ramię i kiwnął głową.

- Trafnie odgadłeś, panie!

Ponad krawędziami tarcz Liam ujrzał wreszcie napastników: łopoczące kawałki oliwkowo-brązowych szat widoczne pomiędzy drzewami i paprociami. Nie sposób było odgadnąć, ilu się tam kryje, stwierdził tylko, że liczebnie znacznie przewyższają ich dwunastoosobowy oddział.

Zaklął w duchu, że wczoraj nie pozwolił Bobowi zabrać się z nimi. No ale zdecydowanie bardziej troszczył się o to, by kolumna wozów wyładowanych jedzeniem i kilkoma workami monet bez przeszkód dotarła do zamku w Nottingham.

„Byłem odrobinę zbyt pewny siebie”.

Błędnie zakładał, że bandyci na dobre wynieśli się z lasu Sherwood. Najwyraźniej nie wypędził ich tak skutecznie, jak myślał. Gdyby tylko zabrał ze sobą Boba... albo chociaż dziesięciu, dwudziestu dodatkowych ludzi.

„Ty idioto”.

Jeden z żołnierzy Eddiego przeraźliwie zacharczał i opadł prosto na plecy, z jego oka sterczała strzała. Jedna z nóg pogrążonego w szoku młodzieńca drgała i bębniła o stwardniałe błoto.

- Panie! - warknął Eddie. - Trza iść naprzód! - Wskazał głową wzdłuż leśnego duktu, w stronę, gdzie zmierzali. Miał rację. Byli na dobrej drodze do domu. Jeszcze dwie godziny... i las zamieni się w otwarte pola opadające ze wzgórz aż do Nottingham. Lepiej utrzymać zwarty szyk i przesuwać się z uniesionymi tarczami w stronę miasta, niż na dobre utknąć w tym miejscu.

- Dobra... tak! - Liam skinął głową.

Eddie warknął na swoich żołnierzy, rozkazując zwanie szeregu.

- Do mnie! - wrzasnął i jął przesuwać się do przodu. Pozostali podążyli za nim. Między nimi maszerował Liam, który zawinął wokół szyi grubą aksamitną pelerynę, łudząc się, że powstrzyma to pędzącą strzałę.

Żmudnie, krok po kroku, szli wzdłuż leśnego gościńca, a spod szurających stóp wzbijała się kurzawa pyłu, który zatykał ich oczy i usta.

Na ziemię padł kolejny żołnierz. Wył jak opętany, kurczowo ściskając drzewiec strzały tkwiącej w goleni.

- Źle to wygląda! - krzyknął Liam. - Daleko nie zajdziemy!

Zobaczył, jak Eddie chowa się w cieniu swojej tarczy: cienkiej blachy pokrytej wgnieceniami i rozcięciami, przez które przenikały promienie słońca.

- Spróbujmy się przez nich przedrzeć, panie!

Liam spojrzał na gościńiec, oceniając szanse. Napastnicy w łachmanach utworzyli rozciągniętą linię i wypuszczali w ich stronę kolejne strzały, swobodnie naciągając cięciwy. W poprzek traktu stało ponad tuzin zbójów, ale nie byli odpowiednio uzbrojeni i przygotowani do walki w bezpośrednim starciu.

Eddie i pozostała przy życiu dziewiątką gwardzistów zdołaliby pewnie przebić się przez ich szyk. Później oczywiście każdy musiałby radzić sobie na własną rękę: rzuciliby miecze i tarcze w krzaki i zaczęli wiać ile sił w nogach.

- Dobra. - Liam skinął głową, oblizując spierzchnięte usta. - Ta-tak... zrobmy tak.

Eddie odchrząknął i splunął.

- Ludzie! Na mój znak... nacieramy na łuczników przed nami! Jasne?

Kilka głów potaknęło twierdząco. Zbieranina młodych i starych. Wiedział, że kilku zasmakowało już walki, ale większość z nich wciąż była niezaprawiona w boju; to tylko więcej parobkowie, których ktoś niedawno nauczył, jak trzymać tarczę, machać mieczem i maszerować w szeregu.

- Gotować się!

Liam bez kolczugi, tarczy i miecza czuł się jak nagi. Rozsupłał szatę owiniętą wokół szyi i pozwolił jej opaść na ziemię. Spowalniałaby jedynie jego ruchy. Zza pasa owiniętego wokół talii wyciągnął ozdobny nóż. Bogato zdobiony sztylet z pięknie wykończoną rękojeścią i tępym, beużytecznym ostrzem. Lepsze to niż nic.

- Panie? - Eddie szturchnął go delikatnie. - Gotowy?

Skinął głową, oblizując wyschnięte usta w poszukiwaniu resztek śliny.

„Jak jasna cholera”.

Zauważył, że Eddie wykonał identyczny gest. Pokrzepiło go to, bo, zrozumiał, że nie jest w tym momencie jedyną śmiertelnie wystraszoną osobą.

- Na moją komendę, na nich - zachrypiął Eddie. - I hałasujcie, ile Bozia sił dała, chłopcy. Na pohybel psubratom!

Kilka starszych oblicz rozjaśniło się na te słowa.

- Dobra... - Eddie zaczerpnął łyk powietrza. - Na nich!

Bez chwili wahania ludzie, których przyuczał przez te ostatnie kilka miesięcy, niewykształceni parobkowie, z którymi nawiązał silną więź, jak jeden mąż rzucili się naprzód z pianą wściekłości na ustach.

Liam gnał przed siebie, ramię w ramię z pozostałymi, wydzierając się tak głośno, że ogłuszał go jego własny krzyk.

Stojący dwadzieścia metrów przed nimi łucznicy obserwowali tę szarżę z komicznie wybałuszonymi oczami. Kilku niezręcznie próbowało napinać cięciwy, ale w panice upuszczali strzały na ziemię. Inni strzelali pośpiesznie i nieprecyzyjnie, przez co pociski szybowały wysoko nad głowami nacierających. Odległość malała z każdą sekundą, najpierw jeden z łuczników postawił pierwszy niepewny krok do tyłu, za jego przykładem poszło kilku następnych, a później już cała reszta potykała się w chaotycznym odwrocie.

- DALEJ! TCHÓRZE PIROŃSKIE! UCHODŹCIE! - krzyczał Eddie z szerokim, dzikim uśmiechem na twarzy. Łucznicy pędzili w górę gościńca na złamanie karku niczym zestrachane króliki. Liam rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że za ich plecami na dukt wychodzą kolejni bandyci z łukami w dłoniach, szczęśliwie większość wypuszczanych przez nich strzał nie dolatywała do celu.

„Uda nam się” - pomyślał, po raz pierwszy przywołując na twarz swój bezczelny uśmiech.

Ale wtedy na dukt wyszła wysoka postać.

ROZDZIAŁ 49

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Stał spokojnie na środku drogi, ignorując uciekających łuczników. Dwumetrowy gigant owinięty czarną suknią i kapturem, w którego cieniu tonęła twarz.

Na widok sylwetki siła natarcia osłabła, Liam usłyszał jak jego ludzie klną pod nosem.

- Zakapturzony! - krzyknął jeden z młodszych żołnierzy. - Boże miej nas w opiece, to Zakapturzony! - Rzucił na ziemię miecz i tarczę.

- To jeno człek w starej sukni! - gniewnie warknął Eddie. - Podnieście broń! - Młokos czmychnął już jednak z duktu, wbiegł między jeżyny oraz paprocie i szybko zniknął z pola widzenia.

Natarcie zamarło. Na środku leśnego traktu stało już tylko dziesięciu ludzi, którzy kulili się ze strachu za tarczami.

Odwrót blokowały z rzadka wypuszczane strzały, przed nimi natomiast stała samotna, zakapturzona postać.

Eddie odwrócił się do swoich żołnierzy.

- Ruszcie zady, głupcy! - Ale nawet w jego głosie odbijała się lekka niepewność. To prawdopodobnie tylko zwykły śmiertelnik... jednak nadal olbrzymi śmiertelnik, dzierzący w rękach obusieczny miecz, od którego przy najmniejszym poruszeniu odbijało się słońce.

Postać nagle ruszyła w ich stronę. Długie, równe, wyważone kroki, ręce swobodnie zwisające przy ciele, brak jakichkolwiek oznak strachu czy niepokoju - to wszystko przypominało Liamowi Boba, który poruszał się równie ergonomicznie i z podobną świadomością celu. Przez umysł chłopaka przemknęło wspomnienie, retrospekcja z innego wcielenia: Bob ze strzelbami pulsacyjnymi w dłoniach spokojnym krokiem przemierza obóz jeniecki i likwiduje wszystkich strażników na swojej drodze.

Sięgnął po porzucony miecz i tarczę. Po raz kolejny z nerwów wypuścił ostrze z ręki.

- Uciekajcie! - wyszczał do Eddiego i pozostałych żołnierzy, uświadamiając sobie nagle, że wie, co się do nich zbliża. - Nie da się zabić tej bestii! Róbcie, co w waszej mocy, żeby ją ominąć!

Kilku mężczyzn poszło za radą szeryfa, odrzucili tarcze i miecze i dali nura w las po

obu stronach gościńca. Eddie został na miejscu wraz z czterema żołnierzami. Uklęknęli ramię przy ramieniu obok Liama, formując mur z tarcz.

- Biegnij, panie! - krzyknął Eddie. - Wstrzymamy drania!

Postać w kapturze niespodziewanie poderwała się do biegu i ostatnie dziesięć metrów pokonała bezszelestnym sprintem. Gigant zderzył się z Eddie i jego ludźmi, których odrzuciło prosto na plecy. Sierpowy zamach mieczem odrąbał tuż przy łokciu rękę jednego z gwardzistów: ramię z dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści miecza zawirowało w powietrzu.

Jeden z mężczyzn ciął w bok Zakapturzonego. Czarna peleryna zapadła się do środka. Liam usłyszał brzdęk ostrza uderzającego o coś metalowego.

Zakapturzona postać sięgnęła po miecz i ostrym szarpnięciem wyrwała go z ciała, po czym cisnęła złamany kawałek metalu w gęstwinę. Przekrzywiła głowę, przez chwilę przyglądając się mężczyźnie trzymającemu w dłoniach rękojeść złamanego miecza... Liam mógłby przysiąc, że postać pogroziła palcem, zanim chwyciła śmiałka za gardło i swobodnie rzuciła go pomiędzy drzewa niczym wiązkę chrustu.

Głowa odwróciła się w ich stronę, Liam wyczuł, że oczy ukryte pod fałdami kaptura wpatrują się właśnie w niego.

Dwaj pozostali ludzie Eddiego zerwali się na równe nogi i uciekli, zostawiając kapitana samego z Liamem na środku duktu. Postać w kapturze przeszła obok dowódcy gwardzistów, jakby go w ogóle nie zauważyła.

- Panie! Uciekaj!

Liam uświadomił sobie, że z jakiegoś powodu napastnik skupił uwagę właśnie na nim. Poszedł za radą Eddiego, wyrzucił tarczę i miecz, które podniósł z ziemi kilka chwil temu, i wycofał się pędem w stronę linii drzew. Kątem oka dostrzegł jeszcze, jak Eddie zamachnął się mieczem, celując w plecy Kaptura. Silny cios opadł pomiędzy łopatki.

Postać skuliła się - Liamowi zdawało się, że słyszy dochodzący spod kaptura

świszczący jęk. Ostrze Eddiego musiało natrafić na szczelinę w zbroi. Zakapturzony odwrócił się na pięcie, z jego pleców wystawało ostrze.

Brutalny sztych obusiecznego miecza przebił na wylot wyszczerbiony i pognieciony metal będący niegdyś tarczą Eddiego, a długie ostrze wśliznęło się w klatkę piersiową kapitana.

Liam widział, jak Eddie rzezi i powoli opada na kolana.

- Chrzanić to! - Odwrócił się i zbiegł z duktów do lasu, przedzierając się przez nisko zwisające gałęzie, które kłuły go i smagały po policzkach. Ciężkie skórzane buty deptały korzenie i kępy ziemi; dyszący oddech i trzaskanie gałązek na poszyciu pod stopami wypędzały z lasu ciszę. Uświadomił sobie, że hałasy zdradzają jego położenie... nie zebrał się jednak na odwagę, żeby zwolnić kroku.

Biegł jeszcze jakąś minutę, zanim zatrzymał się i niespokojnie obrócił. Spodziewał się ujrzeć depczącego mu po piętach napastnika, widmowy zarys czarnych szat łopoczących pomiędzy drzewami i jeżynami; las był jednak spokojny, pusty.

Wciągnął do płuc haust powietrza, zginając się wpół i rzeżąc po intensywnym i niespodziewanym wysiłku, jego trzewia płonęły. Splunął na ziemię i rozprostował trzęsące się jak galareta nogi.

Zauważył jedynie przebłysk nacierającego kształtu. Chwilę potem świat wokół niego utonął w nakrapianej bieli.

ROZDZIAŁ 50

Pałac Beaumont, Oksford rok 1194

Beki patrzyła na pierwsze szare promienie świtu, które wpadały do pomieszczenia przez wysokie, wąskie okna. Obliczyła, że słońce zabyłśnie na horyzoncie, a Oksford zacznie się budzić do życia za czterdzieści siedem minut.

Jan pośpi oczywiście przez kilka kolejnych godzin. Zorientowała się już, o jakiej mniej więcej porze książkę wychodzi ze swoich komnat i wrzaskiem zaczyna domagać się śniadania. Zazwyczaj jedenaście po dziewiątej. Zeszłej nocy postarała się jednak, by wypić kilka karafek wina, a to może oznaczać dodatkową godzinę snu.

Bieg pod oddalone o dwa kilometry mury Oksfordu i powrót przez wyludnione korytarze i krużganki Pałacu Beaumont, w którym pozostała tylko zdziesiątkowana grupa żołnierzy i służących, zajmie jej dokładnie dwadzieścia siedem minut.

Mury miasta były słabo obsadzone, odłupane kawałki kamienia i szczeliny w zaprawie znacznie ułatwiały wspinaczkę. Do samego zamku przedostanie się przez tylny mur dziesięć minut.

Za dwadzieścia siedem minut powróci do komnat i zacznie udawać sen.

Tymczasem przeszukiwała drewniane półki biblioteki królewskiej w Beaumont, obłożone zwojami i oprawionymi w skórę manuskryptami. Ściągała je, jedna po drugiej, z zakurzonych regałów, przeglądając strony każdej z nich, aby zidentyfikować właściwy dokument.

Przez ostatnie pięć godzin obejrzała już siedemset dwadzieścia sześć dokumentów. Na twardym dysku zapisywała cyfrowe zdjęcia, procesor przekształcał misterne zawijasy w czytelne i rozpoznawalne znaki. Jak dotychczas w żadnym z przeskanowanych tekstów nie dostrzegła nic użytecznego. Przeczytała niezliczone traktaty na temat królewskiego protokołu i całe tomy poezji dworskiej, ale nic, co znalazła nie okazało się nawet mgliście istotne. Zastosowała bardzo prosty algorytm wyszukiwania - bliżej analizowała teksty z wysokim współczynnikiem trafień według następującej hierarchii terminów:

Wyszukiwane terminy:

Treyarch (100% adekwatności)

Pandora (100% adekwatności)

Wyznanie (83% adekwatności)

Templariusz (79,4% adekwatności)

Graal (79,3% adekwatności)

Jeruzalem (56,5% adekwatności)

Kod (23% adekwatności)

Do tej pory odkryła dwanaście dokumentów zawierających trzy z tych siedmiu kluczowych terminów. Trzydzieści dwa zawierały co najmniej dwa terminy, a sto pięć co najmniej jeden. „Wyznanie” było najczęściej pojawiającym się terminem wyszukiwania. Wygląda na to, że wiele osób żyjących w średniowieczu czuło uporczywą potrzebę wyznawania czegoś.

W chmurze pyłu i kurzu automatycznie wyciągała kolejne manuskrypty, otwierała je i robiła szybkie zdjęcia. Ale gdzieś z tyłu głowy część sztucznej inteligencji, nie przeciążona obsługą oprogramowania do rozpoznawania znaków, zastanawiała się, czy ta metoda pozwoli osiągnąć jakiegokolwiek rezultaty.

Przerwała; ciężki oprawiony w skórę wolumin wciąż trzymała w wyciągniętej ręce, kurz opadał tuż przed oczyma. Umysł szybko oceniał sytuację, analizując ilość pozostałego czasu i tysiące zwojów do zeskanowania.

Jej wzrok spoczął na małym kłaczku; niewielkim pokrytym meszkiem piórku jakiegoś ptaka, któremu udało się przecisnąć przez jedno z wąskich okienek. Patrzyła, jak piórko wdzięcznie opada na kamienną posadzkę i mości sobie na niej miejsce. Już miała wrócić do skanowania oprawionego w skórę rękopisu trzymanego w dłoniach, gdy nagle piórko nieznacznie się poruszyło. Wirowało w miejscu przez moment, po czym potoczyło się

zwiewnie po podłodze.

Zaciekawiona tym niespodziewanym poruszeniem przerwała obliczenia i uklękła, by bliżej przyjrzeć się piórku. Wyciągnęła rękę, podniosła je i położyła na podłodze w miejscu, w którym opadło chwilę wcześniej.

Przez sekundę pozostawało bez ruchu, potem się poruszyło, zawirowało... i po raz kolejny pomknęło przez podłogę, to zatrzymując się, to znowu zrywając do lotu tuż nad ziemią, byle dalej od ściany za plecami jednostki.

Beki odwróciła się i przyjrzała ścianie obłożonej ozdobną dębową boazerią.

[Identyfikacja: Ściana. Drewno. Dąb. Cel: dekoracyjny].

Przebiegła palcami całą ziarnistą powierzchnię boazerii, po czym przyłożyła dłoń do dwucentymetrowej szczeliny przy samej podłodze i poczuła zimny przeciąg owiewający koniuszki jej palców. Knykciami ostukała w tym miejscu drewno, echo rozeszło się po całej przeogromnej bibliotece.

[Ocena: podstawowa reakcja akustyczna. Częstotliwość 1,3 MHz. Opóźnienie 0,56 milisekund].

Przekrzywiła głowę i stuknęła raz jeszcze, co pozwoliło jej upewnić się, że za boazerią znajduje się spora wolna przestrzeń. Zacisnęła pięść i wyprowadziła mocny cios. Ręka zniknęła za rozłupaną dziurą, a trzaśnięcie rozbrzmiało w całej bibliotece. Wyciągnęła pięść i zajrzała przez wybitą dziurę. Po drugiej stronie zauważyła małą komnatę, odrobinę większą niż alkowa, oświetloną przez wąską smugę szarego brzasku przechodzącą przez małe okno.

Dostrzegła coś, co kształtem przypominało drewnianą mównicę z grubą łojową świeczką po jednej stronie, naprzeciwko podestu stała natomiast ława przykryta, obrośniętą kurzem, poduszką. Prywatna czytelnia.

Już miała zdemolować resztę boazerii kilkoma dobrze mierzonymi kopnięciami i

uderzeniami, ale ściana rozwarła się sama z cichym piskiem zamaskowanych zawiasów.

Weszła do małej alkowy i skierowała ku podestowi, na którym leżał zwój pergaminu zawinięty wokół prostego, drewnianego drążka. Jęła go powoli rozwijać, przysłuchując się skrzypieniu kruchego pergaminu.

Po pozółkłej stronicy niechlujnie wspinały się i opadały wiersze pajęczych zawijasów blaknącego atramentu. W skupieniu zmarszczyła czoło, próbując odszyfrować znaczenie zapętlonych liter i gęstych od błędów słów spisanych ręką człowieka będącego najwyraźniej o krok od postradania zmysłów...

„Wyznanie to Gerarda Treyarcha, spisałem był w roku Pańskim tysiąc sto trzydziestym siódmym...”.

ROZDZIAŁ 51

Dover rok 1194

Król Ryszard zeskoczył z dziobu łodzi wiosłowej prosto na wzbierającą falę. Wyczuł, jak pod ciężkimi buciorami chrzęszczą i stukają kamyki.

Znowu na ziemi Albionu.

Świtające niebo szaro-niebieskiej barwy cierpliwie czekało na pojawienie się słońca. Było wszak na tyle jasno, by u podnóża klifów dostrzec partię powitalną w postaci szeregu możliwych i ich giermków. Migoczące pochodnie i ogniska paliły się żywo, rzucając światło na różnobarwne tarcze herbowe.

Pokonał przetaczające się wokół jego nóg fale i wyszedł na plażę. Pełne napięcia twarze patrzyły na niego z bojaźnią.

„Wiem ja dobrze, czego wszyscy oczekujecie”. - Zadumał się. Chcieli, żeby zauważył i zapamiętał jak rzucają się do jego stóp, oferując swoje usługi, jak ślubują dozonną lojalność, jak całują jego dłonie i dziękują Bogu za bezpieczny powrót króla. A gdy już wszystkie wiernopoddańcze gesty zostaną uczynione, zaczną rywalizować wzajemnie o tytuły i specjalne prerogatywy, o zniesienie podatków, pozwolenia na budowę warownych twierdz, o licencje na handel egzotycznymi towarami. W jednej sekundzie ślubują wierność dozonną, w następnej błagają już o przywileje.

„Zachłanne pijawki - cała ich mnogość”.

Ale i potrzebni sprzymierzeńcy... na razie. Jeszcze przez jakiś czas będzie potrzebował ich pieniędzy, ich ludzi. Dopóki nie przywróci na tych ziemiach swojego zwierzchnictwa i, co ważniejsze, nie posiada boskiej mocy Świętego Graala. Mocy zdolnej unicestwić każdą armię, która śmie stanąć na jego drodze.

Tyle lat marzeń, czekania na tę chwilę; ostatnie z tych lat spędził jako więzień księcia Leopolda, czekając na pieniądze z okupu, który go wreszcie wyswobodzi. I przez cały ten czas, przez wszystkie te frustrujące miesiące, miał we władaniu jedynie połowę upragnionego skarbu. Klucz, lecz nie zamek. Matrycę Cardana, lecz nie sam beczenny tekst.

Słowo Boże.

Graala.

Przekleństwo i błogosławieństwo. Gdyby w momencie pojmania miał przy sobie Graala, ten niechybnie wpadłby w łapy Leopolda, capa zbyt głupiego, by zrozumieć, że znalazł się w posiadaniu przedmiotu o nadprzyrodzonej mocy.

Szerokie usta Ryszarda rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ukazując rząd złotych, małych zębów. Poczul dotyk przeznaczenia, rękę Boga na swoim ramieniu, sączone prosto do ucha obietnice. Przed nim jeszcze tylko dzień, może dwa dni, drogi do Oksfordu, gdzie znajdzie już swój skarb w pałacu królewskim. Po przybyciu na miejsce sam jeden uda się do biblioteki, sam zasiądzie w czytelni, wreszcie rozłoży Graala na pulpicie, rozwinie matrycę

Cardana, którą skutecznie ukrywał w kazamatach zamku Leopolda. To zwój wytartej skóry, po rozwinięciu szeroki na dwie i długi na cztery dłonie. Wycięto w nim matrycę składającą się z maleńkich okienek, przez które można dostrzec poszczególne litery. Litery tworzące słowa... słowa Boga Wcielonego.

Po wypowiedzeniu tych zaklętych słów na Ryszarda spłynęła czysta, nieokiełznana moc archanioła, a ogień piekielny wypełni jego ciało po koniuszki palców. Był co do tego przekonany... to jedna z obietnic wyszeptanych mu przez samego Boga.

Możni z wyczekiwaniem obserwowali swojego króla, którego serce wciąż biło z podekscytowania.

Ryszard miał zamiar wygłosić płomienną przemowę, żeby zmusić tych obłych, chciwych głupców do wiwatowania na cześć ich władcy. Ale wtedy spostrzegł białą pelerynę z czerwonym krzyżem. Za zgromadzonymi baronami i lordami stał templariusz. Zwykły rycerz pogodzony ze swoim miejscem w szeregu. Lordom, książętom i baronom należy się pierwszeństwo przy składaniu suplikacji do króla.

„Templariusz... może wieści niesie?”.

Ryszard ruszył przez plażę w kierunku rycerza. Możni rzucili się naprzód niczym gromadka rozochoconych dzieci, wszyscy pragnęli być tymi, którzy jako pierwsi powitają króla w domu.

Baron Henri De Croy zastąpił Ryszardowi drogę, opadając zwałistym cielskiem na jedno kolano i składając pulchne ręce o serdelkowatych paluchach w geście modlitwy.

- Co dzień dzięki składam Panu, że do domu ci wrócić pozwolił, mój królu! - wrzasnął.

Ryszard z niesmakiem zacisnął usta i obszedł mężczyznę. Pozostali możni przeciskali się w jego stronę, jednym głosem składając mu wyrazy swego oddania. Zgiełk obłudnych wiwatów tężał. Ryszard próbował odnaleźć templariusza, którego dostrzegł wcześniej, niestety, wśród zalewu różnobarwnych herbów i chorągwi stracił go z pola widzenia, wyrosła

przed nim ściana brodatych i nalanych twarzy, z których wypływała lawa bezsensownych bzdur.

- CISZA! - Lwi ryk poruszył piasek na plaży i uderzył w kredowe klify wyrastające z wybrzeża. Znowu zaległa cisza, wypełniona tylko dyskretnym sykiem i pluskiem przyływu.

- TEMPLARIUSZU! - krzyknął. - Gdzie jesteś?

Możni zaczęli się rozglądać, szepcząc po cichu do siebie.

Ryszard zmrużył oczy, ponownie szukając wzrokiem wyraźnego odbłyску czerwonego krzyża na białym tle. Usłyszał chrzęst kroków na kamieniach i zobaczył, że zgraja lordów i baronów rozstępuje się, torując komuś drogę.

Templariusz stanął wreszcie przed królem. Twarz rycerza wydawała się mgliście znajoma, lecz Ryszard nie przypomniał sobie imienia mężczyzny. Rozpoznał w nim człowieka, którego widział trzy lata temu - należał do grupy lojalnych krzyżowców, z którymi wziął Akre.

Uraczył rycerza braterskim uśmiechem zarezerwowanym dla innych bożych bojowników. Obaj byli ostatecznie weteranami... krzyżowcami.

Ale mężczyzna sprawiał wrażenie skrepowanego. Bał się spojrzeć królowi prosto w oczy, wzrok wbijał w ziemię.

- Królu mój - przemówił, oblizując wyschnięte wargi i przybierając cichy ton. - Królu mój... złe wieści niosę.

Ryszard postąpił krok bliżej. Zniżył głos niemal do szeptu i pochylił się, przystawiając usta niemal do uszu rycerza.

- Mówże. Co to za zła nowina?

- Panie... Graal zaginął. Skradziono go.

ROZDZIAŁ 52

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Liam zbudził się we mgle łomoczącej agonii. Ostre ukłucia bólu nieustannie przeszywały jego głowę. Za kołyszącymi się i łopoczącymi liśćmi dostrzegł przejrzyste, błękitne niebo. Zapowiadał się kolejny ciepły letni dzień, ale na razie było zimno... zimno i wilgotno od rosy; poranek nie rozpoczął się jeszcze na dobre. Zastanawiał się, jak długo jest już na zewnątrz. Dobę?

Zdecydował się nie odwracać głowy; bolała jak jasna cholera. Wokół niego rozbrzmiewały odgłosy: rąbanie drewna, brzęk chochli uderzających o mosiężny gar do gotowania. Dzwonienie uprzęży, poświst osełki na ostrzonym mieczu.

- Mistrzu Locke! - krzyknął ktoś z bliska. - Zbudził się!

Liam szybko zacisnął powieki. Usłyszał jeszcze intensywniejsze odgłosy krzątania, brzdęki odkładanych przedmiotów, cichy trzask sosnowych szyszek przygniatanych butami zbliżającej się osoby. Usta zakneblowano mu jakimś cuchnącym gałganem; zapewne przepoconymi łachmanami jakiegoś łotryka. Choć starał się mocno zaciskać powieki, zdradziło go ich drzenie.

- Jesteś przytomny, głupcze... przecież widzę - warknął głęboki głos. Stopa w buciorze trafiła w zebra, Liam aż stęknął z bólu. Otworzył oczy i zobaczył, że gapi się na niego wysoki facet z długimi, potarganymi puklami piaskowych włosów.

- Widzisz? Wiedziałem, żeś przytomny. - Mężczyzna uśmiechnął się, po czym uklęknął obok Liama. - Hmm, a więc to ty jesteś szeryfem, który przysparza tylu kłopotów?

Liam nie był w stanie odpowiedzieć, w usta wciąż miał wciśniętą brudną szmatę, ręce związali mu za plecami sznurem.

- A w dodatku takiś młody - mruknął, z ciekawością przekrzywiając głowę. Odezwał się zniżonym głosem. - Lepiej sobie radziłeś niż ten poprzedni dureń. Zdołał obrócić przeciwko sobie Nottingham i niemal całe hrabstwo... dzięki temu moje życie tutaj było bardzo proste. Codziennie przyłączali się do nas nowi głodujący buntownicy gotowi walczyć za sprawę.

Liam zerknął przez ramię na rosnący tłum obdartusów.

- Ty jednak, młody człowieku... wywróciłeś wszystko do góry nogami. Sprawiliś, że moje życie stało się trudne. Tym razem Jan postąpił rozważnie. Choć raz wybrał szlachcica z pomysłu. - Uśmiechnął się smutno. - Wielka zatem szkoda, że muszę uczynić to, co uczynię.

Mężczyzna wstał i odwrócił się do zebranego tłumu.

- Podnieście go! Zobaczmy, co Zakapturzony rozkaże z nim zrobić!

Tuzin par szorstkich rąk złapało go za ramiona i postawiło na nogi. Liam rozejrzał się po obozie - przedziwnym zlepku prowizorycznych drewnianych szop, glinianych chat i namiotów zrobionych z płócien naciągniętych na ustawione gałęzie. Rosnący tłum składał się głównie z mężczyzn, dostrzegł tylko jedną czy dwie kobiety, nigdzie nie było widać dzieci. Miejsce robiło wrażenie czegoś więcej niż tymczasowa osada, nie było to doraźne obozowisko, lecz bardziej całoroczne siedlisko rozłożone w dębowym starodrzewiu.

Wysoki mąż, który do niego przemówił, powiodł go przez obóz w stronę okrągłego szałas z szachulcowymi ścianami i niskim stożkowym dachem ułożonym z gałęzi i trzciny. Szałas był pokaźniejszy niż pozostałe; postawienie go musiało kosztować więcej wysiłku. Liam podejrzewał, że chata należy do przywódcy.

Zakapturzonego.

Drągał pochylił się i zniknął w środku za niskimi drzwiami, zostawiając go samego w otoczeniu tłumu. Ręce popychały i szturchały szeryfa, kilka pięści wylądowało na jego plecach, po każdym uderzeniu jego głowa boleśnie podskakiwała.

- Francuskie ścierwo - syknął ktoś z tyłu.

Kolejne przekleństwo i kleista plwocina na twarzy.

- Won do Normandii!

Liam próbował im wyjaśnić, że nie jest Francuzem ani żadnym aroganckim arystokratą z Normandii, ale mógł co najwyżej chrząkać, bo knebel zatykał mu usta.

Prawdopodobnie i tak nie miałyby znaczenia, gdyby był w stanie przemówić; miał na sobie kosztowne szaty: ciemnozieloną aksamitną suknię, gustowne lniane rajtuzy i skórzane buty. Wszystko to czyniło z niego szlachcica. Mógł gadać do woli.

Drągał wyłonił się zza niskich drzwi i unióśł ręce, aby uciszyć zgiełk rozgaworzonego tłumu.

- Mówi, że los szeryfa jest w waszych rękach. Róbcie z nim, co chcecie!

Gawieź zaryczała triumfalnie, Liam poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

„Niedobrze”.

- Zabić drania! - krzyknęło kilka głosów.

- Bardzo chcecie pokazać temu uzurpatorowi Janowi... pokazać mu, co myślimy o jego normańskich pachółkach?

Tłum ryknął z aprobatą. Liam spojrzał na drągała, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Mówił inaczej niż pozostali, miał inny akcent, wydawał się wykształcony. Poza tym, czy w jego głosie nie pobrzmiwała odrobina żalu? Czy nie wolałby przypadkiem, żeby

ciżba skazała go na inny los?

„Koniecznie muszę z nim pomówić”.

Mocno pokręcił głową, próbując wypluć knebel z ust. Niestety tłum ciągnął go już w swoją stronę, ręce ochoczo przewiercały się przez ścisk ciał, by boleśnie podszczypnąć lub uderzyć skazanego pięścią.

Poczuł, że zjełczała szmata w jego ustach poluzowuje się, znalazł w ustach miejsce, by wywalić język i wypchnąć ścierkę z ust. Zakrzuszył się, na szczęście w ostatniej chwili zwalczył odruch wymiotny.

Ciżba przed nimi zaczęła się rozstępować, zwalniając przestrzeń wokół płaskiego i szerokiego pniaka około metrowej średnicy, który przypominał grubo ciosany blat stołu.

- Wyślemy jego głowę z powrotem do Oksfordu!

„Głowę? Och, Boże! Nie...”.

Obok pnia ktoś kładł wiklinowy kosz. Liam zaczął szarpać się i wyrywać z uścisku wlokących go mężczyzn, w rewanżu jeszcze mocniej wykręcili mu ręce i brutalnie popchnęli przed siebie.

- Idźże, świniaku! Na dzidę cię nadziejem po robocie!

Silnymi ramionami cisnęli go na pień drzewa i złapali pod pachy, zmuszając do nachylenia się nad chropowatą powierzchnią.

Liam szaleńczo wypychał język w knebel; szmata milimetr po milimetrze wysuwała się z ust. Lecz nawet wtedy, nawet gdyby udało mu się coś wykrzyknąć, i tak nic nie powstrzyma rozjuszonej gawiedzi. Za bardzo chcieli zatknąć na pal tę ciemnowłosą, normańską łepetynę.

Wykręcone za plecami ręce piekły, poszarpane drzazgi wwiercały się w skórę i rozgniatały kości policzkowe, gdy kilkoro par rąk wciskało jego głowę w pień. Wywrócił

oczami w bok, by zobaczyć, co się dzieje, ale natychmiast tego pożałował. Obok pnia stał krępy chłop, który ewidentnie rozkoszował się swoją chwilą i prężył mięśnie, poprawiając chwyt na obosiecznym mieczu.

- Jednym cięciem! Jednym cięciem! - zaczęło skandować kilka osób z tłumu.

- A jużci! Jedno czyste cięcie bratkowi zadam! - odkrzyknął mąż w odpowiedzi.

- Piprzysz, Seth! - wydarł się inny głos. - Ostanią razą trzy razy i wincej żeś ciął!

„Zamknij oczy Liamie” - pomyślał. - „Lepiej nie patrzeć na ostrze”.

Ale nie mógł. Nie potrafił oderwać wzroku od kata. Oprawca postanowił uczynić z egzekucji wielki spektakl. Obszedł pień i symulował zadanie ciosu, unosząc i błyskawicznie opuszczając miecz.

Knebel już niemal całkowicie wypadł z ust, wciąż jednak uniemożliwiał wypowiedzenie artykułowanych dźwięków. Próbował krzyknąć, żeby przestali, ale szmata skutecznie tłumiała słowa.

Kątem oka zauważył Drągała, wpatrującego się w niego z surowym wyrazem twarzy. Obok mężczyzny stała wyższa o jakieś trzydzieści centymetrów, ponura postać Zakapturzonego, który obserwował scenę bez ruchu z twarzą osłoniętą kapturem. Jego obecność uciszyła wyjący tłum, w pewnym momencie zapadła taka cisza, że Liam słyszał nawet szelest poruszanych przez wiatr liści w koronach dębów wysoko nad ich głowami.

- Tego chcecie? - spytał Drągał. - Chcecie wysłać tę głowę jako ostrzeżenie dla tych, którzy władają krajem?

Tłum zaryczał w odpowiedzi.

- Niechaj i tak będzie - odpowiedział z żalem w głosie, po czym powoli, skinieniem głowy dał znak katu.

- Zajmij się tym. Cięcie ma być czyste. Ten młody Normandczyk zasługuje na szybką śmierć.

- Słucham, panie. - Kat podszedł o kilka kroków do Liama i ostrożnie przyłożył zimne ostrze do karku ofiary. Liam poczuł ciężar miecza, ostrą jak brzytwa krawędź wrzynającą się w skórę.

Później poczuł jak ciężar ostrza unosi się w powietrze.

Unosi się, by opaść.

„Och, Boże, och, Jezu...”.

Liam podrzucił głowę, wierząc i kopiąc na wszystkie strony, ale ręce coraz mocniej przyciskały jego ramiona.

- Lepiej leż spokojnie! - ostrzegł jeden z przytrzymujących go mężczyzn. - Chyba że wolisz, żebym cię jak wieprzaka na rożen nadział!

W momencie gdy kat zaczerpnął powietrza, a jego miecz zawisł nad głową ofiary, Liam po raz ostatni mocno wywalił do przodu podbródek i wreszcie wypłuł z ust szmaciany knebel.

- Błagam! Nie jestem Francuzem! - usłyszał swój piskliwy, przerażony krzyk. - Jestem... jestem z przyszłości!

ROZDZIAŁ 53

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

- STAC!

Liam usłyszał opadające ostrze - przeciągły, głęboki jak oddech śmierci świst. Pień, na którym spoczywała jego głowa, zawibrował od potężnego uderzenia. Ostrze zabrzęczało i mocno odskoczyło, raniąc ręce kata, który zaczął kląć na czym świat stoi.

Chłopak próbował skupić się na drgającym tuż przed jego nosem metalowym ostrzu, w którym odbijała się jego własna twarz. To było ostatnie co zapamiętał, zanim zemdlał.

Woda chlusnęła prosto w jego twarz, wydarł się: „NIEEEEEEE!”.

Otworzył oczy i zobaczył, że siedzi w jakiejś ciemnicy, a na rękach nie ma już krępujących go więzów. Okrągłe pomieszczenie z wiklinowymi ścianami pokrywała skorupa błota. Przez prymitywną strzechę skleconą z gałęzi i trzciny przebłyskiwało słońce, promienie wychwytywały wdzięcznie szybujące wokół nich motki kurzu i pyłków.

- Jeśli jeszcze nie masz pewności - odrzekł spokojny głos. - Nie umarłeś.

Liam rozejrzał się po pomieszczeniu, wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Najpierw ujrzał postać w pelerynie klęczącą na klepisku. Tuż obok na drewnianym stołku siedział Drągal z długimi, płowymi włosami. Baczenie przyglądał się Liamowi, refleksyjnie pocierając dolną wargę.

- Kto cię przysłał? - spytał po chwili milczenia.

Liam starał się wziąć w garść. Jeszcze moment temu, sekundę temu, czekał, aż na jego kark spadnie ostrze miecza.

- Krzyknąłeś: „Jestem z przyszłości” - podjął mężczyzna. - Jediną osobą w dwunastym wieku zdolną pojąć koncepcję podróżowania w czasie jest ktoś, kto faktycznie przybył z przyszłości. Wierzę ci więc bezkrytycznie. Skoro mamy to już za sobą - ciągnął, pochylając się w krześle - powiedz mi jedno proszę. Kto cię tu przysłał?

Liam podniósł na niego wzrok.

- Ty... ty... też jesteś podróżnikiem?

Mężczyzna przytaknął.

- Jesteś... jesteś jednym z nas?

- Nas?

- Należysz do... do Agencji? - Liam przygryzł wargę. Niewykluczone, że właśnie chlapanął o jedno słowo za dużo.

- Agencji...? Czekał. - Mężczyzna zmrużył oczy. - Nie mówisz chyba o...? - Uśmiechnął się i zaśmiał. - Nie możesz przecież mieć na myśli tej Agencji?

- Tak... Ja... nie, nie wiem. Ja... - Liam wzruszył ramionami.

- Krążyły na jej temat plotki... w latach sześćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku. Tajna organizacja została rzekomo powołana do życia, aby likwidować podróżników w czasie. Zaznaczam, że były to jedynie plotki.

Liam nic nie odpowiedział, ale mężczyzna wciąż wydawał się całkowicie zaintrygowany jego osobą.

- Wszyscy oczywiście sądzili, że to tylko propaganda: odstraszać, bicz na korporacje technologiczne prowadzące tajne prace badawcze nad wehikułem. Lecz oto tu jesteś... - Zmrużył oczy. - Więc... czy to o to chodzi? Ta Agencja istnieje naprawdę? Zostałeś przez nią wysłany?

Wzrok Liama przeniósł się na istotę w kapturze. Postać, niepokojąco duża w zestawieniu z tym małym szalasem, przykucnęła w czujnej i opanowanej pozycji. Na razie mężczyzna zadawał pytania... a nie żądał odpowiedzi. Ciekawe, jak długo potrwa ten wywiad.

- To prawda - wyszeptał Liam. - Jestem agentem.

- Mój Boże! - Mężczyzna zaśmiał się ponownie. - To prawda! Wiedziałem! Powiedz... kto za tym stoi? Federacja Północnoamerykańska? Blok Sino-Koreański? Nowa Europa?

- Naprawdę nie wiem - odrzekł Liam.

- A może to korporacja?

- Nie wiem. - Liam potrząsnął głową. - Pracujemy na własną rękę. Nie wiem, kto sprawuje nad nami nadzór.

- Zwyczajny z ciebie trep? - Uśmiechnął się z sympatią. - Szeregowiec?

- Chyba... chyba tak. - Chłopak wzruszył ramionami.

- Zakładam więc, że przybyliście tutaj, bo w jakiś sposób zmieniłem historię?

- Tak.

- Bardzo?

- Na tyle, że wywołałeś falę czasu. Teraźniejszość uległa zmianie.

- Teraz masz mnie zabić?

Liam zacisnął usta. Udzielając bezpośredniej odpowiedzi, ryzykowałby wyjawienie zbyt wielu informacji. Odpowiedział więc pytaniem.

- Kim jesteś?

- Nie owijasz w bawełnę. Podoba mi się to. - Uśmiechnął się mężczyzna. - Gapa ze mnie. Nie przedstawiłem się. Nazywam się James Locke.

- Miło mi poznać, Locke - rzekł Liam, ostrożnie wyciągając rękę. - Nazywam się

Liam O'Connor.

Na twarzy Locke'a powoli malował się uśmiech. Potrząsnął podaną mu na przywitanie dłoń.

- Rozpoznaję twój akcent - zauważył. - Jesteś Irlandczykiem.

- Tak.

- Pech, co?

- Pech? Dlaczego? - Liam zmarszczył brwi.

- Dlaczego? - Znowu zmrużył oczy. - To ty nic nie wiesz... prawda?

- Czego nie wiem?

- Prawie cała Irlandia zniknęła. Może tylko w hrabstwie Kerry ostało się trochę szczytów, cała reszta jest pod wodą.

Liam patrzył w zdumieniu na mężczyznę, zachodząc w głowę, czy ten z niego przypadkiem nie szydzi.

- Pod wodą znalazło się wiele innych rejonów. Ale nie sądzę, żebyś chciał o tym wszystkim słyszeć. Z którego roku dokładnie pochodzisz?

- Dwa tysiące pierwszego. - Doszedł do wniosku, że nie ma najmniejszego sensu zatajać tego przed Lockiem.

- Dwa tysiące pierwszego? Poważnie? To odległa przeszłość. Czterdzieści lat przed wynalezieniem prototypu wehikułu czasu.

- To czas dobry jak każdy inny. - Spojrzał na Locke'a - Czy właśnie powiedziałeś, że Irlandia została zalana?

- Postępująca katastrofa klimatyczna. Tak zwane „globalne ocieplenie”. Pokrywy lodowców roztopiły się dekady wcześniej; poziom morza wzrósł o około sto metrów. Straciliśmy jedną piątą lądów: najgęściej zaludnione tereny. Obszary na powierzchni są zatłoczone ludźmi. Obawiam się, że na całym świecie są już tylko miejsca dla stojących.

- Jezu!

- Bardzo słuszna uwaga - odrzekł Locke, odgarniając kosmyki włosów z oczu.

Liam bliżej przyjrzał się szczupłej twarzy i zauważył, że mężczyzna jest dużo starszy, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Długie włosy przeplatały już szaro-srebrne pasma, a kąciaki oczu znaczyła sieć zmarszczek.

- Mój świat umiera, Liamie. A wszystko przez nas. Cała Ziemia jest przegrzana, ekosystemy stopniowo giną.

Liam podrapał się po głowie, w której wciąż odzywał się tępy ból.

- Z jakiego okresu w takim razie pochodzisz?

Mężczyzna zaśmiał się ze smutkiem.

- Powiedziałbym, że... z końca czasów.

- Końca? Kiedy to nastąpi?

Locke nie odpowiedział. Przed szaląsem rosła wrzawa głosów.

- Co rozumiesz przez „koniec”, Locke?

- Może wyjaśnię ci później. - Lock ponownie zignorował pytanie. - Na razie lepiej powiem tej rozwrzeszczanej tłuszczy barbarzyńców, że żaden normański szlachcic nie straci dzisiaj głowy.

- Nie zamierzasz mnie zabijać?

- To zależy, czy będziesz się wtrącał. - Rozłożył ręce. - Moja rada? Lepiej się nie wtrącaj.

- Dlaczego? Co planujesz? Po co wróciłeś?

- Przybyłem tu dowiedzieć się czegoś. - Ponownie się uśmiechnął. - Pierwotnie. Ale musiałem ociupinkę zmodyfikować plany. - Podniósł się ze stołka. - Nie rób nic głupiego i zostań tutaj... nie próbuj też lepiej ucieczki, bo poszczuję cię Rexem.

Na dźwięk swojego imienia postać w kapturze poruszyła się lekko.

- Czy to jednostka pomocnicza?

Locke najwyraźniej nie do końca rozumiał chłopaka.

- Klon - dodał Liam, niepewny, czy Locke zna i ten termin.

- Produkt transgeniczny? Dobry Boże, nie. Są zdecydowanie zbyt drogie i bardzo zawodne. Nie, mam coś o wiele praktyczniejszego. Chcesz zobaczyć? - spytał Locke z błyskiem w oku.

- Errr... jasne.

Wyciągnął rękę i teatralnym gestem szarpnął za kaptur, spod którego wyłoniła się poszczerbiona i zardzewiała metalowa czaszka. Metal rozciągał się aż do miejsca, w którym u ludzi wyrasta grzbiet nosa. Poniżej na czaszkę naciągnięto syntetyczną skórę; lekko przypaloną i częściowo stopioną, z poszarpanymi krawędziami formującymi woskową wersję nosa, ust, policzków i szczęk. Wszystko to tworzyło niemal przekonującą podobiznę dolnej części ludzkiej twarzy.

- Grupa, która mnie wysłała... no cóż... - Mężczyzna westchnął. - W roku, z którego

przybyłem, trzeba mieć wielkie szczęście, żeby dostać choćby ten model. - Puknął w czubek metalowej czaszki, robot poruszył się z cichym szumem serwomotora. - To cyborg wojskowy z nadwyżek produkcyjnych. Model powstańczy z syntetyczną powłoką skórną... no a przynajmniej z tym, co zostało. Używano ich w czasie ostatniej Wojny Naftowej. Przystojniak z niego żaden, ale jest za to wytrzymały jak czołg.

- A ci ludzie? Podążają za nim... Wydaje się, że go...?

- Czczą? - Locke wzruszył ramionami. - Tak... czczą. To wiele o nich mówi. Prostaczki wierzą, że Rex to jakiś bicz Boży zesłany na ziemię, by pomóc im w walce z normańskimi ciemiężcami. Zrobią wszystko, co rozkaże.

- Czyli wszystko, co ty im rozkażesz?

- W rzeczy samej. - Zaśmiał się. - Rexa zaprogramowano tak, by przyjmował wyłącznie moje werbalne rozkazy. Sądzą, że przewodzi im Zakapturzony. A to mi pozwala realizować własne cele.

- Czyli jakie, Locke?

- O tym porozmawiamy później. - Podrapał się po nosie, wstał ze stołka i wyszedł pochylony przez niskie drzwi małej chaty.

Liam usłyszał okrzyki ludzi na zewnątrz i głos Locke'a wyjaśniającego, iż „szeryf jest teraz ich wartościowym jeńcem”.

Liam odwrócił się, by spojrzeć na w połowie ludzką twarz robota. Drugą jej część pokrywał rdzewiejący metal nakrapiany luszczącą się zieloną farbą. Z głowy wyzierały też dwa małe punkciki niebieskiego światła: przygasłe diody LED, łudzaco podobne do wskaźnika mocy na wehikule translokacyjnym z dwa tysiące pierwszego roku.

Liam niepewnie skinął głową i machnął ręką na przywitanie.

- Uch... a więc, errr... cześć.

Robot wciąż patrzył na niego. Bez ruchu. Bez słowa.

ROZDZIAŁ 54

Zamek w Nottingham rok 1194

Bob stał w samym środku kilkudziesięcioosobowej grupy rekrutów połączonych w pary i trenujących z drewnianymi mieczami i wiklinowymi tarczami w rękach. Słońce wspięło się już wystarczająco wysoko, promienie padały na główny dziedziniec zamkowy i grzały mężczyzn pocących się pod ciężarem kolczug. Obserwował ten leniwy i niezdarny fechtunek, oceniając ich zdolności wojskowe.

[Ocena: skuteczność bojowa - niewystarczająca].

Nie znalazł minimalnego wyniku numerycznego dobrze opisującego ich postępy. Byli aż tak tragiczni. Umiejętnościami ledwie przewyższali niedożywionych starców i chłopców; mieli kłopoty z utrzymaniem się na nogach pod ciężarem zbroi, gdzie im tam do utarczki zbrojnej z odpowiednio wyważonymi mieczami i ciężkimi żelaznymi tarczami.

Ale już sam fakt, że po okolicach Nottingham maszeruje kolumna mężczyzn wyglądających jak prawdziwi żołnierze w królewskich ciemnoczerwonych bluzach z trzema bursztynowymi lwami w herbie przyniósł skutek, jakiego pragnął Liam O'Connor. Rozboje, napaści i bezprawie wyniosły się z miasta i okolicznych wsi, aby zniknąć głęboko w lasach.

Sztuczna inteligencja Boba przez moment przeglądała główne menu misji. Aktualny cel podstawowy polegający na obaleniu powstania chłopskiego w Nottingham prawdopodobnie został zrealizowany, lecz do czasu otrzymania z biura terenowego sygnału tachionowego z potwierdzeniem, że historia się wyprostowała, cel wciąż jeszcze nie mógł zostać odhaczony z listy.

Liam O'Connor z radością zostawił mu szereg obowiązków zarządczych na zamku, w tym dowództwo nad garnizonem i nadzór nad wyżywieniem ludności Nottingham. W mięsistej części umysłu Boba formowała się powiązana z tym refleksja. Emocja. Próbował ją zidentyfikować, oznaczyć ludzką etykietą. Wreszcie znalazł odpowiedni identyfikator.

„Duma?”

W tym momencie uruchomił się jego silikonowy mózg i doprecyzował to wrażenie.

[Analiza: bonus za efektywne realizowanie misji].

Wybrał odpowiedni grymas z biblioteki uśmiechów - jeden z tych dyskretniejszych, który nie przywoływał na myśl konia obnażającego dziąsła. Dobrze oddawał uczucie satysfakcji, jaką właśnie odczuwał. Bob doszedł do wniosku, że uśmiech pasuje jak ulał i idealnie opisuje aktualnie odczuwaną emocję. Nadał mu etykietę: [Dumny-uśmiech-001].

Krzyk żołnierza z wartowni wyrwał go z zadumy. Spojrzał na łuk wjazdowy, przez który na dziedziniec wtaczał się ranny człowiek podtrzymywany przez kilku towarzyszy.

- Spocznijcie! - rzucił rozkaz musztrowanym rekrutom i przeszedł przez dziedziniec w kierunku nowo przybyłych.

Kiedy zbliżał się do mężczyzny, dostrzegł ciemnoczerwone i bursztynowe barwy na odzieniu mężczyzny, po czym rozpoznał twarz jednego z gwardzistów eskortujących Liama do klasztoru w Kirklees. Miał świadomość, że Liam spóźnia się już dobie, ale zakładał, iż zdecydował się pozostać u Cabota na drugą noc. Bob przyspieszył kroku i podszedł do żołnierza, którego kilku mieszczan sadzało ostrożnie na ziemi.

- Panie - rzekł jeden z nich. - Nieżywym go żeśmy znaleźli na rynku.

Bob uklęknął i przyjrzał mu się dokładnie. Połowa bluzy niemal szerniała od krwi.

- Długo nie pożyje. Stracił zbyt dużo krwi.

Żołnierz należał do grupy pierwszych rekrutów; Bob odszukał w bazie danych jego imię i nazwisko.

- Henry Gardinerze, musisz mi rzec, co się wydarzyło.

Mężczyzna podniósł głowę.

- Panie... Panie... zasadzili się... na nas! Oni... - Odkaszlnął, wypływając na pierś ciemną stróżkę krwi. - Wo... wody... błagam.

Bob przywołał jedną ze służek z cebrzykiem, po czym ostrożnie przystawił do ust gwardzisty chochlę z wodą.

- Mów dalej, gdy będziesz gotów - powiedział, gdy mężczyzna odsunął chochlę od ust.

- Zasadzili się na nas... wczoraj. Rozbójniki Zakapturzonego... - wydyszał, charkocząc co chwila. - Szeryf...

- Co się stało z szeryfem?

- Pojmali... pojмали go...

- Żyje?

Henry Gardiner szybko tracił przytomność zmysłów, jego powieki łopotwały, twarz krzywiła się z bólu.

- Żyje? - Bob nie dawał za wygraną.

- Jużci... ta-tak... zabrali go... zabrali...

- Zrozumiałem - huknął Bob swoim głębokim głosem i odwrócił się do jednego ze

stojących w pobliżu rekrutów. - Przynies mu miodu z naszej piwniczki.

Szacował, że mężczyźnie została może godzina życia. Alkohol pomoże mu ją spędzić w lepszym nastroju. Przynajmniej tyle mu się należy za powrót w cierpieniu i sumienne złożenie raportu. Teraz przeniósł swoje szare oczy na mieszczan, którzy mu pomagali.

- Dobrzy z was obywatele. Wdzięczny jestem za waszą pomoc. Wy również możecie napić się miodu.

Grzywki mężczyzn opadły na pochylone z wdzięczności czoła. Bob ponownie skupił uwagę na Henrym Gardinerze i delikatnie ścisnął jego ramię.

- Dobrze funkcjonowałeś, Henry Gardinerze.

Podniósł się z klęczek, jego umysł buszował już po drzewie decyzyjnym, aby sprawdzić, jakie działania powinien teraz podjąć. Nie trzeba było angażować gigantycznej mocy obliczeniowej, by dojść do wniosku, że odzyskanie żywego Liama O'Connora jest rekomendowanym krokiem. Nie kłóciło się to bowiem z celem podstawowym; ponadto Liam O'Connor okazał się skutecznym szeryfem i zyskał przychylność miejscowych. Lud najwyraźniej go szanował i chciałby powrotu swego opiekuna.

Bob podjął decyzję. Odszuka go i uratuje. Czekał już tylko, aż procesor umieści to pod postacią formalnej pozycji na menu.

Ale odnalezienie Liama, odszukanie dokładnej lokalizacji obozu Zakapturzonego w lasach Nottingham może zająć dni, tygodnie, może nawet miesiące. Nie miał tyle czasu. Za dwadzieścia trzy dni musi wrócić do dwa tysiące pierwszego roku, w przeciwnym wypadku jego silikonowy umysł spali się tutaj, w roku tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym.

Nie ma czasu do stracenia.

Leśna potyczka - najpewniej wynik zasadzki - musiała się rozegrać na północno-zachodnim gościńcu pomiędzy Nottingham a klasztorem w Kirklees. Zapewne zostały tam ślady po walce: plamy krwi, przebarwienia na ziemi... może nawet jakiś wyraźny

trop. Być może w pobliżu napastnicy rozbili obóz.

Zadarł głowę i spojrzął na mężczyzn w wartowni. Kilka twarzy z zainteresowaniem patrzyło w dół. W jednej z nich rozpoznał gwardzistę, który towarzyszył im tutaj podczas podróży z Oksfordu prawie sześć miesięcy temu. Był doświadczonym weteranem, podobnie jak Eddie. W bazie danych znalazł nazwisko mężczyzny.

- Jethro Longstreet?

- Panie?

- Na mocy uprawnień przyznanych mi przez szeryfa Nottingham, awansuje cię na dowódcę tego zamku na czas mojej nieobecności.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się z niedowierzania.

- Nie przestawajcie wysyłać patroli na okoliczne pola. - Głos Boba odbił się echem od murów zamkowych. - Nie przerywajcie nadzoru nad poranną dystrybucją jedzenia na rynku miejskim. Nie przerywajcie szkolenia nowych rekrutów. Wyjeżdżam na kilka dni. Czy wszystkie instrukcje są wystarczająco jasne?

- Tak jest, panie.

- W takim razie przejmujesz dowodzenie - rzekł Bob i odwrócił się do najbliższego pachołka. - A ty, migiem przyprowadź mi konia.

ROZDZIAŁ 55

Zamek w Oksfordzie rok 1194

Beki usłyszała odgłosy zamieszania dochodzące zza zewnętrznych murów zamkowych: podniesione, piskliwe krzyki ludzi bijących na alarm. Rozpoznała wśród nich głos Jana.

Kilka minut później książę wtoczył się, dysząc, do głównego holu. Szukał jej. Jego oczy trafiły na sylwetkę swojej oblubienicy, która stała przy półkolistym oknie i ze wszystkich sił starała się wyglądać możliwie pogodnie i dystygowanie. Podeszedł do niej bez chwili zwłoki.

- Prawda to! W tej minucie tom słyszał! - wydukał.

- Co jest prawdą?

- Ry-Ryszard... na wybrzeżu Anglii już postawił nogę! - Na pobladłą ze strachu twarz Jana wystąpiły krople potu. - Posłaniec... dziś nad ranem przybył posłaniec z wieścią, że wczoraj wylądował w Dover!

Beki sprawdziła położenie miasta na mapie w swojej bazie danych. Dover dzieliło od Oksfordu sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie znalazła danych, jaki dystans średniowieczna armia pokonuje w ciągu doby. Wiedziała jednak, że zdeterminowany człowiek zdoła przebyć taką odległość w przeciągu dwóch dni. Jan powiedział jej wcześniej, że do jego brata przyłączy się prawdopodobnie wielu zwolenników, a jego armia urośnie w siłę i przybędzie tu, by go pojmać.

- Sądysz, że od razu przybędzie do Oksfordu? - spytała.

Jan energicznie pokiwał głową.

- Ruszy prosto tutaj... bo-bo wierzy, że tu ukryty jest Graal! - Nerwowo przełknął ślinę. - A ja będę musiał rzec mu to prosto w oczy. Rzec mu, że zaginął. Z mojego rozkazu templariusze ponieśli go przecie na północ, do Szkocji. - Jan stracił panowanie nad sobą i wybuchnął panicznym śmiechem. - On mnie zabije!

- Ochronię cię, panie - odrzekła na to spokojnie.

Podszedł do tarasu i wyjrzał na miasto. Skwar porannego słońca rozgrzewał kamienne mury zamku, a powietrze nad blankami lśniło srebrzyście, przez co ciemne dachówki oksfordzkich domostw i chałup tańczyły i falowały pod bezchmurnym niebem.

- Czemuż to twój przyjaciel, Liam, nie zdołał odnaleźć go jeszcze? Nie słychać nawet, żeby poszukiwania rozpoczął!

Przez ostatnie kilka miesięcy z Nottingham przybyło kilku posłańców ze szczegółową relacją z rozgrywających się na północy wydarzeń. Większość raportów Liama dotyczyła wysiłków związanych z próbą udobruchania głodujących ludzi i odbudowania pozorów autorytetu królewskiego, prawa i porządku... wszystko to w imieniu Jana.

- Próbował ustabilizować sytuację w regionie - odpowiedziała. - Tylko przy wsparciu i z błogosławieństwem ludu ma szansę schwytać odszczepieńca, który skradł twojego Graala. - Cytowała słowa z ostatniej relacji Liama.

- Wiem o tem! Wiem o tem! - burczał Jan. - Ale nie mamy już czasu w wieśniakach szukać sprzymierzeńców! Ryszard może przybyć tutaj jeszcze tej nocy... może jutro. - Drżąca postać Jana odwróciła się do Beki. - Rozumiesz, co się stanie? Utopi miasto we krwi, kiedy wywie się, że Graal zaginął! W mojej krwi!

Beki zmrużyła oczy. Wyjrzała przez okno i zmierzyła wzrokiem obwarowania zamku, mury Oksfordu.

- Możesz rzucić mu wyzwanie. Powstrzymać go przed wkroczeniem do miasta.

Jan podrapał się po brodzie; Beki spostrzegła, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nerwowe tiki księcia się nasiliły.

- Gród otworzy przed nim bramy - rzekł. - Miejscowy lud go wielbi.

Beki powoli pokiwała głową. Rzeczywiście, dosyć trafnie zdiagnozował sytuację. Przeanalizowała historyczną bazę danych z tego okresu i niemal natychmiast natrafiła na

oczywiste rozwiązanie. Rozwiązanie które, tak się składa, wkomponuje się w poprawną wersję historii.

- Uciekaj na północ, panie, do Nottingham - rzekła. - Zamek jest solidniejszą twierdzą obronną, a tamtejsza ludność jest ci przychylna.

Jan oblizął wargi i jął poważnie rozważać propozycję Beki, chrapliwie wciągając powietrze przez nos.

- NIE! Nie... to-to go mocniej jeszcze ro-rozeźli!

W pakiecie z poprawną osią czasu znalazła następujące dane historyczne: miasto przez kilka tygodni będzie skutecznie opierało się atakowi Ryszarda. Oblężenie zakończy się złożeniem przez Jana broni, a Ryszard uczyni nietypowy dla siebie gest litości, darując bratu życie i zapewniając, że włos mu z głowy nie spadnie dopóty, dopóki dochowa przysięgi wierności.

Ta historia musi się wydarzyć, tylko to pozwoli usunąć niepożądany poziom kontaminacji czasowej.

- Nottingham jest ci wierne, panie - powiedziała. - Miasto się utrzyma. A szeryf zyska potrzebny czas i odzyska dla ciebie Graala, którego użyjesz jako karty przetargowej, by wynegocjować dogodne warunki rozejmu.

Jan podniósł na nią wzrok.

- Wierysz, że to możliwe?

- Oczywiście. Liam uzyskał już zapewne od miejscowych wystarczająco dużo informacji, by znaleźć banitów. Pozyskanie lojalności i zaufania ludu miało być pierwszym, niezbędnym krokiem.

- Może masz rację. - Ujął podbródek w trzęsące się dłonie. - Tak... tak. Może tak... właśnie tak uczynić muszę.

- Alternatywnym wyjściem jest pozostanie tutaj - dodała. - Szacuję wszakże, że byłby to strategicznie nietrafiony wybór.

Przysunął się do niej i niespodziewanie złapał ją w objęcia.

- Cóż ja bym począł bez ciebie?

W odpowiedzi błysnęła ostrożnym uśmiechem, a twarz Jana zdawała się odzyskiwać kolory.

- Piękność twa skrywa żywy umysł ambasadora lub generała. Ja... Ja...

Beki wyswobodziła się z mocnego uścisku i delikatnie odepchnęła księcia.

- Panie mój, natychmiast powinniśmy ruszać.

- Tak... tak, w istocie. - Do rozkochanych jak u szczeniaka oczu księcia powróciła trzeźwość, postanowił działać. - Tak, konie bez zwłoki siodłać nam trzeba.

Wciąż jednak wpatrywał się w nią w milczeniu, z zachwytem mrużąc niebieskie oczy.

- Gdybyż tylko jakieś zrządzenie losu koronę mi na skronie włożyło... zaprawdę się byłabyś, pani, wspaniałą królową.

Analizowała, czy powinna zdradzić mu przyszłość. Może świadomość przeznaczenia wzmocniłaby jego determinację i chęć przeciwstawienia się Ryszardowi? Wbudowany protokół podszeptował jednak, że wyjawianie komuś jego własnej przyszłości może doprowadzić do skażenia historii w stopniu równym kontaminacji wywołanej przez nieuwważnego podróżnika w czasie. Istnieją inne sposoby, żeby pomóc księciu w odnalezieniu ikry i zachęcić go do rzucenia wyzwania Ryszardowi, gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora.

- Zatem teraz musisz być dla mnie silny - powiedziała z łagodną przekorą. - Wtedy może zostanę twoją królową.

ROZDZIAŁ 56

Las w Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - spytał Liam.

Locke podniósł na niego wzrok.

- Naprawdę nie wiem - odparł. - Moja wesoła gromadka - rzekł z lekkim odcieniem sarkazmu w głosie - pali się do ukarania cię dla przykładu. To pragnienie zasadza się na prostej przesłance: ty jesteś bogatym Normanem, a oni wszyscy biednymi jak myszy kościelne Saksonami.

- Ale ja jestem Irlandczykiem, nie Francuzem!

- Oni widzą w tobie jedynie bogatego gołowąsa w kosztownych rajtuzach. - Wzruszył ramionami, po czym oderwał kawałek sarniny od kości i podał mięso Liamowi. - Zawsze tak było i będzie po wsze czasy... bogaci panowie, zubożały plebs, a między nimi świat nienawiści.

Liam ze smakiem przeżuwał mięso, zaskoczony swoim wilczym apetytem.

- Locke, wszystko co mówiłeś o swoich czasach... nie brzmi to najlepiej.

Mężczyzna uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie... nie brzmi najlepiej. - Locke dłużej zatrzymał na nim wzrok. - W moich czasach życie jest ciężkie... i toczy się błyskawicznie.

- Co masz na myśli?

- Od czego zacząć? Wydoiliśmy świat z wszystkich zasobów naturalnych. W latach trzydziestych dwudziestego pierwszego wieku wyczerpały się pokłady ropy naftowej. W latach pięćdziesiątych zabrakło węgla i gazu. Mniej więcej w tym samym okresie towarem deficytowym stały się też kluczowe minerały i rudy. Morza połknęły całe połacie urodzajnych gleb oraz tysiące kopalń i pól naftowych. Wybuchwały też wojny. Liczne. Emigracja ludzi z zalanych terenów na już i tak przeludnione skrawki Ziemi doprowadziła do szeregu lokalnych konfliktów. - Locke ze smutkiem pokiwał głową. - Sami do tego doprowadziliśmy. Może gdybyśmy zmienili politykę na początku dwudziestego wieku... gdyby udało nam się zapanować nad wzrostem populacji, gdybyśmy z mniejszą chciwością domagali się nowych, lśniących rzeczy, być może wtedy nie skazalibyśmy siebie na katastrofę. To wyjałowiony świat na skraju przepaści.

Liam zerknął na skuloną sylwetkę robota siedzącego w rogu; niewyraźny zarys ciała i parę bladoniebieskich oczu.

- Po co tu wróciłeś, Locke? Nie chodziło ci przecież tylko o ucieczkę z tamtego świata. Mylę się?

W odpowiedzi mężczyzna tylko westchnął. Zapadła długa cisza, w obozie panowała typowa wieczorna krzątanina: podniesione głosy, szczekanie wygłodniałych psów. Liam wyobrażał sobie, że akurat to obozowisko ożywiać będą dźwięki ludowych pieśni śpiewanych wokół ognisk i rubaszne rozmowy wesołych bojowników o wolność. Tymczasem wsłuchiwał się w rozpaczliwe odgłosy osiedla dla uchodźców - setka wyjętych spod prawa obdartusów żyjących ze złapanej we wnyki zwierzyny lub skradzionych produktów.

- Instynkt cię nie zawodzi. Uczestniczyłem w misji. - Wydłubał kawałek mięsa spomiędzy zębów. - Dość nietypowej misji. Miałem cel. - Przez chwilę marszczył brwi, próbując przypomnieć sobie, co to dokładnie było. - W mojej epoce zostało nas jedynie kilkoro. Nie mieliśmy już żadnych wpływów, nie byliśmy już szarymi eminencjami w pałacach prezydenckich i w Watykanie. Została jedynie garstka wyznawców.

- Wyznawców?

- Templariuszy.

Liam przestał przeżuwać.

- Jesteś jednym z rycerzy? Przecież... przecież pochodzisz z przyszłości! Chcesz mi powiedzieć, że w dwudziestym pierwszym wieku są jeszcze jacyś templariusze?

- Cóż - zaśmiał się łagodnie. - Nie, jeśli masz na myśli chwatów biegających w kolczugach i wymachujących długimi mieczami, Liamie. Ale tak, templariusze, wyznawcy, nadal istnieją. To ludzie, w których wciąż tli się nadzieja, że Bóg ocali nas przed nami samymi.

Locke przypominał mu teraz Cabota. Twarz naznaczona liniami wspomnień i ponurą determinacją, by zrobić wszystko, co możliwe.

- Pokładaliśmy naszą wiarę w technologii - kontynuował. - Wszyscy. Wiedzieliśmy o kurczących się zasobach ropy, lecz zamiast redukować zużycie, założyliśmy, że nowe technologie i tak działają cuda. Wolne, bezpieczne źródło energii dla wszystkich. Ale cuda to nie domena ludzi. Zużyliśmy dostępne pokłady ropy. Wybuchły kolejne Wojny Naftowe. Nad światem zapanowała obsesja walki o kurczące się zasoby. Stężenie zanieczyszczeń w oceanach i powietrzu rosło. Ekosystem zaczął się sypać. Tliła się nadzieja, że dzięki technologii zdołamy zaprojektować genetycznie nowe formy życia, aby przywrócić równowagę środowiska: bakterie zdolne absorbować dwutlenek węgla z powietrza i schładzać kulę ziemską w celu przywrócenia jej naturalnej temperatury. Ale okazało się, że to za mało. I za późno. W efekcie wyhodowaliśmy bakterie, które zatruły morza toksycznym kwieciami. Im bardziej próbowaliśmy wykpić się technologią, tym gorsze przynosiło to efekty. - Locke potrząsnął głową. - Została nam jedynie ślepa wiara... że jest jeszcze coś, co nam pomoże.

- Bóg?

- Kto wie? - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Sam Bóg, może jakaś nadprzyrodzona siła. Coś potężniejszego niż człowiek, coś lub ktoś zdolny nam pomóc.

- Szczerze mówiąc, nie jestem specjalnie wierzący - wyznał Liam, spoglądając na świeczkę. - Jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to nigdy nie zechciał ze mną porozmawiać.

- Sam nie jestem pewien, w co wierzę... ale nadzieja, wiara to ostatnie, co nam zostało.

- To niedużo.

- Posiedliśmy też wiedzę...

- Wiedzę? - Liam podniósł na niego wzrok.

Locke nie kwapił się do odpowiedzi, jakby zastanawiał się, czy powinien wyjawiać więcej. Wreszcie przemówił, zniżając głos niemal do szeptu:

- Wiedzę na temat proroctwa.

- Czego?

- Przepowiedzi... proroctwa. Wiemy o tym od ponad tysiąca lat.

- Mówiąc „my”, masz na myśli rycerzy templariuszy?

- Tak. My... jesteśmy znani pod różnymi nazwami, wszystko zależy od tego, którego zwolennika teorii spiskowych słuchasz. Nazywano nas templariuszami, masonami, Zakonem Iluminatów, Zakonem Syjonu, wiązano nas też z tak zwanym Nowym Porządkiem Świata. Przez te wszystkie dekady i stulecia przyłgnęły do nas przeróżne absurdalne nazwy. Powstałiśmy jednak jako zwykły zakon mnichów-rycerzy założony w Jerozolimie. - Zaśmiał się oschle. - Początkowo byliśmy jedynie dozorcami, strażnikami świątyń, po łacinie templum. Stąd nazwa: templariusze.

Liam, przypomniał sobie opowieść Cabota.

- Ale coś się wydarzyło, prawda? Strażnicy coś odkryli? - spytał.

- Słyszałeś więc o tej historii - stwierdził Locke.

- Chyba znam jej fragment. Wiem, że rycerze odnaleźli zwój nazywany Graalem.

- Tak. Graal... kielich mszalny, puchar: symbol zawartości. Owszem, zawartości... ale nie w postaci płynu, krwi Chrystusa. Lecz sekretu.

- Sekretu? Proroctwa? - dopytywał Liam.

- Tak.

- Jak ono brzmi?

- Tak po prostu? - Locke roześmiał się szczerze. - Spodziewasz się, że tak po prostu wszystko ci zdradzę? Wyjawię tajemnice, które przekazujemy sobie z pokolenia na pokolenie? Z dziada na ojca i z ojca na syna?

Liam zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym skinął głową.

- Dlaczego nie? Komu niby mogę o tym powiedzieć, siedząc tutaj?

- Może w takim razie pohandlujemy tajemnicami. - Locke zaśmiał się raz jeszcze.

- Dobrze. - Chłopak skinął głową.

- Więc - podjął Locke, odcinając kolejną porcję mięsa dla Liama - powiedz mi, po co tak naprawdę cię tu wysłano?

Liam wahał się, czy wspominać o manuskrypcie Voynicha. To przez ten dokument rozpoczęła się jego misja, był to pierwszy okruszek chleba, który zawiódł go prosto do tej lepianki w samym środku lasu Sherwood.

- Graal - odrzekł Liam.

- Też pragniesz odszyfrować jego sekrety?

- Tak. - Nagle Liamowi przyszło do głowy pytanie. - Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać?

- Graal zniknął z kart historii na początku trzynastego wieku. - Locke wyprostował plecy - Po prostu zniknął. Stał się mitem. Od zawsze wiedzieliśmy jednak, że istniał. Zawsze też rozumieliśmy, że nigdy nie był to jakiś tam puchar.

Zaczął odkrajać od kości kolejny poszarpany kawał mięsa.

- Mamy dokumenty templariuszy. Listy spadkowe, osobistą korespondencję sięgającą do czasów narodzin bractwa i błogosławieństwa papieskiego z tysiąc sto dwudziestego dziewiątego roku... Zawsze wiedzieliśmy, że król Ryszard zdobył to, po co przybył do Ziemi Świętej. I że właśnie wtedy wszystkie nici prowadzące do świętego Graala się urwały... aż do drugiej wojny światowej.

Liam uniósł brwi.

- W wyniku niemieckiego nalotu bombowego w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim zniszczeniu uległy najstarsze fragmenty zabudowań zamkowych - kontynuował Locke. - Bomby odsłoniły stare krypty, przez co światło dnia ujrzały dokumenty sprzed dziewięćset lat. Autorstwo jednego ze zwojów przypisuje się królowi Janowi. Właściwie to dokument ten napisał zanim jeszcze został królem, w czasie, gdy jego brata Ryszarda wciąż przetrzymywano dla okupu na kontynencie.

Locke podał nad świecą kolejny połek mięsa.

- Był to pisemny rozkaz wydany rycerzom, którzy mieli przetransportować „uświęconą własność” króla Ryszarda na północ, do Szkocji. Podejrzewamy, że Jan zamierzał ukryć go przed bratem, by w przyszłości użyć jako karty przetargowej. Choć z drugiej strony mógł naprawdę sądzić, że łup zdobyty przez brata w Jerozolimie będzie o wiele bezpieczniejszy w Szkocji. Jak pokazuje historia, nigdy tam jednak nie dotarł. Zaginął. List Jana to ostatni dokument świadczący o jego istnieniu. - Locke dyskretnie się uśmiechnął. -

List Jana został opatrzony datą. W końcu dowiedzieliśmy się więc precyzyjnie, gdzie i kiedy szukać Graala. Bractwo wiedziało o tym oczywiście od momentu, gdy list ujrział światło dzienne dzięki bombie Luftwaffe. Nasz plan, Liamie, zakładał więc odzyskanie Graala i rozszyfrowanie jego tajemnic.

- Ale nie jesteście w stanie tego zrobić?

- Ach, musisz w takim razie wiedzieć o kluczu.

- Kluczu do rozszyfrowania Graala?

- Tak, o matrycy Cardana. To szablon z wyciętymi okienkami. Należy go położyć na zaszyfrowanym tekście. Tak. Bez tego Graal jest jedynie zwojem pełnym nic nieznaczących słów.

- Ma ją król Ryszard?

- W rzeczy samej.

- Jak chcesz odzyskać od niego tę matrycę? - Liam zmarszczył brwi.

- Zwabię go tutaj, oczywiście. Rozpętam w Nottingham powstanie, a on po powrocie koniecznie zapagnie je stłumić. Słynie z tego... zawsze lekkomyślnie galopuje na przedzie. Wzywa go zew krwi bitewnej. - Locke zerknął na zarys klęczącego w całkowitym bezruchu robota. - A jeśli nadarzy się odpowiednia okazja, Rex w ferworze walki przedstanie się w pobliże Ryszarda i... - Locke wzruszył ramionami. - Nie jest to wielki plan, ale więcej nie mamy. - Odwrócił się do Liama i uśmiechnął się, nie bez życzliwości. - Niestety, zdecydowanie zbyt dobrze wywiązujesz się ze swoich obowiązków. Pozyskałeś zaufanie lokalnych chłopów, przez co moja raczkująca rebelia zaczęła wygasać. Jeszcze pół roku temu miałem w tych lasach niemal tysiąc ludzi. Większość z nich wróciła już do domostw z powodu ogłoszonej przez ciebie amnestii. Zakładam, że amnestia dla ludzi wyjętych spod prawa to twój autorski pomysł?

- Wybacz, ale przez twoje powstanie przyszłość zalało kilka fal - odrzekł Liam.

- Cóż, niestety już nie zalewa. - Z twarzy Locke'a odpłynął uśmiech.

- Masz przecież Graala. To wciąż łakomy kęs dla Ryszarda.

- Oczywiście. On chce tego, co mam ja, a ja pragnę tego, co ma on. Może ubijemy interes?

Liam zmarszczył brwi, do głowy przyszło mu pytanie.

- Mówiłeś, że bractwo od wieków wiedziało o przechwyceniu Graala? Od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego? Skąd w takim razie przybywasz, Locke? - Kiedy Liam po raz ostatni zadał Locke'owi to pytanie, ten zagadkowo odpowiedział „Z końca”. - To dużo odleglejsza przyszłość niż moja?

Locke nic nie odrzekł na to pytanie, jego twarz zamarła w pół uśmiechu, dręcząc Liama.

- Sto? Dwieście lat?... Pięćset?

- Z końca - powtórzył Locke, nie kwapiąc się do dalszych wyjaśnień.

- Końca? - Liam bezradnie skulił ramiona. - Ach, daj spokój, co to ma niby znaczyć? Masz na myśli koniec stulecia?

Mężczyzna nic nie odpowiedział.

- Z końca czego?... Końca świata?

- Wszystko zależy od tego, jak rozumiesz słowo „świat”, Liamie - ustąpił Locke. - Chodzi ci o świat w sensie naukowym, czy duchowym? Co nazywasz końcem... a co początkiem?

- Przestań! - Liam ze złością zacisnął szczęki. - Żeby usłyszeć podobne hokus-pokus,

mogę sobie pójść do pierwszego lepszego klechy.

- Proroctwo, Liamie. Od zawsze wierzyliśmy, że Graal niesie ze sobą szczegółowe proroctwo. O danej porze, w danym roku coś się wydarzy.

- Coś?

- Coś. - Locke rozłożył ręce. - Sami nie wiemy. Wróciłem po to, żeby się tego dowiedzieć.

- Coś - ponownie wymruczał Liam. - Coś dobrego czy coś złego?

- Jeżeli masz wiarę, Liamie, jeśli potrafisz uwierzyć w troskliwego Boga, wtedy może to oznaczać coś wyłącznie cudownego.

- Ty wierzysz?

Locke podrapał się po koniuszku nosa.

- Zdecyduję, gdy uda mi się rozszyfrować tekst.

ROZDZIAŁ 57

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Blask księżycyca oświetlał leśny gościniec przed Bobem. Dostrzec można było jedynie ciemne plamy zakrzepłej krwi, ślady butów, błysk kilku poskręcanych i popękanych kolczug oraz blade piórka lotek wystające z kilku wbitych głęboko w piach strzał.

Bob spiął konia lejcami i zeskoczył na gościniec.

Panowała cisza, z wyjątkiem szumu wiatru poruszającego drzewa oraz odległego pohukiwania sowy. Bliżej przyjrzał się śladom bitwy.

Piach znaczyły gęste odciski ciężkich buciorów, wiele małych wyżłobień w błocie zostawiły, później z niego wyciągnięte, strzały. Bob spokojnie pokiwał głową, zyskując pewność, że natrafił na miejsce zasadzki sprzed doby. Przeszedł na drugą stronę gościńca, rozsuwając gęste paprocie i orlice rosnące wokół masywnych pni dębów. Wreszcie znalazł pierwsze ciało, pośpiesznie wyciągnięte poza zasięg wzroku w spore skupisko pokrzyw, odarte ze wszystkich kosztowności i porzucone jak ścierwo. Ruszył w górę gościńca, odnajdując po drodze jeszcze kilka ciał bez kolczug i skórzanych butów, na zwłokach zostały tylko rajtuzy i zaplamione krwią tuniki.

Łącznie pół tuzina ciał. Odrzucił na plecy ostatnie. Na szczęście okazało się, że to nie Liam.

„Ulga”.

Bob przeszukał umysł pod kątem klarowniejszej definicji odebranego wrażenia. Wbudowany procesor beznamiętnie analizował sygnały pochodzące z organicznej grudki nerwowej, ledwie zasługującej na nazywanie jej „mózgiem”. Małe elektryczne impulsy wystrzeliwane przez organ wielkości szczurzego mózgu układały się we wzór, który ludzie nazwaliby emocją.

„Tak. Ulga”.

Wstał i wsłuchał się w odgłosy nocy, mając nadzieję, że gdzieś ponad szeptem szumiących gałęzi usłyszy odległe, niewyraźne okrzyki ludzi celebrujących zwycięstwo podczas zakrapianej alkoholem uczty lub wrzaski ofiar wzywających pomocy. Nie usłyszał jednak nic. Poza sową.

Proces decyzyjny Boba znalazł się już raz w podobnym impasie. Podczas pierwszej misji, gdy rozłączyli się z Liamem po bitwie o Biały Dom; naziści wywieźli wtedy Liama w kolumnie ciężarówek jenieckich. Sztuczna inteligencja Boba była wówczas załóżnie

nieprzygotowana na podjęcie podobnej decyzji. A mimo to udało się. Udało się zmienić hierarchię celów misji i postawić zadanie uratowania Liama na samym szczycie. Z formalnego punktu widzenia Bob pogwałcił wówczas kod oprogramowania, lecz teraz był z tego dumny.

Tym razem sprawa okazała się zdecydowanie łatwiejsza. Cele misji skalibrowano tak nieprecyzyjnie i niejasno, że w ciągu nanosekundy podjął decyzję o tym, że resztę z sześciomiesięcznego okresu misji poświęci na odnalezienie przyjaciela Liama. Ale jak go odszukać?

Mógł przeczekać do świtu i spróbować wizualnie przeskanować szlak. Kolumna ludzi przedzierających się przez gęste poszycie lasu Sherwood musiała pozostawić po sobie ślady łatwe do odnalezienia nawet przez nieopierzonego tropiciela.

Taki właśnie plan działania postanowił obrać, przysiadł więc zgarbiony wśród pokrzyw, by poczekać do świtu. Nie zasnął. W jego umyśle, jak zawsze, gdy na resztę świata opadała zasłona głębokiego snu, przebiegała defragmentacja. Szansa przekopania się przez nie zliczone terabajty danych przechowywane na jego twardym dysku.

Wspomnienia.

Odtworzyć je wszystkie: każdy obraz, dźwięk, odczucie, zapach. Podjąć próbę wygenerowania powiązań, asocjacji, odrobinę lepiej zrozumieć, jak to jest mieć prawdziwy mózg. Być prawdziwym człowiekiem, nie transgenicznym narzędziem... robotem organicznym.

Już zaczynał rozpakowywać i porządkować prezentację wspomnień, gdy wyczuł nikły zapach dymu drzewnego. Nie był to unoszący się wszędzie charakterystyczny smród, który przesiąkł jego bluzę, fetor roztopionego łożu wymieszanego ze zjelczalym potem. W powietrzu szybował... przyniesiony przez wiatr z odległości kilku kilometrów zapach płonącego gdzieś w lesie ognia.

Głośno pociągnął nosem, szerokie nozdrza załopotwały jak chrapy konia.

Znów ten niewyraźny zapach.

Zerwał się na równe nogi i zatoczył wzrokiem pełne trzysta sześćdziesiąt stopni wokół własnej osi, licząc na wykrycie choćby niewyraźnego przebłysku światła w gęstwinie leśnej. Nic nie dojrzał. Ale... znowu zarejestrował ten zapach. Woń suszonego drewna wymieszana z lekko miętowym aromatem palonych igieł sosnowych.

Ognisko.

Postanowił zawierzyć nosowi.

ROZDZIAŁ 58

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Był ranek, mgła mieszała się z białym dymem, który uciekał z wilgotnego od rosy paleniska ponad korony drzew.

Liam obserwował, jak obóz Locke'a powoli budzi się do życia, przed szalasy wychodzili mężczyźni opatuleni w przemoczone peleryny, płaszcze i skóry zwierzęce. Usłyszał charknięcie mężczyzny, który właśnie przeczyszczal nos i spluwał na ziemię oraz odległe „łup, łup” kogoś, kto rozbudził się już na dobre i rąbał drewno na opał.

Ponieważ Locke uwierzył zapewnieniom Liama, że nie będzie próbował ucieczki, ten mógł teraz swobodnie spacerować po obozie. Chłopak wciąż czuł na sobie czyjś wzrok, nieufne i niechętnie spojrzenia. Gdyby zechciał zaryzykować ucieczkę z obozu, większość z rebeliantów z radością skorzystałaby z okazji, by go wytropić i posłać strzałę między łopatki. Zresztą, bez butów i tak daleko nie zabiegł. Locke zmusił go do zdjęcia skórzanych buciorów i podarowania ich jednemu z jego ludzi. Ten gest poniżenia zyskał spory aplauz: normański szlachcic szwendający się boso po obozie jak zwykły żebrak na ulicy. Ludziom

najwyraźniej podobał się ten pomysł.

Liam patrzył, jak Locke wychodzi z szałas, przeciąga się i ziewa. Tuż za nim wyłonił się robot, którego na powrót spowijały szaty; górna część metalowej czaszki ginęła w cieniu rzucanym przez kaptur, podbródek i szczęka z plastikowej skóry były ledwo widoczne.

- Słuchajcie! Mamy wieści! - obwieścił Locke. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę; ludzie jak na zawołanie przerywali swoje prace. - Nasz przywódca, Zakapturzony, otrzymał nowiny. - Locke z szacunkiem skinął głową w kierunku wyższego o stopę robota, który stał tuż obok niego. - Nowiny z Nottingham. Ponoć król Ryszard powrócił do Anglii! Teraz, gdy wypowiadam te słowa, zmierza on na północ, zbliża się do nas!

W obozowisku zaszemrały podniesione głosy. Ludzie Locke'a nie byli pewni, jak zareagować na te wieści.

- Wieść niesie też... iż brat jego, Jan, uciekł z Oksfordu i bieży do Nottingham! W mieście gadają, że waśń jakowa między królem i bratem jego zaistniała! Jan wyzwać może Ryszarda na wojnę i odpór mu dać w Nottingham! - Mężczyzna zrobił dłuższą pauzę. - Zakapturzony Lord uważa, że to pilna sprawa. Jeżeli w najbliższych dniach rozegra się bitwa, obie strony będą poszukiwać bitnych ludzi, takich jak my. Szansa to dla nas, by wypowiedzieć żale nasze, przeciwstawić się niesprawiedliwym podatkom, które głód na nas sprowadziły i zmusiły szukać schronienia w lasach. Ale toć nie wszystko, los daje nam bowiem szansę, by uzyskać obietnicę od Ryszarda lub Jana - komukolwiek zdecydujemy się ofiarować nasze wsparcie - żeby dał nam pardon i zniósł banicki nasz status.

Z ust kilku ludzi Locke'a popłynęły radosne okrzyki. Liam wyczuł, że tylko strach przed lochem i szubienicą powstrzymywał większość z nich przed powrotem do rodzin i domów.

- Wreszcie ktoś zechce nas wysłuchać. Nasz wódz przez kilka następnych dni będzie przemyślał, za czyją sprawą opowie się nasza gromada! - Locke uśmiechnął się do swoich ludzi. - Żałować możemy jeno tej armii, przeciwko której wystąpi Zakapturzony.

Mężczyźni zaczęli skandować.

- Wszak jest niepowstrzymany! - krzyknął Locke.

Tłum zawył w odpowiedzi.

- Nieśmiertelny! - wykrzykiwał.

Znowu ryk aprobaty.

- Bo został wysłany przez Boga, by wyzwolić biednych Anglików spod jarzma ciemiężców normañskich! Bóg jest z nami i nie ma znaczenia, którą stronę obierzemy... bo jesteśmy jego wybrańcami! Gotujcie się więc, chłopcy. Walka wkrótce wybuchnie. Naostrzcie miecze, naciągnijcie cięciwy i gotujcie się do boju!

Locke szepnął coś do robota, który uniósł miecz i przytrzymał go w górze. Las wypełniła kakofonia podniesionych głosów; wszyscy, co do ostatniego, młodzi i starzy, powstali i jęli z ekscytacją wymachiwać bronią w powietrzu.

Liam rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Nie mieli bladego pojęcia, że są marionetkami, które zostaną wykorzystywane jako mięso armatnie dla tego Plantageneta - prawdopodobnie Ryszarda - z którym akurat ugada się Locke. Jeśli to prawda, a Jan i Ryszard zetną się w Nottingham, Locke wystara się o audiencję u króla - i co wtedy? Powąży się ukraść matrycę Cardana? Czy też podzieli się z królem tajemnicą Graala?

Liam uświadomił sobie, że byłby to najgorszy z możliwych scenariuszy. Ktoś tak szalony i potężny jak Ryszard... wtajemniczony we wszelkie objawienia i proroctwa ukryte w Graalu?

„Naprawdę muszę stąd zwiewać. Koniecznie muszę wrócić do Nottingham”. - Ponad wszystko pragnął teraz znaleźć Boba i Beki i powrócić do domu w dwa tysiące pierwszym roku. Wszystkie informacje zasłyszane od Locke’a powinien teraz przekazać Maddy i Sal. W szczególności Maddy. Wydedukowałyby z nich o wiele więcej niż on. Zdecydowanie lepiej wiedziałyby, co teraz zrobić.

Zastanawiał się, gdzie jest teraz Bob. Czy jednostka pomocnicza dowiedziała się już o zasadzce i przeczesuje las Sherwood w poszukiwaniu Liama... czy też pozostaje w Zamku Nottingham, oczekując jego powrotu?

„A co z Beki? Gdzie teraz jest? Z Janem?”.

Jeśli tak, to gdyby Jan rzeczywiście postanowił wybrać się na północ, do Nottingham, również i ona zdążyłaby na okno powrotne. Miał straszne przeczucie, że obie jednostki pomocnicze pojawią się na tamtym polu za tydzień i same pojedą do domu, zostawiając go w niewoli Locke'a.

Locke przyzwał Liama do siebie skinieniem głowy, podczas gdy zgromadzeni mężczyźni rozeszli się do swoich obowiązków: polowania na zwierzynę, zbierania drewna na opał i gotowania rzadkiej polewki na pierwszy posiłek dnia.

- Liamie - rzekł Locke - wejdź do środka i zjedz ze mną śniadanie.

Chłopak wślizgnął się za nim i robotem do szalasu i ponownie znalazł się w zadymionej, pogrążonej w mroku skromnej kwaterze Locke'a. Mężczyzna usiadł na ławie; robot przykucnął tuż obok jego boku, jak wierny pies.

- Słyszałeś?

- Tak, słyszałem, co mówiłeś. - Liam pokiwał głową.

- Na ulicach Nottingham najwyraźniej aż huczy od plotek. Lud opowiada się za Janem. Rozumieją, kim naprawdę jest Ryszard: nieobecnym władcą, którego poczynania wpędziły kraj w ruinę.

- Locke, jeśli mogę o coś spytać... przechowujesz tu Graala? Znajduje się gdzieś w tym obozie?

Locke rzucił mu nieufne spojrzenie.

- To moja sprawa, lepiej pilnuj swojego nosa.

- Co planujesz z nim zrobić?

- Wszystko co trzeba, żeby go rozszyfrować.

- Ubijesz interes z Ryszardem?

- Mógłbym to zrobić. - Wzruszył ramionami. - Bez mrugnięcia okiem zdradzę wszystkich tych łatwowiernych baranów, jeśli będzie to konieczne.

- Ale nie masz pojęcia, co tam jest. Pomyślałeś o tym, że proroctwo, które tak pragniesz odszukać, okaże się wiadomością dla kogoś takiego jak ja... innego Jeźdźca w Czasie?

- Rzeczywiście tak może być? Wiesz coś o tym? - Locke zmarszczył brwi.

- Nie... nic na ten temat nie wiem. Lecz w tym tkwi szkopuł: to może być dosłownie wszystko! Niebezpiecznie oddawać taką wiedzę w ręce Ryszarda. Może to doprowadzić do całkowitej zmiany biegu historii...

- Sądysz, że to rzeczywiście takie tragiczne rozwiązanie, Liamie? Z mojego punktu widzenia, z perspektywy mojej epoki, podarowanie królowi Ryszardowi nowej historii, nowego przeznaczenia oznacza powstanie odmiennej osi czasu i odmiennej... lepszej przyszłości. Gorzej być już w końcu nie może.

- Ależ może być o wiele gorzej.

- Słucham? - Locke potrząsnął głową. - Potrafisz wyobrazić sobie coś gorszego niż przegrzana, zatruta, umierająca Ziemia?

- Nie... nie potrafię! Ale wiem, co nam powiedziano. Igranie z czasem, zmiana chronologii nadwyręza mur dzielący nas od... od Chaosu.

- Chaosu?

Liam nie wiedział wystarczająco dużo, by lepiej to wyjaśnić. Nie po raz pierwszy żałował, że Foster opuścił ich tak szybko i nie zdążył szczegółowo omówić z nimi wszystkiego, co powinni wiedzieć.

- Przez tę przestrzeń podróżujemy podczas jazdy w czasie. To wymiar... miejsce będące... chaosem. Niektórzy ludzie nazywają to po prostu piekłem - próbował wyjaśnić.

- Ja pamiętam tylko uczucie spadania. - Locke zmrużył oczy.

- To coś więcej. Widziałem... wydaje mi się, że widziałem tam rzeczy... prawdziwe upiory. - Liam nie potrafił znaleźć lepszych słów, żeby opisać swoje wrażenia. Ale gdy podróżował przez mleczną nicość, dobrze je widział, kształty podpływające coraz bliżej i bliżej. Jakby powoli przyzwyczajaly się do niego. Jakby wyczuwały w nim stałego pasażera, kogoś, kto zaprowadzi je do prawdziwego świata. - Wiem tylko tyle, że nie można sobie ot tak igrać z czasem, Locke. Jeżeli twój Święty Graal miał przepaść w lasach i przejść do legendy, jeśli tak miała potoczyć się historia, to niechaj tak pozostanie. A to, co chcesz zrobić, i to, po co ja wróciłem - żeby dowiedzieć się, co tam się znajduje... może to wszystko jest jednym wielkim błędem. Kto wie, czy nie lepiej, żeby nikt nie dowiedział się, co tam jest napisane.

- Liamie, czekamy aż od odkrycia tego zwoju w Jerozolimie, od jedenastu stuleci czekamy na odkrycie tajemnicy... nie zostawię tak tego teraz. - Niemal ze smutkiem potrząsnął głową. - Nie potrafię tego tak zwyczajnie zostawić.

Liam chciał już odpowiedzieć, że Locke nie ma wielkiego wyboru, ale przeszkodził mu niespodziewany trzask łamanych gałęzi i lawina zeschniętego błočka odpadającego z trzęsącej się szachulcowej ściany. Po kolejnym głośnym trzaśnięciu do szalasu wdarł się poszarpany, nierówny okrąg światła.

- Co do... - Szczeka Locke'a opadła.

Przez otwór precyzyjnie się jajowata głowa zwieńczona grzywą potarganych włosów.

- Liamie O'Connor?

ROZDZIAŁ 59

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

- Bob! - zawołał zaskoczony Liam.

Głowa Boba odwróciła się w jego stronę. Klon z hukiem przebił się przez ścianę, otoczony tumanem wirującego błota, chmurą pyłu i kanonadą latających drzazg. Liam właśnie ocierał twarz z kurzu, gdy poczuł, jak duże pięści chwytają go brutalnie za szaty i stawiają na nogach.

- ZATRZYMAJ GO! - Głos Locke'a przebił się przez wszechobecny zamęt.

Nagle znaleźli się w oślepiającym świetle. Liam stęknął, zatkało mu dech w piersiach, gdy Bob poderwał go z ziemi i przerzucił przez ramię niczym worek mąki kukurydzianej. Jednostka ruszyła długimi susami przez obóz, tuż przed szeroko otwartymi oczami mężczyzn i chłopców, którzy biernie przyglądali się całemu zdarzeniu.

- ZATRZYMAJCIE GO! - Głos Locke'a zatrzęsł całym obozowiskiem. - PORWAŁ SZERYFA!

Twarcz Liama mocno odbijała się od ostrej kolczugi naciągniętej na klatkę piersiową Boba. Udało mu się przekrzywić szyję na tyle mocno, by do góry nogami widzieć świat: ludzi biegnących po broń, ludzi usuwających się z drogi Boba. Duży rębajło z rudą grzywą przetluszczonych warkoczyków postanowił stawić czoła jednostce. W swoich muskularnych łapach śmiałek dzierżył topór o długim drzewcu.

- Poddaj się! - krzyknął, lecz Bob wcale nie zamierzał zwalniać kroku.

Zamaszyste cięcie nadało ostrzu topora odpowiednią trajektorię, aby zmiażdżyć klatkę piersiową Boba... i twarz Liama.

- Je-zu! Bob, uważaj...!

Jednostka zablokowała sunący topór przedramieniem. Ostrze wbiło się głęboko w kolczugę. Ostre, rozpalone drzazgi strzaskanych żelaznych pierścieni zaczęły żądlić twarz Liama, który instynktownie zacisnął powieki, by chronić oczy.

Poczuł chwiejące się pod nim ciało Boba, usłyszał łupnięcie, trzaśnięcie i chrupot kilku ciosów lądujących w miejscu przeznaczenia, a potem czyjś desperacki krzyk - pewnie nieszczęsnego rudzielca - nagle zakończonego odgłosem miażdżonych chrząstek i kości.

Jego głowa znów zaczęła odbijać się od kolczugi, Bob wznowił bieg. Po chwili Liam ponownie odważył się spojrzeć na świat, który stanął na głowie. Zbliżali się do skraju polany. Bob przewalił się przez rząd starych kobiecín szorujących ubrania w wielkiej drewnianej bali.

Chwilę później przedzierali się już przez paprocie, krzaki i gałęzie. Kolce smagały i raniły twarz Liama, ale Bob wciąż galopował przez las niczym najbardziej niezdarna gazela pod słońcem. Liam nie ustawał w próbach złapania oddechu, niestety przy każdym susie jego żebra obijały się o twarde ramiona Boba, a z płuc, niczym z miechów kowalskich, uciekało całe powietrze.

- Bob! - udało mu się wydyszeć. - Zatrzymaj się!

- Nie teraz - odkrzyknął klon. - Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Bob zbiegł nieporadnie po stromym zboczcu, kilka razy niemal całkowicie tracąc przy tym równowagę. Zanurzył się po kolana w płynącym na dole strumyku, rozbryzgując wodę prosto w twarz Liama. Wspiął się na przeciwległy brzeg i dotarł wreszcie pod osłonę wielkiego powalonego dębu, po czym przeskoczył przez gruby pień i przykłęknął po jego

drugiej stronie. Zdjął Liama z ramion i postawił go na ziemi, szybko skanując postać agenta szarymi oczami.

- Czy jesteś ranny, Liamie O'Connor?

- Znaczący... nie licząc połamanych żeber? - Chłopak wciąż łapał powietrze.

Bob w zaszepieniu zmarszczył brwi.

- Nic mi nie jest... nic mi nie jest - sapnął Liam, by uspokoić klona. - Tylko żartowałem.

Ze wzniesienia na przeciwległym brzegu strumienia przy płynęło echo tuzina nawołujących się głosów. Pogoń poszła w las. Liama ciekawiło, jak bardzo będą się starali. Przetrzymany szeryf Nottingham byłby cennym atutem, gdyby Locke zdecydował się pertraktować z Janem. Ale najwyraźniej nie takie miał plany. Prawdziwa nagroda to odszyfrowany Graal. A mógł go zdobyć jedynie z pomocą Ryszarda.

- Bob - wyszeptał Liam.

Klon wciąż skanował wzniesienie na przeciwległym brzegu.

- Bob! Mają Graala!

- Jesteś pewien? - Klon spojrzał na niego z góry.

- Jest tam. - Liam skinął głową w kierunku wzniesienia i obozu. - Przywódca tych rozbójników... jest podróżnikiem w czasie, dokładnie jak przewidywaliśmy! Ale nie jest jednym z nas. Nie jest... Jeźdźcem w Czasie.

- Kto go przysłał?

- Nie do końca zrozumiałem. Ale... wrócił tu, żeby go odzyskać! Graala. Sądzę, że jest w tym szalanie. A nawet jeśli nie, to Locke przecież wie, gdzie go schował.

- Locke?

- No ten przywódca! James Locke - wysyczał niecierpliwie. - Przywódca!

- Rozumiem. Chcesz wrócić, żeby go odzyskać?

Nie, w głębi duszy nie chciał. Powrót do obozu to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

- Tak - westchnął. - Chyba... musimy wrócić.

Wtedy poczuł, że zwalony pień zaczął wibrować. Pochylił się do przodu i powiódł wzrokiem wzdłuż drzewa i wystających ponad ziemię korzeni na jego końcu - zobaczył ciemną, widmowo falującą sylwetkę Zakapturzonego, przyczajonego jak drapieżny ptak, który paciorkowatymi oczami świdruje okolicę w poszukiwaniu łakomego kąska.

- Och, daj już spokój - wymruczał ze zrezygnowaniem Liam. - Daj sobie wreszcie na wstrzymanie!

ROZDZIAŁ 60

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Zakapturzony zeskoczył; uwolniony od jego ciężaru pień poruszył się z głuchym skrzypnięciem, które wystraszyło kilka wron. Widmowa postać powoli wyprostowała się na równe nogi i zaprezentowała w pełnej krasie.

Bob odwrócił się w jej stronę, napinając ręce i nogi, by przygotować się do walki.

- Bob! Ostrożnie! To metalowy robot!

Zakapturzony powoli odwrócił czaszkę do Liama. Chłopakowi zdało się, że w cieniu dostrzega niebieskie światełko ledowych oczu.

- Ostrzeżenie! - ryknął Bob. - Nie jesteś upoważniony do uczestniczenia w zdarzeniach, które zmieniają historię!

Zakapturzony płynnie przeniósł wzrok na Boba. Bez słowa otaksował przeciwnika, rzucając mu niewypowiedziane wyzwanie. Raptem, bez ostrzeżenia, żelaznymi rękawicami rozsypał pelerynę i odrzucił ją na bok.

Liam aż sapnął z wrażenia. Widok był jednocześnie przerażający i fascynujący. Gdy ciało robota spowijała peleryna, sprawiało ono wrażenie przekonująco ludzkiego, lecz kiedy Liam ujrzał odsłoniętą metalową obudowę, nakrapianą bliznami rdzy i cętkami wojskowej zieleni, zaczął zachodzić w głowę, jak ktokolwiek mógł się nabrać i w ogóle pomyśleć, że to prawdziwy mężczyzna. Z ramion i szyi robota zwiślał plastik o cielistej barwie, w niektórych miejscach szerniały, w innych pokryty stopionymi pęcherzykami jak smażony ser. Gdziekolwiek konstrukcja pozostawała nieskażoną imitacją ludzkiej skóry, obwisłej jak u truposza.

- To stary robot wojskowy - odpowiedział Liam. - Tak mówił Locke.

- Potwierdzam - odrzekł Bob. - Konfiguracja zgodna z modelem koreańskim z pierwszej połowy lat czterdziestych dwudziestego pierwszego wieku.

- Jasne. Hmm... czy to mówi?

- Potrafi komunikować się za pośrednictwem syntezy mowy. Mało naturalnie. Zresztą, ta funkcja mogła zostać dezaktywowana.

- A rozumie nas?

Bob nie odrywał od postaci oczu, czekając aż wykona pierwszy ruch.

- Tak, rozumie.

- Spróbujemy... spróbujemy przekonać go, żeby nas nie skrzywdził? Zaprzyjaźnił się z nami?

Spojrzenie robota płynnie przeniosło się na Liama, powgniatana i skorodowana metalowa czaszka przekrzywiła się na bok, niebieskie światelka z zimną ciekawością przez chwilę wpatrywały się w jego twarz.

Bob dokładniej przyjrzał się robotowi. Baza danych zawierała cały katalog wariantów sztucznej inteligencji - drzewa genealogiczne kodu AI, począwszy od pierwszych funkcjonalnych transgeniczných modeli opracowanych w późnych latach dwudziestych aż do jego wersji zbudowanej w dwa tysiące pięćdziesiątym trzecim roku. W tym modelu Bob rozpoznał starą północnokoreańską jednostkę wojskową. Maszyna produkowana na skalę masową w latach czterdziestych zebrała krwawe żniwo podczas pierwszych Wojen Naftowych w rejonie Pacyfiku. Według jego danych jednostki tego modelu zaszlachtowały setki tysięcy obywateli Korei Południowej, Chin, Tajwanu a nawet ludność własnego matecznika - Korei Północnej. Seria okazała się zawodna, a oprogramowanie identyfikujące przyjaciół lub wrogów podatne na awarie. Nic dziwnego, skoro w maszynach instalowano piracki kod sztucznej inteligencji zmodyfikowany na potrzeby importowanych z Chin zestawów chipowych.

Bob postanowił przywitać się z przeciwnikiem za pomocą blue tootha. Chiński lub koreański interfejs językowy zbudowano przecież w oparciu o wspólny język programowania.

[W.G. Systems AI V7.234c. Prośba o identyfikację].

Robot powoli przeniósł spojrzenie na Boba.

[SolSun Inc.Ł V3.23 -: 29-06-45].

[Protokół komunikacji. Należy wybrać: ASCII-angielski. Heksadecymalny. Binarny].

[Wybieram Ascii-angielski].

- Właśnie otworzyliśmy kanał komunikacji - poinformował Bob.

- Dobrze. - Liam skinął głową. - Spytaj go teraz, czy okaże trochę serca i puści nas wolno.

- Zaprzeczam. Wiążą go parametry misji, tak jak mnie. - Bob postanowił dowiedzieć się, jakie cele misji wyznaczono robotowi i przygotował odpowiedni schemat zapytań.

[Podaj parametry misji, począwszy od celu priorytetowego].

[Cele misji - pierwszorzędny: WYPEŁNIAĆ ROZKAZ Y JEDNOSTKI O IDENTYFIKATORZE J.LOCKE - Drugorzędny: zlokalizować i zidentyfikować wroga siły w wyznaczonej strefie militarnej].

- Ktoś zhakował jego kod - rzekł Bob, odwracając się do Liama.

[Zidentyfikuj „wyznaczoną strefę militarną”].

Robot popatrzył w górę, na grube gałęzie dębu porośnięte liśćmi i żołądziami, po czym ponownie skupił wzrok na Bobie.

[Wyznaczona strefa militarna - 35°43'56.27"N / 127°47'19.17"E. Kumwon-San, Korea Południowa].

- Bob! Co się u licha dzieje? Co on gada?

- Wygląda na to, że postępuje zgodnie z instrukcjami dotyczącymi wojny zakończonej w dwa tysiące czterdziestym dziewiątym roku. Wierzy, że znajduje się w koreańskiej dżungli i że mamy dwa tysiące czterdziesty siódmy rok. Podczas wycofywania z eksploatacji jednostka nie została należycie zresetowana. Program jej misji jest wciąż aktywny, lecz prymitywnie zhakowany, tak by maszyna wykonywała werbalne rozkazy Jamesa Locke'a.

- No to... nie możesz jej po prostu powiedzieć, że się myli?

- Zaprzeczam. Nie potrafię identyfikować właściwego roku.

Liam powoli odczołgał się byle dalej od znieruchomiałej postaci Zakapturzonego.

- W żaden sposób nie możesz przekonać go do...

- Spróbuję.

[Informacja: bieżąca lokalizacja to 53°9'56.49"N/1°5'1.43"W. Las Sherwood, Anglia].

[Zaprzeczam].

[Znajdujesz się poza docelową strefą militarną].

Udzielenie odpowiedzi zajęło robotowi kilka chwil.

[Bieżący pakiet współrzędnych jest zgodny z docelową strefą militarną].

Bob spróbował z innej strony:

[Informacja: aktualna data to dwunasty czerwca tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku].

[Zaprzeczam. Obecna data to jedenasty marca dwa tysiące czterdziestego siódmego roku, godzina siódma czterdzieści pięć].

[Transmisja właściwej sygnatury czasowej].

Robot otrzymał dane i z zainteresowaniem przekrzywił głowę.

[Dane odebrane. Autenticzność danych potwierdzona. Proszę czekać].

[Wykroczyłeś poza parametry misji. Nie znajdujesz się w docelowej strefie militarnej].

[Konflikt danych].

[Natychmiast dezaktywuj tryb walki].

Niebieskie ledowe oczy robota przygasły i zamigotały. Cała konstrukcja obwisła i zadrżała.

- Bob! Udało ci się! - Liam klasnął w ręce, wstając z ziemi i ostrożnie podchodząc do znieruchomiałej bryły skorodowanego metalu i roztopionego plastiku. - Jezus, Maria, udało ci się go wyłączyć, w rzeczy samej! Istny z ciebie geniusz!

- Nie jest wyłączony. - Bob potrząsnął głową. - On tylko... zastanawia się...

- Och, jeśli tak stawiasz sprawę. - Liam uniósł brwi, po czym zatrzymał się w pół kroku i wycofał na kilka metrów. - Nie możemy zdzielić go teraz po łbie? Co? Póki się tak zastanawia?

- Ofensywne działanie może wyzwolić reakcję samoobronną.

- Och. No, to może dajmy dyla?

Bob otwierał już usta w odpowiedzi, ale posąg wrócił do życia z cichym szumem serwomotorów.

[Podstawowy cel misji nadpisany].

Niebieskie oczy ponownie zajaśniały.

[Werbalny rozkaz J. LOCKE'A (zweryfikowany hasłem)].

[Rozkaz otrzymany cztery minuty, trzydzieści cztery sekundy temu].

[Status rozkazu: aktywny].

[Polecenie = zabić obu].

Bob wysunął swój obusieczny miecz; ciszę lasu przeszył ogłuszający zgrzyt metalu o skórę pochwy. Hałas wyzwolił reakcję robota. Teraz maszyna wyciągnęła miecz i ruszyła ku Bobowi, w jednym ręku dzierżąc długie ostrze.

- Liamie O'Connor, powinieneś uciekać.

ROZDZIAŁ 61

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Po ostatnim kroku robot znalazł się w strefie bezpośredniego starcia, maszyna zamachnęła się mieczem jak biczem, celując w głowę przeciwnika. Bob odruchowo uniósł swoje ostrze, parując cios. Zabrzmiał ostry, wibrujący brzdęk i szczęknięcie metalu o metal.

Bob odpowiedział szybkim jak błyskawica wypadem, próbując wbić ostrze prosto w pachę robota - w hydrauliczne rury przez sekundę widoczne pomiędzy płytkami perforowanej metalowej zbroi. Końcówka miecza zahaczyła o jedną z rur, przezroczysty żółty płyn trysnął pod napięciem.

Robot opuścił rękę, łamiąc miecz Boba jak kawałek balsy, po czym chwycił jednostkę za kark, poderwał ją z ziemi i cisnął niczym zabawkę prosto na zwalone drzewo. Bob odbił się od masywnego pnia, który zadrżał od impetu uderzenia.

- Biegnij! - warknął Bob, podnosząc się na kolana.

Liam potrząsnął głową.

- Przydam się do pomocy!

- BIEGNIJ!

Robot pochylił się i mocno złapał Boba za prawe ucho, usiłując poderwać jednostkę z ziemi, ale małżowina oderwała się od skóry - rozległ się dźwięk jak przy rozpuszczaniu, po czym zachlapały ich gęste krople krwi. Robot odrzucił ucho na bok i ponownie nachylił się nad Bobem. Tym razem złapał go za kark i unióśł wysoko nad własną czaszkę.

Liam patrzył, jak z gumowej rury, którą Bob zdążył naciąć swoim ostrzem, obficie wypływa strumień żółtego płynu. Ciecz wytryskała tętnicznym rytmem...

„Jak krew... zupełnie jak krew robota”.

Robot przeniósł Boba kilka metrów, wciąż trzymając go nad głową niczym zdobyczne trofeum, i cisnął nim brutalnie o drzewo. Liamowi zdawało się, że usłyszał odgłos pęknięcia. Bob stęknął, stoczył się na bok i grzmotnął o ziemię.

„Jezu. Ten blaszak go zabije!”.

Wciąż trzymany w drugiej dłoni mieczem robot przebił lewe ramię Boba, przybijając go do pnia, jak lepidopterolog przyszpila nowego motyla w kolekcjonerskiej gablocie.

- Bob! - piskliwie wrzasnął Liam. Klon starał się wyciągnąć miecz z drzewa, ale ostrze ugrzęzło w starym obumarłym dębie na dobre trzydzieści centymetrów.

Przyszpiliwszy Boba, robot powoli odwrócił się do Liama. Niebieskie oczy łagodnie jaśniały, skupiając się na kolejnym celu.

- Proszę! - wydukał Liam trzęsącym się głosem. - Nie uczestniczę w twojej wojnie!

Robot podszedł bliżej.

- Ho-hola! Hej! James Locke powiedział, żebyś mnie dopadł, co? Nie... nie musisz mnie zabijać.

Liam próbował zrobić krok do tyłu, lecz potknął się i wylądował w pokrzywach. Robot stanął tuż nad nim, po czym powoli uklęknął i zacisnął rękawicę na gardle Liama.

- P-proszę! Pomogę Lockowi... Po-pomogę... m-mu!

Liam złowił uchem łupnięcie i odgłos rozdarcia dochodzący zza pleców robota. Choć może był to tylko odgłos wydany przez jego własne struny głosowe. Poczul, że palce robota zaciskają się na jego tchawicy, mocno i równo jak w imadle, mięśnie i tchawica, chrząstka i jabłko Adama ocierały się o siebie. Zobaczył białe iskry, w uszach pulsowała krew, szukając ujścia do mózgu przez niebezpiecznie ściśniętą tętnicę szyjną.

Nagle w jego twarz chlusnął gorący i cuchnący płyn.

Dłoń oplatająca mu kark drgnęła niebezpiecznie, jakby próbowała go złamać, ale później chwyt osłabł, jakby ktoś nagle obrócił pokrętko imadła w przeciwną stronę. Dłoń opadła na jego klatkę piersiową niczym martwa kończyna paralityka.

Liam odzyskał ostrość widzenia i zobaczył, że ręka robota luźno zwisa przy jego boku. Gumowa rura pod pachą trzepotała jak wąż, wypływając gorący strumień żółtej cieczy. Robot bojowy padł na kolana, niebieskie światelka tępo patrzyły na obezwładnioną rękę.

Za maszyną triumfalnie stał Bob z połamanym, wyszczerbionym kawałkiem miecza w dłoni. Druga ręka zamieniła się w zwisający, poszarpany kikut zakończony ułamkami łokcia i obwisłymi płatami wystrzępionych ścięgien oraz mięśni.

Bob wepchnął ostry koniec połamanego miecza w małą lukę pomiędzy ramionami robota i przekręcił broń. Robot szarpnął się, pod wpływem mocnego nacisku rzygnęła jeszcze większa ilość żółtego płynu.

Na półmetalowej, półplastikowej masce przypominającej twarz człowieka pojawiły się jakieś emocje. Zaskoczenie. Szok. Wreszcie, przy szumie ukrytych napędów poruszanych przez spadające ciśnienie, robot opadł na bok.

- Mieliśmy szczęście. Wygląda na to, że tylny panel sensoryczny jednostki bojowej został zniszczony podczas wcześniejszej walki - rzeczowo zauważył Bob, po czym przyjrzał się poszarpanym szczątkom lewej ręki. Tętnice powoli przestawały buchać krwią, posoka z otwartych żył krzepła grubą warstwą, jak klej stolarski.

- Bob! - Liam przełknął ślinę. - Twoja... twoja ręka! - Obejrzał szeroką sylwetkę Boba i zorientował się, że brakująca część wciąż była przybita do drzewa.

- Przeżyję - rzekł szorstko, po czym spojrzał na robota. - Tryb ruchu został w tej obudowie bojowej wyłączony, ale wciąż jest aktywna.

Liam zauważył, że niebieskie punkciki wciąż płonęły wściekle, a głowa maszyny spazmatycznie obraca się w lewo i w prawo przy głośnym brzęku małego przegrzanego silnika, jakby samo to mogło pomóc w podniesieniu ciężkiej i martwej obudowy z leśnego poszycia.

- Co... co mu zrobiłeś? - z trudem wymamrotał Liam. Gardło paliło jak diabli.

- Przeciąłem główny przewód hydrauliczny. Ciecz zasila system ciśnieniowy pozwalający serwomotorom aktywować ruchy kończyn. - Spojrzał na zepsutego robota. - To usterka projektowa jednostek mechanicznych - wyjaśnił z lekkim lekceważeniem. - Nie potrafią się regenerować. To stara technologia.

- Jasne.

Bob zaczął rozglądać się po ziemi, aż dostrzegł to, czego szukał. Pochylił się i podniósł kamień wielkości ludzkiej głowy.

- Co robisz? - spytał Liam.

- Jednostka wciąż jest aktywna. Należy ją zniszczyć.

Gdy Bob podnosił głaz nad głowę, Liam odwrócił wzrok. Pomimo że na ziemi leżała tylko maszyna, plastikowa skóra pod nosem sprawiała, że przynajmniej połowa czaszki wygląda zbyt ludzko, by beznamytnie patrzeć na jej miażdżenie.

Usłyszał kilka ciężkich uderzeń, a następnie brzęczący i stukoczący poświst jakiegoś wewnętrznego komponentu, który wciąż szaleńczo pracował. Jeszcze ostatnie łupnięcie i dźwięk zamarł.

- Czy jest... martwy?

- Martwy - odparł Bob.

Liam odwrócił się, by spojrzeć na rozplaszczoną bryłę pogniecionego metalu i pokruszonego tworzywa o barwie skóry.

- Zanim ta jednostka nas znalazła, rekomendowałeś powrót do obozu - zauważył Bob.

- Nie możemy tam wrócić - odparł chłopak. - Nie możesz walczyć. Nie w tym stanie.

- Moja wydajność bojowa spadła jedynie o pięćdziesiąt procent. Wciąż jestem efektywną platformą militarną.

Liam spojrział na niego uważniej. Może i ma rację. Szczerze żałowałby losu mężczyzny na tyle głupiego, by stanąć do walki z jednorękim Bobem. Ale gdy tak patrzył na żałośnie zwisające strzepy lewej ręki, nie miał serca poprosić Boba - nie, rozkazać Bobowi - aby przetaił szlak do obozowiska.

Potem jego wzrok spoczął na porzuconej czarnej pelerynie robota, poszarpanych szmatach i bawełnianych rajtuzach wciąż okrywających martwe ciało Rexa.

- Dobra... Dobra, mam pewien pomysł. Chyba trzeba go pochować?

- Potwierdzam. Wtedy metal z czasem przerdzewieje.

- Najpierw go rozbierzmy. - Spojrzał na Boba i uniósł brew. - Zgadnij, kogo będziesz teraz udawał...

ROZDZIAŁ 62

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Liam bojaźliwie zerkał na boki, gdy maszerowali przez obóz. Odprowadzały go wrogie spojrzenia. Ktoś podniósł z ziemi kawałek końskich odchodów i cisnął nimi w chłopaka. Rozpadły się w powietrzu i opadły drobnym deszczem na klatkę piersiową Liama, który ukrył twarz w dłoniach, by nie zderzyć się z kolejnymi pociskami tego typu.

Idąca za nim wysoka postać w kapturze szturchała go co chwila czubkiem miecza, a kiedy Liam potknął się i niemal upadł, tłum szyderczo zagwizdał. Gawiedź rozstępowała się przed nimi z wyraźnym ociąganiem; na włosach i ramionach poczuł delikatne pacnięcie plwocin. Skrzywił się z odrazy, wciąż chowając twarz w dłoniach. Cizba hałasowała coraz głośniejsze.

- Przeklęte francuskie ścierwo! - krzyknęła jakaś kobieta, Liam poczuł, że od jego pleców odbija się coś ciężkiego i mocnego.

- PRZESTAŃCIE! - huknął Bob z tyłu.

Słowa te zrobiły natychmiastowe wrażenie na kotłującej się cizbie. Zapadła głucha cisza. Liam usłyszał nawet cichutki trzask tłącego się paleniska i bulgotanie gotowanej w garze wody.

„Nigdy nie słyszeli, jak mówi Zakapturzony”.

Może popełnili błąd. Zastanawiał się, czy ciszę przerwie krzyk kogoś, kto zauważył, że postać w kapturze jest zwykłym szalbierzem. Pełna szacunku cisza przeciągała się, tłum ustąpił im drogi... aż pod sam szałas Locke'a.

Liam szedł przed siebie, ze wszystkich sił starając się wyglądać na zastraszonego, wyczerpanego i upokorzonego. Po ostatnim mocnym i niepotrzebnym szturchnięciu, od którego zaskomlał, Liam pochylił się i wszedł do środka przez wąskie wejście. Bob kroczył tuż za nim.

W szałasie było jaśniej. To oczywiste - Bob bezceremonialnie wyburzył spory kawał okrągłej ściany.

Chłopak zobaczył, że Locke stoi z bronią w trzęsących się rękach.

- Ani kroku dalej! - warknął i zerknął na Boba. - Gdzie ona jest? Co zrobiliście z moją jednostką bojową? Bob ściągnął kaptur. Nie było sensu dłużej udawać.

- Twoja jednostka bojowa została dezaktywowana.

- Dobry Boże... - Locke zmrużył oczy. - Jesteś... jesteś transgenicznym modelem.

- Jestem prototypem jednostki bojowej wyprodukowanej przez W.G. Systems - potwierdził Bob. - Partia zarodka WGS09-122056.

- Mój Boże! - Mężczyzna uśmiechnął się z podziwem.

- Opuść broń - rzekł Bob.

Locke zawahał się, spoglądając na czubek ostrza i uświadamiając sobie, że broń nie powstrzyma giganta. Powoli opuścił lufę.

- Co teraz? - spytał po cichu.

Liam pokręcił nadgarstkami i zrzucił z rąk luźne, szmaciane więzy.

- Graal. Jest w tym obozie, co?

Locke nic nie odpowiedział. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- No dalej, Locke - zachęcał Liam. - Przybyliśmy tu z tego samego powodu co ty. Musimy wiedzieć, co kryje!

- Proroctwo?

- Jeśli tym właśnie jest. - Liam wzruszył ramionami. - Jeśli kryje wielką tajemnicę... wtedy tak!

Locke nie spuszczał wzroku z miecza.

- No, dalej... Słuchaj, mamy ten sam cel, prawda? Możemy przecież nawiązać współpracę. Coś się wydarzy, mam rację? A w Graalu znajduje się ostrzeżenie? Powiedz, gdzie to jest, a może uda nam się wspólnie odczytać przepowiednię!

- Tylko król Ryszard ma klucz do odszyfrowania Graala. - Mężczyzna potrząsnął głową.

Liam bezradnie popatrzył na Boba w poszukiwaniu pomocy, ale jednostka pomocnicza nie miała akurat żadnych rekomendacji.

- Moglibyśmy zabrać go do biura terenowego. Mamy tam komputer o potężnej mocy obliczeniowej. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby złamać szyfr.

- Możecie powrócić!?

- Tak.

- Powrócić do przyszłości?

- Oczywiście! Zorganizowaliśmy punkt odbiorczy. Czas, miejsce, wszystko.

- Kłamiesz! - Locke potrząsnął głową. - Nie licząc Waldsteina, nikomu nie udało się opracować niezawodnej procedury powrotnej!

- Nam się udało.

- Mój Boże - wyszeptał. - Dobry Boże... wy istniejecie naprawdę. Ta wasza Agencja...

- Agencja istnieje - odparł Bob.

- No, więc jak będzie, Locke?

- Potrzebujemy... potrzebujemy dokumentu, który ma król Ryszard. Koniecznie potrzebujemy matrycy. W przypadku tego kodu wszystkie matematyczne metody okazują się zawodne.

- Musi być inny sposób. - Liam zmarszczył brwi. - Słuchaj... według mnie za żadne skarby nie możemy pozwolić, by w rękach króla Ryszarda znalazły się obie te rzeczy.

- Potwierdzam - rzekł Bob.

- Według zapisów historycznych Graal jest mitem - kontynuował Liam. - Tak głosi legenda. Ginie i staje się mitem, nic więcej, bez względu na to, jakie tajemnice skrywa. Na pewno nie został odnaleziony przez króla Ryszarda i... nie zainspirował go do podbicia świata w trakcie czwartej wyprawy krzyżowej.

- Informacja: na poprawnej osi czasu król Ryszard nie próbował organizować kolejnych krucjat. Przez ostatnie pięć lat swoich rządów starał się przywrócić królewski autorytet w Anglii i odzyskać utracone ziemie we Francji.

- Właśnie. Żadnych Graalów. Żadnych krucjat. Dał już sobie z tym spokój.

Locke w zamyśleniu gładził brodę.

- Jeśli uda nam się rozszyfrować tekst, zrobimy to wspólnymi siłami. Ja i ty. Jeśli nie, cóż... - Liam wzruszył ramionami. - Wtedy postaramy się, by słuch o nim zaginął. Locke? Co ty na to?

- Kto wie - odparł i zacisnął usta.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedział Bob. - Jeżeli siły króla Ryszarda nadciągają pod Nottingham...

- Graal będzie zdecydowanie bezpieczniejszy na zamku w Nottingham niż w tych lasach - wtrącił Liam.

- Potwierdzam.

- A wtedy postanowimy, co dalej.

- Dobrze. - Locke w końcu skinął głową i oddał broń Liamowi. - Dobrze. Ja... chyba... tak, przemówię do moich ludzi.

- Co im powiesz?

- Jeżeli nałożysz kaptur, uwierzą, że jesteś Zakapturzonym - powiedział do Boba, po czym ponownie zajął się gładzeniem brody. - Powiem im, że powinniśmy złożyć przysięgę wierności Janowi, że trzeba nam ruszyć do Nottingham... wciąż masz prawo objąć ich amnestią, zgadza się?

- Tak - potwierdził Liam. - Dopóki Jan mnie nie odwoła, wciąż jestem szeryfem.

- Dziękuję. - Locke uśmiechnął się na to. - To nie przestępcy. To nie przestępcy... tylko głodni, zdesperowani chłopcy. - Schylił głowę i wyszedł z szałas.

Liam odetchnął głęboko i czekał, aż odgłos kroków Locke'a ucichnie wśród paplaniny

na zewnątrz. - Poszło nam lepiej, niż się spodziewałem.

- Ufasz Lockowi? - spytał Bob.

- Szuka prawdy, nic więcej. Tego samego, co my. Przybył tutaj z biletem w jedną stronę. Wykazał się nie lada odwagą. Nie wiem, czy sam miałbym jaja, żeby to zrobić.

- Pytam, czy mu ufasz.

- Tak... tak, myślę że tak. Chyba nie mamy wyjścia. Współpraca wszystkim powinna wyjść na dobre.

Bob nie sprawiał wrażenia przekonanego. Liam wskazał głową rozharatany kikut jednostki.

- Jak ręka?

- Przepadła - sucho odrzekł Bob.

- Pytam, jak się goi to, co z niej zostało - skrzywił się Liam. - Jej górna część?

- Tętnice zakrzepły, upływ krwi został zatamowany. Potrzebny będzie opatrunek, żeby do rany nie przedostały się zarazki i nie wywołały wtórnej infekcji.

- Odrośnie? Nie będziesz przecież paradował jako jednoręka jednostka pomocnicza, co, Bob?

- Sama nie odrośnie. - Bob potrząsnął głową. - Żeby zrekonstruować tkanki, będę musiał wrócić do próbówki wzrostowej.

- Jasne... - Czule poklepał Boba po plecach. - Zajmiemy się tym zaraz po powrocie do domu. - Skrzywił się. - Biedaku, zawsze masz pod górkę, gdy wyprawiamy się do przeszłości.

- Taka moja rola.

- Tak, ale... No cóż, chyba...

Usłyszeli nagle poruszenie: krzyki i stukot kopyt końskich na rozmokłej ziemi.

- Co się tam wyprawia? - Liam schylił się i wystawił głowę przez drzwi. Ludzie Locke'a stali jak wryci. W zdumieniu patrzyli, jak wóz podskakuje na nierównej nawierzchni i wtacza się z terkotem na wąską, wijącą się ścieżynę, która znika w lesie poza zasięgiem wzroku.

Liam zaklął i schował głowę z powrotem do szałas.

- Oślizgła szuja!

- Co się stało?

- Locke - ten cholerny uciekinier!

ROZDZIAŁ 63

Las Sherwood, hrabstwo Nottighamshire rok 1194

- Nie uciekłyby bez niego - powiedział Liam. - Nie uciekłyby bez Graala, to niemożliwe.

- W takim razie trzeba go złapać.

Liam ponownie zanurkował pod wejściem i zaczął torować sobie drogę przez ciżbę banitów, ale kilka par rąk chwyciło go w pól i sprowadziło do parteru.

- Gdzież się wybierasz, Francuziku? - warknął ktoś z tłumu.

Liam usłyszał zgrzytnięcie stalowego ostrza o pochwę.

- PUSZCZAĆ GO! - Głos Boba ponownie rozbrzmiał na polanie. Kroczył przed siebie z twarzą ukrytą pod kapturem. - COFNAĆ SIĘ! - Tłum zrobił to natychmiast, odskakując od Liama, jakby był trędowaty. Bob podał mu zdrową rękę i pomógł stanąć na nogi.

- Potrzebujemy koni - wymruczał Liam kącikiem ust. - Pieszo nigdy go nie dopadniemy.

- KTO MA KONIA?

W tłumie zapadła cisza.

- Bob, powiedz im, że zabierasz mnie do Nottingham - wyszeptał. - Powiedz, że zmusisz mnie do popisania amnestii dla nich wszystkich. Dzięki temu wrócą do domów.

Bob potakująco skinął głową i powtórzył słowa Liama uroczystym jak na paradzie tonem. Gawiedź przysłuchiwała się temu w bezgłośnym zdumieniu. Kiedy ogłosił, że będą mogli powrócić do domów, w tłumie dało się usłyszeć niepewne wiwaty. Niepewne, bo nowina zdawała się zbyt dobra, by mogła być prawdziwa.

- Gdzież ten Locke uszedł? - spytał czyjś głos.

- Ja odpowiem - mruknął Liam do Boba i odchrząknął. - Locke pojechał zaoferować swoje usługi królowi Ryszardowi! - Na wspomnienie króla z kilku gardeł wyrwał się okrzyk radości. - Och, nie jestem pewien, czy trzeba nam na jego cześć wiwatować - kontynuował Liam. - Nie sądzę, że Ryszard przybędzie tu, by wybawić was od Jana! Idę o zakład, że najpierw zawita tutaj. Zawita tu, by porachować się z wami wszystkimi, dopiero potem zajmie się bratem!

- Łżesz! - krzyknął ktoś z tyłu. - Tyś człek Jana.

Przez tłuszcę przetoczył się szmer aprobaty. Liam zrozumiał, że nikt nie uwierzy

żadnym jego zapewnieniom. - Lepiej ty im powiedz - wyszeptał do Boba.

- MÓWI PRAWDĘ! - warknął Bob. - REKOMENDACJA: NATYCHMIAST OPUŚĆCIE OBOZOWISKO I RYCHŁO WRA-CAJCIE DO DOMÓW! KRÓL RYSZARD PRZYBĘDZIE TU I WYRŹNIE WAS CO DO JEDNEGO!

Las nagle wybrzmiał podniesionymi głosami, wszyscy mówili naraz.

Liam zauważył, że po drugiej stronie obozu, za zgromadzonymi ludźmi, stoi niedożywiony koń, przywiązany do drzewa i apatycznie obserwujący rozgrywającą się przed jego ślepiami scenę pełną hałasu i poruszenia. Chłopak delikatnie szturchnął Boba.

- Tam. Widzisz?

- Potwierdzam - szepnął do Boba, a w stronę tłumu zagrzemiał:- ODJEŹDŹAM Z SZERYFEM. WSZYSCY ZOSTANIECIE UŁAS-KAWIENI!

Bob ruszył do przodu, ciągnąc za sobą Liama. Ciżba zaczynała się rozpadać na mniejsze grupki wyklócających się ludzi - niektórzy chcieli zostać na miejscu, inni zamierzali wracać do domu. Jakiś starzec chwycił Boba za połą jego peleryny.

- Nie opuszczajże nas! Pojdzem za tobą jako i za tobą tu przybylim! - wymamrotał płaczliwie.

Liam zerknął na Boba. Oczy jednostki ginęły w cieniu kaptura, ale dyskretne skiniecie głową upewniło Liama, że jednostka ma przygotowaną odpowiedź.

- To koniec, starcze - odrzekł. - Powstania nie będzie. Wracajcie doma!

Z tymi słowami na ustach ponownie chwycił Liama za rękę i zaczął go ciągnąć przez rosnący ścisk.

Starzec nie dawał jednak tak łatwo za wygraną.

- Nie możesz od tak nas samym sobie ostawić! Nic nie mamy! Mamy... - Ponownie złapał za pelerynę jednostki. Tym razem kruche ręce starca pociągnęły materiał na tyle mocno, że gdy Bob zrobił krok kaptur zsunął się z jego głowy i opadł na ramiona.

Reakcja była natychmiastowa. Po raz kolejny zapadła cisza; swary ucichły jak na zawołanie, głosy zamilkły, wychodzące z orbit oczy wpatrywały się w oblicze swego bohatera.

- Toż to człek, któren przybył tu wcześniej!

- Fortel to! - krzyknął inny głos. - Dla ocalenia szeryfa!

- Biegnij! - ponaglił Liam, kłując Boba w zębra.

Bob zdrową ręką wyjął łuk z dłoni stojącego obok młodziaka. Zamachnął się drzewcem i roztrzaskał głowy kilku mężczyzn, którzy okazali się zbyt wolni, żeby zrobić unik. Zaraz potem dwójka przyjaciół rzuciła się pędem w stronę konia.

Biegnący na bosaka Liam potknął się o rozpalone żagwie, uwalniając przy okazji deszcz iskier. Zaskomlał i podskoczył, dostrzegając kątem oka, że stojący w pobliżu ludzie zaczęli rozpaczliwie strzepywać odpryski płonącego drewna, które wplątywały się w ich suche szmaty i strąkowate włosy. Liam wciąż podskakiwał i skowyczał, ale Bob szybko odrzucił łuk, chwycił przyjaciela pod ramiona, a moment później zarzucił go już na kłęb konia. Czując na sobie niespodziewany ciężar, zwierzę wierzgnęło i jęknęło z wyrzutem. Bob z dziką siłą szarpnął za powróż przywiązany do drzewa, po czym sam wskoczył na konia. Brutalnie wałnął piętami w boki chabety i popędził ją prosto na tłum, roztrzając ręce banitów, którzy próbowali wyrwać im wodze i przejąć kontrolę nad zwierzęciem.

Gnali przez obóz, kopyta konia roztrącały kruche konstrukcje drewnianych szałasów i chałup, ludzie uskakiwali w ostatniej chwili. Powietrze przeszywał świst miotanych w ich stronę kamieni.

A potem znowu znaleźli się na leśnym dukcie.

ROZDZIAŁ 64

Nottingham rok 1194

Jan jak zaczarowany patrzył na ludzi na targowisku. Z szacunkiem rozstąpili się przed eskortującym go oddziałem i ponad dwudziestoma wozami załadowanymi jego bagażami i niezbędnym rynsztunkiem królewskiej służby.

- Wygląda na to, iż... hmm... iż wiwatują na moją cześć - szepnął do Beki.

Jechała tuż obok, dosiadając konia na kobiecą modłę - bokiem, a nie okrakiem. Przystrojono ją w kosztowne lny, które teraz z wdziękiem i lekkością powiewały w powietrzu.

- Tak, mój panie, na to wygląda.

- Miła to odmiana - mruknął, nieśmiało machając tłumowi chorą ręką. Ten prosty gest wywołał okrzyki aprobaty.

Wyjazd z Oksfordu nie przebiegał wszakże w tak miłej atmosferze. Jan poczuł, że dla własnego bezpieczeństwa lepiej ukryć się na jednym z furgonów i pozwolić eskortie przepychać się przez wściekły tłum, tak aby kolumna mogła swobodnie wyjechać przez bramy miasta. Słyszał szydercze gwizdy i obelgi, zgrzyt wyjmowanych z pochew mieczy oraz stukanie i walenie pięści oraz buciorów w drewnianą konstrukcję wozu.

- A zatem twój przyjaciel przysporzył mi nowych stronników.

- Tak. - Beki skinęła głową. - Okazał się bardzo skuteczny.

Uśmiechnął się i wskazał głową ludzi.

- A oni pozostają wierni... choć słyszeć już musieli, że armia Ryszarda nadciąga.

Jadąca w milczeniu Beki lekko skinęła głową i posłała mu słaby uśmiech, leciutko unosząc kąciki ust.

Jan poczuł, że z ciężkiego od trosk serca spada mu jakiś ciężar. Po raz pierwszy od lat poczuł, że ktoś zwyczajnie go... lubi. Ci ludzie mogli porzucić Nottingham i pozostawić je własnemu losowi. Bez wątpienia znaleźliby schronienie w innych miastach, wioskach. Zdecydowali się jednak zostać. Chcą zademonstrować królowi, że pochwalali namiestnictwo Jana, który opiekował się nimi w czasie, gdy on wojował na swojej głupiej wyprawie krzyżowej, doprowadzając do bankructwa ich wszystkich.

Księżę zauważył, że wszystkie stoiska targowe są dobrze zaopatrzone. Obfite plony letnie zebrano sprawnie, ponieważ nie trzeba było się już martwić o grasujące bandy rabusiów zostawiających za sobą płonące pola i martwych rolników. Ludzie sprawiali wrażenie zdecydowanie lepiej odżywionych niż w Oksfordzie - nie wszyscy straszili podartymi łachmanami i bladymi skórami naciągniętymi na kanciaste kości. Mieszczanie wyglądali zdrowo: jakby pochodzili z lepszych, szczęśliwszych czasów.

To przynajmniej jakieś pocieszenie.

Jeśli Ryszard postanowi oblegać miasto, będzie miał prawdziwie ciężki orzech do zgryzienia. Mury były mocne, położenie obronne dogodne. W mieście zgromadzono spore zapasy żywności, a ludność wyglądała na gotową stawać w jego obronie.

Ale co z Graalem?

„Znalazł go już?”.

Serce Jana niespokojnie zabiło na tę myśl. Obrona, bitwa, oblężenie? Żaden z tych nonsensownych koszmarów nie będzie musiał się ziścić, jeśli ten intrygujący młodzieniec, Liam De Connor, zdołał wytropić bandytów i odebrać im to, co ukradli.

Wówczas wręczy znaleźzisko bratu i ubłaga go, żeby wybaczył mu utratę Graala i fakt, że zwlekał z wypłaceniem okupu przez dwa długie lata. Będzie błagał, ukorzy się publicznie i ucałuje rękę brata. Ten wiernopoddańczy gest, do spółki z Graalem - być może - ugłaskają króla.

Później Jan dostałby oczywiście solidne wciry. Ale to już nie na oczach poddanych.

„Rodzina królewska przenigdy nie może okazać słabości... nie jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami jak plebs”.

Ryszard uczyniłby to z dziką rozkoszą: odarłby go z szat, zbił na kwaśną papkę i kazał skomleć o litość jak żalosnemu psu. Nie pierwszy raz by to uczynił. Ale Ryszard będzie teraz trzymał w rękach swojego drogiego Graala z wszystkimi bezcennymi tajemnicami templariuszy, więc wpadnie w szampański humor. Przestanie fantazjować na temat kolejnych wariackich kampanii zamorskich, jak tylko dotknie swojej świętej relikwii.

A Jan zachowa głowę.

Przed nimi wyrosła znajdująca się w głównej części grodu masywna twierdza Nottingham. Miał nadzieję, że na spotkanie wyjedzie im sam szeryf. Liczył na jakiś znak, uśmiech, dyskretne kiwnięcie głową - gest upewniający go, że wszystko jest pod kontrolą, że znów może spokojnie zasnąć.

„Że ma Graala”.

- Nikt nie wyjeżdża na powitanie - wymruczał Jan. - Azaliż nikogo w zamku nie ma?

Widział tylko, jak pomiędzy blankami podskakują głowy w hełmach. Zamek wciąż wydawał się pilnie strzeżony. Ale komitet powitalny na koniach już dawno powinien był wyjechać im naprzeciw, z czystej uprzejmości.

- Ciekawym, gdzie jest szeryf?

- Przed nami! - krzyknął Liam. Siedział okrakiem na podskakującym zadzie konia, a

jego głos brzmiał cieniutko jak trzask skowronka. - To on!

Wóz przed nimi turkotał po wąskim dukcie, koła rozjeżdżały się i wyginały na wystających korzeniach. Na tyle wozu, w tę i we w tę, toczyły się postrzępione wiązki drewna na opał i kilka worków jabłek, Locke popędzał konia do szybszego tempa, kopiąc go w zad.

Zbliżali się do niego dość szybko. Nawet ich stara, zmarnowana szkapka - sama skóra i kości - nadająca się już tylko pod nóż rzeźnicki, radziła sobie lepiej na tej krętej ścieżynce niż wóz na szerokich osiach.

Locke musiał usłyszeć nadciągającą pogoń. Odwrócił się, by spojrzeć przez ramię. Natychmiast uświadomił sobie, że jego furgon jest zbyt wolny. Ściągnął lejce, sięgnął na tył wozu po małą skrzynię z ciemnego drewna, nie większą niż pudło na kapelusze, i zeskoczył z kozła na drózkę.

- Ładuje kuszę!

- Złaz z konia - burknął Bob. - Zajmę się nim.

Liam niezdarnie zsunął się z kobyły i jęknął z bólu, wciąż bosa stopy trafiły na ostre krawędzie kamieni. Bob spiął chabetę i podjechał kawałek wzdłuż ścieżki, po czym skręcił w lewo, między drzewa, za którymi kilka chwil temu zniknął Locke. Liam przysłuchiwał się słabnącemu stukotowi kopyt i sporadycznym trzaskom wyschniętych gałęzi poruszanych przez prowadzącego pościg Boba.

Powoli ruszył ścieżką w stronę porzuconego wozu, skomląc i krzywiąc się za każdym razem, gdy następował na ostry kamień czy szyszkę jodłową. Wreszcie znalazł się przy wozie. Koń zezował na niego z wyrzutem, jakby nawet on wiedział, że tą ścieżką rozklekotana fura daleko nie zajedzie. Zwierzę prychnęło, rozszerzając chrapy.

- Dobry konik - rzekł Liam, po czym wciągnął się na tył wozu i legł wycieńczony wśród rozsypanych jabłek.

ROZDZIAŁ 65

Las Sherwood, hrabstwo Nottinghamshire rok 1194

Bob prowadził konia między drzewami, zręcznie unikając nisko zwisających gałęzi. Przed sobą słyszał Locke'a, który potykał się o głośno pękające pod jego stopami gałęzie. Robił zbyt dużo hałasu, by umknąć niepostrzeżenie.

I rzeczywiście, wreszcie Bob zauważył go przed sobą. Tempo Locke'a było załóżnicie wolne, pod jednym ramieniem trzymał drewnianą skrzynię, drugim wyrąbywał sobie drogę przez gęste skupiska paproci.

- Wstrzymaj bieg! - krzyknął Bob. - Nie uciekniesz!

Locke zatrzymał się i odwrócił. Szeroko otworzył oczy na widok Boba, który spokojnie prowadził konia przez leśne poszycie i nieuchronnie zbliżał się przez zarośla.

Locke uświadomił sobie chyba, że traci czas. Skonany i wyczerpany z sił opadł na mały głaz. Bob przełożył nogę przez konia, ciężko opadł na ziemię i podszedł do uciekiniera.

- Zakładam, że tego szukasz? - rzekł Locke, podtykając mu pod nos skrzynię.

Bob wziął podany kufer, położył go na ziemi, uniósł małą metalową klamrę i otworzył wieko. Przez chwilę w milczeniu patrzył na zawartość skrzyni, po czym z powrotem zamknął pokrywę.

- Kim wy jesteście... tak naprawdę? - spytał Locke między jednym ciężkim sapnięciem a drugim.

Bob bez słowa przyglądał mu się swoimi szarymi oczami.

- Jesteś zwykłym głupim robotem, co? Pod tą warstwą skóry, krwi i kości... kryje się tylko bezmyślny robot? Taki sam jak mój bojowy robot - zwykła maszyna wykonująca rozkazy.

- Mam priorytety misji - sucho odrzekł Bob.

- A co wiesz o tym, co jest w środku? - spytał Locke, wskazując pudełko.

Bob zamilkł.

- Właśnie... - Locke pokiwał głową. - Niewiele... co?

- Artefakt znany pod nazwą Świętego Graala może zawierać poufne dane na temat Agencji. Właśnie dlatego musimy go zdobyć i rozszyfrować jego treść.

Locke roześmiał się sucho i chrapliwie.

- To wszystko? Według ciebie tylko taką tajemnicę kryje? Sekret mogący zdemaskować waszą agencjkę? - Potrząsnął głową, nie przestając się śmiać. - Ty naprawdę nie masz bladego pojęcia... może się mylę?

- Wyjaśnij - Bob zmrużył oczy.

- Tam - podjął, wskazując skrzynkę i wciąż próbując złapać równy oddech. - Tam... jest coś o wiele ważniejszego. Twoja tajna agencja to nic... to pyłek kurzu w porównaniu do tego!

- Wyjaśnij.

- To nasza przyszłość... przyszłość ludzkości. Nie rozumiesz tego? To wrota, które otworzą się w dwa tysiące siedemdziesiątym... wrota, które otworzą się, by ukazać coś, co...

- Co ukazać?

- Właśnie w tym rzecz... Nie wiemy. Nikt tego nie wie! - ciągnął Locke. - Właśnie po to mnie tutaj wysłano. Mam się wszystkiego dowiedzieć, rozszyfrować tajemnicę. Poznać sekret i w jakiś sposób wysłać ostrzeżenie do moich czasów. Po to, żeby mogli się przygotować! - Locke splunął na poszycie. - Dobry Boże, musisz mi pomóc! Musimy odebrać klucz królowi Ryszardowi i...

- Twoje priorytety misji stoją w sprzeczności z moimi - trzeźwo odparł Bob.

- Co? Jakie priorytety są niby ważniejsze od wiedzy o tym, co nastąpi?

- Priorytety misji: Odzyskać Graala. Rozszyfrować tekst Graala. Naprawić zaburzoną historię. Zlokalizować i zlikwidować potencjalne źródła skażenia.

- Zlikwidować potencjalne źródła skażenia? - Locke spojrzał na niego pytająco. - Ach, rozumiem. Już wszystko jasne... Teraz musisz mnie zabić?

- Potwierdzam - rzekł Bob, wysuwając miecz z pochwy. - Twoja obecność w tej epoce niesie za sobą zbyt duże ryzyko skażenia osi czasu.

Locke przebiegł wzrokiem wzdłuż matowej krawędzi ostrza.

- Słuchaj... nie mam przy sobie żadnych nowoczesnych gadżetów. Jestem tylko bezradnym człowiekiem zagubionym w czasie. Spokojnie możesz puścić mnie wolno. Możesz mnie stąd wyprowadzić... Widzisz, ja wcale nie chcę wracać do dwa tysiące siedemdziesiątego roku! Nie mam na to najmniejszej ochoty!

Bob przyjrzał mu się w milczeniu.

- Proszę! Puść mnie... I tak nikt nie uwierzyłby w moje słowa. Uznano by mnie za wariata! Wioskowego głupka!

Drobna część umysłu Boba odnotowała rosnącą rozpacz w głosie Locke'a... desperackie pragnienie uniknięcia śmierci - dłuższego życia. Niewielki fragment mózgu jednostki rozumiał ten zwierzęcy instynkt. Podzielał go nawet.

- Wstawaj - rozkazał Bob.

Kiedy Locke powoli podniósł się z ziemi, Bob uniósł zdrową rękę i szpicem ostrza wskazał las.

- Biegnij w tamtym kierunku.

Locke'a zamurowało.

- Biegnij w tamtym kierunku - powtórzył Bob. - Musisz bezzwłocznie opuścić hrabstwo Nottingham. Wykryjemy każdą próbę wpłynięcia na historyczne wydarzenia i wrócimy, żeby cię zabić. Czy to jasne?

- Tak... tak, oczywiście - Locke energicznie pokiwał głową.

- No to rób, jak mówię.

- Biec? Teraz?

- Natychmiast.

Locke ostrożnie zrobił kilka kroków do tyłu, nie spuszczać wzroku z Boba. Kilkanaście metrów dalej odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Bob bez słowa patrzył, jak mężczyzna przyspiesza kroku, nurkując pod gałęziami i przedzierając się przez zarośla. Gdy zyskał pewność, że Locke nie waży się już odwrócić głowy, uniósł ostrze ponad ramię, na krótką chwilę zamroził ruch, obliczając prędkość i trajektorię lotu, po czym mocno cisnął mieczem.

Broń świsnęła w powietrzu, zataczając jedno pełne koło - rękojeść obróciła się wokół szpica, który utkwiał w miękkim, mięsistym płacie skóry pomiędzy łopatkami Locke'a. Mężczyzna runął na ściółkę i raz rzucił całym ciałem.

Chwilę później Bob stał już nad trupem. Wyciągnął miecz i wytarł go o ubranie Locke'a. Silikonowy umysł szybko odhaczył z listy jeden cel misji, ten znajdujący się na samym dole. Zwierzęcy pierwiastek w umyśle Boba niechętnie wymruczał pochwałę za ten mały gest łaski podarowany Locke'owi. Jednostka do końca pozwoliła mu wierzyć, że będzie żył. Śmierć nadeszła bez ostrzeżenia... błyskawicznie.

Przynajmniej na takie miłosierdzie mógł sobie pozwolić.

ROZDZIAŁ 66

Nottingham rok 1194

Nie był pewien, czy rzeczywiście zasnął. Musiało tak być, skoro teraz patrzył wprost na wieczorne niebo, którego nie zasłaniała już gęstwina gałęzi i liści, a koła wozu skrzypiały na pożłobionym koleinami dukcie. Usiadł i zauważył szerokie bary Boba kołyszące się na siedzisku woźnicy.

- Dorwałś go?

Bob odwrócił się i spojrzał na niego.

- Locke nie wywoła już żadnego skażenia.

- Co? Czyli...

- Udało mi się zdobyć to, czego szukaliśmy - przerwał mu Bob. Odsunął na bok worek, pod którym leżała czarna drewniana skrzynka. Okute stalowymi uchwyty wieko zdobiły niewyraźne linie geometrycznego wzoru, który musiał zostać wyryty dawno temu.

- Bob! To naprawdę to? To Święty Graal? Otwierałeś go?

Bob przywołał na twarz swój najlepszy uśmiech. Ten, który przyprawiłby każde dziecko o koszmary.

- Sądzę, że leży tam to, czego szukamy.

Liam sięgnął po pudełko, lekko muskając koniuszkami palców słoje drewna i niewyraźne ryty znaczące wieko. Ogarnęło go dziwne uczucie. Poczł mrowienie energii przepływającej przez jego ręce, unoszący się meszek włosów i dreszcz - strachu? ekscytacji? - rozlewający się po ciele.

„Wewnątrz tej skrzyni znajduje się Święty Graal, Liamie. Święty Graal”.

Artefakt poszukiwany przez legendarne postaci, przez króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu. Relikt, który, jak powszechnie mniemano, był kielichem wypełnionym krwią Chrystusa, czarą... lub li tylko mitem, metaforą. Ale oto i jest, na podskakującym wozie zwalonym rozsypanymi jabłkami.

Ostrożnie, w nabożnym skupieniu, odsłonił wieko... nie zdziwiłby się, gdyby niespodziewanie rozstąpiło się niebo, ukazując oblicze Pana gotowego razić go piorunem za pychę, jaką wykazuje, mniemając, że jest godzien odczytać słowa Boże.

Wewnątrz skrzyni zobaczył wytarty, płócienny worek, ciasno przewiązany u góry kawałkiem sznurka. Worek leżał na cienkiej warstwie monet z wybitą podobizną króla Henryka II, ojca Ryszarda i Jana. Liam zgadywał, że pieniądze zrabowali bandyci Locke'a, napadając na poborców podatkowych i kupców, którzy okazali się na tyle głupi, by w ciągu ostatnich dwóch lat wyprawić się do Nottingham leśnym duktem.

Powoli wyciągnął płócienny worek i poluzował sznurek, by swobodnie zajrzeć do środka.

Zobaczył rączkę drewnianego drążka i ciasno nań nawinięte postrzępione stronice poźółkłego zwoju. Poczł palące pragnienie wyciągnięcia go z torby i rozwinięcia, ale wóz toczył się i podrygiwał niepewnie, a koła co i rusz wpadały w koleiny na drodze. Na

większym wyboju pergamin mógłby porwać mu się w rękach.

Wpatrywał się w przetarte krawędzie zawinięte wokół drążka. Na którejś z tych stron widniało słowo Pandora. Wiadomość, ostrzeżenie wysłane przez kogoś - jeśli Maddy miała rację - specjalnie dla nich.

Ponownie poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu dreszcz, zupełnie jakby przez samo trzymanie zwoju, wpatrywanie się w niego, mógł zbudzić z głębokiego snu, zakłócić spokój, głupio rozdrażnić... coś potężnego.

Ponownie mocno zawiązał sznurek, łagodnie odłożył płócienny worek na ściółkę monet i zatrzasnął wieko.

Podsunał się do przodu i poklepał Boba po ramieniu. Gdy jednostka odwróciła głowę, wzrok Liama znalazł się dokładnie na wysokości postrzępionych, krwaworóżowych krawędzi tego, co zostało z górnej części jej prawego ucha. Smuga czarnej krzepnącej krwi spływała po karku i znikwała w fałdach czarnej peleryny.

- Bob... to naprawdę to, no nie? Znaleźliśmy...

„Najprawdopodobniej znaleźliśmy najcenniejszy kawałek zmiętego papieru, jaki kiedykolwiek istniał”. - Zastanawiał się, czy powiedzieć to na głos, czy może lepiej nie kusić losu i nie zachęcać nikogo do ciśnięcia piorunem.

- Uwaga! - niespodziewanie krzyknął Bob.

Liam podniósł wzrok znad skrzyni. Zakurzony dukt zawiódł ich prosto na szczyt wzniesienia. Pod nimi, maleńkie jak zamek dla lalek, falowało warowne miasto Nottingham oblepione południowym skwarem i tętniące codziennym życiem. Doskonale znany Liamowi widok. A przynajmniej byłby taki, gdyby nie ciemne zarysy postaci bezceremonialnie depreczających szachownicę zaoranych pól poza murami grodu.

Były ich tysiące. Migocząca poświata kolczug i zbroi: las wielobarwnych chorągwi powiewających nad kolumnami mężczyzn maszerujących południową drogą i zalewających

okoliczne pola. Chmury ciemnych postaci ściągały z wozów ekwipunek i rozstawiały namioty w miejscu stratowanych plonów, cieśle pracowicie obrabiali bele drewna, rytmicznie waląc w nie dziesiątkami toporów i młotów. Stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk.

- Król Ryszard już przybył - stwierdził Bob.

W dalszej części pochylego traktu wiodącego pod główną bramę grodu wzbierała rzeka ludzi i wozów. Żołdacy króla Ryszarda puszczali wolno wszystkich, którzy nie chcieli brać udziału w oblężeniu. W większości kupców i nietutejszych handlarzy opuszczających gród z pustymi furgonami - nie czuli się oni w żaden specjalny sposób związani z miastem i nie mieli ochoty umierać za cudzą sprawę.

- Wpuszczają wszystkich, ale nie wpuszczają nikogo - zauważył Liam.

- Potwierdzam.

Liam ponownie spojrzał w dół, na gęstniejący przed bramami Nottingham ścisk. Gdyby udało im się tam przedostać, to może w powszechnym zamieszaniu przekradliby się za mury.

- Bob. Spróbujmy podejść jak najbliżej, zanim ktoś nas zatrzyma.

- Potwierdzam.

- I lepiej załóż kaptur... twoje ucho przyciągnie uwagę.

Bob uczynił, jak mu kazano i naciągnął kaptur na kędzierzawą głowę. Potem chwycił lejce w zdrową rękę i dla zachęty kopnął konia w zad. Zwierzę ociężale ruszyło przed siebie, koła wozu ponownie zapiszczały, a oni zaczęli zjeżdżać w sam środek rozgrywającej się poniżej sceny.

Kilka minut później mijali już pierwszych kupców opuszczających miasto, wielu z irytacją darło się do nich, że zmierzają w złą stronę i powinni albo zawrócić, albo zjechać z traktu; ale nie licząc tych pokrzykiwań, nie spotkali się z żadnymi przeszkodami. Dopiero

stojący jakieś trzydzieści metrów dalej żołnierze, ubrani w skórzane kamizelki z przewieszonymi przez nie oliwkowozielonymi szarfami, zaczęli na nich machać, żeby się zatrzymali.

Liam zaklął.

- Co teraz zrobimy? - syknął z tyłu.

- Szacuję ryzyko. - Bob od niechcenia wzruszył ramionami.

- Nie bardzo mamy teraz czas na szacowanie ryzyka... cholera jasna! - Liam zacisnął zęby. Znajdowali się jakieś sto metrów od głównej bramy grodu, na całym tym odcinku roilo się od ludzi. Gdyby tylko udało im się wtopić w ten tłum...

Żołnierze wychodzili już na gościniec, by zastąpić im drogę.

„A co, jeśli zdecydują się przeszukać wóz? Co, jeśli jeden z nich dojdzie do wniosku, że to małe pudeleczko wygląda bardzo zachęcająco?”.

- Bob, coś mi się zdaje, że musimy zaryzykować.

- Wyjaśnij, co rozumiesz przez termin „zaryzykować”.

- Nie zatrzymuj się. Jedź. Bardzo szybko!

- Tak jest. - Bob posłusznie skinął głową.

Smagnął konia lejcami po grzbiecie i dla pewności ponownie wymierzył kopniaka w zad biednej kobyły, która zarżała w proteście, ale, chcąc nie chcąc, przeszła do opornego galopu.

Żołnierze przed nimi zaczęli wykrzykiwać ostrzeżenia, żeby się zatrzymali, lecz w ostatniej chwili usunęli się z drogi, by uniknąć stratowania.

Gdy mignęli przed nimi, wściekle głosy jęły wykrzykiwać rozkazy. Kolejny oddział żołnierzy nadzorujących exodus kupców wyszedł na drogę, by powstrzymać pędzący furgon. Liam zauważył, że ta grupa wartowników ma większe atuty w postaci długich pik. Jeden taki drzewiec mocno oparty o ziemię wystarczyłby do przebicia klatki piersiowej konia i powalenia go na miejscu.

Potrzebna im była teraz panika. Chaos. Wabik. Potrzebne im były...

Sięgnął po skrzynię, otworzył wieko, po czym ostrożnie wyjął ze środka płócienny worek owinięty sznurkiem i skrył go pod fałdami peleryny. Rękoma sięgnął po resztę - po kopczyk złotych monet.

- Bob! - wrzasnął przez ramię. - Krzyknij: „Pieniądze rozdają”. Albo coś podobnego. Tylko głośno, naprawdę głośno!

Bob wyciągnął zakapturzoną szyję i zobaczył, że Liam ma ręce pełne złota. Chyba zrozumiał, jaki fortel szykuje Liam.

- PIENIĄDZE! - ryknął, przekrzykując stukot kopyt i udręczony pisk wirujących kół.
- ROZDAJĄ PIENIĄDZE!

Liam wyrzucił garść lśniących monet przez lewą burtę wozu, pros to w wysoką trawę zarastającą pobocze. Skutek był niemal natychmiastowy - tłum zareagował jak stadko gołębi, przed którymi rozrzucono okruszki chleba. Żony kupców idące przy wozach swoich ślubnych, biedota poruszająca się pieszo, pomocnicy handlarzy, starzy i młodzi, dzieci i dorośli - wszyscy zbiegli z traktu i zanurkowali w wysokiej trawie.

Bob, zręcznie manewrując koniem, wcisnął się wozem w lukę pomiędzy dwiema furmankami, dzięki czemu przedostali się na prawą stronę traktu wiodącego do bramy wjazdowej. Liam nie przestawał rzucać w tłum kolejnych garści złota.

- PIENIĄDZE! ZŁOTO DLA KAŻDEGO! - krzyczał Bob.

Ręce wyciągały się w stronę szybujących w powietrzu monet. Wóz zrównał się teraz z

pikinierami - żołnierze znajdowali się na lewym brzegu przybierającej rzeki ludzi, oni na prawym, rozdzielało ich morze rąk walczących o uzyskanie swobodniejszego dostępu do deszczu monet.

Żołnierze wściekle przepychali się przez zgiętych wpół ludzi i tonęli w kurzu, by dopaść mąciwodów, ale wtedy Liam cisnął prosto w nich kolejną garść złota. Bilon zabrzęczał na ich hełmach niczym odłamki pocisków. Zadziało, zatrzymali się jak zaczarowani, a po chwili opadli na klęczki, żeby zebrać jak najwięcej monet.

Wysoki łuk wjazdowy wylaniał się już przed nimi, Bob ostatni raz brutalnie kopnął ich biedną chabetę, zmuszając ją do przejścia z galopu w brawurowy cwał. Kopyta głośno zadzwoniły o miejski bruk, w który właśnie zamieniła się droga z wyschniętego blocka. Ogon ewakuujących się kupców prędko rozbiegł się na wszystkie strony, umykając spod kopyt rozszalałej kobyły. Przemknęli pod bramą i wjechali na rynek w obręb murów zamkowych.

- ZŁOTO DLA WSZYSTKICH! - Głęboki głos Boba rozbrzmiał na rynku, odbijając się od kamiennych ścian niczym huk syreny okrętowej. Liam wyrzucił za wóz kolejną porcję złota, żeby upewnić się, iż żołdacy króla Ryszarda nie przepchną się za nimi przez wejście, zakorkowane przez zgiętych wpół ludzi, którzy macali po ziemi w poszukiwaniu monet.

- Przedarliśmy się! - krzyknął Liam. - Udało się!

Bob ściągnął lejce i kobyła zwolniła do kłusa, rżąc z wyczerpania.

Ludzie wokół nich, również żołnierze - tym razem w ciemnoczerwonych i pomarańczowych barwach miejskiego garnizonu - zbiegli się wokół wozu, pożądliwie spoglądając na złoto połyskujące na kocich łbach.

„Czemu by nie?”. - Liam wyszczerzył zęby.

Sięgnął na dno kufra po to, co zostało i wyrzucił wszystko w tłum.

- Pieniądze dla biednych! - krzyknął.

ROZDZIAŁ 67

Zamek w Nottingham rok 1194

Pierwszą osobą, którą zauważył Liam - po tym jak przez jedwabne zasłony weszli z Bobem do głównego holu twierdzy - była Beki. Stała pod łukowym sklepieniem przy drewnianym tarasie, przybierając nedorzeczną pozę wielkiej damy; długie, haftowane lny i koronki szykownie falowały podrywane podmuchami wiatru.

- Salutations, Liam. J'espère que vous allez bien? [Witaj, Liamie. Żywię nadzieję, że miewasz się dobrze.]

Liam przygryzł wargę, z trudem powstrzymując niestosowne pragnienie wybuchnięcia śmiechem. Zdołał grzecznie ukłonić się jednostce.

- Bądź pozdrowiona, lady Rebeko.

- Ty również - przeszła na angielski.

Jan opuścił taras i wszedł do komnaty. Uśmiechnął się, szczerze uradowany widokiem Liama.

- Ach! Mój szeryf! Oto i bohater dnia! - Podeszedł bliżej, by się przywitać. - Dłużnikiem twoim jestem! Zaprawdę! Przybyłem tu przy wiwatach tłumu, co trudne do uwierzenia - prawdę wszakże powiadam. Chłopi na mą część wiwatowali!

- Pozostają ci lojalni, panie - ukłonił się Liam.

- Mniemam jednakowoż, że to twoje traktowanie ludu zaskarbiło mi jego oddanie, zaprzeczysz może? - Twarz Jana przybrała kpiąco-poważny wyraz. Gęste brwi spotkały się w

jednym punkcie. - Widziałem twój iście ekstrawagancki wjazd na rynek. Gratuluję przebicia się przez linie Ryszarda, lecz... spytać o to muszę: czy to zwyczaj już tu przyjęty, żeby ludziom pod nogi królewskie przychody rzucać, aby do grodu móc wjechać?

- Och, tak, to znaczy... Cóż, hmm... Ja, my, hmm...

Jan rozchmurzył się i postanowił zapomnieć o pytaniu.

- Nic to. Król powrócił do kraju, zatem to Ryszarda pieniądze rozrzuciłeś, nie moje. - Podszedł bliżej. Umysł Jana zaprzętały teraz sprawy dalece poważniejsze niż kilka garści monet. - Ale mów, mów chyżo - podjął szeptem. - Ja... ja muszę wiedzieć...

Liam szybko skinął głową, żeby oszczędzić księciu udręki niepewności.

- Odpowiedź brzmi „tak”, panie. Odnalazłem go. Mamy Graala.

Pod Janem aż ugięły się nogi; z ulgą wypuścił z ust serię ledwie tłumionych sapnięć.

- Ach, dziękujmy Panu! Dzięki ci, Panie! - Ciężko osunął się na drewniane krzesło, wyzuty z sił. - Nie potrafię ci rzec nawet... jakem wielce udręczon, jakem... zbolały był przez ten czas cały.

Beki weszła do komnaty i stanęła tuż obok niego. Liam zauważył, jak wdzięcznie się porusza, jak czule masuje czoło księcia. To już nie gesty chłopczycy, Boba w kobiecym przebraniu. Sam czar i elegancja.

„Ależ to dziwne”.

Uśmiechnął się, dumny, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy zdołała się tyle nauczyć, tak przekonująco zaadaptować do okoliczności. Przecież jeszcze nie tak dawno temu niezdarnie podszywała się pod amerykańską licealistkę. A teraz proszę - jest wiarygodna w roli średniowiecznej damy szlacheckiej krwi.

- Uspokój się, mój panie - zagruchotała łagodnie. - Czyż nie zapewniałam Księżęcej

Mości, że mój przyjaciel, Liam odzyska go dla ciebie?

- Owszem, moja droga... - potwierdził Jan z uśmiechem. - Owszem, zapewniałaś. Nigdy nie powinienem był wątpić w twe słowa.

- Nie uczyniłbym tego bez pomocy Boba - rzekł Liam, wzruszając ramionami. - Właściwie to on wykonał całą pracę.

Bob wyłonił się zza zasłony i grzecznie uklonił przed Janem oraz Beki.

- Dobry Boże! - rzekł Jan, a jego oczy zrobiły się wielkie jak marynowane jajka. - Temu człękowi na gwałt potrzebny medyk!

Bob spojrzał na poszarpany, wystrzępiony kikut lewej ręki, zwisające kawałki porwanej skóry i zaokrągloną bryłę kości.

- Rana już nie krwawi. Nie zagraża mojemu życiu.

- Twoja ręka została ODRĄBANA! Natychmiast musi to być opatrzone! - sapnął Jan. Wstał z krzesła i poprowadził Boba w stronę zasłon. Krzyknął do jednego z wartowników stojących na zewnątrz, by zabrał Boba do garnizonowego aptekarza. - Tylko migiem, głupcze! Opatrunek mu trzeba założyć!

Odwrócił pobladłą twarz i zadrzał.

- Grhh! Żołądek mi się rozstraja na takie widoki! - Wydął pobladłe od nudności policzki. - Ach, straszne to... Wszystkie te... chrząstki i... i... - Sięgnął po czarę z winem i opróżnił ją do dna, po czym przetarł usta. - Ale, do rzeczy - powiedział, wskazując balkon. - Każda chwila cenna. Trzeba natychmiast poddać gród!

- Co?

Jan energicznie pokiwał głową.

- Dobrzeście słyszeli! Mamy już to, czego pragnie! - Jan spojrział na Liama. - Rzeknij mi jeszcze, gdzie go ukryłeś?

- Jest tutaj. - Liam ruchem głowy wskazał trzymaną w rękach skrzynkę.

Jan podążył za jego wzrokiem

- Jest bezpieczny? Cały? Niezniszczony? - Księżę nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego otwieraniem skrzynki i oglądaniem pergaminu. Święte relikwie i przesady templariuszy to obsesja brata, nie jego.

- Jest cały.

- Dobrze. Tedy możemy uniknąć bitwy i rozlewu krwi. Czas mi się z nim rozmówić!

Beki nachyliła się nad księciem i muskając jego czoło, przemówiła słodkim, kojącym tonem:

- To zły pomysł! Graal to twój jedyny atut. Pilnuj go. Tu dois es courageaux et fort, mon cher [Musisz być odważny i silny, kochanie.].

Liam znowu nie mógł się nadziwić, jak wiele zdążyła przyswoić jej sztuczna inteligencja, jak przekonująco Beki brzmi i wygląda.

- Jestem wyczerpany, moja pani - wymruczał Jan, przymykając oczy. - Wyczerpany strachem, strachem przed jego powrotem... Niech to wszystko zakończy się wreszcie, ażebym odpoczął...

- Tak też się stanie. Już wkrótce - wyszeptała słodko. - Wkrótce. Ale musisz pozostać silny. Bądź silny dla mnie.

- Dla ciebie? - Otworzył oczy.

- Bądź silny i zmusz brata do cierpliwości. - Beki spojrzała w stronę sklepienia i

balkonu. Z oddali dobiegały odgłosy rżniętego drewna. Cieśle Ryszarda pracowali pełną parą.
- Niech buduje maszyny oblężnicze, niech marnotrawi czas, dopiero potem zaczniecie pertraktacje.

Jan przymknął oczy, czując na czole dotyk jej palców.

- Powinieneś spocząć, mój panie, jeszcze masz na to czas, a twój sen jest zawsze tak krótki.

- Jestem wycieńczony - przyznał Jan.

Beki zerknęła na Liama.

- Spocznij teraz, kochany. Napij się wina. A ja dopilnuję, żeby tobie i szeryfowi zaraz podano wieczerzę.

Wstała i dyskretnym skinieniem zachęciła Liama, by wyszedł za nią z holu.

ROZDZIAŁ 68

Zamek w Nottingham rok 1194

- Jezu, Beki! - wyszeptał Liam. - Byłaś przerażająco autentyczna. Czy Jan... czy on jest w tobie zakochany?

- Rozwinęło się w nim uczucie zauroczenia. - Wzruszyła ramionami. - Próbowałam przeanalizować, dlaczego tak się stało, lecz nie uzyskałam żadnych racjonalnych wyników. Powiedział mi, że „rzuciłam na niego czar swoją niegodną damy postawą”. Najważniejsze, że okazało się to użytecznym narzędziem, które w razie potrzeby można wykorzystać.

Umilkła, gdy sługa zamkowy przechodził obok nich przez ciemny korytarz. Gestem zachęciła Liama, aby podążył za nią. Wreszcie zatrzymała się przy niskich drewnianych drzwiach po lewej stronie korytarza. Otworzyła je i wpuściła Liama do spiżarki; była pusta, za wyjątkiem kilku przybitych do ściany desek zastawionych glinianymi naczyniami z przetworami.

Liam niespodziewanie chwycił ją za dłoń.

- Nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę, Beki! Powoli zaczynaliśmy się martwić.

- Nie znajdowałam się w niebezpieczeństwie - odpowiedziała spokojnie, na jej twarzy wykwitł delikatny uśmiech. Na krótko. Mieli w końcu na głowie ważniejsze sprawy. - Jan nie ma chęci lub odwagi walczyć z Ryszardem, ale zgodnie z informacjami w mojej historycznej bazie danych, oblężenie naprawdę się odbyło. Jan rzucił wyzwanie królowi, a Nottingham broniło się przez tydzień.

- Czyli to musi się wydarzyć, tak? Aby historia mogła wrócić na swoje miejsce?

W odpowiedzi skinęła głową.

- A co z Graalem? - spytał Liam. - Ryszardowi nie jest pisane go zdobyć.

- W moich plikach nie ma na ten temat żadnych informacji. A to znaczyłoby, że...

- Graal zniknął. Zaginął.

- Potwierdzam - przekrzywiła głowę, analizując, czy podsuwa właściwą sugestię. - Możemy go zniszczyć.

- Nie! Sądzę, że skrywa więcej tajemnic, niż sądziliśmy. Nie chodzi tylko o słowo „Pandora”... zawiera również proroctwo na temat przyszłości.

- Proroctwo?

Liam opowiedział jej wszystko, co zapamiętał z rozmowy z Lockiem; o robocie, z którym mężczyzna przybył do średniowiecza, o zakonie templariuszy z przyszłości. Opowieść trwała długie, ciągnące się w nieskończoność, minuty. Wreszcie doszedł do pogoni Boba za Lockiem przez las i odzyskania skrzyni. Teraz wiedziała wszystko.

- Po rozszyfrowaniu dokumentu możemy poznać strategicznie istotne informacje - odparła spokojnie, patrząc na drewniany kufer w rękach Liama.

- Właśnie... a możemy to zrobić tylko za pomocą matrycy, którą ma król Ryszard.

Potrząsnęła głową.

- O co chodzi? - spytał Liam.

- Nie wzięłeś pod uwagę jednego czynnika.

Liam zmarszczył brwi. Wszystko zaczynało mu się już mieszać w głowie.

- O czym ty mówisz?

Wsunęła ręce pod fałdy swojej sukni, niezręcznie szperając między nimi przez kilka chwil, po czym wyciągnęła zwój pergaminu. Był spłaszczony i pogięty. Nie śmiałyby spytać, gdzie dokładnie go trzymała.

- To dokument o nazwie Wyznanie Treyarcha - wyjaśniła. - Opisano w nim historię odnalezienia zwoju pochodzącego z...

- Czasów biblijnych? - przerwał jej Liam, bo przypomniał sobie rozmowę z Cabotem sprzed kilku miesięcy.

- Potwierdzam.

- Skąd go masz?

- To nieistotna informacja. Zeskanowałam tę księgę i przeanalizowałam jej treść.

- No i?

- Z pięćdziesięciosiedmioprocentowym prawdopodobieństwem mogę stwierdzić, że Wyznanie Treyarcha to klucz umożliwiający rozszyfrowanie tekstu Graala.

- Słucham? - Spojrzał na pognieciony i postrzępiony pergamin. - To ma być klucz?

- Istnieje pięćdziesięciosiedmioprocentowe prawdopodobieństwo, że tak. Zgadza się.

- Co w takim razie ma król Ryszard?

- Kawałek wytartej skóry z wyciętymi dziurami.

- Co? Dlaczego sądzisz, że to autentyk?

Ostrożnie rozwinęła pergamin, który zajął niemal dwa metry kamiennej posadzki. Palcem wskazała ilustracje wykonane na marginesach po obu stronach tekstu.

- Te rysunki to charakterystyczny dla tych czasów motyw ozdobny. Zazwyczaj symbolizują temat i przesłanie tekstu. Popatrz - wyjaśniała, przesuwając palcem wzdłuż jednego z marginesów. - Te ilustracje to zwykle geometryczne wzory. Nic nie oznaczają, nie symbolizują.

- Umieszczono je tylko po to, żeby ozdobić pergamin?

- Potwierdzam.

Liam zauważył, że wzory - kunsztowny labirynt misternie cieniowanych zawijasów o wysokości i szerokości około pięciu centymetrów - rozmieszczono na bordiurach w około dwudziestopięciocentymetrowych odstępach.

- Wzory są identyczne - rzekła Beki. Liam nachylił głowę. Rzeczywiście, były takie same. Linia po linii, zawijas po zawijasie - ten sam wzór dekoracyjny.

Palec Beki zjechał po zwoju i zatrzymał się na wysokości kilku ornamentów.

- Za wyjątkiem tych czterech. - Wskazała je po kolei, dwa po każdej stronie. Liam próbował dostrzec różnice w migoczącym blasku świecy. Wyteżał wzrok, uważnie porównując linie proste i zakrętasy.

- Przyjrzyj się uważnie - rzekła Beki, pokazując mu zagubione we wzorze niewyraźne pociągnięcia pióra. Ledwie dostrzegalny zarys miniaturowego krzyża wśród lasu misternych, inkaustowych zakrętaków. Wskazała kolejny ornament. Znowu to samo: zarys krzyża. I jeszcze dwa.

- Krzyż pojawia się tylko w tych czterech motywach.

- Więc? - Spojrzał, nie wiedząc do czego zmierza.

Przez chwilę marszczyła czoło, prawdopodobnie w wyuczonym geście lekkiego zniecierpliwienia.

- Każdy krzyż oznacza róg.

Ponownie zerknął na pergamin. Oczywiście. Miała rację.

- Cztery rogi?

- Cztery rogi szablonu.

Raz jeszcze zerknął na pergamin, podczas gdy Beki kontynuowała wyjaśnienia.

- Obliczyłam, że z dużym prawdopodobieństwem leży przed nami instrukcja, jak wybudować macierz Cardana, szablon niezbędny do odszyfrowania Graala. Rogi tego szablonu powinny znajdować się w miejscu czterech krzyży. - Wskazała napisany odręcznie

tekst, który znalazłby się pomiędzy czterema znacznikami. - Pewne litery tekstu w obrębie matrycy wybierzemy jako „litery-okna”.

- Czyli?

- Zaznaczymy literę na szablonie, a następnie wytniemy wokół niej mały kwadrat. W ten sposób powstanie okienko.

- Ach! Teraz rozumiem - odparł Liam, szczerząc się od ucha do ucha. - Po wycięciu wszystkich okienek położymy szablon na rozwiniętym Graalu i...

- Potwierdzam. - Skinęła głową. - Umieścimy szablon na podobnych znacznikach, żeby litery widoczne pod okienkami ułożyły się w ukrytą wiadomość.

- To genialne, po prostu genialne! Może masz rację! Wstał z kolan i zaczął rozglądać się za użytecznym narzędziem. - Teraz możemy wyciąć własną matrycę!

- Nie - odparła. - Nie możemy.

- Dlaczego nie?

- Nie wiemy, wokół których liter należy wyciąć okienka.

Entuzjazm Liama wyparował jak kamfora. Zakładał, że Beki już wie, które to litery.

- W kilku miejscach język dokumentu zamienia się ze staroangielskiego na inny. Jak widzisz, jest tak na obszarze oznaczonym przez krzyże. - Wskazała fragment napisany w innym języku. - W mojej bazie danych nie umieszczono właściwego pliku językowego. Musimy założyć, że w tym tekście znajdują się wskazówki, jak zidentyfikować litery-okna.

Liam podrapał się po podbródku.

- Bob będzie znał ten język?

- Nie. Przed rozpoczęciem misji wgrano nam te same pliki operacyjne.

Liam popatrzył na tekst; rozpoznał co prawda kilka liter z alfabetu łacińskiego, ale fragment składał się też z innych, nieznanym mu symboli.

- No to... niefajnie. - Ponownie osunął się na kamienną podłogę.

- Sugestia.

- Jaka?

Jednostka zaczęła ostrożnie zwijać manuskrypt Wyznania Treyarcha, który po kilku chwilach zniknął pod fałdami jej długiej sukni.

- Nie no, daj spokój - odezwał się Liam, domyślając się, co chce zaproponować. - Nie możesz tego zabrać do Kirklees, Beki! Jesteśmy otoczeni przez armię króla. Dokument wpadnie prosto w ręce Ryszarda.

Beki sięgnęła po migającą między nimi świecę.

- Alternatywa to spalenie obu dokumentów, zanim do Nottingham wdrze się armia Ryszarda - odparła. - Jaka jest twoja decyzja, Liamie O'Connor?

ROZDZIAŁ 69

Nottingham rok 1194

Beki udało się przekraść przez linię żołnierzy. Trudne to nie było. Wartowników pochłonęło fantazjowanie, na co to nie wydadzą swojej części łupów po upadku miasta. Wieść niesła, że król Ryszard przymknie oko na grabieże, jakich dopuści się jego armia zaraz

po zwycięstwie i potraktuje buntowników jak wrogów z odległego zakątku cudzoziemskiego królestwa.

Na tyłach obozowiska ujrzała zgromadzone w jednym miejscu wozy armii oraz konie przywiązane na postronkach w tymczasowej zagrodzie. Wybrała dorodnego rumaka, rozsypała powróż, wyprowadziła zwierzę na zewnątrz i pocwałowała traktem, pod osłonę lasu. Chciała uciec, zanim chrapiący, spity miodem staruszek, który miał pilnować zagrody, zauważy, że zwierzęta stały się niespokojne, a jeden z rumaków zaginął.

Z cwału zwolniła do swobodnego galopu, dukt wiódł ją na szczyt wzniesienia górującego nad Nottingham. Skręciła na tonący w leśnej kniei, północno-wschodni gościniec, częściowo stosując się do wskazówek Liama, częściowo polegając na precyzyjnych współrzędnych w jej głowie.

Liam ostrzegał ją, żeby uważała na bandytów, ale las nie stanowił dla niej zagrożenia; banda rabusiów, ludzie Locke'a - o których wspominał Liam - albo rozeszli się po domach, albo ukryli głęboko w lesie, by uniknąć ewentualnej ekspedycji karnej Ryszarda.

Przez kilka dobrych godzin przemierzała kolejne kilometry pod osłoną nocy, a towarzyszył jej jedynie szum drzew poruszanych przez silny wiatr i pohukiwanie zwierząt. Wreszcie, w momencie wskazywanym przez jej silikonowy umysł, zauważyła ciemne i przysadziste kształty zabudowań klasztornych.

Sébastien Cabot zbudził się w jednej chwili z czujnością wilka. Żołnierski instynkt kazał mu sięgnąć po ukryty pod siennikiem sztylet, ale wokół jego nadgarstka nagle zacisnął się żelazny uścisk.

W świetle księżyca, które przez wąskie okno wpełzało do jego ascetycznej celi, dostrzegł zarys pochylającej się nad nim postaci.

- Któż... któż to...?! - wrzasnął nieprzytomnym od snu głosem.

- Lady Rebeka.

Cabot z trudem wyprostował się na łóżku. Drewniana konstrukcja pod materacem zaskrzypiała.

- Dobry Boże! Cóż ty tu robisz? Inni mnisi...

Zakryła ręką usta zakonnika i mocno odepchnęła jego głowę, która opadła na siennik z głuchym plaśnięciem.

- Zamknij się i słuchaj! - Dopiero gdy skinął głową, oderwała rękę od jego ust. Gdy zwolniła uścisk, zaczerpnął tak potrzebnego powietrza.

- Zdobyłam dokument Graala - rzekła bez zbędnych wstępów.

- CO? MÓJ BOŻ...! - Głos odbił się od kamiennych ścian celi.

Ręka Beki znowu znalazła się na ustach mnicha. Białka jego oczu przewracały się to w jedną, to w drugą stronę nad smukłą dłonią i koniuszkiem kartoflastego nocha. Beki zamyśliła się na moment, analizując fenomen ludzkich oczu, które niekiedy bywały bardzo ekspresyjne; para tych źrenic, dajmy na to, kipiała wręcz od emocji. Cabotem wstrząsało teraz uczucie podobne do głębokiego szoku. Kiedyś spróbuje wywrócić oczy w taki sposób. Zapisała to w pamięci.

- Znalazłam też Wyznanie Treyarcha - dodała, nie odrywając ręki od ust charczącego i wierzgającego mnicha. - Odczekała kilka chwil, aż prośba dojdzie do jego świadomości i mężczyzna przestanie wydawać z siebie kwilenie tłumione przez jej mocno zaciśniętą dłoń. Dopiero kiedy zyskała pewność, że drugi raz już nie ryknie, powoli uniosła rękę. - Będiesz współpracował?

Cabot ponownie zaczerpnął powietrza, wciągając powietrze przez usta. Po kilku sekundach zdołał zachryple wyszeptać:

- Azaliż... masz obydwie dokumenty?

Potakująco skinęła głową.

- Tutaj? Przy sobie?

- Tak. Pomożesz mi?

- Dobry Panie! Ja... ja... - Cabot z trudem formułował odpowiedź. Beki znowu go uciszyła, tym razem, kładąc palec na górnej wardze okolonej wąsikiem.

- Przedyskutujemy to szczegółowo na cmentarzu - powiedziała. - A teraz narzuć na siebie odzienie. Spotkamy się tam za pięć minut. - Puściła jego nadgarstek i wstała. - I przynieś świecę.

Przedzierał się przez chwasty i krzaki smagające go po gołych kostkach widocznych pod wystrzępionym brzegiem habitu. W blednym świetle księżycy dostrzegł ciemny zarys lady Rebeki, która stała w całkowitym bezruchu przy jednym z grobów.

- Pani? - zawołał półgłosem.

- Tutaj - odpowiedziała.

- Byłaś... kiedym ostatnio o tobie słyszał, byłaś w Oksfordzie - powiedział, stając tuż obok.

- Jan przeniósł się do Nottingham. Król Ryszard ruszył na północ wraz ze swoją armią.

- Juźci... juźci, hrabstwo aż huczy od wieści wojennych. Lecz mniejsza o to. Graal? Jakaś się wywiedziała, gdzie jest...?

- Dziś rano odebraliśmy Graala bandycie znanemu jako „Zakapturzony” - odrzekła szybko, jakby jakiegokolwiek pytania były teraz tylko stratą cennego czasu.

- Jakże udało wam się natrafić na jego trop?

- To nieistotne. Graal może zostać odszyfrowany jedynie za pomocą prawdziwej matrycy Cardana - odparła, sięgając pod poły swojej ciemnej szaty.

Zauważyła, że białka oczu Cabota znowu robią się szerokie i okrągłe.

- Masz ją ze sobą? - spytał. - Nie mów mi tylko, że królowi Ryszardowi ją skradłaś.

Zignorowała pytanie i spokojnie wyciągnęła Wyznanie.

- Ten dokument został napisany po łacinie i w normańskim francuskim - podjęła. - Możesz teraz zapalić świeczkę, jeśli nie jesteś w stanie odczytać liter w tym skąpym świetle.

- Nie trzeba mi tego. - Cabot ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową. - Księżyc dość jasno świeci. Proszę... pokaż.

Przekręciła drewniany drążek i rozwinęła na ziemi długi, pogięty pergamin. Błady arkusz zdawał się fosforyzować w wąłym blasku księżyca, a atramentowe litery, tworzące ciemne, pajęczne zawijasy, były wystarczająco wyraźne i czytelne na całej długości.

- Fragment ten zapisano w nieznanym języku - wyjaśniła Beki, wskazując akapit w trzech czwartych długości zwoju. Brzegi pergaminu obłożyła kamieniami, aby nie zwinął się ponownie, po czym odchyliła się, by jej cień nie padał na litery.

Cabot przyklęknął i z bliska przyjrzał się zdaniom.

- Te symbole - rzekł, przebiegając palcami po zakrętasach - zapisano w gaelickim jakimś żargonie, jak mniemam.

- Znasz ten język?

- Trochę słów. - Skrzywił się niepewnie. - Wiele ten język ma odmian. Może mógłbym przełożyć to na nasze, gdybym miał czasu dużo... no i bibliotekę z księgami gaelickimi, żeby zestawić z nimi dokument.

Przekrzywiła głowę i w zadumie zmarszczyła brwi. Po minucie powoli potaknęła głową. Bez słowa podjęła decyzję.

- Aktualnie ryzyko kontaminacji jest akceptowalne - powiedziała.

- Wybacz, lecz nie rozumiem.

- Pojedzie brat ze mną - odparła, ponownie ignorując jego pytanie.

- Gdzie?

Wstała i jęła przeszukiwać wysoką trawę wokół nagrobka, wreszcie znalazła: długi gwóźdź. Klęknęła przy płycie i zaczęła ryc w kamieniu głębokie linie.

- Cóż robisz?

- Przesyłam komunikat.

W milczeniu kontynuowała pracę, słychać było jedynie zgrzytanie gwoździa o kamień oraz poszmer opadającego pyłu.

- Proszę o uruchomienie portalu.

- Co to jest? Co zamierzasz? - ponownie spytał Cabot.

Odwróciła się i poraziła go poirytowanym spojrzeniem.

- Jedziesz ze mną.

- Mamże z tobą jechać? A gdzie niby?

- Do przyszłości.

ROZDZIAŁ 70

Nowy Jork rok 2001

Sal pytająco spojrzała na Adama i Maddy.

- Jahulla! Przeszła - powiedziała. - Kolejna. Poczuliście? - Adam i Maddy spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Maddy szybko wstała od stołu i podeszła do rzędu monitorów. Siadła przy biurku i ponownie pobrała obraz z wciąż podłączonego dysku leżącego przed bazą. Sal pochyliła się i przejechała palcem nad kilkoma niewyraźnymi liniami widocznymi na zdjęciu na monitorze.

- W nagrobku wyryto kolejną wiadomość.

Adam zanotował widoczne glify na kartce papieru.

Dziewczyny patrzyły na niego z niecierpliwością, gdy porównywał każdy symbol z tabelą, którą wcześniej naszkicował na kawałku papieru listowego.

- No i?

- Czekaście chwilę! - Zmrużył oczy, sprawdzając symbole w nowym rzędzie, który pojawił się na fotografii. Na grobie znajdowały się wytarte linie, które nie mogły być częścią pierwotnego grawerunku, a także całkowicie nieczytelne rysy, trącone zębem niemal tysiąca lat. Spojrzał na litery, które rozszyfrował i uświadomił sobie, że nie układają się w pełne wyrazy.

- Pierwsze słowo to „ekstrakcja” - odpowiedziała Sal.

- Reszta to sygnatura czasowa. Dwanaście numerów, pierwsze cztery oznaczają godzinę, ostatnie osiem datę.

Sal złapała za długopis i szybko zapisała niepełne słowa jako cyfry: 0445 13061194.

Maddy porównała swoje wyniki z tym, co odszyfrował Adam.

- Tak... tak, okej. Za piętnaście piąta rano, trzynasty czerwca tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku. Zgadza się? - Popatrzyła w kamerkę internetową. - Słyszałeś, Bob?

> Potwierdzam. Słuchałem. Sygnatura czasowa: czwarta czterdzieści pięć, trzynasty czerwca tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Ale nie ma współrzędnych geograficznych - zauważyła Maddy.

- Czyli te same współrzędne co ostatnio - odrzekła Sal.

Maddy przygryzła końcówkę długopisu.

- Tak. Zrozumiałeś Bob?

> Potwierdzam. Poprzednia lokalizacja geograficzna.

Odchyliła się w krześle i zerknęła za Adama, na szafkę ze sprzętem, która stała tuż obok pustego pleksiglasowego cylindra. Na wskaźniku mocy palił się cały rząd zielonych ledowych diod.

- Super, akumulatory na pokładzie w pełni naładowane, możesz otwierać, Bob.

> Potwierdzam. Aktywuję sondę gęstości.

Klasztor w Kirklees, Yorkshire rok 1194

Cabot rozejrzał się po polu. Choć słońce nie wspięło się jeszcze na horyzont, niebo o brzoskwiniowym odcieniu już jaśniało, wkrótce jego barwa zamieni się w bezchmurny błękit

- i nadejdzie kolejny parny, letni dzień.

- Dlaczegoż, na Boga, wciąż stoimy w tym polu?

- Chwileczkę. - Beki uniosła palec.

Cabot rozejrzał się po falujących kłosach jęczmienia, cicho szepczących między sobą, jakby niespokojnie czekały na... na co? Lady Rebeka powiedziała „przyszłość”.

„Dni, co dopiero nadejdą”.

Odwieźć jeden z nich... ten koncept ledwo mieścił się w jego głowie. Dzień to dzień. A gdy się kończy, to odchodzi i zostawia po sobie to jedynie, co ktoś zdołał z tegoż dnia zapamiętać. Wejść w świat, który dopiero się wydarzy...

Potrząsnął głową, by wyrwać się z zadumy nad niemożliwością tego wszystkiego. Być może ta szlachcianka i jej przyjaciele dotknięci byli jakąś groźną chorobą? Spotykał był przecież świętych szaleńców w Jerozolimie, co to głosili rzeczy równie nieprawdopodobne i niedorzeczne.

- Pani, może lepiej będzie, jeżeli na bezpieczne tereny klasztoru powrócimy?

Potrząsnęła głową.

- Właśnie wyczułam tachiony, ojciec Cabot. Wiadomość już do nich dotarła.

„Tekony?”. - Kolejne ze słów osobliwych, nad których znaczeniem zasromać się tylko można. Rozejrzał się po polu, może wcześniej przyuważył jednego z tych pieronów i przemyśli szybko, co takiemu „tekonowi” zrobić, jak go zaczepi.

Rześki wiaterek zaszumiał w jęczmieniu, po polu rozlała się łagodna fala chyłących się kłosów.

- Portal się zbliża - wyjaśniła Beki.

Cabot zerkał to w jedną, to w drugą stronę. Nie dostrzegając nic poza tym polem, krawędzią pobliskich lasów i cienką smugą dymu unoszącą się nad klasztorem zaraz za grzbietem wzniesienia. Niespodziewanie poczuł na policzku smagnięcie porywistego wiatru. Kilkanaście metrów dalej, ponad sięgającym piersi morzem kołyszącego się jęczmienia, dostrzegł zarys połyskującej, migocącej kopuły. Wewnątrz zaś wirowały czarne kształty, połyskujące i rozpadające się na drobinki niczym odbicie na wzruszonej wodzie.

- A cóż to za diabelstwo! - zachrypiął szorstko.

- To portal czasu - rzeczowo odpowiedziała Beki i ruszyła w jego kierunku. - Chodź za mną, proszę.

Cabot stał jednak jak przykuty do ziemi. Przeraził go ten fenomen, który nie miał prawa znajdować się na ich polu. W środku magicznego kręgu widział ciemność i nieznaną, diabelskie kształty, które zdawały się złowrogo machać w jego kierunku, wzywać go.

„Nic dobrego to przynieść nie może” - ostrzegł się w duchu, po czym popatrzył na lady Rebekę i przez chwilę zastanawiał się, czy co bardziej pobożni z jego braci w klasztorze mieli rację, że pod ziemią, po której stąpają, czają się demony, diabły i otchłań czarna, dokąd zabierane są dusze nieczyste, skazane na wieczną udrękę w ogniach infernalnych.

Beki odwróciła się i zobaczyła, że mnich nawet nie ruszył się z miejsca.

- Teraz! - warknęła nań.

- Toć... toć to sztuczki piekielne. - Cabot potrząsał głową.

Niecierpliwie precisięła się w jego stronę przez lodygi i brutalnie złapała za ramię.

- Marnujemy czas. Portal zaraz zniknie.

- Nie! - Próbował wyzwolić się z uścisku. - Nie! Błagam! - skomlał, ale ręka jednostki zacisnęła się wokół jego przedramienia jak imadło. Zaczęła ciągnąć go naprzód przez

kłębiące się ciemności.

- Och, Panie, przebacz mi wszystkie me grzechy! - zawył Cabot, starając się jak najmocniej zaprzeć piętami w miękką, suchą glebę. - Wyrzekam się zła! Wyrzekam się diabła i jego pachołków! - krzyknął i przyfasolił pięścią w twarz Beki. Cios mocno wylądował na policzku, zostawiając zadrapanie i siniak, który z pewnością w przeciągu godziny zamieni się w purpurowego guza. Z dezaprobatą zmarszczyła brwi.

- Proszę nigdy więcej tego nie robić. - Obiema rękami chwyciła mnicha za habit i podniosła go z ziemi. Zaczął histerycznie wymachiwać rękami i wierzgać.

- Demonie! - krzyknął jej prosto w twarz. Nogi w sandałach kopały ją po brzuchu i udach. - Wiedziałem, żeś diabłem wcielonym!

Szła, potykając się, w kierunku portalu, ledwie utrzymując równowagę, bo zakonnik wiercił się, kopał i walił pięściami, próbując wyswobodzić się z uścisku.

- Nie! Błagam! Miejże litość...!

ROZDZIAŁ 71

Zamek w Nottingham rok 1194

- CO?! - ryknął Jan.

Liam rzucił Bobowi szybkie, ostrzegawcze spojrzenie nakazujące być gotowym na wszystko. Nie można było przewidzieć, jak książkę zareaguje na takie nowiny.

- Rzekłem, że go tu nie ma, panie. Lady Rebeka zabrała go zeszłej nocy.

Przez twarz Jana przemknęło kilka odcieni karmazynowej wściekłości, potem krew odpłynęła, nadając jego skórze bladoszary odcień.

- Dobry Boże! Zdrajczyń! Była szpiegiem Ryszarda! Była...

- Nie - przerwał mu Liam. - Nie, nic jej nie łączy z Ryszardem, panie.

Gniew Jana osłabł, odpłynął w jednej chwili, jego miejsce zastąpił bezradny dygot.

- Ona... - Szczęka Jana kłapała bezgłośnie. - Ona... Myślałem, że się... kochamy. - Powoli podniósł wzrok na Liama, który zauważył, że w podkrążonych oczach księcia zbierają się łzy. - Chcesz powiedzieć, że brała mnie za... za głupca?

Liam nie potrafiłby temu zaprzeczyć. Tak, cynicznie go wykorzystywała.

- Lady Rebeka zabrała go w bezpieczne miejsce - odrzekł. Nerwowe drżenie jego głosu zniknęło. Jan nie wyglądał już jak tyran gotowy skrócić go o głowę. Liam spodziewał się, że z ust księcia wypłynie potok bluzgów i spienionej śliny, ale ten nagle spokorniał jak dziecko - porzucone, przerażone i samotne.

- Rzekła mi, żeby... żeby był silny - wyszeptał, łza spłynęła po policzku na rzadką brodę. - Dla niej... pojmujesz? Byłbym... - przetarł policzek rękawem. - Tylko dla niej, rozumiesz to? Dla niej... rzuciłbym się Ryszardowi do gardła.

Liam spojrzał ponad zgarbione ramiona Jana, na zwieńczoną łukiem wnękę i taras. Daleko za murami Nottingham dostrzegł niezliczone kolumny wielobarwnych markiz i namiotów ustawionych dla armii Ryszarda oraz zwaliste drewniane konstrukcje kilku katapult wybudowanych przez cieślów królewskich. Z tej odległości wyglądały jak mrówki tonące w spiekocie.

- Ukorzę się - wyszeptał Jan. - Muszę wreszcie skapitulować. Im dłużej zwlekam, tym jest wściekleszy! On...

- Nie! - zaprzeczył Liam.

Jan popatrzył na niego ostro, ta niesubordynowana reakcja wyzwoliła w nim błysk irytacji.

- Racz mnie wysłuchać, panie... bez Graala nie masz żadnych atutów w ręku! - Liam nie musiał tego Janowi tłumaczyć. Wnosząc po zaczerwienionych oczach, książę doskonale wiedział, co to dla niego oznacza.- Lecz jeśli będziesz grał na zwłokę... - ciągnął Liam.

- Grał na zwłokę? - Jan nie znał tego wyrażenia.

- Jeśli będziesz mitrężył, jeśli pozwolisz Ryszardowi wierzyć, że masz Graala przy sobie... jeśli zagroźysz, że zniszczysz go w przypadku próby ataku...

- Zniszczę? - Jan zareagował, jakby właśnie ujrzał ostatni krąg piekła. - Wyobraźni ci nie staje, szeryfie. Wiesz, co by mi wonczas uczynił? Gdybym... gdybym zagroził...

- Czy jednak odważyłby się? - Liam uniósł brew. - Naprawdę? Po tym wszystkim, co zrobił, żeby go zdobyć? Zaryzykowałby, że przystawisz do niego świecę?

- On... on wie, że się na to nie poważę. - Jan nerwowo przełknął ślinę.

„Zapewne wie” - pomyślał Liam, patrząc na drżącego i pobladłego mężczyznę.

- Bądź silny, panie. Spotkaj się z nim. Powiedz, że masz go tutaj, a jeśli nie wycofa stąd armii, spalisz go własnoręcznie.

Bob otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Liam wiedział, co jednostka ma na końcu języka: ostrzeżenie o kontaminacji czasowej. We właściwej wersji historii oblężenie Ryszarda zakończyło się zdobyciem grodu. Jan uległ przed starszym bratem. Liam dotknął zdrowej ręki Boba, nakazując milczenie. Jan nie musiał akurat teraz dowiadywać się, że jest skazany na klęskę.

- Kup nam trochę czasu, panie - rzekł Liam. - Spotkaj się z nim... przekonaj go, że zniszczysz Graala, jeśli spróbuje zdobyć gród.

Jan kompulsywnie gładził się po podbródku, drgającą szczękę księcia zelektryzował nerwowy tik. Liam zastanawiał się, czy biedakowi starczyłoby teraz charyzmy, by kogokolwiek do czegokolwiek przekonać.

- Lady Rebeka powróci, zapewniam. Powróci z Graalem.

„Oby” - pomyślał i głośno dodał: - A wtedy bez trudu zawrzesz rozejm, panie. Ponownie będziesz miał bowiem coś na wymianę.

ROZDZIAŁ 72

Nowy Jork rok 2001

Sébastien Cabot stał z mocno zaciśniętymi powiekami, nie ważąc się po raz pierwszy spojrzeć na zaświaty i diabelskie wynalazki. Wyczuwał tylko, że znalazł się w ciemnym miejscu. Uszy złowiły dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszał, ciche piśnięcia i syczenie, które mogło wydobywać się tylko z jakichś piekielnych instrumentów, gotowych rozerwać jego duszę na strzępy.

- Kogoś tu przywiozła? - zabrzmiał kobiecy głos. Mnich poczuł, że stoi w jakiejś jaskini, być może na jakiejś półce skalnej nad olbrzymią pieczarą, w której wrze morze dusz: udręczonych, płonących w agonii, katowanych, dżganych i torturowanych przez spacerujące wokół nich demony.

- Cabota. - Rozpoznał głos lady Rebeki.

- Cabota? Tego z wiadomości? To ten sam gość?

- Potwierdzam. Jest tu, żeby nam pomóc.

Cabot powoli rozwarł powieki. Pierwsze, co zobaczył, to swoje obute w sandały stopy spoczywające na twardej, pobrużdżonej i zaplamionej podłodze. Gdy podniósł głowę, zobaczył lady Rebekę i trzy dziwnie odziane osoby, które wpatrywały się w niego z zainteresowaniem. Żadnych demonów. Ognia piekielnego. Udręczonych dusz.

Jedna z nich podeszło do niego. Młoda kobieta z długimi, kędzierzawymi włosami i bladą, piegowatą cerą. Na twarzy miała dwa szklane owale, od których odbijało się światło płonące z zawieszanej na suficie jasnej poprzeczki, która cicho syczała i delikatnie migotała.

- Hej, miło mi cię poznać - powitała go, podając mu rękę. - Nazywam się Maddy.

Usta Cabota zakłapały tylko bezradnie. Wreszcie mnichowi udało się coś wydukać:

- To... to miejsce? To nie... inferno?

Kędzierzawa dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- To chyba zależy od punktu widzenia - odrzekła.

Jakiś czas później Cabot - wciąż pogrążony w paraliżującym szoku, sam już nie wiedział od kiedy: może od godziny, dnia, kilku minut - uzmysłowił sobie, że on i ci osobliwi nieznajomi siedzą wokół długiego stołu na wyłożonych poduszkami krzesłach. W rękach trzymał kubek z ciepłym i gorzkim, brązowym napitkiem. Druga dziewczyna - ta, która przedstawiła się jako Sal - o skórze ciemnej jak Saracen, ubrana w czarne szaty udekorowane jakimś jasnym pomarańczowo-różowym herbem rzekła, że napitek ten to kaww-aaa, gdy wciskała mu puchar do rąk.

-...jest tam fragment oznaczony czterema narożnymi znacznikami - mówiła lady Rebeka. - Są na tych iluminacjach na marginesach. Tutaj, tutaj, tutaj i tutaj.

Siedzący z nimi mężczyzna - nazywany Adamem - pochylił się nad stołem obok lady Rebeki i uważnie przyjrzał się Wyznaniu Treyarcha.

- Mój Boże, ona może mieć rację! - powiedział. - To muszą być znaczniki matrycy.

Maddy, idąc przykładem pozostałych, również nachyliła się nad stołem i nacisnęła okulary na nos.

- Pokażcie.

- Widzisz? - zaczął wyjaśniać Adam. - Jak rogi, subtelnie osadzone w ornamentach.

- Tak...Wow, rzeczywiście, teraz widzę!

- Zasadniczo to plan - powiedział Adam, podnosząc wzrok znad manuskryptu. - Instrukcja, jak wykonać matrycę Cardana, żeby rozszyfrować to - rzekł, wskazując małą drewnianą skrzynię z Graalem.

- To ten ustęp tekstu - kontynuowała Beki, rozkładając ręce nad Wyznaniem - został oznaczony. Niestety napisano go językiem, którego nie mamy w naszych bazach. To zapomniana odmiana gaelickiego. Cabot - rzekła, wskazując mnicha - zna ten język.

W jednej chwili spoczęły na nim wszystkie pary oczu. Odłożył więc na stół kubek z gorącym płynem i przepaszającym gestem rozłożył ręce.

- Ja... hmm... ja o tym naprawdę niewiele wiem - powiedział. - Jednym z moich braci w zakonie templariuszy był Irlandczyk, człek pochodzący z Dún Garbháin.

Maddy kiwnęła palcem, zachęcając go do pochylenia się nad manuskrytem.

- Proszę przyjrzeć się temu uważniej, może uda się bratu coś odczytać.

Cabot podniósł się z krzesła i wraz z pozostałymi nachylił nad rękopisem, który rozwinęli niemal na całej długości stołu. Światło, zamknięte w małej drucianej klatce zawieszanej pod ceglany, łukowym sklepieniem, tliło się równomiernie. Zastanawiał się, jaka siła sprawia, że płonie tak jednostajnie. Na pewno nie jest to zwykły płomień.

Ponownie skupił się na misternych zawijasach i ozdobnikach rękopisu. W przeciwieństwie do skąpego blasku świec, przy którym po zmroku pracowali mnisi w klasztorze, to równomierne światło pozwalało widzieć tak wyraźnie, jakby stół stał na otwartym polu w samo południe słonecznego letniego dnia.

- To - zaczął, przesuwając szorstki ze starości palec po pierwszych liniijkach tekstu - to, jak mniemam, używana w Irlandii odmiana gaelickiego. - Palec przesunął się po kolejnych słowach, usta poruszały bezgłośnie.

- Rzec wam muszę, że ciężkie to do przeczytania... sędzę, że pierwsza linia to słowa modlitwy. „Pozostanę twym sługą”, choć może stoi tu... „do pomocy”? - Cabot aż jęknął z frustracji. - „Nie szukaj... lecz prawd objawionych...” albo to co innego. „Nie troszcz się o blahe...”. Ach! Mój gaelicki jest zbyt słaby na odczytanie tego wszystkiego.

- Jak brat myśli, co to może znaczyć? - spytała Sal. - „Prawd objawionych”?

- To tylko stek jakichś pokręconych zaklęć wodou. - Maddy spojrzała na Cabota. - Czy jest w tym jakieś ukryte znaczenie, które powinniśmy pojąć? Zszyfrowany komunikat?

- Nic więcej nie potrafię z tego zrozumieć. - Potrząsnął głową. - To ponad me siły.

Bezradnie patrzyli na te wszystkie zakrętasy i zawijasy, niezrozumiały galimatias akcentowanych i powyginanych łacińskich liter.

- Może to niekoniecznie musi mieć sens - rzekł Adam, skupiając na sobie wzrok pozostałych. - A jeśli to nie słowa stanowią wskazówkę, ale sposób, w jaki zostały napisane? Cabot?

Starzec wzruszył ramionami i przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzył na zapisane strony.

- Rozumiecie, że wiedzy mi nie staje? To już długi czas... - Zawahał się nagle.

- Co się stało? - spytała Maddy. - Co zauważyłeś?

- Bardzo to nieudolnie napisane. Ten człek, Treyarch, skrybą najpewniej nie był.

- Co masz na myśli?

Cabot wskazał jedno ze słów w zdaniu, które usiłował przetłumaczyć.

- Ta litera jest na opak napisana.

Adam nachylił się mocniej, niemal dotykając nosem pożółkłego pergaminu.

- Ciekawe... - mruknął pod nosem.

- Co jest takie ciekawe, Adamie?

- Macie przyzwoity aparat cyfrowy? - powoli podniósł głowę znad manuskryptu.

- Mam tylko swojego iPhone'a - odrzekła Maddy.

- Co to takiego?

Oczywiście, uśmiechnęła się. Ach, ten dwa tysiące pierwszy rok... wciąż są iskierką w oku jakiegoś projektanta z Apple'a.

- To tylko moja komórka, ma wbudowany aparat. - Podeszła do biurka z komputerami, by po chwili wrócić z telefonem w rękę.

- Zrób przyzwoite zdjęcie tekstu pomiędzy narożnymi znacznikami - poprosił Adam.

Wspięła się na jedno z krzeseł, żeby złapać dobre ujęcie „z lotu ptaka”, i pstryknęła kilka zdjęć.

- Co teraz?

- Wrzuć to do Photoshopa - poprosił Adam, wskazując rząd monitorów.

Minutę później Maddy skończyła przegrywać obrazy, a oni patrzyli już na cztery zdjęcia Wyznania otworzone w oprogramowaniu do obróbki zdjęć. Na widok dwunastu błyszczących monitorów oczy Cabota zrobiły się komicznie szerokie z zachwytu.

- Dobra - powiedział Adam, klikając rozwijane menu. - Teraz odrobinę to rozjaśnię. - Wybrał najwyraźniejsze z czterech zdjęć i podrasował jasność. Głęboka żółć pergaminu przybrała kolor wanilii, a czarny inkaust zrobił się ciemnoniebieski.

- Matrycę, z już z wyciętymi okienkami, kładzie się na czystym pergaminie. W okienka wpisuje się poszczególne litery wiadomości - ciągnął Adam. - Matrycę zdejmuje się dopiero, gdy inkaust wyschnie, co pozwala uniknąć zostawienia plam. Gdyby niektóre litery były rozmazane, szyfr byłby zbyt łatwy do złamania.

Pozostali przytaknęli. Miało to sens.

- Tak właśnie powstaje strona zapisana odseparowanymi literami... resztę pergaminu uzupełnia się jakimiś nietrzymającymi się kupy lub bezsensownymi zdaniami, w których znajdują się te odseparowane litery klucze. - Kliknął menu i otworzył kolejną listę opcji edytowania. - Na szczęście dla nas, podczas tych dwóch etapów, zazwyczaj używa się dwóch słoiczek z atramentem.

- Kolor jest wszędzie taki sam - rzekła Maddy, wskazując zdjęcie na ekranie. - Atrament jest czarny... no okej, granatowy po rozjaśnieniu.

- Poszczególne słoiczki inkaustu różnią się trochę od siebie. Wtedy samemu wytwarzało się atrament.

- Prawda to - przytaknął Cabot.

- To inkaust domowej roboty, niefabryczny. Za każdym razem ma niezauważalnie inny odcień. Choć dla naszych oczu to tylko czarny atrament, wystarczy, że tryplet RGB w Photoshopie ulegnie...

- Tryplet RGB?

- Red Green Blue: czerwony, zielony, niebieski. Generalnie to współczynnik barw i odcieni - wyjaśnił Adam. - Możemy go zweryfikować poprzez powiększenie obrazu do momentu, aż będzie widać różnicę. - Adam powiększył litery, po czym wybrał kolejną opcję z menu, na którym pojawił się suwak. Kursorem myszy powoli przeciągnął wskaźnik wzdłuż poziomego paska. Zdjęcie zaczęło zmieniać odcień, waniliowy papier przybrał bursztynoworóżową barwę. Granatowy atrament zrobił się natomiast ciemnozielony, a potem ciemnoochrowy.

- O mój Boże - wyszeptała Maddy.

Okazało się, że odwrócona litera, którą zauważył Cabot, była bardziej żółta niż pozostałe.

- Pomniejsz obraz - powiedziała szybko. Adam cofał kursor, aż zaznaczony akapit w całości znalazł się na ekranie. Na stronie wyraźnie odznaczało się kilkaset liter - rzucały się w oczy niczym zgraja trubadurów na uczcie.

ROZDZIAŁ 73

Nottingham rok 1194

Jan z wielkim trudem starał się opanować drzenie. Wiedział, że jego nerwowy tik go zdradza; nieznaczne podrygi głowy, kompulsywne drapanie się po podbródku. Trudne to do ukrycia. Na szczęście resztę ciała skrywały pofałdowane szaty. Ryszard zorientuje się, jak przerażony jest jego brat, ale baronowie, hrabiowie i księżęta będą obserwowali go ze znacznej odległości.

Szeryf, osobliwy Liam z Connor, i jego dziwniejszy jeszcze giermek, Bob, wyszli wraz z nim na zakurzony gościniec wiodący przez bramy Nottingham ku małemu burgundowemu namiotowi, który stał w samym środku ziemi niczyjej.

„Czeka tam na mnie”.

Za namiotem stały linie bojowe armii Ryszarda oraz rząd sześciu, ustawionych za wałem ziemnym, gigantycznych katapult pozostających w gotowości do bombardowania murów miasta. Morze lśniących hełmów, kolczug, pik i powiewających sztandarów.

- Spokojnie, panie - wyszeptał Szeryf. - Pamiętaj, że trzymasz w ręku... to, o co toczy się cała gra.

Jan szybko skinął głową. Zaczny mąż z jego szeryfa. Posłał Liamowi słaby uśmiech, gdy zatrzymali się przed prowadzącą do namiotu markizą. Na straży stało dwóch żołnierzy.

- Tylko on - bezczelnie warknął jeden z nich, zapominając o tytułach Jana i wszelkich kurtuazyjnych gestach.

Jan delikatnie kiwnął głową, dając znać szeryfowi i jednorękiemu giermkowi, aby zostali na zewnątrz, po czym ruszył w stronę wejścia do namiotu.

Odsunął ciężką, jedwabną zasłonę i wszedł do chłodnego, pogrążonego w mroku wnętrza.

Ujrzał drewniany stół, na którym stała karafka i dwa puchary, oraz dwa składane krzesła wojskowe wykonane z dębu i skóry. Ryszard siedział już, swobodnie rozciągnięty, w jednym z nich.

- Braciszku, odważyłeś się przybyć tu osobiście, zamiast wysyłać swego sługusa.

- Ta-tak. - Jan skinął głową. Nienawidził swojego stłamszonego kwilenia, które brzmiało jak kobiecy szczebiot przy głębokim, męskim i przeciągłym pomrukiwaniu Ryszarda.

- Lepiej usiądź, zanim upadniesz - prychnął Ryszard.

Jan posłusznie usadowił się na drugim krześle.

Ryszard nachylił się do przodu, krzesło zatrzeszczało pod ciężarem mężczyzny w kolczudze i zbroi.

- Jam zawsze gotowy walczyć, braciszku. Pytanie, czy i ty?

- Ja... tak... jam...

- Ha! - Ryszard zaśmiał się ponownie. - Ty cherlawy konusie. Długoś nie chciał się oderwać od cycka piastunki! - Podniósł ze stołu karafkę i nalał sobie do pucharu odrobinę rozwodnionego wina. - Ale nie przybyłem tu dzisiaj, by cię karać. - Opróżnił cały puchar na raz, rozlewając wino po gęstej płowej brodzie.

- Odkądem wylądował na tym zapomnianym przez Boga wybrzeżu, co i rusz słyszę wieści, że zgubiłeś coś, co jest bardzo dla mnie cenne. Wiesz, o czym mówię, jak mniemam?

Jan skinął głową, choć sam nie wiedział na pewno, czy było to świadome potaknięcie, czy mimowolny tik.

- Zawsze cię miałem za głupca, drogi bracie, ale żeby zgłupieć do cna i go zgubić? Takoż i mniemam, że to czcze bajdurzenia, nic więcej. - Ryszard uśmiechnął się po raz pierwszy. Był to zimny uśmiech, który nie wyrażał absolutnie nic. - Wygląda na to, że wreszcie masz trochę ikry. Próbujesz się teraz ze mną targować?

Jan oczami wyobraźni widział, jak uśmiech króla znika, jak raptem brat wściekle obnaża kły, jak wykonuje gwałtowny ruch i zatapia ostrze głęboko w gardle ofiary. Ryszard mógłby to zrobić bez oglądania się na konsekwencje.

„Bądź ostrożny”.

- Mam... mam go bracie.

- Doskonale! Oczywiście, że masz. Dziękuję, że raczyłeś przechowywać go dla mnie przez dwa lata. Oddasz mi go, a wonczas, być może - być może - przymknę oko na twoją opieszałość w wypłacaniu okupu. Przymknę oko na nieustanne próby podkopania mojego autorytetu w czasie, gdy przebywałem za morzem, broniąc chrześcijańskiego porządku.

Jan czuł, że nogi pod jego suknią drżą jak osiki na wietrze, pęcherz popuszcza, a żołądek kłębi się i burczy.

„Bądź silny”. - Przywoływał się do porządku.

- Jest bezpieczny, Ryszardzie. Ja... ja...

- Ty co?

Jan z trudem przełknął ślinę.

- Ostawię go przy sobie jeszcze przez czas jakiś.

Uśmiech na twarzy Ryszarda zamarł. Król sięgnął po karafkę i ponownie napełnił puchar.

- Twa żalosna próba sprzeciwiania się mej woli jest niemalże zabawna. Lecz nie mam teraz na to czasu.

- Sły-słyszaleś m-mnie, bracie - wymamrotał, słowa wylatywały z jego ust chaotycznie jak pijak z zamykanej karczmy.

Ryszard zmrużył oczy.

- Sły... sły-słyszszaleśś... m-m-nie, bra-bracie - okrutnie zaszydził, imitując wysoki, piskliwy głos Jana. - Nie zamierzam się z tobą targować, ty żalosna babo! - Potrząsnął głową na samą myśl o czymś takim. - Jesteś jak dziecię, niemowlak. Zawsze taki był. Zabawiałeś

się w królowanie, gdy ja wyjechałem z Anglii. A teraz ważysz się... masz czelność na taką próbę moją cierpliwość wystawiać?

- Toż to tylko zwój ze słowami - rzekł Jan. - Nic nie znaczy. - Pożałował swych słów niemal w tym samym momencie, w którym je wypowiedział. Spodziewał się, że jego brat zeskoczy z krzesła i walnie go na odlew w twarz. Ku jego zaskoczeniu, reakcja Ryszarda okazała się wyważona i spokojna.

- To Boża nauka... nauka skierowana do mnie, tylko do mnie.

Jan dostrzegł żar w jego oczach. Tlił się w nich przerażający płomień radości, determinacji.

- Stanąłeś na drodze zamiarom Pana, bracie. To bardzo niebezpieczne miejsce.

Jan wziął głęboki oddech, próbując uspokoić wzburzony żołądek i godne pożałowania drżenie w głosie.

- Zwolnij do domów lordów i ich wojska, opuść Nottingham... wtedy od-oddam ci Graala.

- Nie. - Ryszard spuścił wzrok na ziemię. - To ja tu wydaję rozkazy: bez chwili zwłoki zwróć Graala, a okażę krztynę pobłażliwości. Słynę przecie z miłosiernych gestów. Jeśli będę zmuszony zdobyć Nottingham, by go odzyskać, zapłacisz za to głową.

- Zaatakuj miasto, a-a spalę go, zanim twoja ręka zdoła mnie do sięgnąć.

Czarne, podkrążone oczy na dłuższą chwilę spoczęły na księciu.

- Zatem, drogi bracie, nim rozpruję twe trzewia i poćwiartuję ciało, zaznasz mąk czarownicy palonej na stosie. A nim odrąbię ci głowę, zdążysz ujrzeć własne serce w mej dłoni.

„Niech Bóg ma mnie w opiece”.

- Żegnaj - Jan wstał. - Rozmówiliśmy się!

- Zginiesz żałośnie, bracie - odrzekł Ryszard, nie podnosząc się z krzesła.

Jan chciał wyjść byle szybciej, ale ugrzązł pomiędzy aksamitnymi zasłonami, w które zaplątała się jego suknia. Wreszcie uporał się z nimi i wydostał z namiotu, klnąc pod nosem i potykając się niezręcznie.

- Jeśli go spalisz, głupcze... skończysz jak żalosny kundel! - Dopędził go jeszcze głos Ryszarda.

ROZDZIAŁ 74

Nowy Jork rok 2001

- Ale te litery nie układają się w nic sensownego! - zauważyła Maddy. - To tylko zlepek dziwacznych celtyckich zygzaków.

- Niepotrzebne nam same litery, ale ich rozmieszczenie na stronie. - odparł Adam, rozglądając się po zagraconym biurku. - Macie jakąś teksturę?

Zazwyczaj leżał tu cały stos pudełek po pizzy, ale zeszłego dnia wywaliła je wszystkie na śmietnik.

- Hmm? Na co ci tekstura?

Sal spojrzała na szafkę po prawej stronie biurka z komputerami. Liam zostawił tam miskę po śniadaniu i, jak przystało na shaddziejnego niechluja, pudełko po płatkach Rice Krispies. Sięgnęła po nie.

- Nada się?

- Jasne. Jeszcze nożyczki! - Adam chwycił pudełko.

Dziewczyny potrząsnęły głowami.

- Co ty myślisz, że prowadzimy tu sklep papierniczy? - burknęła Maddy.

- Muszę wyciąć okienka - wyjaśnił Adam. - Coś się znajdzie? Scyzoryk jakiś?

Cabot sięgnął pod swój habit i wyciągnął mały kozik.

- Wystarczy?

- Idealnie.

Adam wziął od niego nóż, wyciągnął z opakowania torebkę z płatkami Krispies i zaczął nacinać pudełko.

- Robisz wycinankę z Ulicy Sezamkowej? - zakpiła Maddy.

Adam zignorował ten docinek i wskazał nożem ekran.

- Zapisz te wyróżnione litery. - Z tekturowym pudełkiem i nożem Cabota w ręku podszedł do stołu kuchennego, na którym w świetle jarzeniówki wciąż leżał Treyarch.

Skończył przecinać jeden bok pudełka i położył je na pergaminie, nadrukiem do dołu, próbując ostrożnie zrównać poszarpane rogi tektury z narożnikami iluminacji na marginesach.

- Za duże - wymruczał i jął przycinać jeden z boków, klnąc przy okazji, gdyż ząbkowane ostrze kozika Cabota co i rusz zahaczało o kruchą tekturę, zostawiając nierówne, poszarpane ślady na krawędziach.

Sal, Cabot i Beki dołączyli do niego.

- Nie da się tym wyciąć równych okienek - powiedział. - Potrzebuję nożyka do papieru. Ten nóż zwyczajnie rwie tekturę.

- To może po prostu wytniemy litery z Wyznania? - zaproponowała Sal, zerkając na pergamin.

Adam popatrzył na poszarpany i powyginany kawałek tektury, a potem na rozwinięty zwój.

- Jasne, dlaczego nie?

- Ale... ale... - Cabot wybałuszył oczy. - To jest bezcenny zapis zdarzeń z pierwszej krucjaty!

- Nie - rzekł Adam. - To matryca Cardana w przebraniu. Nic więcej. Po to została napisana. To klucz do tego - powiedział, wskazując ręką drewnianą skrzynię postawioną na końcu stołu.

Maddy podbiegła do nich z arkuszem papieru w dłoni.

- Wydrukowałam - powiedziała kładąc na stole podkreślone litery, wciąż ledwie odróżnialne od reszty tekstu. - Okej. Pierwsza linia... to ten znak jest podkreślony - powiedziała, wskazując odwrócony do góry nogami gaelicki symbol, który kilka minut temu zauważył Cabot.

Adam w skupieniu wbił ostrą końcówkę noża w pergamin i drewniany stół pod nim.

- A jeśli się mylimy? - powiedziała Maddy. - Jeśli to coś innego? Wycinasz dziury w oryginalnym dokumencie, który nie ma kopii!

- Ach... racja! - Adam zawahał się i wypuścił powietrze przez zęby.

Popatrzyła na wydruk.

- No, ale patrząc na to...

- Właśnie. - Skinął głową. - Litery zapisano innym atramentem. Jeśli ktoś wybrane litery zapisał osobno, to na pewno z jednego powodu.

- Racja... ach, chrzanić to. Dawaj!

Kiedy Adam zaczął ostrożnie wycinać ze sztywnego pergaminu pierwsze litery, Cabot w roztargnieniu zęgnął się koniuszkami palców i jął po łacinie upraszać Boga, żeby wybaczył im tę haniebną profanację.

ROZDZIAŁ 75

Nottingham rok 1194

Po ponownym ostrzeżeniu ze strażnicy, Liam i stojący obok żołnierze wykonali kolejny unik. Kilka okrągłych głazów wielkości baryłki z miodem przeleciało nad murami grodu i z wyraźnym świstem opadło na rynek.

Jeden z głośnym hukiem uderzył w grunt i Liam poczuł tąpnięcie. W powietrze wzbila się grzybiasta chmura kurzu, wirującej ziemi i kurzych bobków. Pozostałe pociski trafiły w stragany targowe i drewniane budy ustawione przy głównej ulicy grodu, miażdżąc je jak skorupki jajek.

- Jezus Maria!

Bob stał tuż obok niego, spokojnie analizując tor lotu głazów.

- Informacja: regulują kąt wyrzutu. - Wskazał odcinek muru dwadzieścia metrów po prawej stronie od głównej bramy miasta. - Celują tam. Mur jest w tym miejscu najsłabszy.

Liam dostrzegł słabe przebarwienie na tym odcinku obwarowań; wyglądało to tak, jakby starą wyrwę załatano tam innym rodzajem kamienia.

Kilka pierwszych salw przeszło ponad murem i zniknęło wśród łupkowo-drewnianych dachów w centrum Nottingham, wyzwalając pióropusze pyłu i dymu, które zasnuły bezchmurne, błękitne niebo. Gdzieś w tamtym rejonie wybuchł pożar; ciemny i gęstniejący słup dymu oznaczał, że pożoga rozpętała się na dobre i trawi kolejne domostwa.

Liam poczuł na sobie wzrok setek mieszczan; czekali, aż ich młody szeryf wyda stosowne rozkazy.

„Ach, świetnie. Fantastycznie. Przecież pierwszy raz dowodzę obroną miasta”.

- Sugestia.

Liam ochoczo nadstawił ucha.

- Bardzo proszę... Sam nie wiem, co robię. Pomóż.

- Mur w tamtym miejscu się zawali - powiedział Bob, wskazując odbarwiony odcinek.

- Główne siły garnizonu należy skierować w miejsce, gdzie zrobią wyłom.

- Racja.

Bob wskazał szczyt murów zamkowych i strażnicę. Żołnierze z niewielkiego garnizonu miejskiego rozbiegli się po całym murze, wypuszczając strzały w kierunku lśniącego metalicznym blaskiem zastępów armii Ryszarda.

- Żołnierze, również ci trzymani w odwodzie do obrony twierdzy, nie są wydajnie rozlokowani - huknął Bob.

Liam patrzył, jak kulą się za blankami ze strachu przed śmigającymi przez mur strzałami i jak od czasu do czasu wystawiają głowy, by oddać jeden strzał na chybił trafił. Bob miał rację. Ryszard nie marnował czasu na budowanie wież oblężniczych. Precyzyjnie ocenił wytrzymałość obwarowań i uznał, że najprościej zaatakować najsłabszy odcinek. Pół tuzina trebuszów wymierzonych w tę część muru powinno wystarczyć. Walka nie skupi się wokół bramy, celem nie jest też szczyt obwarowań. Decydujący bój rozegra się wokół wyrwy, gdy już runie mur i opadnie kurz.

Liam popatrzył na odcinek muru dokładnie w momencie, gdy ktoś ze strażnicy znowu ryknął ostrzegawczo. Kilka głazów ociężale przeleciało przez zwieńczenie murów, coraz większy cień opadał na wybrukowany kocimi łbami i pokryty blokiem rynek, nagle ziemia pod stopami Liama znowu zadrżała od mocnych wstrząsów.

Tym razem jeden z pocisków sięgnął celu i wbił się w obwarowania. Szeryf usłyszał potężny łomot i zobaczył pajęczą sieć szczelin, która nagle wyprysła po ich stronie muru. Brzęczący deszcz blocka, kurzu oraz kamiennych odprysków runął na stragany ustawione tuż przy podstawie muru.

Liam odwrócił się do Boba.

- Teraz musimy przerzucić tam wszystkie siły, co?

- Potwierdzam - odparł Bob.

Liam skinął głową i wypluł z ust drobinki żwiru. Naprawdę przydałby się tu Jan, ludzie powinni widzieć, że ich władca walczy ramię w ramię z nimi i szeryfem. Lepsze to niż chowanie się w twierdzy.

„Czas przejąć dowodzenie, Liamie. No już, panie O’Connor... przecież to nie pierwszy raz”.

Racja, ale ostatnim razem była to grupa dzieciaków. Nie średniowieczny gród.

„Weź się w garść, patrz na siebie! Czekają. Zrób coś!”.

Przyłożył dłonie do ust, czekając aż choćby na chwilę ucichnie zgiełk: odległy odgłos pieśni bojowych wyśpiewywanych przez armię Ryszarda, przerażone kwilenie kobiet i dzieci; ryczenie osłów, pisk szamoczącej się w kółko świni, której obie zadnie nogi i kuper strzaskały na krwawą miazgę spadające kamienie.

- WSZYSCY NA MUR! - ryknął do stojących w pobliżu żołnierzy i tych żołdaków na murze, którzy wciąż nie robili nic pożytecznego. Odwrócił się do mieszczan. Na rynku i w wąskich uliczkach tłoczyło się koło tysiąca ludzi.

- WSZYSCY ZDOLNI DO WALKI... TAM! - Wskazał na popękany już odcinek obwarowań wyłaniający się zza powoli opadającej chmury kurzu. - TAMTĘDY SPRÓBUJĄ WEDRZEĆ SIĘ DO MIASTA! WSTRZYMAMY ICH TAM!

Przez chwilę zastanawiał się, czy go usłyszeli. Nagle poczuł absurdalność sytuacji i tylko czekał, aż wszyscy wybuchną śmiechem.

„Patrzajcie, młodziak zabawia się w hetmana”.

Ale kolejne głosy zaczęły powtarzać jego apel, który po chwili niósł się już przez cizbę zgromadzoną na rynku; również ustawieni wzdłuż muru żołnierze przekazywali sobie z ust do ust jego rozkaz. Nagle zakotłowało się, plecy mężczyzn, starców i młodzieńców, odwróciły się w stronę chat, wszyscy gnali już po starą broń i narzędzia rolnicze.

Liam odetchnął z ogromną ulgą, ale ukrył to, zasłaniając usta dłonią w rękawicy. Miał nadzieję, że jeśli ktoś akurat na niego patrzył, wziął to za zwyczajne ziewnięcie.

- Dobrze wyszło? - wymruczał pytanie kącikiem ust.

Bob skinął głową, marszcząc ogorzałe czoło.

- Potwierdzam. - Kącik jego mięsistych ust rozciągnął się w grymasie dumy.

ROZDZIAŁ 76

Nowy Jork rok 2001

Przyglądali się wyciętemu z Wyznania Treyarcha prostokątnemu kawałkowi żółtego pergaminu. Adam ostrożnie przytrzymał go za dwa rogi i patrzył na nich przez patchwork kwadratowych okienek, które w nim naciął.

- Jest taki kruchy - powiedział. - Boję się, że go podrę.

- Wyciągnijmy Graala - zaproponowała Maddy. Sięgnęła po okaleczone Wyznanie i szybko nawinęła go na drewniany drążek. Po zwinięciu bezceremonialnie rzuciła go na jeden z foteli i sięgnęła po drewnianą skrzynkę.

Cabot położył rękę na wieku i zatrzymał wzrok na Maddy.

- Rozumiesz, co spoczywa wewnątrz tej skrzyni?

Niecierpliwie pokiwała głową.

Spojrzał na niedbale rzuconego na krzesło i już zapomnianego Treyarcha.

- Ufam, iż potraktujesz zawartość tej skrzyni z szacunkiem większym niżli Wyznanie.

Dłonie starca wciąż mocno przyciskały wieko. - Wewnątrz znajdują się bezcenne słowa, w których obronie wielu mężów pomarło... lub zostało zabitych.

- Święty Graal, jasne.

- Mówisz o tym dziewczyno, jakby... jakby to był liść na wietrze. - Zmrużył oczy i spojrzał na skrzynkę. - Jeśli artefakt ten ma moc, w jaką wierzy król Ryszard, w jaką wierzą

templariusze, w skrzyni tej leżą ukryte słowa Pana. Rozumiesz to?

Maddy wydeła wargi i westchnęła.

- Tak... tak, oczywiście. Obejdę się z nim ostrożnie.

Cabot pokręcił głową z frustracją.

- Nie o zwój, nie o pergamin i inkaust, mi idzie. Toć w końcu tylko dzieło mężczyzny z piórem. - Spojrzał na wyciętą z pergaminu matrycę, którą Adam ostrożnie trzymał w rękach.
- Jeśli to prawdziwie klucz... to kładąc go na wierzchu Graala i zerkając przez dziurki, ujrzymy słowo Boga samego. Czyż naprawdę pisane nam jest to zobaczyć?

W pierwszym odruchu Maddy chciała odepchnąć starego marudę na bok. Nie miała cierpliwości do takich zabobonnych bzdur. Nie wierzyła w żadnego gościa z peleryną puszystych włosów, który siedzi na niebiesiach jak, nie przymierzając, Święty Mikołaj i raz na kilka tysięcy lat zaszczyca ludzkość słowami pełnymi mądrości. Już chciała uraczyć Cabota głoszącego te średniowieczne przesady sarkastycznym komentarzem, gdy jej świadomość zelektryzowało jedno słowo.

„Pandora”. - Spuściła wzrok na skrzynkę. „To, co tam jest, skrywana wewnątrz wiadomość, zawiera przecież słowo Pandora”.

Nie wiedzieli, jakie rewelacje niedługo usłyszą. Przyjrzała się Adamowi, Sal, Beki, Cabotowi... i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście wszyscy powinni, na to patrzeć.

„Tylko dla twoich oczu, Maddy”.

- Hmm... Tak, Cabot... Chyba masz rację. - Spojrzała na Sal, później na - Adama. - Przykro mi, ale to akurat muszę zrobić sama.

- Dlaczego? - spytała Sal. W jej głosie dało się odczuć żal i urazę. To oczywiste. Przecież Sal, Liam i ona mieli być drużyną, grupą osób połączonych silnymi więzami, wzajemnym zaufaniem. I wspólnymi tajemnicami.

„Ale nie tym razem. Jeszcze nie teraz”.

- Sal... nie potrafię ci wytłumaczyć dlaczego. Jeszcze nie teraz. Wiem tylko, że ktoś, gdzieś, z jakiejś epoki, próbował ostrzec mnie przed czymś, co ma związek z Pandorą. Tylko tyle mam. Tylko tyle wiem. Jeśli tu leży odpowiedź - powiedziała, kiwając głową na skrzynkę - to w pierwszej kolejności ja muszę ją poznać. Później porozmawiamy. - Spojrzała na Adama. - Przykro mi, Adamie... ale wiadomość mogę przeczytać ja, Sal i Liam, kiedy wróci. Najpierw drużyna - tak to działa.

- Co? Nie możesz mnie teraz wykluczyć. Przez cały ten czas ci pomagałem, Maddy. Zgadłem, jak...

Beki zrobiła w jego stronę kilka kroków.

- Strateg drużyny, Madelaine Carter, jest upoważniona do podejmowania decyzji - powiedziała mocnym głosem, który uciszył Adama. Raz już niemal stracił palec, gdy od niechcenia mu go wykręciła. Nie miał zamiaru ponownie kusić losu.

- Jasne, dobrze... - wydukał - jeśli chcesz, żeby tak to się odbyło.

- Przepraszam, Adamie - odparła Maddy. - Pozwól mi najpierw zrobić, co muszę... może później będę mogła powiedzieć ci trochę więcej. Zgoda?

Pokiwał tylko głową, ostrożnie odkładając matrycę na stół.

Teraz Maddy odwróciła się do Cabota.

- Nie wyznaję twojej wiary, wybaczone, ale wierzę w to, że bez względu na to, jaką prawdę skrywa ten dokument, ma ona niebagatelne znaczenie. To w końcu Święty Graal. Doskonale to rozumiem i będę traktowała go z należytym szacunkiem. Obiecuję.

Mnich powoli uniósł dłoń.

- Słowa prawdy, które niebawem poznasz, gorzkimi być mogą.

- Cóż, to się dopiero okaże - westchnęła i odwróciła się do Sal. - Zabierzesz Adama i brata Cabota na zewnątrz?

- A co z Beki? - Sal zerknęła na jednostkę pomocniczą.

- Zostaje.

Przez twarz Sal przemknął cień urazy. Na koniec języka cisnęła się jej już jakaś riposta. Maddy przeczuwała, co myśli jej przyjaciółka: „Ufasz robotowi bardziej niż mnie?”.

Lecz Sal skinęła tylko głową i poprowadziła obu mężczyzn ku rolecie. Kiedy drzwi znalazły się już na odpowiedniej wysokości, zanurkowali pod nimi i zniknęli w mroku nocy.

Maddy słyszała jeszcze, jak pomrukują z niezadowolenia, idąc obok siebie ku błotnistemu brzegowi rzeki, by popatrzeć na kutry rybackie zakotwiczone w przystani przy drugim brzegu.

- Beki - przywołała jednostkę.

- Słucham?

- Zamierzam otworzyć zamkniętą partycję na twoim twardym dysku.

Maddy starała się przypomnieć sobie tamte trzy słowa hasła. Szybko znalazła je w odpowiedniej przegródce pamięci.

- Dobrze, posłuchaj mnie: iPad, jaskiniowiec, śniadanie.

Oczy jednostki na chwilę straciły ostrość widzenia. Niemal natychmiast jej postawa uległa zmianie, zresetowała się. Wyuczona poza szlachetnej damy zniknęła, zamiast tego szeroko rozstawiła nogi i trzymała ręce przy ciele, niczym żołnierz piechoty morskiej na defiladzie. Potem uśmiechnęła się lekko.

- Przyjęłam. Dostęp do zablokowanej partycji jest teraz otwarty.

- Dobrze - Spojrzała na drewnianą skrzynkę ustawioną na końcu stołu i powoli uniosła przytwierdzone zawiasami wieko. Wewnątrz dostrzegła zwój pergaminu i drewnianą końcówkę drążka. Poczuła, że jej serce zaczyna bić mocniej, a oddech przyspiesza.

- To jest Święty Graal. - Poczuła, że jej głos zniżył się niemal do szeptu, gdy ostrożnie wyciągnęła manuskrypt i położyła go na stole. - Wiesz, jak go odszyfrować?

Beki skinęła głową.

- Oczywiście. Mam dostęp do reszty danych na moim dysku twardym. - Lewa powieka jednostki drgnęła. - Jezu, nie jestem głupia.

Maddy wybuchnęła śmiechem. Nie trzeba było Einsteina, żeby odgadnąć, z kim spędzała ostatnio trochę zbyt dużo czasu.

Ostrożnie przekręciła drążek; postrzępiony pergamin rozwinął się wzdłuż stołu, a jego końce niemal opadały za krawędzie blatu.

Tak jak w Treyarchu marginesy po obu stronach pokrywały iluminacje, choć tym razem o wiele mniej wyszukane. Same proste krzyże: przecinające się linie czarnego atramentu znaczące początek i koniec różnych, niezrozumiałych ustępów.

Znalazła fragment prawdopodobnie spisany po łacinie - a przynajmniej rozpoznawała niektóre litery alfabetu łacińskiego. Ponownie spojrzała na oznaczenia marginesów: po obu stronach, tu i ówdzie, pojawiały się krzyże. Sięgnęła przez stół po szablon, który wycieli z Treyarcha, i przyłożyła prawy górny róg do pierwszego krzyża na prawej bordiurze.

Lewy róg matrycy zrównała z krzyżem na lewej bordiurze, ale okazało się, że jest kilka centymetrów za krótka, a dolne rogi nie nachodzą na pozostałe krzyże na marginesach. Popatrzyła na setki kwadracików wykrojonych z pergaminu, przez które wycierały pochyłe litery Graala. Jeden lub dwa znaki zdawały się pasować, były idealnie obramowane, ale w

większości okienek litery były przedzielone na pół.

- To nie tu - mruknęła Maddy.

Beki systematycznie analizowała krzyże na lewym marginesie. Wolnym krokiem przesuwała się wzdłuż stołu, porównując poszczególne pozycje.

- Matrycę należy położyć w tym miejscu - powiedziała, wskazując dwa krzyże. - Odstęp pomiędzy tymi oznaczeniami wynosi dokładnie sześćdziesiąt osiem i pół centymetra. Długość matrycy to również sześćdziesiąt osiem i pół centymetra. - Beki szybko spojrzała na następny krzyż przy lewym marginesie. - Również ten znak znajduje się w odległości sześćdziesięciu ośmiu i pół centymetra.

Maddy zrobiła kilka kroków wzdłuż swojej strony stołu i ostrożnie przyłożyła górne rogi matrycy do wskazanych krzyży. Ręką przytrzymała dolne rogi związającego się pergaminu.

„O mój Boże”.

- Pasuje - wyszeptała. Patrzyła na matrycę ze wstrzymanym oddechem. Wszystkie prostokątne wycięcia idealnie okalały poszczególne litery. Podniosła szablon, żeby ponownie spojrzeć na Graala i niekończące się rzędy pająkowatych zawijasów - żadna z liter się nie odznaczała, żadna nie przykuwała uwagi, całość była kompletnie niezrozumiała. Ponownie przyłożyła matrycę i jeszcze raz wyrównała rogi.

„Jesteś gotowa dowiedzieć się prawdy, Maddy? Gotowa dowiedzieć się, co znaczy Pandora?”.

Pytanie to ją przeraziło. Nie - nie była gotowa. Znała historię o puszcze Pandory. Młoda kobieta, Pandora, chciała dowiedzieć się, jakie tajemnica skrywa znaleziona przez nią puszka - pewnie całkiem odmienna niż skrzynka leżąca na końcu ich stołu - niestety, wylały się z niej przeróżne nieszczęścia, których nie mogła już zamknąć z powrotem.

„Pewnie nie bez powodu słowo klucz to Pandora”.

Być może kryje jakąś bolesną tajemnicę? Coś, co zada jej ból? Zniszczy i ją, i innych. Spojrzała na Beki, która przyglądała się jej w milczeniu, czekając na dalsze instrukcje.

- Nie jestem pewna, czy chcę to czytać - wyraziła swoje obawy Maddy.

- Dlaczego?

- Boję się.

- To tylko dane... wiedza. - Beki wyglądała na zdziwioną. - Wszystkie informacje mogą okazać się taktycznie użyteczne.

- Cóż, wcale nie jestem tego taka pewna. Czasem po prostu lepiej czegoś nie wiedzieć. Rozumiesz?

Beki nic nie odpowiedziała.

- Słuchaj... Ja...

„Boże, oddałabym wszystko, żeby był tutaj Foster”. Albo choćby Liam - stwierdziła. Ostatecznie to jedna i ta sama osoba, czyż nie? Nie. Nie ta sama. Foster to Liam plus wiedza i ogrom doświadczenia. Pewnego dnia Liam stanie się tym starszym. Ale jeszcze nim nie jest. Z łatwością wyobraziła sobie, że Liam stoi teraz tuż obok i dygocze ze zniecierpliwienia i frustracji, przysłuchując się temu jej filozofowaniu.

- Chcę, żebyś ty to odczytała - powiedziała wreszcie. - Odszyfruj całą wiadomość.

Beki skinęła głową.

- Gdy skończysz, zwołasz mnie, żebym zablokowała partycję hasłem. Zrozumiałas?

- Tak, oczywiście, Maddy.

- A gdy mnie zawołasz... NIC nie mów mi na temat wiadomości. Jeszcze... jeszcze nie chcę wiedzieć. Czy to jasne?

- Jasne.

Maddy westchnęła. Bez względu na to, jakie sekrety skrywa rękopis rozłożony na stole, na razie będzie to bezpiecznie spoczywało na twardym dysku Beki. Doszła do wniosku, że zanim ponownie odblokuje umysł jednostki, zasięgnie rady Fosterera. Choć może najlepiej będzie zabrać Beki do parku i odnaleźć Fosterera siedzącego przy stoisku z hot-dogami z okruszkami bułki dla gołębi. Wtedy oboje posłuchają wiadomości.

W tym sęk. Uzmysłowała sobie, że nie chce, by ciężar nowej wiedzy spoczywał jedynie na jej barkach. Już tego próbowała.

- Wiesz, co masz robić?

Beki w odpowiedzi skinęła głową.

- To ja poczekam na zewnątrz, z innymi - pożegnała ją Maddy.

ROZDZIAŁ 77

Nottingham rok 1194

„Och, Jeezu... to już. Zaraz”.

Liam poczuł, jak do gardła pochodzi mu żółć, jego żołądek najwyraźniej złośliwie próbował wypluć ostatni posiłek. Charknął śliną wymieszaną z garścią pyłu, który wdychał.

- Nadchodzą - zakomunikował Bob, stając tuż przy nim. Do kikuta wyrastającego z

lewego ramienia mocno przywiązał tarczę. Poruszył nią. Konstrukcja działała niemal tak idealnie, jakby miał zdrową rękę. Zamachał długim, obosiecznym mieczem trzymanym w prawej dłoni i wszedł na chybotałe rumowisko kamieni, niknąc w kłębach kurzu.

Liam słyszał wściekły ryk armii Ryszarda, gnającej na złamanie karku przez zasłane strzałami pole w kierunku wyłomu w murze. Brzmiało to jak huk pędzącej po torach lokomotywy: dzwonienie setek powiewających uprzęży, brzęk kolczug, krzyki mężczyzn, biegnących ile sił w nogach pod ciężarem pełnych zbroi.

Nieopierzeni wartownicy z załogi garnizonu w Nottingham niespokojnie zerkali na Liama. Młodzieńcy i starcy, których największym osiągnięciem bojowym była musztra z drewnianymi mieczami.

„Tylko nie to. Nie zawiedźcie mnie teraz” - rozkazał Liam swoim trzęsącym się nogom.

Uniósł ciężkie ostrze wysoko ponad głowę.

- NAPRZÓD! - ryknął.

Jął wspinać się po wyszczerbionych głazach i roztrzaskanych kawałkach krzemienia o ostrych brzegach, aby dołączyć do Boba stojącego na samym szczycie świeżo usypanego kamiennego kopca. Nagle chmura wirującego kurzu rozwiła się na boki.

Na rozdeptanej już i wysuszonej równinie, kilkadziesiąt metrów przed nimi, wzbierała rycząca fala pierwszej kolumny Ryszarda - wielobarwne morze herbów i liberii kilkunastu familii. Kołysząca się linia spalonych słońcem, brodatych twarzy z nierównomiernie rozdziawionymi ustami nadciągała z rykiem przez wyschnięte, wybrzdżone pole, które zwęzłało się w zastraszającym tempie.

„A oto i historia, którą obiecał ci Foster, Liamie. Jest coraz bliżej”. - Wysunął tarczę przed siebie i zerknął w prawo. Tuż obok stał Bob: szeroka na metr, niewzruszona ściana żelaza i mięśni.

- Bob... jestem przerażony - wymruczał z nadzieją, że usłyszy to tylko jednostka pomocnicza.

- Trzymaj się blisko - huknął Bob. Spojrzał na Liama, odwracając swoją okrągłą jak kokos głowę, którą spowijał kolczy kaptur. Szare oczy i szeroki nos ginęły w cieniu hełmu.

- Trzymaj się blisko, to nic ci się nie stanie, Liamie O'Connor.

Przednia kolumna wspinała się już po grzechoczącej stercie kamieni, strzały posyłane przez łuczników ustawionych po obu stronach wyrwy trafiały w zwarte kłębowisko ludzi.

Liam zdążył jeszcze zaczerpnąć powietrza, kiedy nagle poczuł, że coś potężnie grzmotnęło w brzeg jego tarczy - przeraźliwie bolesny rezonans użądlił jego ramię i niemal zwałił z nóg. Instynktownie ukrył głowę za falistą krawędzią tarczy i na oślep pchnął nożem w dół. Ostrze z głośnym brzdękiem odbiło się od czegoś.

Jeden z obrońców po jego lewej, może z pięć lat starszy rekrut z garnizonu, wydał do niego okolone blond bródką usta, szczerząc garść pożółkłych zębów. Potem zamachnął się mieczem i uderzył w żołdaka Ryszarda, ostrze zahaczyło o skórę przy zbiegu karku i ramion. Gdy wyciągnął miecz z przebitego ciała, ciemna krew trysnęła w powietrze.

Liam poczuł, że nagle coś szarpnęło jego tarczą. Palce i dłoń w grubej skórzanej rękawicy złapały za brzeg i brutalnie ciągnęły ją w dół i do siebie. Zaskoczony Liam mimowolnie osłabił zacisk lewej dłoni i wypuścił z niej imacz.

„Jezu, nie!”

Tarcza upadła z brzdękiem na kamienie pod jego stopami. Miał dosłownie sekundę, żeby zauważyć rumianą, rozgrzaną twarz mężczyzny. Twarz, która na zawsze miała wyryć się w jego pamięci. Był pewien, że jej wspomnienie będzie go prześladować do końca życia... rysy tego człowieka na stałe zagoszczą w jego koszmarach.

Pomimo pikowanej bluzy z grubej skóry i narzuconej na nią ciężkiej kolczugi bez tarczy czuł się odsłonięty i obnażony. Reakcja Liama była nieporadna i całkowicie

odruchowa, jedyne co mu zostało, to rozpaczliwe ciąć...

W przerażającym przyplywie podwyższonej świadomości, jakby w zwolnionym tempie, zobaczył, że masywne ostrze jego miecza opada na kark mężczyzny i głęboko wrzyna się w skórę.

Gdy spotkali się wzrokiem, wszystko dookoła zamarło na kilka sekund. Chabrowe oczy najemnika zrobiły się szerokie z zaskoczenia - powoli docierało do niego, iż ostrze zatopione w jego szyi to znak, że jego życie właśnie dobiega końca.

Odgłosy rozgorzałej bitwy zdawały się dochodzić do nich jak zza ściany. W uszach Liama wrzała tylko buzująca w żyłach krew, serce łomotało jak młotem, urywany oddech rzęził... a człowiek przed jego oczami wypluwał tylko brunatne krople krwi i bełkotał coś przez karmazynowe wargi - rzucał przekleństwa, odmawiał ostatnią modlitwę?

Liam uświadomił sobie, że jego usta układają się w słowo „przepraszam”, jakby konający mężczyzna mógł go jeszcze zrozumieć, wybaczyć.

Potem scena dobiegła końca: bieg zastygłej rzeczywistości przyspieszył do swej normalnej prędkości, uszy Liama ponownie wypełniła wrzawa stęknięć i krzyków, szczęk i brzęk stali uderzanej o stal. Mężczyzna o chabrowych oczach mocno zacisnął obie dłonie na ostrzu, jakby próbował je z siebie wyciągnąć. Tracił jednak siły, wykrwawiał jak zarżnięta świnia, a Liam patrzył jak... „człowiek, którego właśnie zabiłem”... powoli pada przed nim na kolana, opada do tyłu i znika wśród kipieli tłoczących się ciał, ciągnąc za sobą miecz Liama.

Liam stał rozbrojony, gdy kolejny przysadzisty żołdak o ogorzałej twarzy, niemiłosiernie pocący się pod dwudziestokilogramową zbroją, zajął miejsce świeżego trupa. Chłopak zaklął, widząc, że napastnik uśmiecha się na myśl, że mu się poszczęściło, i odchyła się, by nadziać go na ostrze swojej halabardy.

Szeryf skrzywił się w oczekiwaniu na uderzenie i wyciągnął przed siebie dłonie, łudząc się, że zdoła odparować szpic broni. Ale wtedy, niespodziewanie poczuł, że coś ciągnie go do góry za kołnierz kolczy i zrzuca po chrzęszczącym stosie kamieni w stronę rynku.

Rozharatał sobie skroń na ostrej krawędzi wyszczerbionego kawałka muru.

Zderzenie oszołomiło go, w uszach odezwały się dzwony. Patrzył, jak rozmazane postacie przeskakują nad nim i wspinają się po zwalisku, by dołączyć do załogi na wyłomie; nad nimi przelatywały strzały wypuszczane i przez atakujących, i przez obrońców; wysoko na błękitnym niebie radosne kręgi zataczała para ścigających się jaskółek, nie zwracając żadnej uwagi na rzeź ludzi.

Nagle tuż nad sobą zobaczył twarz pokrytą szczecina i rozdziawione w jednozębym uśmiechu usta.

- Zdrowyś, panie? - Liam z trudem rozpoznał w mężczyźnie jednego z nottinghamskich kowali.

Skinął głową. Szorstka dłoń załapała go za rękę i podciągnęła go na nogi, które niebezpiecznie zadrżały.

- Ja... ja straciłem miecz i tarczę - powiedział.

- Nie ma co się zamartwiać. - Człek się uśmiechnął. - Niedługo zacniemy zbierać je z ziemi naręczami, panie - odpowiedział, po czym odwrócił się i jął wdrapywać na usypisko, by dołączyć do gęstej cizby mieszczan starających się utrzymać wyłom.

Liamowi zdawało się, że na samym szczycie majaczy sylwetka Boba: tył jego głowy i szerokie ramiona; w sprawnej ręce dzierzył topór o długiej rękojeści, którym wymachiwał groźnie niczym Scyta.

Głowa pękała mu z bólu, ostre ukłucia agonii uniemożliwiały zebranie choćby jednej spójnej myśli.

Ale udało mu się to w końcu.

„Kiedy, do diabła, wraca Beki?”.

Jan obserwował walkę z tarasu przy Wielkim Hallu twierdzy. Z takiej odległości klębowisko ludzi wyglądało jak chmara insektów kotłujących się nad gnojowiskiem.

Stłoczyli się tam wszyscy co do jednego żołnierze z garnizonu i lwia część mieszczan, każdy chciał walczyć o swój gród.

„O swojego księcia”.

Niedobrze mu się zrobiło na myśl o swojej słabości, tchórzostwie. Widok krwi zawsze wywoływał w nim paraliżujący lęk.

„Nie masz serca króla, dlatego nigdy nim nie zostaniesz” - rzekł mu kiedyś Ryszard, jeszcze za życia ich ojca.

- Pewnie miałeś rację - wyszeptał Jan żałośnie. Lecz nie... czuł, że kielkuje w nim nowe uczucie. „Odwaga” to chyba zbyt wielkie słowo, ale siła determinacji, może nawet cień buntu wobec Ryszarda, jaki odczuwał podczas pertraktacji w jego namiocie.

„Wtedy byłem silny, czyż nie?”.

„Silny?”.

W roztargnieniu podrapał się po brodzie, jego ręka zadrżała jak jesienny liść, który za chwilę zostanie porwany przez świeży podmuch wiatru.

- Nie... jesteś jedynie słabym głupcem - odpowiedział sobie.

- Panie?

Jan zerknął przez ramię na jednego z zamkowych giermków, który stanął przy zasłonie. Był to bladolicy, zniewieściały młodzieniec wystrojony w bogate szaty.

- Panie? Nie trzeba nam zamknąć bram? Nawet jeśli się przebiją, to w twierdzy dłużej

pozostaniemy bezpieczni!

Jan poczuł, jak jego kiszki przewracają się ze wstrętem.

- Nie - rzekł wreszcie. - Masz miecz i pancerz?

- Panie? - Giermek wybałuszył oczy.

- Słyszałeś.

- Ja... Ja... Ja... gdzieś chyba są...

- Tedy przynieś mi wszystko, ino pędem.

- Pe-pędem?

- Pędem. - Jan odetchnął głęboko, by uspokoić oddech. - Dołączymy do nich.

ROZDZIAŁ 78

Nowy Jork rok 2001

Maddy oparła się o kruszejącą ceglana ścianę ich przeniesionej do innej czasoprzestrzeni bazy. Obserwowała Cabota, Sal i Adama, którzy stali na porośniętym trawą, mulistym brzegu East River.

- Madelaine?

Odwróciła się, by zobaczyć Beki, która stała we wnęce, pod całkowicie podniesioną roletą.

- Zrobione?

Beki potakująco skinęła głową.

- Jeżeli ponownie zablokuję partycję, to wszystko, co właśnie przyswoiłaś, przeczytałaś - będzie całkowicie bezpieczne?

- Potwierdzam.

Maddy w zamyśleniu skinęła głową. Tym sposobem nikt nie będzie miał dostępu do tajemniczej wiadomości ukrytej w Graalu, nawet sama Beki.

Już zdecydowała, co zrobi później: odblokuje partycję Beki dopiero przy Fosterze; oboje w tym samym czasie usłyszą, co Beki ma do powiedzenia. A później wspólnymi siłami ustalą, co to wszystko oznacza i co należy zrobić, o ile w ogóle zdecydują się podjąć jakieś działania.

- Gotowa ukryć dane na partycji?

- Potwierdzam.

Półgłosem wymruczała trzy słowa. Beki mrugnęła kilkakrotnie, po czym przekrzywiła głowę. Głos jednostki natychmiast przybrał łagodniejszą, bardziej kobiecą barwę.

- Zarejestrowałam trzydzieści siedem minut czasu bez zapisu da...

- Wszystko gra, rozmawiałam z twoim alter ego. - Maddy uspokajającym gestem uniosła dłoń.

Beki sprawdziła coś w procesorze.

- Masz na myśli partycję blokowaną hasłem dostępu?

- Tak. - Maddy popatrzyła na pozostałych. - Skutecznie rozszyfrowałaś Świętego Graala. Jest teraz bezpiecznie zamknięty w twojej głowie - zaśmiała się Maddy. - Nawet ty się tam teraz nie dostaniesz.

- To rozważny środek ostrożności, Maddy.

Już chciała odpowiedzieć „dziękuję”, gdy usłyszała głos Sal. W świetle zmierzchu ledwie dostrzegła zarys drobnej postaci, która odwróciła się od rzeki i właśnie biegła w ich kierunku.

- Co jest?! - krzyknęła.

Hinduska odpowiedziała coś, ale jej słowa porwał nagły podmuch wiatru; świeża bryza zburzyła sielankowy spokój rzeki, a na gładkiej jak lustro powierzchni wody zatańczyły zmarszczki.

„Coś nadciąga”.

Maddy spojrzała w górę: przewalający się przez niebo i pędzący w ich stronę sztorm znad Oceanu Atlantyckiego.

- Szybko! - krzyknęła do Sal, która z kolei ponagliła dwóch towarzyszy, aby popędzili za nią po kamienistej plaży prosto do ceglanego bunkra wciśniętego między piaszkowe wydmy.

Stopy zbiegły z miękkiego piasku na połamane fragmenty chodnika i uliczki - które spadły do tej rzeczywistości w ślad za ceglanymi arkadami bazy - dokładnie w momencie, gdy chmura burzowa przetaczała się nad wyspą Manhattan.

- To gniew Pana się zbliża - posępnie wydyszał Cabot.

- Nie - rzekła Sal. - Tylko fala czasu.

Nad Manhattanem, pośród kłębowiska gnających przez rzekę czarnych chmur, migąło

kilkanaście różnych linii horyzontu: w jednej chwili był to strzelisty i szpiczasty kościół zwieńczony sięgającymi nieba krzyżami, a chwilę później zaokrąglone wyrzucenie meczetów i cebulastych minaretów ozdobionych symbolami półksiężyca.

- Mój Boże... Widziałaś to? - spytał Adam, którego głos utonął w huku grzmotów.

Stali tak przy wejściu do bazy i jak zaczarowani patrzyli na świat w fazie zmian; wokół harcował wiatr, smagając ich policzki podrywaniem piachem. Ściana pulsującej rzeczywistości wreszcie do nich dotarła. Zapadła ciemność choć oko wykol. Fala przewaliła się tuż nad ich głowami. Potem znikła.

Ceglane arkady stały pogrążone w ciszy i ciemności, chwilę później w pomieszczeniu zamrugało światło, usłyszeli cichy szum uruchamianego na zapleczu generatora.

Na zewnątrz powrócił spokojny wieczór; dyskretne pluskanie niskich fal przerywał tylko płaczliwy pisk samotnej mewy.

Maddy stała pomiędzy Adamem i Cabotem, którzy wciąż sapali z wrażenia. Cabot głośniejsze.

- Niechaj Bóg ma mnie w opiece - wydyszał. - Czy to jakoweś sztuczki diabelskie?

- To przesunięcie rzeczywistości - powiedziała Beki. - Zdarzenia z przeszłości zmieniły teraźniejszość.

Maddy patrzyła na wyspę Manhattan. Reflektory kutrów zniknęły. Światła miasta na drugim brzegu zgasły. W ich miejscu wyrósł ciemny, gęsty las, który opadał nad sam brzeg rzeki.

- Teraz nic tam nie ma!

- Same drzewa - zauważyła Sal.

- Beki? - Maddy przygryzła wargę.

- Słucham?

- Co, u diabła, działo się w dwunastym wieku, kiedy opuszczałaś Anglię?

- Król Ryszard przygotowywał się do odbicia Nottingham z rąk swego brata.

- Ekstra! - kłapnęła zębami Maddy. - To w takim razie nasza wina?

- Nie - odrzekł Adam. - To się naprawdę wydarzyło.

- No ale wciąż coś jest nie tak!

- Ten święty zwój może? - Sal wskazała dokument na stole. - Może trzymamy go już za długo?

- Tak. - Maddy skinęła głową. - Tak, prawdopodobnie masz rację. Powinniśmy go zwrócić tak szybko, jak to możliwe.

- Ale... czy tak rzeczywiście było? - spytał Adam. - Czy w poprawnej wersji historii Święty Graal znalazł się w posiadaniu Ryszarda?

- Nie wiem. - Maddy potrząsnęła głową. - Lecz bez dwóch zdań nie powinien dłużej znajdować się w dwudziestym pierwszym wieku.

- Graal zaginął. Przepadł! - Adam wycofał się do stołu. - Przez to stał się mitem, przeszedł do legendy. Dlatego ludzie myślą, że to kielich z krwią Chrystusa! Zaginął, nie?

- A może powinniśmy go podrzeć? - podsunęła Sal.

Cisza się przedłużała. Zawieszona pod sufitem jarzeniówka rzucała światło na rozwinięty pergamin.

- Król Ryszard zabije brata swego - odezwał się wreszcie Cabot - jeśli nie dostanie

tego, po co przybył. - Starzec potrząsnął głową. - Wściekłość nim zawładnie... i wyrżnie w pień całe Nottingham.

- To się nie wydarzy - odrzekł Adam. - Nie na poprawnej osi czasu. Oblężenie Nottingham trwało raptem kilka dni... Jan złożył broń, a Ryszard mu wybaczył.

- Pewnyś? - Cabot spojrzał na niego uważnie.

- Oczywiście. Jan uzyskał wybaczenie, a kilka lat później, po śmierci Ryszarda, sam został wyniesiony na tron.

- Czyli Ryszard musi dostać to, czego pragnie - rzekła Maddy. - Graala. Racja? Chłopiec dostanie swoją zabaweczkę, a wtedy Jan uzyska łaskę króla.

- Ale... - Sal spojrzała na stół. - Ale Graal skrywa przecież wielką tajemnicę. Gdy Ryszard ją pozna, zechce pewnie zorganizować kolejną krucjatę, która...

- Która doprowadzi Anglię do bankructwa - wtrącił Adam - i zachęci Filipa Drugiego Francuskiego do inwazji.

„Co robić? Oddać mu go? Czy nie?” - Maddy w rozterce przygryzała wargę.

Znowu cisza, wszyscy z wyczekiwaniem na nią patrzyli, czekając, aż coś postanowi.

- Nie. - To Beki przemówiła jako pierwsza. - Nie - powtórzyła.

- Co „nie”? - z niecierpliwością spytała Maddy.

- Król Ryszard nic nie znajdzie w Graalu.

Adam nagle się rozchmurzył.

- Ona ma rację! Może... może okaże się to dla niego... całkowitym rozczarowaniem. Może uzna Graala za nieprzydatny zwój, którego nie może rozszyfrować. No bo...

- Bo prawdziwą matrycą zawsze było Wyznanie Treyarcha - dopowiedziała Maddy.

Adam kiwał kłową.

- A jego dokument, matryca strzeżona przez rycerzy w Akrze to tylko podpucha. Falsyfikat.

Maddy na chwilę pogrążyła się w myślach.

- Tak! Po co komu drugi klucz? Dokument, który ma Ryszard to podróbka.

- Powinniśmy natychmiast zwrócić Graala - powiedziała Beki. - Rzeczywistość wciąż faluje.

- Ostatnia fala była naprawdę dziwna... - zgodziła się Sal. - Jakby nie wiedziała, w którą stronę się rozlać.

- Azaliżby bitwa o Nottingham się rozpoczęła? - zapytał Cabot. - A jej rozstrzygnięcie zawisło na włosku?

Maddy nie była pewna, czy ostatnia fala czasu rzeczywiście tego dowodziła. W zasadzie nie była pewna czy dowodzi czegokolwiek poza tym, że historia wciąż jest wykolejona. Chociaż... może i stary mnich mówi do rzeczy. Przecież w normalnej wersji historii w obronie Nottingham, po stronie Jana, nie walczyła żadna śmiertelna maszyna do zabijania, taka jak Bob.

- Okej. Namysliłam się - powiedziała wreszcie. - Beki i brat Cabot zabiorą Graala z powrotem do średniowiecza i przekonają Jana, aby oddał artefakt królowi Ryszardowi. Dajcie chłopcu zabawkę, niech się nacieszy i zapomni o zabiciu Jana.

Przygryzła wargę.

„Cholera, czy to aby właściwa decyzja?”.

ROZDZIAŁ 79

Nottingham rok 1194

Liamowi ponownie udało się wdrapać na szczyt i zająć pozycję obok Boba, w jednej ręce trzymał nową tarczę, w drugiej topór, który zastąpił stracony miecz; obie bronie wykuł ten sam utalentowany kowal miejski. Pomędzy zaciekłymi siepnięciami toporem udało mu się lekko stuknąć Boba w ramię, by dać mu znać, że jest tuż obok i zabezpiecza jego flankę.

Wzgórze kamieni, pozostałość po wyburzonym odcinku muru, pokrywał już gruby dywan pokieraszowanych, zmiażdżonych i rozszczepionych przez wirujący topór Boba ciał. Liama i jednostkę ze wszystkich stron otaczali obrońcy, w większości obywatele Nottingham, oraz tuzin, może dwa, pozostałych przy życiu żołnierzy z garnizonu w burgundowo-bursztynowych bluzach.

Wydawało się, że impet atakujących na chwilę osłabł; przednie szeregi żołnierzy w różnych barwach i zbrojach zaczęły powoli wycofywać się w dół nierównego i śliskiego usypiska przy wylomie.

Liam miał cichą nadzieję, że atak osłabł, a armia Ryszarda przegrała bitwę. Wkrótce stało się jednak oczywiste, że to odległy dźwięk rogu wzywa wrogie siły do odwrotu. Wycofywali się, by odpocząć i zwilżyć usta wodą.

Nagle zaczął się śmiać, niemal histerycznie.

- Co cię tak śmieszy? - Bob zerknął na niego przez ramię.

- Zupełnie jak przerwa w peil Ghaelach [Futbol gaelicki - irlandzki sport narodowy z elementami koszykówki, piłki nożnej, siatkówki i rugby.] - prychnął Liam. Deszcz strzał

przelatujących nad ich głowami ustał, jakby łucznicy po obu stronach muru, za obopólnym porozumieniem stron, zawarli czasowy rozejm.

Kobiety i dzieci z cebrami podwieszonymi do drągów przewieszonych przez ich plecy zgrabnie manewrowały między odpoczywającymi żołnierzami Ryszarda. Ci zanurzali w wiadrach hełmy i umorusane ręce, by wlać do ust trochę upragnionej wody lub dla orzeźwienia ochlapać nią twarz.

Na rynek po drugiej stronie muru też wyszły kobiety z cebrami i bukłakami pełnymi wody, którą obrońcy zaczęli łapczywie siorbać i wylewać na głowy.

Całkowicie to zrozumiałe. Choć walczył dość krótko, już czuł, jak duszno robi mu się pod skórzaną opończą i kolczugą. Woda i uzgodniona przerwa w walce, podczas której można napić spragnionych, to stały scenariusz dwunastowiecznych bitew.

- Bob - powiedział, pukając go pięścią w plecy - mają wodę, powinieneś trochę wypić, póki na to pora.

Bob odwrócił się. Dopiero teraz Liam zauważył zewnętrzną część tarczy przywiązanej do kikuta jego lewej ręki.

- Jezu, Bob - widziałeś to? - Tarczę porastała szczecina wbitych strzał, przywodząc na myśl szczotkę do włosów. Łucznicy wroga celowali w niego z wyjątkową zaciekłością.

Kilka strzał wystawało też z jego klatki piersiowej.

- Och, jejku... ktoś musi się tym zająć.

- Skala ubytków jest na tym etapie akceptowalna - burknął Bob. - Moja wydajność operacyjna wciąż pozostaje na poziomie pięćdziesięciu pięciu procent. - Grube wargi klona rozwarły się w uśmiechu. - Ale masz rację... kropelka wody nie zaszkodzi.

Dołączyli do obrońców, by poczekać na swoją kolej i zaczerpnąć garść ożywczej wody z cebra. Kiedy Bob chleptał wodę jak spragniony po długim spacerze pies, przez

zgrupowaną na rynku ciżbę przetoczyła się fala stłumionych wiwatów.

Gawiedź rozstępowała się przed kimś z szacunkiem, wreszcie przy rumowisku powstałym obok wyrwy w murze pojawił się ciężkozbrojny rycerz dzierżący tarczę z królewską koroną. Książę Jan.

- Panie! - krzyknął do niego Liam.

Jan jął powoli wdrapywać się w ich kierunku.

- Szeryfie - odpowiedział wreszcie, dysząc ze zmęczenia. Zaczerpnął powietrza i uspokoił oddech, po czym podjął: - Chodzić po tym niełatwo, a cóż dopiero się wspinać.

Stojący w pobliżu żołnierze z garnizonu uniesienie padli na kolana.

- Ach, dajcież spokój! - zachnął się Jan, który ze wszystkich sił starał się odgrywać rolę bohaterskiego i odważnego władcy. - Mądrze szafujcie siłami, odsapnijcie przed walką.

- Panie - zaniepokoił się Liam. - Jesteś teraz łatwym celem.

Zauważył, że Jan pobladł, a jego ciało pod zbroją drży.

- Zatem - rzekł Jan, zwilżając językiem wyschnięte usta. - Zatem ruszam na dalszy obchód.

Znowu zabrzmiał donośny ryk rogu. Kobiety i dzieci kluczące wśród ludzi Ryszarda poderwały się nagle do biegu i popędziły ile sił w nogach z dala od pierwszej linii ognia, ku rozstawionym na wzgórzu namiotom i markizom. Jak na zawołanie wznowiono ostrzał, jasne niebo pokrył grad czarnych strzał, a oddaleni o pięćdziesiąt metrów żołnierze króla przegrupowali szeregi, by przypościć ponowny szturm na Nottingham.

ROZDZIAŁ 80

Nowy Jork rok 2001

Maddy i Adam patrzyli na monitor, podczas gdy Sal pomagała Beki i Cabotowi przygotować się do podróży powrotnej do tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- O co chodzi, dlaczego nie możesz użyć sygnatury czasowej Beki? - spytała Maddy Boba.

> Wahania są zbyt duże, by otworzyć bezpieczne okno.

- Co to znaczy?

> Rzeczywistość niepewnie unosi się pomiędzy dwoma stanami.

- Nie może się zdecydować - doprecyzował Adam.

> To trafna analogia.

- No i... co teraz? Czekamy? Rzykujemy?

> Możemy zaryzykować wysłanie ich do przeszłości, używając sygnatury czasowej Beki, ale nie jestem w stanie przewidzieć, jakie przyniesie to skutki.

Maddy zacisnęła w pięść trzymaną na biurku dłoń.

- Dobrze, powiesz mi... jak poważna jest ta niestabilność?

> Inaczej sformułuj pytanie, proszę.

- Jak... daleko, jaki okres czasu pokrywa? Czy to lokalne zaburzenia... jak burza na

przykład?

> Oscylujące osie czasu powstały na siedem d o dziewięciu godzin przed powrotną sygnaturą czasową Beki.

Maddy odwróciła się w stronę cylindra z wodą. Beki już wspinała się po drabinie, by wskoczyć do środka.

- Beki! Co wydarzyło się siedem godzin przed waszym powrotem z tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku?

Beki zatrzymała się i sprawdziła dane w pamięci.

- Dokładnie siedem godzin przed ekstrakcją? Szłam kamiennym korytarzem.

Maddy ze zniecierpliwieniem machnęła rękami.

- Albo w okolicach siedmiu godzin. Pamiętasz coś istotnego?

- Sześć godzin i czterdzieści trzy minuty przed sygnaturą czasową wdrapałam się na zewnętrzne obwarowania grodu Nottingham.

- A wcześniej?

Beki przekrzywiła głowę.

- Siedem godzin i trzy minuty przed sygnaturą czasową mówiłam Liamowi i Bobowi, że sobie poradzę.

- No błagam! Mów, co było jeszcze wcześniej. Chodzi o coś ważnego!

Beki przez kilka sekund w milczeniu buforowała dane, po czym wreszcie skupiła wzrok na Maddy.

- Osiem godzin i pięćdziesiąt sześć minut przed sygnaturą czasową rozmawiałam z księciem Janem.

- Co mu, do diabła, powiedziałaś? Słowo w słowo.

Zatrzepotała powiekami.

- „Mężczyzna musi choć raz w życiu zaważyć o sobie... inaczej przejdzie przez życie trawiony ogniem żalu”.

Maddy spojrzała na Adama.

- Bardzo to poetyczne. - Wzruszył ramionami.

> Sprawdzam bazę cytatów. Sekunda...

- Myślisz, że to mogło zmienić historię? - Maddy spytała Beki.

- Sądzę, że słowa te mogły go zainspirować do działania - odrzekła Beki. - Jan planował natychmiast poddać się bratu, a przecież w poprawnej wersji historii zamek opierał się najeźdźcom przez pięć dni. Stwierdziłam, że księżę potrzebuje... zachęty.

Maddy ciężko westchnęła.

- No i wiesz co? Chyba zadziało.

> Źródło cytatu: zespół rokowy EssZed. Tekst jedne j z piosenek.

- Bomba, dzięki Bob. Czyli - ponownie zwróciła się do Beki - pomyślałaś, że jeśli powiesz tę linijkę...

- Obiecałam mu również siebie.

- Znaczy...? - Sal w zdumieniu rozdziawiła usta.

- Małżeństwo - wyjaśniła Beki.

- Jeśli... co? Jeśli pokaże, jaki twardy z niego gość? - spytała Maddy. - Jeśli postawi się bratu?

- Potwierdzam.

- O kurczę, naprawdę go zachęciłaś. - Maddy odwróciła się do monitora, nie przestając kręcić głową. - Bob... jakie sprzeczne wersje historii powstały?

> Brak danych. Oscylacja jest zbyt gwałtowna, by wygenerować osie czasu.

- I dlatego nie odczuwamy fal? - spytał Adam.

> Potwierdzam. Stan ciągłej fluktuacji jest bardzo groźny.

- Groźny? - Maddy nacisnęła okulary na nos. - Co masz dokładnie na myśli?

> To czynnik wywierający nacisk na mur czasoprzestrzenny.

- Mur czasoprzestrzenny? - Adam pytająco zerknął na Maddy.

- Oddziela nas od wymiarów chaosu - odrzekła szybko. - Bob... co teraz radzisz?

> Niestabilność może wygasnąć samoczynnie, ale może się też wzmóc.

- A jeśli tak się stanie? Jeśli sytuacja się pogorszy?

> Brak danych.

- Brak danych?! - ryknęła z rozdrażnieniem. - Ale rozumiem, że to nie może być nic dobrego?

> Nic dobrego. W bazie danych znajduje się kilka esejów na temat wymiarów chaosu, wszystkie autorstw a R. Waldsteina i E. Chana.

- Możesz je przynajmniej streścić?

> Chaos to wymiar, który zaprzecza prawom fizyki kwantowej. Teoretycznie chaos może zniszczyć normalne wymiary.

- Co to znaczy? Że cała Ziemia... zostanie zniszczona?

> Zaprzeczam. Wszystko.

- Wszys-tko?

> Wszechświat.

Maddy nagle poczuła lekkie zawroty głowy i zadyszkę.

- O cholera. Mój Boże! Zrobiliśmy naprawdę niezły bajzel. - Drżącymi rękami nieporadnie gmerała w śmieciach zawalających biurko, żeby odkopać inhalator. - My...

- Maddy. - Adam położył dłoń na jej ramieniu. - Maddy, spokojnie... nie wariuj.

Znalazła inhalator i wzięła kilka głębokich oddechów, po czym zgięła się wpół na krześle, chowając głowę między kolanami, świszczący oddech przeciskał się przez zwężone gardło, co brzmiało jak dźwięk wydawany przez miechy kowalskie.

Sal podskoczyła do krzesła i natychmiast objęła przyjaciółkę ramionami.

- Maddy? Wszystko gra?

Potrząsnęła głową.

- Sekundę - wyrzęziła. - Daj... mi... sekundę.

- Wszystko idzie nie tak, prawda? - odezwał się Adam. - Ta wasza organizacja to...

- Wciąż się uczymy - warknęła Sal. - Bywaliśmy w gorszych opałach. - Uklęknęła przy przyjaciółce i odgarnęła jej włosy z twarzy. - Prawda, Maddy? Z nie takich tarapatów wychodziliśmy.

Maddy znowu użyła inhalatora, po czym uniosła twarz.

- Ddag... - wydyszała w nieartykułowany sposób. - Tak - powiedziała już wyraźniej. - Bob?

> Słucham, Maddy.

- Beki i Cabot muszą wrócić z Graalem, natychmiast! Znajdź najdogodniejszą lokalizację dla okna, tak blisko zamku, jak to możliwe.

> Potwierdzam. Szukam.

- Przecież rzeczywistość jest niestabilna - zauważył Adam. - Wasz komputer twierdzi, że podróż jest niebezpieczna.

- Zawsze jest pierońsko niebezpiecznie - mruknęła Maddy zmęczonym głosem. Uniosła się na łokciach, jej twarz ponownie znalazła się na wysokości ekranu. - Bob? No już... daj mi coś!

> Chwileczkę... szukam.

Sprawdziła, czy wehikuł translokacyjny jest dobrze podładowany. Poziom mocy się zgadzał.

- Każ im wchodzić do wody, Sal. Niech się szykują!

Sal kiwnęła głową i pognała w stronę pleksiglasowego cylindra.

- Co może im się stać, jeśli czasoprzestrzeń wariuje? - spytał Adam.

- Wnętrznosci mogą wypaść im przez usta i zamienić w miskę lasanii - odrzekła.

- Aha, chyba niepotrzebnie pytałem.

- Albo gorzej.

- Gorzej! - Twarz Adama wykrzywił grymas. - Potrafisz wyobrazić sobie coś gorszego?

- Mogą utknąć w chaosie - zniżyła głos. - Powiedz, wierzysz w piekło?

- Żartujesz? - Potrząsnął głową. - Nie... oczywiście, że nie. To nierealny byt wymyślony przez Kościół. To tylko stek katolickich hokus-pokus.

- Też tak myślałam. Ale... zaczęłam się zastanawiać. Czyżby to tylko bajeczka?

W czarnym oknie dialogowym na ekranie nagle zaczął migotać kursor komputera-Boba.

> Znalazłem sygnaturę czasową w stabilnej lokalizacji.

- Jak długo się utrzyma?

> Brak danych w tym zakresie. Prawdopodobnie kilka sekund.

- Uruchom dziesięciosekundowe odliczanie. JUŻ!

> Potwierdzam.

Gdy odwróciła się w stronę próbówki, Beki właśnie wskakiwała do wody, Graal spoczywał już w skrzynce, którą zapakowali do plastikowego worka strunowego. Cabot stał

na szczycie drabiny, nieufnie spoglądając w chłodną wodę pod jego stopami.

- Dajcie pokój, młoda damo... po cóż nogi moczyć?

- WEPCHNIJ GO! - zawołała Maddy, przekrzykując szum narastającej mocy.

Sal wspięła się po szczeblach.

- Bracie Cabot, musicie wejść do wody... proszę!

Odwróciła się, by spojrzeć na licznik na ekranie.

Cztery... trzy... dwa...

- WEPCHNIJŻE GO!

Sal kiwnęła głową i jak mała rakieta uderzyła całym swoim ciężarem prosto w uda mnicha. Zachwiał się, wymachując ramionami, by złapać równowagę, ale wpadł do cylindra twarzą naprzód. Mała fontanna wody chlusnęła przez krawędź słoja na podłogę. Drabina zatrzęsa się od szarży Sal, która wywinęła salto w powietrzu, grzmotnęła plecami o ceglana ścianę, opadła na betonową podłogę i ślizgając się jak łyżwiarz figurowy, wpadła na półkę obładowaną zwojami kabli i skrzynkami na narzędzia. Wszystko to z brzdękiem runęło na podłogę w ślad za Hinduską w momencie, gdy wehikuł translokacyjny zaczął oddawać moc. Sekundę później pleksiglasowy cylinder wygiął się niemiłosiernie i wydał z siebie głuchy huk, a woda, Cabot i Beki zniknęli na szlaku do dwunastego wieku.

Kiedy Sal wierciła się na podłodze wśród zwojów przewodów, drąc się w niebogłose z powodu skręconego nadgarstka, a echo pleksiglasowego łomotu odbijało się od wszystkich zakamarków bazy, Maddy zastanawiała się tylko, jak to możliwe, że losy całej ludzkości - a może i całego wszechświata - spoczywają w rękach takiej bandy dyletantów jak oni.

ROZDZIAŁ 81

Nottingham rok

1194

Wylądowali na zewnętrznym dziedzińcu twierdzy, rozbryzg stu czterdziestu litrów wody odbił się echem od wysokich kamiennych murów. Cabot ciężko wylądował na boku, stękając z bólu po mocnym zderzeniu z kocimi łbami. Beki opadła prosto na stopy, czujna i gotowa do działania.

Twierdza była opustoszała. Para żołnierzy pilnujących strażnicy wyszła z chłodnego cienia pod łukowym sklepieniem, żeby zorientować się, co to za hałasy. W zdumieniu wpatrywali się teraz w starego mnicha i kobietę w skórzanym gorsocie i ciemnych, bawełnianych rajtuzach.

- Gdzie hrabia Kornwalii?

- Tutaj go ni ma, skarbie, wojuje - odpowiedział jeden z nich i nagle uświadomił sobie, że tych dwoje wcale nie musi mieć przyjaznych zamiarów - Hola, hola! Wyśta szpiegi? - warknął. - Ni kroku dalej!

Beki spokojnie wręczyła skrzynię Cabotowi, który właśnie podniósł się z ziemi, i podeszła do strażników, szeroko rozkładając ręce i przywołując na twarz swój najbardziej urzekający uśmiech.

- Pozwólcie sobie wyjaśnić - podjęła.

Dziesięć sekund później obaj mężczyźni leżeli na plecach, jeden nieprzytomny, drugi ze złamanym nadgarstkiem. Beki rzuciła Cabotowi jeden z ich mieczy. Wybiegli z twierdzy przez otwartą bramę na most nad fosą, by skierować się na główny wyboisty gościniec biegnący przez centrum Nottingham ku rynkowi i zgiełkowi rozszalałej bitwy.

Rynek roił się od targanych konwulsjami, wyjących z bólu rannych: mężczyzn i chłopców bez jednej lub drugiej kończyny, z rozciętymi twarzami i głowami oraz poszarpanymi, purpurowymi ranami. Najpewniej śmiertelnymi. Pomiędzy nimi krążyły dzieci, które z cebrami wody i splamionymi krwią szmatami w rękach próbowały ulżyć ich cierpieniom, nie zważając na strzały odbijające się od bruku lub wbijające się w ziemię.

Kilkadziesiąt metrów dalej, po prawej stronie bramy miejskiej, wzbierające morze walczących ludzi wypełniało szeroką na dwadzieścia pięć metrów wyrwę w murze. Żołnierze i cywile, młodzi i starzy, a nawet kobiety, zбили w jedno gigantyczne wrzące mrowisko. Na murach po obu stronach żołdacy i zwykli cywile wypuszczali strzały, a dzieci ciskały kamienie prosto w atakujące oddziały - całe miasto, jak jeden mąż, stawiało zaciekły opór. I jak dotychczas wychodziło im to znakomicie. Słońce już dawno minęło zenit i zapowiadało późnopołudniowe godziny.

Uświadomiła sobie, że to z tej bitwy wyrastają oscylujące osie czasu zmierzające w różnych kierunkach. Chociaż armia Ryszarda była o wiele liczniejsza niż populacja Nottingham, motywacja najemników była dużo słabsza.

Mieszkańcy Nottingham walczyli natomiast o swoje życie. Jeżeli uda im się wystarczająco długo wstrzymać wrogie siły przy wyrwie, jeżeli bitwa przeciągnie się do jutra, do pojutrze... możliwe, że moi i ich oddziały opuszczą pole walki, a wynikająca z egoistycznych pobudek lojalność wobec króla zacznie słabnąć.

Beki przeskanowała pierwszą linię walczących i szybko dostrzegła sylwetkę Boba, głowa i ramiona jednostki górowały nad resztą tłumu.

Wzięła drewnianą skrzynię od Cabota i wsunęła ją pod ramię.

- Trzymaj się blisko - nakazała, po czym jęła przedzierać się przez rynek, na którym zalegały trupy, ciała rannych obrońców i drzewce strzał, sterczące z ziemi niczym świeżo wyrosłe chwasty.

Wspięła się na kamieniste zbocze, brutalnie roztrącając stojących na jej drodze, zmęczonych mężczyzn i skanując kolejne twarze w poszukiwaniu Liama i Jana. Złapała za

kark zalanego krwią i wycieńczonego gwardzistę, który właśnie schodził ze zbocza.

- Gdzie Hrabia Kornwalii?

Kiedy mężczyzna bezradnie potrząsnął głową, uświadomiła sobie, że jej głos nie przebił się przez krzyki walczących oraz brzęk ostrzy opadających na tarcze.

- GDZIE JAN? - wykrzyknęła mu prosto do ucha.

Mężczyzna drżącym palcem wskazał wierzchołek usypiska.

- Walczy z nami!

Beki minęła go z werwą, stąpając po dywanie drżących i wijących się ciał. Ponad wrzawą złowiła basowe nutki głosu Boba; głęboki i gniewny ryk klona zdawał się wypełniać całą szerokość wyrwy, jak pieśń wieloryba lub wściekłe trąbienie rozjuszonego słonia.

Ponownie złowiła wzrokiem jego głowę i ramiona - powolne, posuwiste i niepewne ruchy oznaczały, że szybko opada z sił i jest wycieńczony z powodu wzmożonego wysiłku fizycznego lub utraty krwi - a prawdopodobnie z obu tych przyczyn.

Znajdowała się już niemal na wierzchołku małego wzgórza kamieni i ciał, gdy ponad bitewną kakofonią rozbrzmiał donośny dźwięk odległego rogu.

Szczęk i dzwonięcie stali niemal natychmiast ustały, obie strony walczące na kopcu przerwały bijatykę i rozproszyły się, zmęczone gardła atakujących i obrońców wymieniły jeszcze obowiązkowe gwizdy i szyderstwa, a potem armia Ryszarda wycofała się już na kolejną przerwę w walce.

Beki wykorzystała zawieszenie broni, by wspiąć się te kilka ostatnich metrów.

- Bob! - zawołała.

Odwrócił się powoli. Błysk w jego oczach wskazywał, że rozpoznał Beki, może nawet

poczuł ulgę.

- Beki.

- Muszę zlokalizować Jana i Liama.

Zanim Bob zdążył wskazać jej, gdzie się znajdują, zabrzmiał głos Liama.

- Beki!

Odwróciła się i ujrzała, jak przeciska się przez pokrytych krwią i brudem mężczyzn schodzących z kopca w stronę ludzi roznoszących wodę. Niezręcznie przestąpił przez kilka splątanych ciał i z niefrasobliwą ulgą przytulił jednostkę.

- Myślałem, że cię straciliśmy, w rzeczy samej! - zniżył głos. - Kalkulowaliśmy, że otworzycie okno z sygnaturą tuż po twoim wyjeździe!

- Zaistniały pewne trudności. Bitwa zdestabilizowała rzeczywistość. - Popatrzyła na grubego dywan ciał za murem miasta. - Za dobrze sobie radzicie.

- Za dobrze? - Liam prychnął niewesoło. - Chyba żartujesz. Starczy im jedno natarcie, by wdrzeć się do środka.

- Niekoniecznie. - Wzruszyła ramionami. - Słońce chyli się ku zachodowi, bitwę trzeba będzie przelożyć na jutro. Kolejny dzień walk osłabi determinację atakujących, za to wzmocni morale obrońców. - Kątem oka zauważyła Jana: wykończonego, mokrego od potu gromadzącego się pod ciężką kolczugą i hełmem i wysmarowanego krzepnącą krwią. Pobudzony buzującą w żyłach adrenaliną, ożywionym tonem rozmawiał z obrońcami i dzielił się z nimi swoją porcją wody.

„Istnieje niebezpieczeństwo, że Jan stanie się charyzmatycznym przywódcą”.

- Staje się silny - powiedziała, wskazując księcia głową.

Liam podążył za jej wzrokiem i błyskawicznie zrozumiał, co jednostka ma na myśli.

- Ta... ta walka go zmienia, prawda? Zmienia jego przeznaczenie.

- I powoduje kontaminację.

Zwrócił uwagę na trzymaną przez Beki skrzynię.

- Przywiozłaś ją z powrotem. Czy to znaczy...?

- Tak. Możemy swobodnie przekazać ją Ryszardowi. Nic dzięki temu nie uzyska - dokończyła za niego myśl.

Liam usłyszał, że Cabot rozmawia z Janem i zobaczył, jak starzy przyjaciele padają sobie w ramiona. Potem mnich wskazał szczyt wzgórza, w stronę Beki. Na twarzy Jana w jednej chwili wykwitła ulga i radość. Obaj mężczyźni ruszyli pod górę w ich stronę.

- Moja pani - wysapał zziębnięty Jan.

Liam i Bob z niemym podziwem patrzyli, jak szybko Beki zmienia sposób bycia.

- Panie - odrzekła łagodnie z tklwym, powściągliwym uśmiechem, który przez dłuższą chwilę igrał na jej twarzy tylko dla księcia.

- Panie - wtrącił Cabot. - Lady Rebeka ma to ze sobą. - Świadomie nie wypowiedział słowa „Graal”, aby nie dotarło do uszu obrońców skupionych u podnóża rumowiska. - Teraz możesz paktować z królem Ryszardem.

Jan prychnął.

- Nie ukorzę się przed nim... przed tą bestią. Nigdy więcej!

Beki wyciągnęła dłoń do twarzy księcia i pogłaskała go po policzku.

- Kochany... pokazałeś dziś światu, że jesteś honorowy, odważny. Silny.

- Król to uszanuje - rzekł Cabot. - Podarowałeś mu wspaniałą bitwę, panie.

- Prędzej odrąbię mu ręce, niżli pocałuję królewski pierścień! - Jan soczyście splunął na ziemię.

- Zrobiłeś to, co konieczne - wyszeptła Beki. - Teraz czas zawrzeć pokój z bratem...

- W przeciwnym razie kraj na dwie części podzielisz i wojnę rozpętasz, panie! - przekonywał Cabot.

Jan uważnie przyglądał się obojgu, po czym kiwnął na Liama.

- A ty cóż rzekniesz, szeryfie? Dobrześ dowodził bitwą, twej rady też chętnie zasięgnę.

Liam otarł czoło z brudu i potu.

- Sądzę, że mają rację, panie. - Mocno zacisnął wargi. - Ocalimy życie setek ludzi - odpowiedział, spoglądając na skrzynkę. - Z tym może uda ci się wynegocjować rozsądne warunki, panie.

Jan przez chwilę w zamyśleniu gładził się po brodzie.

- Ale brat mój to zmora tego kraju. Te jego wieczne wojny, krucjaty, ta obsesja...

- Panie? - Beki nachyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha. Wyraz twarzy Jana zmieniał się z każdym wypływającym z jej ust słowem.

- Jakżeś się o tem wywiedziała? - spytał szeptem Jan.

- Musisz mi zaufać. - Uśmiechnęła się do niego.

Długo patrzył na nią w milczeniu.

- Lady Rebeko... nigdy jeszcze nie spotkał nikogo tak... - Potrząsnął głową, szukając właściwego słowa.

- Zaufaj mi - wyszeptała ponownie. - Twój czas nadejdzie. Zaciśnął szczęki i wreszcie powoli skinął głową.

- Tedy muszę się z nim rozmówić.

ROZDZIAŁ 82

Nottingham rok 1194

Gdy Jan wszedł do pogrążonego w mroku wnętrza namiotu, dostrzegł wyraz zaskoczenia na twarzy starszego brata.

- Braciszku! - W głębokim głosie króla pobrzmiwało rozbawienie. - Chybaś wreszcie zanurzył rączki w krwi bitewnej.

Jan podszedł kilka kroków do przodu. Nic nie odpowiedział.

- Zdziwiłeś mnie - zaśmiał się Ryszard. - No, nareszcie, chyba puściłeś się rąbka spódnicy swojej piastunki. A teraz, gdy już raz dźwignąłeś miecz na polu bitwy, mniemasz pewnie, żeś stał się prawdziwym mężczyzną, co? - W uśmiechu Ryszarda pojawiło się otwarte szyderstwo. - Źle mniemasz. Wciąż zasmarkany z ciebie szczeniak. No, ale honor oddaję, pierwszy krok uczyniłeś.

Jan wytrzymał jego twarde spojrzenie.

- Dziękuję - odrzekł bez emocji.

- A teraz... - Ryszard wstał. - Do rzeczy. Przyniosłeś Graala?

Jan wyciągnął zwój spod fałdów swojej szaty.

Ryszard powoli kiwał głową. Jan zauważył, że jego różowe usta, ukryte pod bujną blond szczecią, rozciągają się w uśmiechu.

- Och tak - wyszeptał. - Nic nie rozumiesz, co braciszku? Nie rozumiesz, jaką moc... skrywa ten fragment pergaminu.

- To jeno słowa.

Namiot aż zatrząsł się od rubasznego śmiechu Ryszarda.

- Jeno słowa, rzecze. Jeno słowa! - Potrząsnął głową. - Jesteś głupcem. To słowa samego Boga. Słowa wypowiedziane tysiąc lat temu i od zawsze przeznaczone dla mnie. Nie rozumiesz? Wojny, jakie toczyłem, krucjata przeciwko niewiernym... wszystko to z rozkazu Pana czyniłem. Przemówił do mnie, rzekł mi, gdzie szukać tego proroctwa. A ty myślałeś, że mi je skradniesz? Chcesz go użyć, by układać się ze mną? - Twarz mu pociemniała. - Z radością wyrwałbym ci teraz jęzor, braciszku, wydłubał gałki z oczodołów i cisnął łeb na środek pola szczerego, coby ci go kruki rozdziobały za to, żeś ważył się igrać z moim przeznaczeniem. Ale... - Uśmiechnął się. - Okazałeś dziś krztynę odwagi, dzielnie stawiając mi czoła. Podoba mi się to. - Wyciągnął rękę w stronę Jana. - No, nuże, oddawaj już Graala, to może łaskę okazać ci raczę.

- Co z mieszkańcami Nottingham?

- Naprawdę zależy ci na tych wieśniakach? - Ryszard uniósł gęste brwi.

- Walczyli dzielnie.

- To woły pociągowe, braciszku, nic więcej, bestie zniewolone. Walczyli, bo usłyszeli

rozkaz do walki. Taką odwagę to i chabeta zwykła wykazuje, gdy jeździec ostrogami ją do galopu zachęca.

- Upraszam o miłosierdzie dla nich.

- Król wrócił! - ze złością warknął Ryszard. - To... to robactwo ważyło się podnieść rękę na moją władzę! Kilkaset głów zatkniętych na dzidy, które każę wbić w gościniec wiodący do Nottingham, pokaże tym łachudrom, że nie mam chęci głowy sobie zaprzętać tym absurdum!

- Pamiętaj, że oni bronili tylko swoich domostw. - Jan poczuł, że jego determinacja słabnie.

- Oddaj mi Graala.

„Nie prowokuj go zbyt... miarkuj, że wciąż może skrócić cię o głowę!”.

- Graal. Już! - Ryszard rozcapierzył drgające palce.

Jan w odpowiedzi mocniej ścisnął rękopis.

- Daj mi...

- Daj mi? - Ryszard wybałuszył oczy. - Daj mi? Powiedziałeś „daj mi”? Dam ci to tylko, co postanowię ci dać. A jeśli daruję ci życie, to tylko dlatego - tylko dlatego, że pospólstwo nigdy nie powinno patrzeć, jak przelewa się królewska krew.

Jan widział, że jego brat z całych sił stara się ujarzmić wzbierającą w nim wściekłość, dowodziły jej rozpalone policzki i pulsująca na czole żyła.

„Sprowokuj go raz jeszcze... a rozkaże odrąbać ci głowę tu i teraz”.

Jan poczuł, że wszystkie zasoby sił, z jakimi wszedł do namiotu, szybko się ulatniały.

- Na... nalegam, daj słowo, że krzywdy im nie uczynisz.

- Nie przeciągaj struny, braciszku - ostrzegł półgłosem Ryszard, mrużąc oczy. -
Długom był przecie cierpliwy.

Jan szybko przysunął zwój do świeczki płonącej na stole ustawionym w centrum namiotu.

- PRZESTAŃ! - ryknął Ryszard.

- Spalę to, bracie. Spalę.

Szeroko otwarte oczy Ryszarda przeniosły się ze świeczki na krawędź pergaminu znajdującego się tylko kilka centymetrów dalej. Twarz króla pociemniała z gniewu, wargi zdrząły, a dłoń powoli nurkowała pod pelerynę, szukając rękojeści miecza. Po kilku sekundach jego postawa uległa całkowitemu przeobrażeniu, jak promień słońca, który właśnie przeszył zwalisko zalegających na niebie chmur. Nagle się zaśmiał.

- Dobry Boże, prawdziwy wojownik się w tobie narodził!

Jan wciąż nie odsuwał zwoju od świecy.

- Niechaj tak będzie! Masz moje słowo.

- Nottingham nie zostanie ukarane?

- Nie. - Ryszard powoli pokręcił głową.

Jan poczuł, że nagle opuściło go napięcie. Ze wszystkich sił starał się nie okazać, że ma ochotę głęboko odetchnąć z ulgą.

- Tedy możesz wziąć swój pergamin - powiedział najspokojniej jak umiał i podał go królowi Ryszardowi, który rozwinął kilka centymetrów zwoju, by upewnić się, że to rzeczywiście Graal. Bez słowa przez chwilę wpatrywał się w pergamin, po czym ostrożnie z

powrotem nawinął go na drążek.

- Jestem królem, moje słowo stanowi prawo - odrzekł Ryszard.

- Dotrzymasz go?

- Dotrzymam. - Skinął głową. - A teraz... uklęknij i ucałuj mą dłoń.

Jan wziął głęboki oddech, by uspokoić nerwy, po czym pochylił się i ujął wyciągniętą dłoń Ryszarda.

- Na własne oczy ujrzysz, braciszku, narodziny Królestwa rozciągającego się od klifów tej żalosnej, podmokłej wysepki zwanej Anglią po samo Jeruzalem. Królestwo Boże... pod moim namiestnictwem.

Jan mocno zacisnął wargi, by powstrzymać kpiący uśmiech cisnący mu się na usta. Coś tkwiło w wyszeptanych przez lady Rebekę zapewnieniach - zapewnieniach dotyczących dni, co dopiero mają nadejść - wypowiedziała swoje proroctwa w sposób, który kazał mu jej zawierzyć.

„Graal bezużyteczny dlań się okaże. A... ty, Janie, królem będziesz nim pięć lat minie”.

- Ucałuj mą rękę! - nakazał Ryszard.

- Tak... tak, oczywiście - wymruczał Jan.

ROZDZIAŁ 83

Nowy Jork rok 2001

Adam stał obok Sal, wpatrując się w mrok. Ameryka - a przynajmniej ta jej część, którą zdążyli zobaczyć - zamieniła się w dziką przestrzeń porośniętą wysokimi cedrami. Na bezchmurnym nocnym niebie jaśniał półksiężyc, a jego błyszczące promienie padały na łagodnie falującą East River.

- Właśnie tak... tak musiało wyglądać wybrzeże Ameryki, zanim przybiły tu statki Kolumba - wyszeptał Adam. - Gdzieś w tych lasach koczują zapewne plemiona rdzennych Amerykanów, wolne i żyjące zupełnie jak w piętnastym wieku.

- Podoba mi się tu. Ani jednej żywej duszy - zgodziła się Sal.

- Maddy powiedziała mi, że pochodzisz z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku.

- Tak.

- Opowiedz mi, jak wygląda ten świat.

- Dużo tam tłoku, ruchu i hałasu. - Wzruszyła ramionami. - Przynajmniej w mieście, w którym mieszkam.

- Macie jakieś naprawdę super wynalazki?

- Na przykład?

- Nie wiem... latające samochody może?

- Nie - prychnęła Sal. - Same riksze i stare, wysłużone nano. Powietrze jest gęste od toksyn i innych cholerstw. A na północy wciąż nowe kłopoty.

- Kłopoty?

- Terrorysty, bomby. Talibowie rządzący Pakistanem wiecznie dokazują. Mój tata wciąż martwił się sytuacją w Indiach, zalanymi obszarami i migrującą ludnością.

Wsluchiwali się w odgłosy dochodzące z lasu i szum fal opadających na kamieniste brzegi.

- Przyszłość wcale się wspaniale nie zapowiada - zauważył Adam.

- Mhm. Pamiętam, że... wszystko zdawało się wówczas takie... takie - próbowała znaleźć najodpowiedniejsze słowo - takie... tymczasowe. Nikt się do niczego nie przywiązywał, bo wiedział, że nie będzie to trwało wiecznie.

- Kurcze, to również moja przyszłość. To za dwadzieścia pięć lat. - Przeprowadził w głowie szybkie dodawanie. - Będę miał wtedy pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy lata. Ciekawe, czy wciąż jeszcze będę mieszkał w Nowym Jorku.

- Nowy Jork to nie najlepszy pomysł - odrzekła. - W moich czasach zaczęli ewakuować niektóre dzielnice.

- Powodzie?

- Mhm. Wzrósł wskaźnik przestępstw, co chwila wybuchały zamieszki o jedzenie. To samo mieliśmy w Mumbaju.

- Jezu - westchnął Adam. - Strasznie depresyjna wizja.

- Przepraszam - odrzekła łagodnie.

- Nie... to nie twoja wina, Sal. Dzięki za szczerość. - Zacisnął wargi. - Zastanawiam się tylko, po co się tak wszystkim przejmować, skoro przyszłość i tak przyniesie katastrofę. Po co mam, na przykład, zamartwiać się o swoją pracę doradcą i odkładać na emeryturę, która zapowiada się jak... koszmar.

- To koszmar tylko dla biednych - odparła. - Ludzie z pieniędzmi... - Sal się zawahała.

- Sal? O co chodzi?

- Chyba nadchodzi fala. - Obróciła się i włożyła głowę pod roletę. - Maddy! Fala!
Duża!

Maddy wygramoliła się z łóżka i podeszła do wejścia, chwiejąc się z niewyspania i przecierając zaczerwienione oczy.

- Tam! - krzyknęła Sal, wskazując wschód.

Prosto na nich pędziła czarna ściana przypominająca łańcuch górski, tak jak ostatnim razem gnała znad Atlantyku.

- Lepiej wejdźcie do środka, żebyście nie zostali na samym skraju betonu - poradziła Maddy, wskazując pobrużdżoną nawierzchnię na krawędzi pola mocy wokół biura terenowego. Adam i Sal szybko weszli do środka i przykucnęli na podłodze wewnątrz.

- Nadciąga - mruknęła Maddy. - Trzymajmy kciuki, żeby wrócić do domu.

Adam patrzył, jak kłębowisko ciemności wzbiera niczym tsunami i zakrywa niebo, gwiazdy oraz półksiężyc.

- Tak sobie myślę, że może byłoby lepiej, gdybyśmy przy tym zostali - powiedział, ruchem głowy wskazując puszcę. - Biorąc pod uwagę losy przyszłości.

- Już za późno - odrzekła Sal.

Fala czasu przetoczyła się nad Manhattanem, górujące w oddali drzewa zadrgały i zaszumiały, po czym znikły w wirze migocących czasoprzestrzeni. Gdy fala przechodziła nad szeroką rzeką, Adam dostrzegł upiorny zarys formujących się drapaczy chmur. Świeży podmuch wiatru pogałał falę dalej, nad ich głowami rozszalało się destrukcyjne tornado pożerające złą wersję rzeczywistości po to, żeby zostawić tę właściwą.

Wkrótce tak szybko jak się pojawiło, tak samo szybko znikło.

Na zewnątrz wytrysnęła brukowana uliczka zavalona plastikowymi workami na śmieci i kilkoma koszami na kółkach. Wokół zaczęły rozbrzmiewać odgłosy typowe dla Nowego Jorku.

Pierwsza wyszła Sal. Popatrzyła w lewo, później na rzekę i wreszcie kiwnęła głową.

- Taak - rzekła. - Wygląda na to, że wróciliśmy do domu.

Adam i Maddy wyszli za Hinduską. Manhattan lśnił, migotał i rozświetlał blaskiem mroki nocy; wysoko na niebie błyskały światelka samolotów pasażerskich, zmierzających na lotnisko Kennedy'ego i La Guardię. Gdzieś w oddali zawodziła syrena policyjna, czyjeś kolumny dudniły basowo.

Poniedziałkowa noc w Nowym Jorku: północ już blisko, ale wciąż pełno tu hałasu, ruchu, życia.

- Idę sprawdzić bazę danych, zobaczę, czy historia dobrze się na prostowała - powiedziała Maddy.

Sal i Adam przez dłuższą chwilę wpatrywali się w miasto.

- Lubilem tamten spokojny Manhattan - rzekł Adam.

- Mhm - ze smutkiem w głosie odezwała się Sal. - Ja też.

ROZDZIAŁ 84

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Poranek był chłodny. Dla odmiany bezchmurne, błękitne niebo z nieustępliwie

prążącym słońcem chowało się teraz za kłębowiskiem grzebieniastych chmur, gęstniejących ku zachodowi.

Cabot wyjrzał ze stajni na wysuszony warzywnik przyklasztorny.

- Na deszcz się zapowiada. Dobrze to.

Liam podziwiał kojącą nerwy aurę zdrowego rozsądku, jaka otaczała starca. Pomimo wszystkich turbulencji, jakie ostatnio wstrząsały królestwem, mnich z optymizmem powrócił do swojego klasztoru, by wznowić żywot poświęcony cichej kontemplacji i codziennym sprawom ich małego zakonu.

- Kiedy wracać zamierzacie? - spytał Cabot.

- Wkrótce - odrzekł Liam. - Bob i Beki mają w głowach przedmiot, przez który stanie im się coś złego, jeżeli zostaną w tym miejscu zbyt długo. Już czas, prawda?

Bob potakująco skinął głową.

- Pozostały czas misji: trzydzieści siedem godzin, czterdzieści trzy minuty - zakomunikował.

- Okno pojawi się przed upływem tego czasu - wyjaśnił Liam. - Chyba że poprosimy biuro, aby otworzyli je szybciej.

- Sugestia - rzekła Beki. - Nie ma potrzeby wysyłania kolejnego komunikatu. Okno, które otworzy się za trzydzieści siedem godzin, wystarczy.

- Zgadzam się - poparł ją Bob.

- Świetnie, czyli nam się nie spieszy. - Liam skinął głową.

Obleżenie Nottingham zakończyło się zawarciem pokoju. Chociaż mieszkańcy grodu dygotali ze strachu na myśl o tym, co zrobi z nimi król Ryszard, on zaskoczył wszystkich,

okazując nadzwyczajną pobłażliwość. Tylko w szeregach wojsk i wśród dowodzących nimi baronów, hrabiów i księząt, którzy liczyli na swój udział w łupach po splądrowaniu miasta, podniosły się głosy rozczarowania i narzekania.

Jana wysłano do Londynu wraz z eskortą żołnierzy. Księżę, oficjalnie „ułaskawiony” przez Ryszarda, nie został jednak obdarzony całkowitym zaufaniem królewskim, dlatego w ramach kary postanowiono na czas nieokreślony uwięzić go w Tower.

Beki pozwolono po raz ostatni zobaczyć się z księciem, zanim ten został odesłany na południe. Relacjonowała, że wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, gdy dowiedział się, że zachowa głowę.

- Wydawało się również, że przejawia inny wzorzec behawioralny - opowiadała po rozmowie z nim. Liam poprosił, żeby opisała te zmiany. - Nie drży już, a jego tętno spoczynkowe wróciło do normy - odrzekła chłodno. Liam roześmiał się, słysząc, że zdążyła zmierzyć mu puls, gdy ściskali się po raz ostatni.

- Wierzę, że okaże się dobrym królem - rzekł Cabot. - Może i nigdy nie będzie wielkim wodzem, ale ma on inne godne podziwu cnoty. Roztropność. Rozwagę. Wrażliwość.

„Wrażliwość”? - Liam powątpiewał.

Choć może jednak. Historia osądzi Jana dość ostro; zostanie uznany za jednego z najgorszych władców w historii kraju. To król, który nie zdołał utrzymać francuskich prowincji, tak zażarcie bronionych przez jego zdecydowanie „odważniejszego” brata. Król, który podpisał co prawda Wielką Kartę Swobód przyznającą przywileje poddanym królewskim, ale uczynił to pod naciskiem „dzielnych” przedstawicieli szlachty angielskiej.

Tak właśnie będzie wyglądała prawdziwa historia, którą zdołali przywrócić. Liama wciąż dręczyła jednak myśl, czy ta „prawdziwa” historia, odnotowana w podręcznikach i encyklopediach, to rzeczywiście wierny obraz przeszłości. Jakaś część jego osoby zawsze będzie zastanawiała się, czy podpisanie Wielkiej Karty Swobód - zrzeczenie się najpotężniejszych przywilejów monarszych - naprawdę było rezultatem walki możnowładztwa o prawa swoich chłopów... może tak naprawdę był to pomysł króla Jana,

wyraz wdzięczności dla ludu Nottingham za walkę u jego boku.

- Liamie. - Głos Beki wyrwał go z zadumy.

- Hmm?

- Liamie, Bob i ja mamy jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Liam spojrział na nią i na Boba.

- Co znowu?

- Manuskrypt Voynicha pochodzi z tego okresu. Dopiero zostanie napisany - odrzekł Bob.

- My musimy go napisać - powiedziała Beki.

Liam szeroko rozdziawił usta.

- Czekajcie! Czy... czy mówicie, że Voynicha...

- Napisaliśmy my? - Beki skinęła głową. - Tak. Napisaliśmy go, żebyśmy kiedyś przybyli do tego czasu, tego miejsca.

Liam zmarszczył brwi, usilnie starając się poskładać wszystko w logiczną, spójną całość - Ale czy to znaczy, że odwiedziliśmy te czasy już wcześniej? - Podrapał się po skroni skrytej pod pasmem siwych włosów.

- Może to oznaczać, że w pewnym momencie co najmniej jedno z nas przybyło tu, by zostawić manuskrypt Voynicha - odrzekł Bob.

- Czyli jedno z nas tutaj przybędzie?

- Potwierdzam. Skoro na razie nic nam o tym nie wiadomo, to wszystko dopiero się

wydarzy.

- Ale... ale to będzie oznaczało świadomą zmianę historii, prawda? A przecież właśnie przed tym strzeżemy świat? - Twarz Liama znowu wykrzywił grymas niezrozumienia. -
Czekaj! Czy to znaczy, że wskazówki zauważone przez Adama...?

- Wskazówki te zostały świadomie pozostawione tak, aby jedynie Adam Lewis potrafił je zidentyfikować i odszyfrować konkretny ustęp manuskryptu Voynicha... żeby zwrócić na niego naszą uwagę - wyjaśnił Bob.

- Teraz nie jest to już konieczne - podjęła Beki. - Manuskrypt Voynicha musi zostać napisany bez zaszyfrowanych oznaczeń.

- Hmm? Ale...?

- Raz już zostaliśmy zaalarmowani i przybyliśmy w to miejsce - odrzekł Bob i odwrócił się do Beki. - Czy ty również doszłaś do takiej konkluzji?

- Zgadza się - skinęła głową. - Historia jest już naprawiona. Przetłumaczenie jakiegokolwiek fragmentu w manuskrypcie Voynicha byłoby w takich okolicznościach nieakceptowanym czynnikiem kontaminacyjnym.

- W takim razie... co zamierzasz napisać? - spytał Liam.

- Mam w pamięci szczegółowy obraz dokumentu. Powiem go w całości, ale bez południowoamerykańskich symboli, które pierwotnie zwróciły uwagę Adama Lewisa.

- Czyli - Liam marszczył brwi, próbując rozwiązać tę logiczną łamigłówkę - on nigdy o nas nie usłyszy?

- Potwierdzam. No i, oczywiście, nigdy nie wpadnie na nasz trop w Nowym Jorku.

- Jasne. - Liam spojrzał na Cabota, który przycupnął na drewnianym wiadrze i wyglądał na niemal tak samo otumanionego tą rozmową. - A co z naszym wiernym

przyjacielem, bratem Cabotem?

- Jużci. - Mnich się uśmiechnął. - Jużem się zastanawiał, kiedy o mnie mowa będzie.

Beki i Bob uraczyli starca wypranym z emocji spojrzeniem.

- Nie! - zaperzył się Liam. - Nie zabijecie go, po moim trupie! W życiu byśmy z tym wszystkim nie doszli do ładu bez pomocy tego człowieka. Nie skrzywdzicie go - to rozkaz dla was obojga!

Obie jednostki pomocnicze spokojnie pokiwały głowami.

- W tym przypadku likwidacja nie jest konieczna - odparł Bob. - Cabot musi zaopiekować się dokumentem.

- Potwierdzam - poparła go Beki. - Pozostaniesz bezpieczny, dopóki nie zaczniesz rozpowiadać o tym, co tu widziałeś - powiedziała, posyłając Cabotowi ostre spojrzenie. Liam zrozumiał, że jednostka ma rację. Starzec udał się wraz z nią do dwudziestego pierwszego wieku. Jeden Bóg wie, co tam ujrzał. Zaraz potem Liam doszedł do wniosku, że prawdopodobnie niewiele z tego wszystkiego miało dla mnicha jakikolwiek sens, niewiele z tego, co widział lub słyszał, mogło mu się w jakikolwiek sposób przydać.

Cabot podrapał się po brodzie.

- A któż uwierzy w to, com widział? Głupcem wszyscy mnie nazwą.

- Beki ma rację - powiedział Liam. - Potrzebujemy cię, żebyś przypilnował manuskryptu Voynicha. Musi zostać przy tobie. Nikomu o nim nie wspominaj.

- Nie frasuj się, Liamie - zaśmiał się łagodnie. - Nie spieszno mnie na stos iść heretycki. Nie będę rozpowiadał o światach okrągłych, dniach, co dopiero nadejdą czy o miejscach Nowym Jorkiem zwanych. Możesz mi wierzyć.

Liam uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- W takim razie umowa stoi, bracie Cabot.

- Umowa stoi, Liamie z Connor - potwierdził mnich, ściskając podaną dłoń.

Beki i Bob podnieśli się w tym samym momencie. Liam podejrzewał, że jednostki wymieniały dane.

- Wszystko gra? - spytał.

- Powinniśmy wziąć się za pisanie manuskryptu Voynicha - odrzekła Beki. - Powielenie rękopisu o objętości dwustu trzydziestu stron zajmie około siedmiu godzin. - Odwróciła się do Cabota. - Potrzebny mi będzie pergamin i inkaust. Znajdą się w klasztorze?

- Jużci - przytaknął Cabot. - Bibliotekarza to nie uraduje... ale dopilnuję tego.

- Dziękuję - odpowiedział Liam. Cała trójka patrzyła, jak starzec odchodzi. - Sądzę, że możemy mu zaufać - powiedział do jednostek.

- Wiemy, gdzie go zlokalizować, jeśli w tym punkcie powstanie skażenie - odrzekł Bob.

- Stanowi akceptowalne ryzyko - odparła Beki. - Likwidacja nie nastęczy trudności.

Liam z rezygnacją potrząsnął głową.

- Czarująca z was parka.

Jednostki popatrzyły na siebie, potem na niego.

- Prosimy o wyjaśnienie.

Liam ze zrezygnowaniem machnął tylko ręką.

- Oj, nieważne.

ROZDZIAŁ 85

Nowy Jork rok 2001

- Tak, plakat z filmem zniknął - rzekła Sal, która stała przed kinem Golden Screen, przyglądając się wywieszonym afiszom. - Co to jest? - powiedziała do telefonu. Kilka złotych taksówek, zakorkowanych po drugiej stronie Siódmej Alei, trąbiło na samochód dostawczy wycofujący do bocznej uliczki. - Tak, jestem pewna! Nie został po nim nawet ślad. Na liście „zapowiedzi” też nic nie ma. Zniknął.

Kilka razy mruknęła potakująco, wysłuchując instrukcji Maddy, po czym rozłączyła się i rozejrzała wokół siebie. Był wtorkowy poranek, jaki doskonale знаła; wyszła wcześniej niż zazwyczaj, ale wszystko wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewała.

Times Square tętnił życiem, niebo miało barwę miłego błękitu, po filmie Manuskrypt nie został żaden ślad. Zniknął. Maleńka fala, którą odczuli jakieś pół godziny temu, przyniosła jedynie subtelne wymazanie z kart historii informacji o opętanym żądzą sławy Adamie Lewisie.

W kinach nie grano już filmu z Leonardo DiCaprio, który ucieka przed groźnymi agentami, miętosząc w dłoni starożytny zwój.

Nagle poczuła potężne burczenie w żołądku i uświadomiła sobie, że od wczorajszego obiadu nic nie jadła. Sprawdziła godzinę na zegarku. Była siódma dwadzieścia trzy rano. Zgodnie ze stałym repertuarem, dokładnie za godzinę i dwadzieścia dwie minuty Nowy Jork zamieni się w miasto rodem z filmów grozy. Starczy czasu, żeby kupić butelkę oranżady i bajgla z twarożkiem.

*

Maddy zakończyła połączenie i odłożyła telefon na biurko.

- Zniknął, Adamie - powiedziała. - Film o tobie i manuskrypcie Voynicha, cóż... nigdy nie istniał.

- Ale co to właściwie oznacza? - Przejechał ręką po włosach. - Czy właśnie zostałem wykasowany z tego świata? - Wybałuszył oczy na tę straszną myśl. - O Boże, nie mów mi tylko, że po ulicach chodzi teraz mój sobowtór?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie... spokojnie. Jesteś tylko ty. Problem w tym, że twoje życie wygląda teraz zupełnie inaczej, to wszystko. Gdyby fala nadeszła, gdy stałeś na zewnątrz, nie zauważyłbyś nic dziwnego. Wciąż wiódłbyś normalny żywot, bez względu na to, jaki ma kształt, ale ponieważ znajdowałeś się wewnątrz naszej bańki, oznacza to, że musisz odejść i wejść w nowe życie, dowiedzieć się, czym jest... i gdzie jest.

- Chcesz... chcesz mi powiedzieć, że mogę już nawet nie mieszkać w Nowym Jorku?

- Nie wiem. - Maddy wzruszyła ramionami. - To możliwe. Może zostałeś w Anglii. Kto to wie?

Wyjął klucz do apartamentu z kieszeni kurtki.

- Twierdzisz, że jeśli wrócę do swojego mieszkania, może okazać się, że nie jest moje?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie nie.

Wyglądało na to, że z trudem trawi te wszystkie informacje.

- Twoje życie może wyglądać teraz zupełnie inaczej, Adamie. Najpierw powinieneś dowiedzieć się, kim teraz jesteś. Może zadzwonić do mamy i taty - masz rodziców, prawda?

- Miałem. Bóg jeden wie, czy wciąż żyją.

- Zadzwoń do nich. Porozmawiaj z nimi, dowiedz się, kim są. - Zaśmiała się dyskretnie, z sympatią. - Pewnie pomyślą, że ci kompletnie odbiło.

- Mnie to mówisz?

Adam niepewnie podniósł się z fotela, zdejmując z oparcia swoją drogą marynarkę.

- To były strasznie dziwne dwadzieścia cztery godziny, nie?

- Bardzo dziwne - zgodziła się.

- Mam wrażenie, że... że znam ciebie, Sal i innych od lat, chociaż ledwie wczoraj zapukałem w tę roletę.

- To przez podróże w czasie. Mieszają w głowie. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Może zostanę? - Spojrzał na nią z prośbą w oczach.

Pytanie zbiło ją z tropu. Jakaś jej część pragnęła powiedzieć „tak”. Cudownie byłoby mieć obok siebie kogoś, z kim mogłaby dzielić obowiązki przywódcy. Kogoś, kto odciążyłby ją... kogoś, komu mogłaby zaufać. Kogoś...

„Nie może tu zostać, Maddy. Doskonale o tym wiesz”.

- Adamie... ja, hmm... muszę odmówić. Nie mam prawa werbować nowych ludzi.

- Ale - odparł przymilnie - skoro i tak wiem za dużo? Traktujecie mnie pewnie jak czynnik zagrażający bezpieczeństwu Agencji. Lepiej już chyba, żebym do was dołączył, niż wrócił do normalnego świata, by paplać o cudach niewidach, które tu widziałem.

- Nie sądzę, żebyś miał ochotę wyjawiać nasze sekrety, Adamie... ufam ci. Zresztą, jeśli wrócisz tu w środę z ekipą filmową, i tak zastaniesz pusty magazyn. Nas już tu nie

będzie.

Zawahał się, ale nie spuścił wzroku; długa, niezręczna cisza wypełniła przestrzeń między nimi.

- Dobra. - W końcu niepewnie, z lekkim zażenowaniem skinął głową. - Dobra, trudno... pomyślałem, że zapytam. Pytać każdy może.

Czuła, że jest mu winna jakieś wyjaśnienie.

- Przykro mi. Wszyscy tu wciąż jeszcze jesteśmy niedoświadczeni. Wciąż nie wiemy, czy dobrze wykonujemy naszą pracę. A ja... chyba nie mam możliwości - prawa - werbować nowych osób.

- Nie no, jasne. Przepraszam, że... że pytałem. - Podeszedł do biurka z komputerami, by zabrać swój twardy dysk. - Mogę to zabrać ze sobą?

Rozważała to przez chwilę. Na dysku znajdowała się jego praca nad manuskryptem Voynicha oraz zdjęcia nagrobków z cmentarza przy klasztorze w Kirklees. Ale to wszystko nie będzie miało teraz dla nikogo żadnego znaczenia.

- Pewnie - skinęła głową.

Podniósł dysk i włożył go do kieszeni marynarki.

- No to nadszedł czas pożegnania.

Mocno zacisnęła wargi, żeby stłamsić w sobie pragnienie zaproszenia go do drużyny. Zmiany zdania. Roleta podjechała do góry, wpuszczając do biura światło dnia.

- Może któregoś dnia napiszę o tym wszystkim książkę? - rzucił jeszcze, odwracając się do Maddy.

- O ile potraktujesz to jak fikcję literacką. - Uśmiechnęła się. - Chcesz zostać

pisarzem? Dlaczego nie? To świetny pomysł.

- Cudowny mamy dzień - powiedział, gdy schylił się pod roletą i wyjrzał na zewnątrz.

- Adamie! - Maddy zatrzymała go jeszcze, gdy już wychodził.

- Słucham?

- Co do twojego nowego życia... jestem przekonana, że nie będziesz już pracował w World Trade Center. - Zerknęła na zegarek. - Posłuchaj... nie idź tam dzisiaj rano, dobra? Zadzwoń do rodziców. Spróbuj zapomnieć o pracy.

- Da się zrobić.

- Obiecuj. Spojrzał na nią zdziwiony.

- No dobrze... obiecuję.

- Idź już - powiedziała Maddy łamiącym się głosem. Nie chciała, żeby to usłyszał, żeby zobaczył, że w jej głowie kotłują się sprzeczne myśli. - Idź i dowiedz się, jak wygląda twoje nowe życie.

- Pożegnaj ode mnie Sal - poprosił, po czym wyszedł na zewnątrz, a ona patrzyła tylko, jak dolna część jego szarych flanelowych spodni przesuwają się wzdłuż uliczki i znikają z zasięgu wzroku.

- Powodzenia, Adamie - wyszeptała.

ROZDZIAŁ 86

Klasztor w Kirklees, hrabstwo Yorkshire rok 1194

Stali na polu porośniętym tysiącem szumiących i uginających się pod wpływem wiatru kłosów jęczmienia. Beki wręczyła Cabotowi stos arkuszy pergaminu.

- To pełna kopia z kilkoma drobnymi modyfikacjami. Niech brat opiekuje się tym dokumentem, trzeba go trzymać w bezpiecznym miejscu.

Sébastien Cabot posłusznie skinął głową.

- Takż postąpię. Pod klasztorem znajduje się krypta. Dopilnuję, żeby go w niej schowano.

- Doskonale.

- Bracie Cabot. - Liam podszedł do mnicha. - Jesteśmy ci winni nasze podziękowania.

Starzec uśmiechnął się szeroko.

- A jakże, to było... kilka prawdziwie fascynujących miesięcy.

- To na pewno.

Mnich podał rękę Liamowi.

- Tyle się przez ten czas nauczyłem. Boję się, że zbyt dużo. Moja... moja wiara już nie jest tak żarliwa.

- Cóż... - Liam uściskał podaną dłoń. - Jeśli to brata pocieszy... to choć wiem i widziałem wiele, wciąż modłę się do Gościa na Piętrze. Przynajmniej wtedy, gdy wpadam w coś po uszy.

- Znajduję w tym pocieszenie. Dziękuję ci. - Cabot skinął głową.

- Informacja: wykryłam cząstki tachionowe - oznajmiła Beki. Porzuciła już zarezerwowane dla Jana miękkie tony dwórki. Odwróciła się, by spojrzeć na krąg niskich łądyg, które po ostatniej aktywacji portalu w tym miejscu niemal przykleiły się do ziemi. - Odsuńcie się - ostrzegła.

Chwilę później luźne szaty porwał delikatny powiew poruszonego powietrza, a przed ich oczami wytrysnęła falująca kula portalu.

- Przykro mi. Chętnie zabrałbym brata z nami, ale...

Cabot potrząsnął głową.

- Toż to świat, w którym niechybnie postradałbym zmysły. Poza tem... - Wyciągnął przed siebie kawałek pergaminu. - Wstrzymują mnie tu przecie obowiązki, czyż nie?

- Tak, to prawda - potwierdził Liam.

- Musimy iść - ponaglił Bob i ruszył w stronę portalu, po chwili zatrzymał się jednak, odwrócił i podał zdrową rękę Cabotowi. - Współpraca z bratem była czystą przyjemnością.

Cabot chwycił jego wielką dłoń.

- Takoż i z tobą. Zaprawdę... nigdy nie spotkał człeka równie co ty mocarnego. Nie zdziwię się, jeśli przesadne chłopki z wsi tutejszych zaczną za niedługo bajdurzyć o tobie przy ogniskach historyje, co przetrwają długie lata po twym odejściu.

Bob przywołał na twarz uśmiech i puścił podaną rękę.

Beki jako ostatnia pożegnała się z duchownym.

- Jeśli kiedyś jeszcze ujrzy brat Jana, proszę mu powiedzieć... - zawahała się, niepewna jak dokończyć zdanie.

- Czy mam mu rzec, że powróciłaś do Francji i zawsze miło go będziesz wspominać?

- Potwierdzam. - Skinęła głową. - To właściwa treść komunikatu.

Portal wciąż migotał, niecierpliwie zapraszając ich do środka.

- Powinniśmy już iść - powtórzył Bob. - To nierozsądne, aby przestrzeń między wymiarami była otwarta dłużej niż to konieczne. Beke puściła dłoń starca, żeby dołączyć do Boba i Liama, którzy stali już przy krawędzi kuli.

- Zatrósz się o manuskrypt! - rzekł Liam.

Cabot skinął głową i patrzył, jak cała trójka przechodzi przez obrys kuli i pogrąża w kłębiącym się powietrzu, jak ich zwarte zarysy zamieniają się w migoczące fantomy zagubione w wirującym mroku. Nagle portal zapadł się z cichym pstryknięciem, a on został sam wśród falującego pola jęczmienia.

Popatrzył na szybujące ponad drzewami kruki. Las powoli zrzucał bogatą, letnią zielen i przybierał złotawy odcień zwiastujący rychłe nadejście zniw. Duszną letnią spiekotą powoli zastępowały powiewy świeżego wiatru.

Wciągał letnie zapachy przez kulfontasty nos, analizując pewną ideę.

„A więc świat jest okrągły?”.

Na tę myśl pobrużdżona twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Myślała, nie wiedząc czemu, okazała się dla niego kojąca. Zadarł głowę i popatrzył na zawieszony na niebie słońce.

„A ty se siedzisz okrakiem, co? I każesz wokół siebie wędrować”.

Znowu to samo kojące wrażenie, że plan Boży to coś dużo większego i potężniejszego niż ten mały świat pełen chciwych i obłąkanych baronów, książąt, królów i papieży.

ROZDZIAŁ 87

Nowy Jork rok 2001

Sal patrzyła na wykrzywiony, spiralny zarys kilku obejmujących się postaci. Zdawało jej się, że dostrzega żółte pole kołyszącej się pszenicy lub kukurydzy oraz niebieskiego nieba.

Potem wyraźniej ujrzała trzy postaci, które chwilę później zmaterializowały się w bazie.

Dwojga z nich niemal nie rozpoznała.

Kokosowe włosy Boba szybko odrosły i tworzyły teraz rozczochraną, zmierzwioną i ciemną czuprynę. Niemal w tym samym momencie zauważyła też, że jednostce brakuje lewego przedramienia... i jednego ucha.

- Shadd-yah! Bob!

Ale to nic w porównaniu z Liamem... bo to chyba Liam; mogłaby go minąć na ulicy i zupełnie nie rozpoznać. Niestrzyżone przez pół roku ciemne włosy chłopaka sięgały już ramion; nierówny przedziałek na środku głowy sprawiał, że opadały po obu stronach jego twarzy niczym czarne kurtyny w teatrze. Najbardziej zszokowała ją jednak rzadka broda: szczęka podkreślona zarostem, meszek wąsów nad górną wargą i usta okolone kozią bródką.

- Liamie!

Maddy aż przyłożyła do ust dłoń zwiniętą w pięść.

- O mój Boże, Liamie. Wyglądasz jak... - Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Strach na wróble? - Uniósł gęste brwi. - Tego słowa szukasz?

Uśmiechnął się i podszedł w ich stronę, po czym objął je ramionami i przyciągnął do siebie w nieporadnym, niedźwiedzim uścisku.

- Ach, zaiste, dobrzeć to was widzieć!

- Śmiesznie mówisz - zaśmiała się Maddy.

Puścił je i odstąpił krok do tyłu.

- Juźci... to staroangielski. Rychło wrócę do siebie.

- Nieźle wdzianko! - rzekła Sal, z podziwem patrząc na jego skórzaną kamizelkę, bawełniane pończochy i buciory.

- Owszem, są też solidnie wykonane.

Maddy spojrzała na Boba.

- Bob, twoja ręka... Możesz się zregenerować, tak jak Beki?

- Potwierdzam. Muszę wejść do próbówki wzrostowej.

Dziewczyna odwróciła się do monitorów.

- Bob, ustawisz to?

> Potwierdzam, Maddy.

Kursor migał przez chwilę, by po chwili pomknąć po ekranie.

> Witajcie z powrotem, Bobie i Beki.

Jednostki posyłały mu pozdrowienie wi-fi.

- Gdzie ten Anglik... Adam? - spytał Liam.

- Odszedł - odrzekła Maddy. - Wrócił do swojego życia.

- Czy Adam Lewis został zresetowany? - spytała Beki.

Maddy wiedziała, o co pyta jednostka: czy znajdował się na zewnątrz, gdy przybyła ostatnia fala czasu? Czy jego pamięć została skasowana - czy Adam Lewis wie teraz zupełnie inny żywot? Postanowiła na razie nie komplikować spraw. Przecież... ufała mu, w jakimś stopniu. Zresztą, nawet gdyby spróbował pognać do pierwszej lepszej gazety, by sprzedać tę fantastyczną historię, kto mu w to wszystko uwierzy? Jeżeli przyprowdzi do biura terenowego jakiegoś ciekawskiego dziennikarza... i tak nie zobaczą tu nic, poza pustym magazynem pod mostem Williamsburg.

- Tak... nie martw się, jest zresetowany.

Beki skinęła głową, usatysfakcjonowana odpowiedzią.

Liam zatarł ręce.

- A więc... dawno już nie brałem gorącego prysznica.

- Mhm... zauważyliśmy. - Maddy zmarszczyła nos. - Przebierzcie się z Beki w jakieś mniej paradne ciuchy i idźcie do ośrodka społecznego pod prysznicę.

- Bomba, no to mamy plan.- Liam skinął głową.

- A kiedy skończycie, wyjdziemy na miasto coś przekąsić. - Spojrzała na Boba. - Idź z nimi, potem wrzucimy cię do próbówki wzrostowej, jeśli będziesz chciał.

Usta Boba powoli wykrzywił grymas przypominający psotny uśmiech.

- Bomba, no to mamy plan.

Maddy przewróciła oczami i spojrzała na Liama.

- Widzę, że z niego też się zrobił niezły kawalarz.

- No. - Liam wzruszył ramionami. - Słodka z nich parka trefnisiów.

Adam stał na skrzyżowaniu Bowery i Delancey Street, które buzowały od porannego ruchu.

Nowe życie... nie dowiedział się jeszcze, jak ono wygląda. W kieszeni marynarki miał komórkę. Może Maddy miała rację, może powinien wykręcić numer do mamy. Bez względu na nowy kierunek jego życia zawodowego, ona i tata najprawdopodobniej wciąż mieszkają w swoim starym domku parterowym w Chelmsford.

„I co mam jej dokładnie powiedzieć? Hej, mam, właśnie przybyłem z alternatywnej osi czasu... Powiedzcie mi, gdzie teraz mieszkam? Mam żonę? Gdzie pracuję?”. - Zaśmiał się na samą myśl o podobnym dialogu.

Nagle uświadomił sobie, że jego komórka i tak pewnie nie działa. Umowa z operatorem nigdy nie została podpisana, a kod PIN do karty SIM jest nieaktywny.

Nowe życie. A mimo to Nowy Jork wygląda dokładnie tak, jak wczoraj o tej samej porze. Z trudem przyjmował do wiadomości, że jego mieszkanie nie jest już jego, że Jerry, ochroniarz z apartamentowca, w ogóle go nie pozna.

Popatrzył w lewo. Wysokie wieżowce ciągnęły się wzdłuż Wall Street, Bliźniacze Wieże dumnie górowały nad miastem, wrzynając się w bezchmurne niebo. Z kieszonki na piersi wyciągnął identyfikator do Trade Center i spojrzał na paszportowe zdjęcie: durnie rozdziawiona gęba nad świeżo wyprasowaną koszulą i krawatem. Jeżeli Maddy miała rację, ta przepustka nie pozwoli mu nawet przejść przez recepcję na jego piętrze, nie mówiąc już o pomieszczeniach IT i jego własnym biurze.

A mieszkanie? Wyciągnął klucze i zaczął nimi pobrzękiwać w jednej ręce.

„To już dom kogoś innego”.

Potrząsnął głową. To wszystko jest, cholera, zbyt dziwne. Zbyt poplątane. Trafił do świata, który nie uległ żadnej zmianie. Tylko Adam Lewis wie o zupełnie nowym życiu.

„Kontrola lotów do Adama: co, jeśli ona to wszystko zmyśliła?”. - Nie mógł uwierzyć, że Maddy Carter byłaby zdolna do czegoś podobnego. Sprawiała wrażenie szczerzej osoby.

„No dobra, Adamie. To może tak. Wszystko to ci się przyśniło. Nie. Wszystko, co się wydarzyło, to halucynacja. Zwyczajnie oszalałeś”. - Ta myśl zmroziła mu krew w żyłach.

- To się wydarzyło - powiedział do siebie. - Podróże w czasie to rzeczywistość. Nie jestem żadnym porąbanym świrusem.

„Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć, brachu. Hmm?”. - Spojrzał na Bliźniacze Wieże, potem ponownie na zegarek. Właśnie minęła ósma rano. Może powinien przynajmniej sprawdzić: wejdzie do budynku i okaże identyfikator przy recepcji, zobaczy, co się stanie. Jeśli uda mu się dostać do środka, będzie to znaczyło, że jego poprzednie życie wciąż istnieje. Świetnie płatna robota doradczą, luksusowy penthouse w apartamentowcu nad rzeką, karta członkowska w ekskluzywnej siłowni. Jeśli nic się nie zmieni, uzna, że doświadczył gigantycznej halucynacji.

„No i może to oczywiście oznaczać, że konieczna będzie wizyta u psychiatry”.

Zaśmiał się na tę myśl. Terapeuta. Szaleństwo. A może wszystko to było jakąś wycieczką? Może zwyczajnie zeszłej nocy wypił odrobinę za dużo? Może ktoś wsypał do jego drinka jakiś proszek?

„Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć” - powtórzyło centrum kontroli.

Wsunął klucze z powrotem do kieszeni, skręcił w lewo i ruszył Browery Street ku World Trade Center. Za pół godziny znowu znajdzie się za swoim biurkiem, zastanawiając się jak mogło przyjść mu do głowy, że spędził noc w zagraconym ceglany magazynie z grupką podróżujących w czasie dzieciaków.

„Szaleństwo”.

ROZDZIAŁ 88

Nowy Jork rok 2001

Poniedziałek (pięćdziesiąty dziewiąty cykl czasowy)

Maddy na pewno chciała, żeby Adam został. Myślę, że naprawdę go lubiła, może jej się nawet podobał. Jak dla mnie też mógł zostać. Przeszkolilibyśmy go. No, ale teraz przynajmniej wrócił do swojego życia. Szczęściarz. Ciekawe, co teraz porabia. Gdzie jest. Pewnie wrócił do Anglii.

No ale dalej. Bob regeneruje rękę, a Liam ogolił się na łyso. Nie podoba mi się. Zrobił się z niego jeszcze większy kokos niż Bob! Ach, zgolił też brodę. Po raz pierwszy w życiu użył maszynki elektrycznej. Mówił, że wystraszyła go na śmierć, bał się, że utnie mu z pół twarzy. Cieszę się, że nie ma już brody. Postarzała go. Kosmyk siwych włosów też. Wyglądał jak starowinka. Teraz przynajmniej przypomina samego siebie.

Chociaż, na Jahulle, jest zdecydowanie starszy. Nie wygląda już jak chłopak, którego zobaczyłam, gdy po raz pierwszy obudziłam się w bazie. W jakiś dziwny sposób się zmienił. Może to przez oczy. Jakby postarzałe przed swoim czasem.

Sal odłożyła pióro i rozejrzała się po pogrążonym w ciszy biurze. Na materacu Liama leżał mały stosik książek historycznych, które od jakiegoś czasu konsekwentnie wertował. Ta znajdująca się na szczycie miała chyba związek z Wojną Secesyjną; okładkę zdobiły flagi, krzyżujące się miecze i brodaci generałowie. Teraz wybrał się do centrum. Powiedział, że chce się przespacerować i przewietrzyć głowę. Sal wyraźnie wyczuwała, że nie jest zachwycony powrotem, sam się zresztą wygadał. Kto wie, może wiódłby szczęśliwsze życie

w tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym roku.

- Przez pewien czas byłem Szeryfem z Nottingham - powiedział jej z uczuciem dumy i, jak sądziła, krztyną tęsknoty w głosie. Sal wiedziała, że coś go dręczy. Słyszała, jak ostatniej nocy mamrocze przez sen... jak w kółko powtarza, że jest mu „tak bardzo przykro”.

„Oczy. Postarzałe przed swoim czasem”.

Oczy. To słowo nagle przywołało wspomnienie.

Kilka dni temu coś widziałam. Misia, pluszowego niedźwiadka-zabawkę. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wciąż mam ten obraz przed oczami. Wiem, że już gdzieś widziałam tego pluszaka. „Wcześniej”, czyli zanim zostałam Jeźdźcem w Czasie. Tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Ale dullah! Wnerwia mnie to!

Przez otwarte drzwi na zaplecze zobaczyła Boba unoszącego się w bogatej w składniki odżywcze, bursztynowej breji. Łagodnie wymachiwał przez sen nogami, przez jego umysł musiały przelatywać obrazy zbliżone do ludzkiego snu. W przedramieniu odrosła już kość, którą zaczynały teraz oblepiać kielkujące wstążki pierzastej tkanki mięśniowej o barwie różu.

W bazie było cicho.

Beki i Maddy wyszły, żeby poinformować Fostera o postępach. Sal chciała wybrać się z nimi i przywitać się ze staruszką, ale Maddy powiedziała tylko „Nie tym razem”.

„Zawsze tak robi. Zawsze traktuje mnie jak dziecko” - westchnęła z irytacją.

- Zostałam sama - powiedziała w pustkę pomieszczenia, głos popłynął wzdłuż ceglanych ścian i wrócił echem. Sprężyny łóżka skrzypnęły, Sal zeskoczyła na podłogę i podeszła do biurka.

- Bob? - odezwała się, siadając na krześle.

> Witaj, Sal.

- Zagramy w jakąś grę?

> Oczywiście. Na co masz ochotę?

- Masz w systemie jakieś puzzle Pikodu?

> Potwierdzam. Gramy na dwóch playerów?

- Tak.

Na jednym z monitorów pojawiła się skomplikowana mozaika ikon.

- Włącz też jakąś muzykę. Jakąś naprawdę ciężką nutę.

> Co sobie życzysz?

Młasnęła językiem.

- Może tę kapelę, którą widzieliśmy na żywo z Maddy. Jak oni się nazywali?

> EssZed.

- Taa, rzućmy ich bity.

Ciche dudnienie pociągu, który przejeżdżał nad sufitem bazy, zagłuszyły otwierające power chordy gitarowe i chrypiący, basowy wokal. Z powrotem opadła na krzesło i zaczęła kiwać się do taktu.

- No, dalej - powiedziała, wskazując ruchem głowy kamerkę internetową. - Zaczynaj.

ROZDZIAŁ 89

Nowy Jork rok 2001

Foster siedział na ławce w parku i - dokładnie jak ostatnim razem - odrywał kawałki bułki hotdogowej, po czym rzucał je stadku puszących się z niecierpliwości gołębi.

- Hej - powiedziała Maddy.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- A więc mnie znalazłaś - przywitał ją, przyglądając się stojącej obok niej dziewczynie. - A to kto?

- Ach tak, to Beki. Wyhodowaliśmy ją.

Oczy Fostera przez chwilę pozostawały zmrużone, ale szybko rozbliły.

- Tak... oczywiście! To kobiecy model. Czyli musicie wiedzieć o punkcie zrzutu w San Francisco?

- Tak.

Jego wzrok przykuły poszarpane krawędzie zabliźnionej tkanki skórnej na lewej ręce jednostki.

- Wygląda na to, że widziała już walkę.

Maddy usiadła obok niego.

- Prehistoryczny potwór odgryzł jej rękę. To odrost.

Foster wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Prehistoryczny?

- To zupełnie inna historia, Foster. Opowiadałam ci ją ostatnim razem.

- Ach... to już nie pierwszy raz mnie odwiedzasz? Zniedołężniały stary pierdziel ze mnie.

- Wyluzuj - zaśmiała się. - To dopiero druga wizyta.

- Ach... No, to jak sobie radzisz?

- Póki co, chyba nieźle - westchnęła. - Historia wciąż w jednym kawałku. - Rozejrzała się po parku. Kilkadziesiąt metrów dalej jakiś brzdąc dręczył gołębice przy pilnujących go rodzicach. W zasięgu słuchu nie było nikogo. - Foster, naprawdę muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Rzucił resztę bułki gołębiom i strzepał okruchy z dłoni.

- No dalej.

- Czy słowo „Pandora” coś ci mówi?

Przekrzywił głowę w zamyśleniu.

- Nie licząc greckich legend?

Maddy skinęła potakująco.

- Nie. Ja... - Przecząco pokręcił głową. - Niespecjalnie.

- Wiesz... kiedy odbieraliśmy zarodki z punktu zrzutu w San Francisco, odkryłam odręcznie napisaną i zaadresowaną do mnie wiadomość, żebym jej szukała.

- Dziwne - odparł, marszcząc brwi.

- To nie wszystko. - Przez następne dziesięć minut Maddy opowiadała Fosterowi o manuskrypcie Voynicha, Adamie Lewisie, Świętym Graalu i wolnomularzach z przyszłości. Na końcu doszła do przepowiedni, Wielkiej Tajemnicy pochodzącej prawdopodobnie sprzed dwóch tysięcy lat, która teraz znajdowała się na chronionej hasłem partycji w umyśle Beki.

-...więc tę tajemnicę, Foster, przyniosliśmy ze sobą, w głowie Beki. Chcę, żebyśmy poznali ją razem.

- A co z Liamem i Sal?

- Dowiedzą się później... - Potrząsnęła głową. - Po prostu czuję, że mogę ci zaufać, bo...

- Bo długo już nie pożyję?

Maddy skrzywiła się z niesmakiem. Niestety, miał trochę racji.

- Nie, nie o to chodzi. Tylko... Na tej kartce ktoś napisał: „Nie mów nikomu”. Dlatego bez względu na to, co usłyszymy od Beki, po prostu chcę najpierw wysłuchać tego sama, dopiero później podzielę się tym z pozostałymi.

- Zgoda. Masz rację.

Maddy gestem nakazała Beki, aby tak jak ona usiadła na ławce obok Foster.

- Beki... zaraz otworzę zamkniętą partycję - gotowa?

- Potwierdzam - odpowiedziała spokojnie.

- Trochę się niepokoję, Foster. To coś ważnego. Jestem przekonana, że ma to związek z przyszłością.

- A może to coś, co przyszłość wie o przeszłości? - dodał.

- Taak... tak naprawdę, to może być wszystko. Ale sekret, który zaraz wyjawia nam Beki - Maddy zaśmiała się maniacko - to rozwiązanie zagadki Świętego Graala. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Będę z tobą szczerą... odrobinę mnie to przeraża. Zapowiada się naprawdę gruba rzecz. Mocna. Może wszystko odmienić.

- To możliwe. - Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Boję się.

- To tylko informacja, Maddy. Lepiej coś wiedzieć, niż nie wiedzieć. - Ujął i ścisnął jej dłoń. - Oboje się nad tym zastanowimy, nie inaczej.

- Dobrze - odparła i przechyliła się ponad starcem. - Beki, słuchaj mnie uważnie - powiedziała i przyciszonym głosem wyrecytowała: - iPad, jaskiniowiec, śniadanie.

Twarz Beki w jednej chwili stała się pozbawiona wyrazu jak puste płótno malarskie. Jednostka skupiła wzrok na Maddy.

- Witaj, Maddy. - Przeniosła wzrok na Fosterę. - Kto to jest?

- To Foster, jest z Agencji. Możemy mu zaufać. Rozumiesz?

- Potwierdzam.

- Pamiętasz, jak użyłaś matrycy Cardana, by odszyfrować rękopis Świętego Graala?

- Tak, Maddy. Pamiętam. To było bardzo interesujące zadanie.

- Dobrze. Chcę, żebyś powiedziała mi i Fosterowi, co dokładnie przeczytałaś.

Beki otworzyła usta, żeby przemówić, lecz nagle zamarła i przez dobre dziesięć

sekund pozostawała w stuporze. Maddy i Foster wymienili zdziwione spojrzenia.

- Beki? Co się dzieje?

Pytanie wyrwało jednostkę pomocniczą z odrętwienia, szare oczy przeniosły się na Maddy.

- Nie mogę spełnić twojego żądania - odparła.

- Słucham?

- Nie mogę wyjawić ci treści wiadomości, Maddy. Nie w tym momencie.

- Co? Kto tak mówi?

Oczy Beki zamigotały, weryfikowała dane.

- Nie mogę tego wyjawić. Wytyczne pochodzą z wyższej instancji.

- Wyższej instancji? - Szukała pomocy u Fostera. - Wyższej instancji? Wiesz może, o kim ona bełkocze?

- Nie... nie wiem. - Foster ze zdziwieniem marszczył czoło.

- O Boże, nie podoba mi się to - wyszeptała. - Sekrety w sekretach. Nie znoszę tego! To zawsze oznacza, że kogoś się tutaj wykorzystuje. A tym kimś jestem pewnie ja - wyrzuciła ze złością i odwróciła się do Beki. - Możesz mi powiedzieć cokolwiek na temat tej wiadomości? Cokolwiek?

- Pozwolono mi wyjawić, że to ostrzeżenie. To wszystko.

- Ale mówisz, że na razie nie mogę go usłyszeć.

- Potwierdzam.

- Czyli co? Czy to znaczy, że kiedyś pozwolą ci powiedzieć mi o wszystkim?

- Potwierdzam.

- Kiedy?

Beki lekko przechyliła głowę, niemal dokładnie jak pies. Szare oczy, w których odbijał się proces filtrowania danych, w końcu spoczęły na Maddy.

- Gdy nadejdzie koniec.

Zostań Jeźdźcem w Czasie!

W pierwszym tomie przeniesiesz się w czasy po II wojnie światowej do Stanów Zjednoczonych Ameryki opanowanych przez nazistów.

W drugim tomie odkryjesz, jak mógł wyglądać świat sześćdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą.

W trzecim tomie przekonasz się, jak żyli ludzie w średniowiecznej Anglii i czy Robin

Hood istniał naprawdę.

Już wkrótce tom czwarty!

Przez świat przechodzi fala czasu, która zmienia całą historię wojny secesyjnej w Ameryce. Liam przenosi się do 1831 roku, ale kiedy wraca do przyszłości, Abraham Lincoln podąża za nim. Świat zastyga w niebezpiecznym stanie limbo, na granicy chaosu...

Jeśli Jeźdźcy w Czasie nie zdołają przenieść Lincolna do przeszłości, wojna secesyjna nigdy się nie zakończy. Czy Maddy przekona dwóch pułkowników stojących po przeciwnych stronach ziemi niczyjej, by wstrzymali ogień wystarczająco długo, żeby ocalić przyszłości.

Wejdź na stronę www.timeriders.pl

Legenda

Bestsellerowa trylogia Marie Lu!

Już wkrótce ostatnia część: Patriota.

Republika, miejsce niegdyś znane jako zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, jest uwikłana w wieloletnią wojnę ze swymi sąsiadami, Koloniami. Piętnastoletnia June, urodzona w elitarnej rodzinie, w jednej z najbogatszych dzielnic Republiki, to wojskowy geniusz. Posłuszna, pełna pasji i oddana ojczyźnie, jest wychowywana na przyszłą gwiazdę najwyższych kręgów Republiki. Również piętnastoletni Day, urodzony w slumsach sektora Lake, to z kolei najbardziej poszukiwany przestępca Republiki. Jednak kierujące nim motywy wcale nie są tak proste, jak by się mogło wydawać. Pochodzący z dwóch różnych światów June i Day nie mają powodu, by się spotkać, aż pewnego dnia... Zbieg okoliczności sprawia, iż oboje odkrywają prawdę o wydarzeniach, przez które połączyły się ich losy.

Oszłamiająca trylogia Marie Lu, pełna akcji, napięcia i uczuć, bez wątpienia wciągnie i poruszy każdego czytelnika.

Wejdź na stronę www.legendatrylogia.pl

Czytanie uskrzydla!

Zostań naszym fanem na facebooku: www.facebook.com/CzytanieUskrzydla